

MARIUSZ URBANEK

# Brzechwa

NIE DLA DZIECI



MARIUSZ URBANEK

# Brzechwa

NIE DLA DZIECI



# Spis treści

Chciał być kimś innym

I tak zostałem Brzechwą na całe życie...

Marnym byłem żołnierzem...

Zniszczyłem swoje utwory i zacząłem od początku...

Pospolite korsarstwo w todze katońskiej...

Imię to wyławiam z wody rękami Don Kichota...

Dopiero te moje wiersze są dobre i oryginalne...

Amok miłosny anulował rzeczywistość...

Utożsamiał siebie z Panem Kleksem...

Artystom w mieście Łodzi nie bardzo dobrze się powodzi...

Wracamy do ruin, a „Rejtan” nas karci...

Arystokratyczna społeczność kaczkki dziwaczki

Tak panoszą się szkodniki, słane do nas z Ameryki...

Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy...

O, Przyjaciółko pisarskiej braci (kasa wypłaci)...

Złotóweczki za bajeczki bardzo chwalę sobie...

O wpływie pełni księżyca na wymiary kocich ogonów...

W mojej pamięci jest słoneczny...

Staroświecko poczciwe historie drastyczne

Umierać trzeba z taktem...

A co Brzechwa był, Szwed?

Moja przygoda z Brzechwą. Historia jednego felietonu

Nasze kontakty były zawsze dość trudne... Rozmowa z krystyną Brzechwą, córką poety,  
malarką

Daty Jana Brzechwy

Książki, czasopisma, które cytowałem, z których korzystałem, które warto przeczytać

# Chciał być kimś innym

Przeszedł do historii jako genialny bajkopisarz, choć do końca życia nie uwierzył, że to właśnie jest jego przepustka do wieczności.

Wcześniej było trzech innych Brzechwów. Był adwokat, doskonale zarabiający, brylujący na salach sądowych, ceniony na świecie autorytet w dziedzinie prawa autorskiego. Zrezygnował z prawniczej togi, gdy tylko stało się to możliwe.

Był poeta. Pisał wiersze przez dwadzieścia pięć lat; na kolejnych dwadzieścia poezja poszła w zapomnienie. Pod koniec życia wrócił do liryki. Wtedy powstały jego najlepsze utwory. Ale umierał w poczuciu niespełnienia. „Przez cały czas chciałem być poetą lirycznym” – mówił.

I był satyryk. Przed wojną autor skeczy i piosenek bawiących kabaretową publiczność, po wojnie przedstawiciel satyry walczącej, twórca propagandowych utworów, które przeciwnicy będą mu wypominać jeszcze wiele lat po śmierci.

Czwarty, autor bajek, pojawił się, gdy dobiegał czterdziestki. Razem z Julianem Tuwimem wzniesli poezję dziecięcą na wyżyny, na które po nich nie wspiął się nikt. Ale historia zakpiła z niego. Zmagał się z poczuciem niedowartościowania. Myślał, że krytycy go lekceważą, bo jest dostarczycielem literackiej galanterii dla dzieci, ale naprawdę to on sam nie docenił Brzechwy bajkopisarza. Chciał być kimś innym...

# I tak zostałem Brzechwą na całe życie...

Historię swego dzieciństwa Jan Brzechwa opisał w powieści *Gdy owoc dojrzewa*. Na ile prawdziwie? Na tyle, na ile prawdziwe są autobiograficzne powieści. Każda jest w połowie zmyślona, mówił, ale każda zmyślona powieść jest też w połowie autobiograficzna.

– *Gdy owoc dojrzewa* nie jest opowieścią o tym, jak było, ale jak mogło czy powinno być – powiedział Krystynie Nastulance. Ale tło geograficzne i historyczne w powieści jest wiernym odbiciem rzeczywistości, zastrzegł. Naprawdę jest w tej powieści znacznie więcej prawdy, niż chciał przyznać.

Zaczął od zdjęcia zrobionego w 1905 roku przez Mojsieja Abramowicza Szapiro, właściciela zakładu przy ulicy Wielkiej Morskiej 12 w Sankt Petersburgu, fotografa Ich Cesarskich Wysokości Wielkiego Księcia Włodzimierza Aleksandrowicza i Wielkiej Księżny Marii Pawłowny. Tytuły fotografa brzmią bajkowo, ale zdjęcie powstało naprawdę. Widać na nim ładną, ciemnowłosą dziewczynkę i młodszego od niej chłopca. Oboje w bluzkach z marynarskimi kołnierzami, oboje bosi, z dziecinnymi szpadelkami w rękach. Dziewczynka stoi, chłopiec siedzi na wielkim kamieniu, który leżał na podwórzu domu w Nowych Sokolnikach, gdzie zdjęcie zostało zrobione. Mówiło się, że kamień to meteoryt, który spadł, kiedy jeszcze nie mieszkali tam ludzie. Dzieci to Halinka i Janek Lesmanowie, w powieści Krysia i Adaś. „Przez fotografię, jak przez furtkę czarnoksiężnika, wchodzę do krainy mego dzieciństwa – napisał Brzechwa – (...) utożsamiam się z chłopcem, o którym wiem, że jest mną samym”. Miał wtedy siedem lat.

Nowe Sokolniki były wówczas niewielkim osiedlem kolejowym przy uruchomionej parę lat wcześniej linii kolejowej z Moskwy do Windawy (łotewskie Ventspils) i dalej do Rygi. Ojciec dzieci, inżynier Aleksander Lesman, absolwent Instytutu Technologicznego w Sankt Petersburgu, był tam naczelnikiem parowozowni Kolei Południowo-Zachodniej, potocznie zwanej depo. Podlegali mu maszyniści i parowozy obsługujące ruch kolejowy w tej części Rosji. Nowe Sokolniki w guberni pskowskiej były kolejnym już przystankiem w karierze zawodowej inżyniera Lesmana. Przenosił się wraz z rodziną tam, gdzie posyłały go władze carskiej kolei. Przed Nowymi Sokolnikami była Żmerynka, gdzie trzy lata po Halinie, w 1898 roku, urodził się Janek. Po Żmerynce Wielkie Łuki, a potem znów Nowe Sokolniki. „Co parę lat wnoszono do domu wielkie kosze i skrzynie, do których pakowano nasze meble i rzeczy” – wspominała po latach siostra poety. „Zamieszanie i harmider, towarzyszące przeprowadzce, stanowiły dla nas wielką atrakcję”. Nowe miejsce oznaczało nowych ludzi, nowe znajomości, nowe przygody.

Gdy Janek przyszedł na świat, ojciec zbliżał się już do pięćdziesiątki. Aleksander Lesman był synem znanego żydowskiego księgarza i wydawcy Bernarda Lesmana, wcześniej nauczyciela w słynnej warszawskiej Szkole Rabinów. Synowie Bernarda Lesmana jednak odeszli od judaizmu. Józef ochrzcił swego syna (przyszłego poetę Bolesława Leśmiana) w kościele katolickim, Aleksander przyjął wiarę ewangelicką.

W 1892 roku przyjechał do Warszawy (pracował wtedy w Zdołbunowie na zachodniej Ukrainie) na urlop, odwiedzić rodzinę i rozejrzeć się za nową towarzyszką życia. Miał już za sobą nieudane małżeństwo, rozwód i siedem lat samotności. Szukał żony, która nie będzie kręcić nosem na nudne życie na rosyjskiej prowincji i wieczne przeprowadzki. Przedstawiono go pannie, co prawda inteligentnej, dowcipnej i bywałej w świecie (jeździła nawet do Paryża), ale też już nie najmłodszej. Michalina Lewicka przekroczyła trzydziestkę, co było jak na pannę na wydaniu wiekiem zaawansowanym, więc można było mieć nadzieję, że nie będzie grymasić. „Oboje przypadli sobie

do serca, a że urlop ojca dobiegał końca, szybko doszli do porozumienia” – wspominała siostra poety Halina Lesman-Korecka. Michalina zdecydowała się wyjechać z mężem na głuchą prowincję i „nigdy nie żałowała tego kroku”, napisała Halina. Choć jej brat nie był już tego tak pewny. Matka cały czas tęskniła do Warszawy, zapamiętała, „nie może oswoić się z zapadłą kolejową stacją ani z trudnym rosyjskim akcentem, ani z surową rosyjską zimą”. A pewnie też z niejasnym statusem Polaków w Rosyjskim Imperium. Niby pełnoprawnych obywateli, a jednak, choć od zaborów upłynęło już z górą sto lat, ciągle traktowanych jako politycznie podejrzani. „Niebłagonadiożni innostrancy”, nielojalni i wolnomyślicielscy, którzy przy pierwszej sposobności zwrócą się przeciw matuzsce Rosji.

Ale to, co mogło być uciążliwe dla matki, dla dzieci było największą atrakcją. Żaby wylegające setkami na zamieniającą się w błoto jedyną drogę prowadzącą do Wielkich Łuków, zamarzająca rzeka, po której można było jeździć ciągniętymi przez konie saniami. „Pęd powietrza tamował oddech, a Jaś aż pisał z radości” – wspominała siostra. I wreszcie przyjemności najważniejsze. Parowozownia, pełna wielkich lokomotyw, które można było oglądać bez końca. Szyny, po których można było chodzić, pomagając sobie wyciągniętymi rękami w utrzymaniu równowagi. Peron, na który przyjeżdżały pociągi z całego kraju, a kolejarze przywozili najnowsze wiadomości ze stolicy i świata i gdzie bufet prowadził Piotr Afanasjewicz Sinicyn, który każdemu, kto chciał i nie chciał, pokazywał zegarek, jaki dostał od samego cara Aleksandra III.

W depo byli ludzie, którzy fascynowali małego chłopca. Gawriła, mąż Tekli, kucharki w domu Lesmanów, pracował jako maszynista i często wyjeżdżał, nawet na parę dni. Dzieciom przynosił z parowozowni różne drobiazgi, wytaczane z odpadków stali i miedzi, których tam nie brakowało. Maszynista Frołow, były marynarz, który morskim zwyczajem żuł tytoń i miał na ręce wytatuowaną głowę diabła. Brał Janka na parowóz i opowiadał o służbie w wojsku, więc kiedy zdarzyło się, że się upił i został wyrzucony z pracy, chłopiec poprosił po cichu ojca:

– Niech tatuś przyjmie Frołowa.

– Już go przyjąłem – odszepnął ojciec.

Później okazało się, że Frołow był jednym z maszynistów najbardziej zaangażowanych w rewolucję 1905 roku.

Lesmanowie mieszkali niedaleko parowozowni, w pewnym oddaleniu od stacji. Duży dom, jeden z trzech, w których zakwaterowano naczelników nowosokolnickiej kolei, zwrócony był fasadą do torów. „Przed oknami raz po raz przejeżdżały pociągi osobowe i towarowe, gwizdząc i sycząc manewrowały parowozy, nad Nowymi Sokolnikami nieustannie unosił się dym, bez przerwy dudniły szyny. Ten wieczny stukot kół stał się pulsem naszego kolejowego osiedla” – wspominał po latach Jan Brzechwa. Przy domu był kurnik, drewnutnia, szopa, ziemianka, gdzie przechowywało się produkty wymagające chłodu, ogród i sad owocowy. Ogrodnik, który miał się nimi zajmować, wyznawał jednak zasadę, że o pięknie rosyjskiej przyrody najlepiej świadczą osty, pokrzywy, łopian i inne chwasty.

Ale największą atrakcją dla dzieci był ojciec – mądry, dowcipny, cierpliwy i wyrozumiały. Inaczej niż matka, surowa, wiecznie zmęczona, porywcza i niezadowolona z zachowania dzieci. Nie zgodziła się na kupienie Jankowi wymarzonego roweru i to od niej po każdej psocie chłopiec słyszał okrutne słowa: „Nie, ty nie jesteś dobre dziecko”. Kiedy za jakiś niewinny żart, w rodzaju obcięcia guzika od palta naczelnika stacji – a Janek zbierał guziki i właśnie takiego „urzędowego” mu brakowało – matka zamknęła syna w ciemnym pokoju, ojciec wszedł przez okno, żeby razem z nim odbyć pokutę. Nie mógł więźnia uwolnić, bo to poderwałoby autorytet matki, ale mógł odsiedzieć karę razem z synem. Podobnie było, gdy matka kazała zarzącić ukochanego kogucika Janka,

dokarmianego okruszkami Czubatka, bo uznała, że ptak jest już dość duży, by pójść pod nóż. Chłopiec rozplakał się i powiedział, że Czubatka nie zje, do strajku przyłączyła się Halinka, a ojciec, ostatnia nadzieja matki na wsparcie, ogłosił:

– My przyjaciół nie jadamy, prawda, synku?

Aleksander Lesman nie przyłączył się do kary nawet wtedy, gdy Michalina postanowiła ukarać syna wielodniowym milczeniem, bo zniszczył jej jedwabny chiński parawan. Co prawda parawan był pęknięty, ale Janek powiększał dziurę, zafascynowany wylazającym ze środka papierem zadrukowanym chińskimi literami. Kiedy Michalina czyniła mężowi wyrzuty, że jest dla syna zbyt pobłażliwy, odpowiedział, jak zwykle, że to zbyt błaha sprawa w porównaniu z toczącą się wojną i epidemią cholery. W końcu ustępowała także matka.

Gdy dopadała ją migrena, ojciec spędzał z córką i synem wiele godzin. Świetny historyk i matematyk opowiadał dzieciom o Napoleonie i rewolucji francuskiej, historii starożytnej i średniowiecznej, tłumaczył trudne do pojęcia zjawiska z fizyki i chemii, a potem podsuwał do rozwiązania matematyczne łamigłówki. W gabinecie ojca na końcu domu stały wysokie półki z setkami oprawionych w zielony półskórek książek po polsku i rosyjsku, naukowych, z wierszami i powieściami Mickiewicza, Szekspira i Czechowa, Orzeszkowej, Schillera i Lermontowa. A także ofiarowany inżynierowi przez robotników model maszyny parowej. Ojciec pozwalał Halince i Jankowi mówić do siebie po imieniu, tak jak matka: Olu, Oluniu. Budziło to zdziwienie, a czasem zgorszenie osób, które tego słuchały, ale nie zmniejszało ani trochę respektu, które miały dla niego dzieci. „Uwielbialiśmy ojca bezgranicznie” – wspominała Halina Korecka. „Gramoliliśmy mu się na kolana, całowaliśmy i głaskali jego bujną czuprynę”.

Wielka historia zawitała do Nowych Sokolnik po raz pierwszy wiosną 1904 roku, kiedy rozpoczęła się japońsko-rosyjska wojna o wpływy na Dalekim Wschodzie. Przez stację przejeżdżały eszelony pełne żołnierzy w czapkach bez daszków. „Wieziono ich do nieznanego dalekiego kraju, do małych ośmieszonych «japoszków», na których mieli spaść jako karzące ramię potężnego cara Wszechrosji” – pisał Brzechwa. Śpiewali bojowe piosenki i butnie zapowiadali, że wroga „czapkami zarzucą”, a na nowosokolnickim peronie zbierali się ludzie, przynosząc „żołnierzkom” chleb, kiełbasę, jabłka i mleko.

Jechali na front bić się „za batiuszku caria, za rodzinu, za wieru...”, a potem po cichu wracali, poprzedzani pokrętnymi komunikatami, mającymi ukryć klęski, które wielka Rosja ponosiła w wojnie z Japończykami.

Jesienią także do Nowych Sokolnik zaczęły docierać echa narastających w Rosji nastrojów rewolucyjnych. Ktoś próbował wykraść papiery z gabinetu ojca, ktoś napadł na niego na stacji, a naczelnik odcinka Kolei Południowo-Zachodniej, Rosjanin Kawrygin, robił wszystko, żeby rozpedzić „kramołę”, spisek, na którego czele stał jego zdaniem inżynier Aleksander Lesman. „Innostraniec”, co zdaniem Kawrygina tłumaczyło wszystko.

Skutkiem walki z nowosokolnicką „kramołą” było przeniesienie ojca do Wielkich Łuków nad rzeką Łowat, na stanowisko naczelnika warsztatów, co prawda lepiej płatne, ale zdecydowanie mniej prestiżowe. Wielkie Łuki, liczące wtedy ponad 10 000 mieszkańców, były w porównaniu z Nowymi Sokolnikami prawdziwym miastem, a nie małą kolejową osadą, w której rytm życia wyznaczały przejeżdżające pociągi. Choć pisząc pół wieku później powieść *Gdy owoc dojrzewa*, Brzechwa nie był już tak bardzo pewny wielkomiejskości Wielkich Łuków. „Małe, prowincjonalne miasteczko, jedno z wielu zapadłych rosyjskich miasteczek znanych z utworów Czechowa, zmarłego przed paru zaledwie miesiącami” – wspominał.

Przeprowadzka oznaczała kilkutygodniowy wyjazd matki i dzieci do rodziny w Warszawie,

podczas którego ojciec miał znaleźć i urządzić dom w nowym miejscu. A Warszawa to był zupełnie inny świat niż rosyjska prowincja. Konne tramwaje na ulicach, kamienice wysokie na pięć pięter, w mieszkaniach gazowe oświetlenie – w Rosji mieli lampy naftowe – i woda lejąca się ku zaskoczeniu dzieci wprost ze ściany, wystarczyło odkręcić kran. W Nowych Sokolnikach wodę dostarczał woźniwa Waśka wozem ciągniętym przez wątłego siwka. A już najbardziej dziwne było to, że w Warszawie wszyscy mówili po polsku. Gawrzyła uprzedzał Janka, że stolica jest większa i piękniejsza od wszystkiego, co dotąd widział, ale rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej fantastyczna. A rodzina ze strony matki i ojca większa i bardziej spragniona kontaktów z krewnym, niż mógł znieść. „Zjawiały się różne dziwne postacie, które kazano mi kochać i mówić do nich «ciociu»” – wspominał Brzechwa. Chował się za matkę, żeby uniknąć nachalnych pieszczot, których był nieustannie ofiarą, bo Halinkę krewni zdążyli poznać już przy poprzedniej przeprowadzce. Za to przed nowo poznanymi kuzynami popisywał się znajomością języka rosyjskiego.

Zamieszkali u siostry matki, Anieli, i jej męża Benedykta Bormana, zamożnego przemysłowca, dostarczającego ukraińskim cukrownikom sprowadzane z Norwegii i Szwecji noże do krojenia buraków cukrowych. Wuj starał się jak mógł umilać krewnym pobyt w Warszawie, ale naraził się Jasiowi strasznie, gdy zaczął kpić z jego rosyjskiego akcentu, nazywając Połusztannikowem. W ukazującym się w Warszawie satyrycznym tygodniku „Mucha” pojawiały się wówczas złośliwe felietony, których bohaterem był Rosjanin, próbujący mówić po polsku, ale z bardzo mizernym skutkiem. Nazywał się właśnie Połusztannikow.

Podczas pobytu w Warszawie Janek poznał też resztę rodziny. Przede wszystkim Bolka, przyszłego Bolesława Leśmiana, bratanka ojca. Bolek przyjeżdżał później na wakacje do Wielkich Łuków, a „Janek Ignął do niego jak do starszego brata i przewodnika po krainie poezji” – wspominała siostra.

W Wielkich Łukach Lesmanowie zamieszkali w domu wynajętym od kupca Mieńszykowa. Do warsztatów, miejsca pracy ojca, było daleko i trzeba było wynająć na stałe dorożkę, a w zimie sanie, którymi Aleksander dojeżdżał. Powoził Jegor, którego Janek polubił, bo woźnica pozwalał mu siadać obok siebie na koźle, dawał trzymać lejce i pokrzykiwać na pędzące konie: „Ej, bieriegis’!”. Rodzice zaprzyjaźnili się z rodziną doktora Jakuba, społecznika, który leczył za darmo okoliczną biedotę, więc Janek z Halinką też zaczęli przyjaźnić się z młodszymi spośród dziewięciorga potomstwa lekarza. W powieści Brzechwa opisuje swoją pierwszą w życiu miłość do siedemnastoletniej córki doktora, Poliny. Ale jego siostra była przekonana, że to raczej sentymentalne uniesienia starszego pana kazały poecie pół wieku później zachwycać się błyszczącymi oczyma, matową delikatnością cery, wilgotnymi wargami, pięknymi dłońmi, a nawet z lekka krzywo rosnącym zębem, który nadawał twarzy Poli „nieodparty powab”. „Historia jego miłości (...) jest oczywiście zmyślona” – napisała Korecka. Sześćoletni Janek bawił się jeszcze z dziećmi doktora, gdy jeden z wielkołuckich inżynierów z miłości dla Poliny chciał się zabić.

W powieści Adaś rozdarty jest między uczuciem do Poliny a miłością równie wielką i pełną uniesień do panny Kazi, zatrudnionej przez matkę jako opiekunka dzieci. Kochliwy dwunastolatek ukradł nawet dla niej z toaletki matki flakonik modnych wtedy perfum Coeur de Jeanette. Ale dziewczyna nie chciała na niego czekać i szybko wyszła za mąż. To za sprawą Kazi Adaś poznał uczucie zazdrości, podglądając pannę przytuloną do innego, i to Kazia miała być tą, która kilkanaście lat później pozwoli mu zaznać smaku pierwszego pocałunku i gorycz niespełnionego pożądania. Już jako gimnazjalista spotkał się z nią w Kijowie (Kazia była od kilku lat mężatką) i uczucie odżyło z nową siłą. „Przylgnąłem do jej rozchylonych warg i gniołem je pocałunkami bez opamiętania. (...) Kazia szamotała się, ale na próżno usiłowała uwolnić się z moich objęć. W oczach jej malowało się



bezgraniczne przerażenie, jakby nagle zobaczyła upiora” – pisał. Ale uczucie do guwernantki też zostało przez Brzechwę mocno przerysowane. „Była to stara panna, w miarę brzydka, ale miła i sumienna” – wspominała pannę Kazimierę Halina Korecka.

Także do Wielkich Łuków docierały odgłosy radykalizujących się coraz bardziej nastrojów w imperium. Gawriła, który przyjeżdżał z Nowych Sokolnik do Tekli, opowiadał, że tam, gdzie jeździ parowozami, mówi się o wojnie z Japończykami zupełnie co innego, niż donoszą gazety. Żołnierze nie chcą walczyć, robotnicy strajkują, nawet chłopci w różnych zakątkach Rosji zaczynają podnosić głowy. Janek chciwie przysłuchiwał się rozmowom dorosłych.

– Jeśli już umierać, to za lud, a nie za cara, który jest wrogiem ludu – mówił Gawriła, ku coraz większemu przerażeniu Tekli.

– Zgubisz siebie i mnie. Z carem wojować mu się zachciało! Nie tacy jak ty w kajdanach na Sybir chadzali – płakała.

Ale Gawriła nie dawał się przekonać. Opowiadał, że żołnierze zatrzymują pociągi wiozące ich na front, atakują żandarmów i wołają „Precz z wojną”. A Janek chętnie powtarzał wierszyk, którego nauczył się podczas pobytu w Warszawie.

W Laojanie

Dostaliśmy lanie.

W Port-Arturze

Dostaliśmy po skórze.

W Kraju Wschodzącego Słońca

Dostał Moskał od Japońca.

Żarty skończyły się w wigilijną noc 1904 roku, gdy carska żandarmeria aresztowała Gawriłę. Rozpoczynającej się właśnie rewolucji Janek Lesman doświadczył na własnej skórze kilka tygodni później, gdy po ataku wyrostka robaczkowego ojciec zawiózł go do Petersburga, do słynnego (leczył nawet carską rodzinę) chirurga, profesora Minejki.

Był niedzielny poranek 22 stycznia 1905 roku, który miał przejść do historii Rosji jako krwawa niedziela. Jadąc do profesora, Aleksander Lesman i Janek musieli przeciskać się przez zatłoczone miasto. Na ulice Petersburga wyległo blisko 200 000 robotników, domagających się ośmiogodzinnego dnia pracy i podniesienia płac. Rząd wyprowadził przeciwko nim żandarmerię i wojsko, doszło do rozruchów. Większość ludzi demonstrowała przeciw carowi, byli jednak wśród manifestujących i tacy, którzy nieśli portrety Mikołaja II, deklarując miłość i lojalność wobec władcy. Żandarmeria strzelała do jednych i drugich. Oficjalnie zginęło około stu, nieoficjalnie blisko tysiąc ludzi. „Ujrzałem obok siebie młodą dziewczynę. Z jej przestrzelonej głowy broczyła krew” – wspominał wiele lat później Brzechwa. Na ulicach panowała panika, ludzie próbowali uciekać przed kolejnymi salwami i szarżami konnicy, ale bramy parku Aleksandrowskiego, jedynej drogi ratunku, zostały zamknięte: „Uwięzieni w parku ludzie zaczęli miotać się jak zwierzęta w klatce”.

Kiedy udało się wreszcie zrobić wyrwę w ogrodowej kracie, przedostali się z ojcem do spokojniejszej części miasta. Ale to wcale nie znaczyło, że byli bezpieczni. Zamieszki rozlały się na całe miasto. Dotarli do stołówki Instytutu Technologicznego, którą ojciec pamiętał z czasów studiów. „Po drodze zobaczyliśmy jeszcze kobietę zabitą w dorożce; nogi jej wisiały w powietrzu, a z jednej podczas jazdy spadł walonek” – opisywał Brzechwa. W stołówce spędzili cały dzień, bo ojcu odradzono wychodzenie z dzieckiem na ulice miasta, w którym cały czas trwała strzelanina.

Do profesora Minejki zamiast rano dotarli późnym wieczorem. Nakazał wycięcie wyrostka,

najlepiej na wiosnę. Wydawało się, że to najgorsze, co chłopca czeka, gdy w Wielkanoc zmarł Jegor. Ratował Janka, który spadł z mostu do rwącej rzeki, potem sam przemoczony woził go w poszukiwaniu lekarza. Dostał zapalenia płuc i po kilku tygodniach, mimo przewiezienia do szpitala, zmarł. Aleksander Lesman zapisał wdowie po Jegorze połowę należnych mu od kolei składek emerytalnych.

Wiosną 1905 roku na kolei wybuchł strajk. Jeden po drugim stawały warsztaty i parowozownie kolejnych odcinków. Strajkiem objęta została cała Kolej Moskiewsko-Windawsko-Rybińska, której częścią było nowosokolnickie depo. Nie pracowała poczta, przestał działać telegraf. Kolejarze odmówili przewożenia wojska, które miało tłumić strajki. Gubernator wściekał się, ale był bezsilny, bez kolei państwo przestało funkcjonować. Inżynier Lesman znalazł się w centrum wydarzeń. „Nie należał do żadnej partii, ale z przekonań był socjalistą i demokratą” – napisała Halina Korecka. Wyjechał do Wielkich Łuków, skąd docierały coraz bardziej niepokojące wieści. Podobno do miasteczka sprowadzono już wojsko, więc będzie pewnie jak w Moskwie, Charkowie czy Petersburgu, gdzie zginęły setki ludzi. „Czy to ma sens? Łatwo jest krzyczeć «Dałoj samodzierzawie!». A co potem? Zgnieć w kazamatach albo na Sybirze? Szkoda ludzi... Głową muru nie przebije...” – straszili matkę zaprzyjaźnieni Rosjanie.

Kiedy ojciec wrócił wreszcie do Nowych Sokolnik przybranym gałązkami jedliny parowozem, ze skrzyżowanymi na przedzie czerwonymi chorągiewkami, wydawało się jednak, że wszystko skończy się dobrze. Niesiony na ramionach Gawriły, Frołowa i innych maszynistów inżynier stanął na stole i zaczął czytać odezwę rządu, którą przywiózł. Zawierała obietnice poprawy bytu robotników i chłopów, wolności słowa. „Słyszeliśmy nowe dla nas słowa: «konstytucja», «rewolucja», «manifest»” – wspominała Korecka.

Ale nie trwało to długo. Po kilku dniach entuzjazmu zaczęły napływać wieści o brutalnym rozprawianiu się z rewolucją przez żandarmerię i wojsko. Pojawiły się też podjudzane przez policję oddziały czarnej sotni, żerującej na przywiązaniu wielu Rosjan do caratu. Rozpoczęły się organizowane przez Związek Narodu Rosyjskiego napaści na strajkujących i pogromy Żydów. Na początku opór ludzi był skuteczny, ale nie wiadomo było, na jak długo starczy im determinacji i siły. Aleksander Lesman podczas kolejnego wystąpienia do strajkujących w Nowych Sokolnikach nazwał carski manifest „oszukańczym manewrem”. To przekonywało maszynistów w depo, ale coraz bardziej przerażonych urzędników kolejowych, w większości Rosjan, już nie.

– Szkoda, że cię nie było, jak twój ojciec przemawiał! Nie każdy tak potrafi... Mądry człowiek! Mówi, jakby nam w sercu czytał! – opowiadał Gawriła Jankowi. Jeden z maszynistów, oburzony krytyką carskiej odezwy, chciał jednak rzucić w naczelnika depo ciężką mutrą. Obezwładnili go inni.

– Dlaczego pani mąż nazywa manifest oszukańczym manewrem? Tak możemy mówić między sobą... Ale publicznie? Do robotników? – przekonywał matkę inżynier Matwiejew, zastępca ojca w depo.

Ale dumny z ojca mały Janek chodził po domu i powtarzał usłyszany od kogoś dwuwiersz:

Car ispugałsia – izdał manifest:

Miortwym – swoboda, żywych pod arest.

Któregoś zimowego ranka, lepiąc w ogrodzie przy domu bałwana, znalazł pod śniegiem jakiś metalowy przedmiot. To była skrzynka pełna naboji, a obok owinięty w ceratę karabin. Przerażona matka szybko przysypała znalezisko śniegiem.

– Jeśli ktokolwiek o tym się dowie, tatusia zamkną do więzienia – ostrzegła i wymogła

na dzieciach przyrzeczenie milczenia. W nocy ktoś przeniósł broń i amunicję w inne miejsce, a tam, gdzie dzieci je znalazły, stanął nowy bałwan.

Z Moskwy i Petersburga dochodziły coraz gorsze wieści. O wyciąganiu ludzi z mieszkań, podpalaniu domów, publicznych egzekucjach bez sądu, pacyfikowaniu strajkujących fabryk. W Wielkich Łukach płonęły warsztaty, rabowano żydowskie sklepy, napadano na ich właścicieli. Rewolucja miała się ku końcowi. Także do Nowych Sokolnik „zjechała policja i zaczęły się aresztowania, gdyż naczelnik stacji okazał się szpiclem i donosicielem” – wspominała Halina Korecka.

Aleksander Lesman został wyrzucony z pracy. Najpierw dostał telegram o przeniesieniu na małą stacyjkę pod Rzewem, a kilka godzin później kolejny – o zwolnieniu. „Ponadto dowiedział się poufnie, że jest wpisany na czarną listę” – napisał Brzechwa. Oznaczało to, że nie znajdzie pracy nie tylko na kolei, ale nie będzie mógł więcej zajmować żadnej państwowej posady.

W dodatku trudno było liczyć, że to koniec represji. Do Nowych Sokolnik przyjechał wuj Benedykt, żeby namówić szwagra do wyjazdu. To samo, po aresztowaniach w depo, radził Rosjanin Matwiejew. „Pan musi ulotnić się stąd natychmiast” – przekonywał. Zadbął nawet o parowóz, który wywiózł inżyniera Lesmana poza granice guberni, skąd łatwiej było o pociąg do Warszawy. Resztą rodziny miał zaopiekować się wuj. Także Gawriła wyjechał do Petersburga, bo tam łatwiej było zgubić się wśród ludzi.

Lesmanowie wylądowali najpierw na chwilę w Wielkich Łukach. Zajęli dwa pokoje i strych domu doktora Jakuba. Janek był świadkiem, jak dom zaatakowała banda czarnosecińców, złożona z napędzanych nienawiścią do obcych szumowin z miasteczka.

– Otwieraj, parchu, niemyta twoja mordą – wrzeszczał jakiś wyrostek, dobijający się do bramy i grożący podpaleniem domu.

Nie pomogło przypominanie przez starego doktora, że przecież przez trzydzieści lat leczył napastników i ich rodziny, nie biorąc za to grosza. Wielu przyjmował na świat, wielu uratował zdrowie i życie. Na próżno, w 1906 roku nie było to już ważne. Był Żydem, a carska policja przekonywała, że to Żydzi i Polacy są winni nędzy ludu.

Przerażona Michalina zaprowadziła dzieci na strych, wyjęła błyszczący niklem rewolwer smith and wesson i sprawdziła, czy w środku są naboje.

– Robię to, co robiłby wasz ojciec, gdyby był z nami – oświadczyła dzieciom.

Ostatecznie jednak bandę rozpedziła dorożkarskim batem Jewdokia, wdowa po Jegorze, który uratował Janka przed śmiercią w rwącej Łowati.

Kiedy tylko stało się to możliwe, rodzice postanowili poszukać szczęścia w Kijowie. Wydawało się, że w dużym mieście, w którym istniała spora kolonia polska, łatwiej będzie zacząć wszystko od nowa.

Ojciec założył biuro handlowe i próbował utrzymać rodzinę, pośrednicząc w dostawach węgla i narzędzi dla kolei. Szybko jednak okazało się, że brak mu nie tylko doświadczenia, ale i niezbędnego w handlu sprytu. Nie potrafił przekonywać łapówkami decydujących o zakupie urzędników, że to jego towar jest najlepszy. Przedkładał wypełnione setkami liczb dokumenty dowodzące najwyższej jakości oferowanego antracytu i najwyższej sprawności sprzętu, a i tak za każdym razem okazywało się, że zamówienie dostawał ktoś, kto towar miał może gorszy, ale potrafił zapewnić sobie przychylność decydujących o zakupie. „W rezultacie zamiast zarobku, ponosił straty” – wspominała Halina Korecka. Nie odniósł sukcesu także jako przedstawiciel handlowy Towarzystwa Maszyn Pneumatycznych, które próbowało podbić rynek pierwszymi w Rosji odkurzacami. Nie pomogło nawet rozszerzenie działalności na usługowe odkurzanie mieszkań.

Ludzie nie mieli zaufania do warczącego i wyjącego urzędnika, które, jak uważali, jest mniej skuteczne od zwykłej trzepaczki, a w dodatku niszczy dywany. Na koniec któregoś dnia bez uprzedzenia zniknął zatrudniony do odkurzania pracownik.

W Kijowie Janek po raz pierwszy w życiu był w teatrze (widział *Fausta*, *Rewizora* i *Noc Walpurgii*), cyrku (występował słynny komik i treser zwierząt Włodzimierz Durow) i kinie (oglądał m.in. nieme filmy ze sławnym francuskim komikiem André Deedem, zwanym Boireau lub Gribouille, a w Rosji po prostu Głupyszkinem). *Rewizorem* – wspominał po latach Brzechwa – był tak zachwycony, że nauczył się całej sztuki na pamięć i sam odgrywał w domu wszystkie role. Ale największe wrażenie zrobił na nim teatrzyk Pietruszki, który co jakiś czas pojawiał się na podwórku kamienicy na Wielkiej Włodzimierskiej, gdzie zamieszkali Lesmanowie. Słowo Pietruszka oznaczało wszystko naraz: głównego bohatera widowiska i wędrowny teatrzyk, który mieścił się w walizce jego właściciela, dyrektora i aktora w jednej osobie. Pietruszka wbiegał niespodziewanie na podwórze i głośnym wołaniem zapowiadał spektakl. Potem rozstawiał pstrokaty parawan, za którym szykował się do występu, a rosnąca gromada dzieci i dorosłych z zapartym tchem czekała na rozpoczęcie przedstawienia. Po chwili na krawędzi parawanu pojawiał się Pietruszka, „ulubieniec tłumu i przyjaciel dzieci, długonosy, krzykliwy i śmieszny zabijaka”, wspominał kilkadziesiąt lat później Brzechwa.

Pietruszka występował zawsze z dwiema innymi postaciami, uosabiającymi ludzkie przywary i ułomności, z których nie tylko bezlitośnie drwił, ale i karcił za pomocą długiej pałki. Dawał ludziom z kijowskich przedmieść poczucie, że jest ktoś, kto widzi ich biedę i chce się za nimi ująć. Krytykował skorumpowanych carskich czynowników, nieuczciwych kupców, zachłannych popów i plotkary, wyśmiewał głupie zarządzenia, walił pałką po głowie możnych i bogatych. „Śmiałe aluzje polityczne wywoływały niezadowolenie policji i narażały Pietruszkę na prześladowanie” – wspominał Brzechwa, ale ludowy bohater nie przejmował się tym. Śmiech, wdzięczność ludzi oraz drobne monety rzucone z okien były wystarczającą zapłatą za niezbyt wyrafinowane zwykle dowcipy. Przeganiany z jednego podwórka Pietruszka błyskawicznie rozstawiał swój parawan na kolejnym. Za nim wędrowały dzieci, najwierniejsi widzowie tych widowisk, pomagając w pakowaniu się, a przede wszystkim zbierając rzucone miedziaki. „Był to niekiedy jedyny teatr, jaki widziano w tej czy innej zapadłej mieścinie” – pisał Brzechwa.

Pietruszkę znały niemal wszystkie miasta carskiego imperium, ale nie był zjawiskiem wyłącznie rosyjskim; postaci podobnych sowizdrzałów znają kultury ludowe całego świata, od Niemiec po Chiny i Japonię. Dla Brzechwy przez lata był symbolem dzieciństwa, kiedy marzył, by samemu stanąć za parawanem i mieć własnego Pietruszkę. Udało mu się później to marzenie spełnić, stworzył cykl widowisk kukiełkowych „Teatr Pietruszki”.

W Kijowie był świadkiem wzburzenia, jakie wywołał śmiertelny zamach na carskiego premiera Piotra Stołypina w Teatrze Miejskim, ale równie mocno przeżył pokaz lotniczy na hipodromie za miastem słynnego nie tylko w Rosji lotnika Siergieja Utoczki. „Pasjonowałem się tymi sprawami i marzyłem o niebezpiecznym zawodzie lotnika” – wspominał Brzechwa.

Nawiązał nowe znajomości i przyjaźnie. Z chłopcami z podwórka kamienicy: Wanią Mandrowskim, synem praczki z piątego piętra, Wołodią, synem właściciela sklepiku, gdzie kupowało się gruszkowe i berbersowskie cukierki oraz z Kukurydzą (dla odróżnienia, bo też miał na imię Wołodia), którego ojciec prowadził laboratorium chemiczne. Iz kolegami z gimnazjum: delikatnym Aleksandrowem, z którym przyjaźnił się najdłużej, sierotą Szymborskim, drugorocznym Łobanowem i prymusem Plujem. A także z najbardziej tajemniczym ze wszystkich, Paszą, młodszym od Janka, ale znacznie bardziej odważnym. „Górował nad nami władczy, gwałtownym charakterem.

„Zaden z nas nie śmiał mu się przeciwstawić” – wspominał Brzechwa Paszę, zawsze przekonanego, że wolno mu więcej niż innym. „Był czasem okrutny...” – wspominał Paszę jego ojciec, gdy chłopiec w wieku 11 lat popełnił samobójstwo.

W kijowskim domu Lesmanów było biednie. Janek zapamiętał podawane niemal co dnia kotlety mielone – jadło się je na obiad i kolację, a to, czego nie zjedzono, dostawał następnego dnia do szkoły – i marchewkę, której nienawidził, co zostało mu do końca życia. „Chciałem, żeby codziennie na obiad były nadziewane kurczęta z mizerią, a na deser lody. (...) Nie rozumiałem wtedy, że u nas w domu się nie przelewało” – napisał.

Mielone i marchewka były głównym składnikiem menu także podczas miesięcy letnich, które Lesmanowie spędzali w nieodległej Bojarce (jechało się tam wynajętą furką na stosie betów i naczyń kuchennych). Któregoś razu Janek wymyślił fortel, który miał to zmienić. Napisał do siostry kartkę w imieniu jej ukochanej przyjaciółki Niny, że przyjeżdża w niedzielę i że bardzo lubi nadziewanego kurczaka. W niedzielę Halina poszła na odległą o dwie wiorsty stację przywitać Ninę, ale przyjaciółki nie było. Parę godzin później wyszła na następny pociąg. Na próżno... Ale na obiad był nadziewany kurczak i mizeria, a nawet lody. „Kawał się udał” – wspominał Brzechwa.

Podobnie jak próby zarabiania na wierszykach, które zaczął układać w wieku dwunastu lat. „W wierszowanych paszkwilach wyszydzałem ku ogólnemu zgorszeniu najdostojniejsze ciotki” – wspominał. Przepisywał je następnie w kilkunastu egzemplarzach i albo sprzedawał krewnym, albo brał pieniądze za nierozpowszechnianie co bardziej zjadliwych fraszek. Najwięcej za milczenie gotowe były płacić ciotki, ale i siostra dała mu 50 kopiejek, byle tylko nie ujawnił poświęconego jej utworu.

Wbrew namowom ojca rozpoczął w Kijowie naukę w gimnazjum handlowym. Tytuł „kandydata komercji”, jaki nosili absolwenci tego gimnazjum, i zielony otok czapki wydały mu się znacznie bardziej atrakcyjne niż żółty otok uczniów szkoły realnej. A i matka twierdziła, że szkoła handlowa daje wiedzę praktyczną, bardziej przydatną w życiu niż wykształcenie humanistyczne. „Jaś uczył się dobrze. Bardzo lubił czytać. Początkowo pasjonował się kryminałami w popularnym wydaniu – przygodami Pinkertona lub Sherlocka Holmesa” – wspominała starsza siostra. Potem sięgnął po poważniejsze lektury z biblioteki ojca: dramaty wieszczów, wiersze Asnyka i Ujejskiego, powieści Balzaka i Wiktora Hugo, dzieła naukowe. Czytał wspomnienia Davida Livingstone’a z Afryki, pamiętniki kapitana Roberta Scotta i opisy wyprawy polarnej podróżnika Roberta Peary’ego. Pochłaniał książki o życiu owadów, a nawet obrazoburcze dla wielu *Dzieje stosunku wiary do rozumu* Johna Wilhelma Drapera (w oryginale tytuł brzmiał bardziej jednoznacznie *History of the Conflict between Religion and Science*).

Na zakończenie kolejnej klasy znalazł się wśród pięciu najlepszych uczniów, zwolnionych z większości egzaminów. Do zaliczenia miał tylko matematykę, egzamin pisemny z rosyjskiego i ustny z historii. Pierwsze dwa poszły łatwo, została historia. Wylosował pytania z historii Rosji od roku 1613, a więc od momentu dojścia do władzy dynastii Romanowów, do 1713. Jego wiedza na ten temat wykraczała daleko poza zakres materiału z podręcznika. Zasiadający w komisji inspektor okręgowy pochwalił, że tak świetnie zna historię ojczyzny.

– To nie jest moja historia ojczysta – przywołał we wspomnieniach swoją odpowiedź.

– Jak to? Nie jesteś Rosjaninem?

– Jestem Polakiem.. – odpowiedział z dumą, gdy siedzący w komisji historyk Korieniewski próbował ratować sytuację. Przekonywał inspektora, że jest tym bardziej chwalebne, iż młody Lesman, nie będąc Rosjaninem, tak dobrze zna historię Imperium, która obejmuje też Priwisliński Kraj. Wyszło jeszcze gorzej.

– To nie jest Priwislinski Kraj, to jest Polska – sprostował uczeń.

Odpowiedział na wszystkie pytania celująco, ale Korieniewski postawił mu tylko czwórkę. Po jakimś czasie poprosił jednak, żeby Janek nie miał mu tego za złe. Nie miał innego wyjścia.

– Inspektor twierdził, że urządziłeś demonstrację polityczną, chciał pisać raport do okręgu szkolnego – tłumaczył. Ponoć dopiero dyrektor szkoły go udobruchał.

To była pierwsza poważna narodowa deklaracja nastolatka. Wcześniej wiadomo było, że Polska to Polska, a życie w Rosji to ekonomiczny przymus, który jednak nie stawiał dziecka przed poważniejszymi dylematami. Rosjanie w Nowych Sokolnikach, Wielkich Łukach, Kijowie byli różni: dobrzy i źli, mądrzy i głupi, szlachetni i podli. Byli donosiciele i byli przyjaciele Moskale, który ostrzegali nieprawomyślnych Polaków przed grozącymi im carskimi represjami. Ale i o Polakach trudno było powiedzieć, że wszyscy, jak jeden, są od Rosjan lepsi. Co prawda wuj Bronisław przekonywał, że każdy Moskał to zbir i powinno się wyrzucić z biblioteki wszystkie książki rosyjskich poetów, bo to ohyda, ale ojciec powiedział, że nie pozwoli syna ogłupiać.

– Naród nie odpowiada za łajdactwa rządu. Znam wśród Rosjan mnóstwo szlachetnych ludzi – mówił, choć zdaniem wuja sympatia do Rosjan to dowód „zmoskwiczenia”, bo w każdym Moskału żyje duch Stołypina, który krwawo stłumił rewolucję 1905 roku.

Lesmanowie spędzili w Kijowie trzy lata, wreszcie, wyczerpani kolejnymi nieudanymi próbami finansowego stanięcia na nogi i kończącymi się klęską pomysłami ojca – ostatnim było przedstawicielstwo handlowe producenta maszyn do pisania Royal – postanowili wrócić do Warszawy, gdzie była przecież prawie cała rodzina zarówno ojca, jak i matki. Michalina z dziećmi zamieszkała w pokoju wynajętym od ciotki Marii (siostry matki) przy ulicy Czackiego 8, ojciec, dla którego nie było tam miejsca, sypiał kątem u swojej siostry. Przepadły meble, obrazy i książki, które zostawili w Kijowie. Zostawili je zapakowane w skrzyniach w magazynie, ale nie mieli pieniędzy, by opłacić składowe. „Czekała nas bezdomność, długotrwała poniewierka i wegetacja” – wspominała siostra poety.

Ojciec dostał posadę w należącym do wuja Benedykta warsztacie ślusarskim w Lublinie. Warsztat był maleńki, zatrudniał zaledwie jednego ślusarza i jego pomocnika, więc nie mogło być wątpliwości, że „dyrektorska” posada to tak naprawdę zapomoga dla będących w tarapatach Lesmanów. „Pensja 120 rubli miesięcznie stanowiła więc upokarzający datek z kieszeni wuja” – pisał Brzechwa. W tygodniu ojciec nocował w pokoiku nad warsztatem, gdzie czasem odwiedzał go syn. „Staliśmy się ubogimi krewnymi i poznaliśmy gorycz ludzi zmuszonych do korzystania z pomocy zamożnej rodziny” – wspominała Halina Korecka.

A jakby nieszczęść było mało, matka zachorowała na żółtaczkę. Brzechwa napisał, że stało się to jeszcze w Kijowie, jego siostra, że już w Warszawie. Brzechwa zapamiętał, że diagnozę postawił doktor Karawajew, Halina, że doktor Leśniowski. Ale obaj medycy byli zgodni: stan jest bardzo ciężki, wręcz beznadziejny. Operacja może pomóc, ale szansa, że zabieg się uda, jest jedna na sto. Wezwane przez ojca ciotki orzekły, że należy pozwolić matce w spokoju umrzeć. Aleksander zamknął się z córką i synem w pokoju: – No, dzieci, decydujcie. Ja straciłem już wszelką nadzieję – powiedział.

Decyzja była: operować. Brzechwa zapamiętał, że operację przeprowadził kijowski chirurg, profesor Zieliński, siostra, że doktor Leśniowski w Warszawie. Pewne było jedno, pobyt w szpitalu zrujnował Lesmanów doszczętnie, do lombardu trafił nawet złoty zegarek ojca, a i tak honorarium lekarza długo pozostawało niezapłacone. Ale zabieg powiódł się i matka po kilku tygodniach wróciła do domu. Poprawiła się też sytuacja finansowa rodziny, bo udało się sprzedać jedną z parceli, które ojciec kupił kiedyś w Wielkich Łukach.

W Warszawie Janek Lesman chodził do gimnazjum Jeżewskiego. Coraz bardziej rozsmakowywał się w polskich książkach, a popołudniami w obszernej jadalni cioci Marii dawał przed rodziną aktorskie popisy. Wkraczał do pokoju niczym aktor na scenę, spowity w prześcieradło jak w togę. Unosił obnażone ramię i zaczynał recytować któryś z wierszy wieszczów albo np. fragment *Irydiona* Zygmunta Krasińskiego: „Zmijo, którą kocham, czego żądasz więcej?”. Słuchacze, początkowo zaskoczeni, stopniowo poddawali się magii poezji, wspominała siostra.

Jesienią 1913 roku ojciec dostał propozycję dobrze płatnej pracy w Zakładach Budowy Maszyn Hartmana w Ługańsku, na wschodnim krańcu Ukrainy. Miał zostać kierownikiem biura konstrukcyjnego. Matka obawiała się, że Ługańsk może okazać się taką samą dziurą jak Wielkie Łuki, ale ojciec postawił na swoim. Na miejscu okazało się, że Zakłady Hartmana zamierzają wysłać inżyniera Lesmana do Kazania, gdzie będzie nadzorował budowę kotłów i urządzeń grzewczych.

Wiosną 1914 rodzice i Janek wyruszyli do Ługańska, a dziewiętnastoletnia Halinka, która zdążyła tymczasem wyjść za mąż, szykowała się do wyjazdu do Sankt Petersburga, gdzie jej mąż dostał pierwszą posadę. W sierpniu 1914 roku wybuchła wojna, którą nazwano wielką, a po latach pierwszą światową, zaś miesiąc później do Petersburga przyjechał także Janek. Rodzice postanowili, że właśnie tam dokończy gimnazjum.

W Petersburgu miał co prawda mieszkać sam, ale pod czujnym okiem starszej siostry. Po kilkudniowych poszukiwaniach Halina znalazła bratu pokój, na pierwszy rzut oka schludny i niedrogi, z opiekuńczą gospodynią, która zapewniała, że zadba o chłopca. Siostra zaprowadziła Janka w nowe miejsce, zadowolona, że tak dobrze wypełniła prośbę rodziców.

Rankiem następnego dnia Janek zastukał do mieszkania Haliny i szwagra. Był przerażony, bo okazało się, że pokój „przy rodzinie” to część domu publicznego. Przez całą noc do gimnazjalisty dobijali się klienci „dziewczynek”. Chłopak musiał zabarykadować drzwi meblami, a siostra szybko poszukać mu innej stancji.

Nauka szła mu nieźle, ale maturzysta nie stronił i od innych rozrywek. „Był dobrze ułożony, rozwinięty fizycznie i umysłowo, traktowano go już jako dorosłego mężczyznę” – wspominała siostra, a Janek brał to za dobrą monetę. Któregoś dnia przyszedł do Haliny i przyznał się, że grał w karty na pieniądze i oczywiście przegrał.

– Sprawa honorowa, ratuj – prosił.

Siostra zastawiła w lombardzie złoty zegarek, żeby wyciągnąć lekkomyślnego gimnazjalistę z tarapatów. Przynależ, że więcej w hazard wciągnąć się nie da. Dotrzymał słowa, ale i tak Halina musiała ratować go jeszcze raz. Młody elegant chciał dorównać bogatszym kolegom i za pieniądze, które rodzice przysłali mu na utrzymanie, kupił najmodniejszy wówczas żakiet. Nie przyznał się jednak siostrze, że głoduje, żywił się, gdzie się dało. Najczęściej w stołówce studenckiej, w której można było dostać za darmo chleb z sosem. Tam zobaczyła go Halina i wszystko się wydało.

W Petersburgu zadebiutował jako poeta. Wiersze siedemnastolatka ukazały się w tygodniku „Sztandar”, redagowanym przez Remigiusza Kwiatkowskiego, poetę i tłumacza. Za pierwszy dostał honorarium w wysokości jednego rubla, dla gimnazjalisty kwotę nie do pogardzenia. Wiersze podpisywał, za namową kuzyna Bolka Leśmiana (wtedy jeszcze używającego twardej formy nazwiska – Lesman), pseudonimem Jan Brzechwa. Kiedy Bolek dowiedział się, że młodszy o ponad dwadzieścia lat stryjeczny brat też pisze wiersze, orzekł, że nie może być dwóch poetów o tym samym nazwisku, bo wynikną z tego wyłącznie nieporozumienia. I wymyślił pseudonim – Brzechwa.

– Pomyśl – przekonywał krewniaka – jakie to piękne: opierzona część strzały.

„I tak już zostałem Brzechwą na całe życie” – wspominał po latach przyszły autor *Akademii Pana Kleksa*.

# Marnym byłem żołnierzem...

Po maturze zaliczonej w 1916 roku Jan wrócił do rodziców, do Kazania. Nie bardzo jeszcze wiedział, co tak naprawdę chce w życiu robić (może poza układaniem wierszy). Zapisał się co prawda na studia w Instytucie Technologicznym, tym samym, który ukończył ojciec, ale po wakacjach nie wrócił do Petersburga.

W Kazaniu rozpoczął studia medyczne, ale szybko je rzucił, „gdy doszło do krajania żab” – wspominała siostra. Przeniósł się na polonistykę, ale i tam długo miejsca nie zagrał.

W Kazaniu wylądował również Remigiusz Kwiatkowski. Spotykali się w klubie polonijnym, Brzechwa pokazywał mu nowe wiersze, a Kwiatkowski chwalił i zachęcał do pisania. Młody poeta publikował bardzo jeszcze naiwne utwory w ukazujących się w Kijowie „Kłosach Ukraińskich”, dostał nawet nagrodę za wiersz poświęcony zmarłemu w listopadzie 1916 roku Henrykowi Sienkiewiczowi. Na uniwersytecie kazańskim współtworzył i był sekretarzem redakcji studenckiego pisma „Przyszłość”, w którym ukazywały się jego wiersze i felietony.

Polonistykę rzucił, bo rodzice zaczęli przemyślać o powrocie do kraju. Nie było jeszcze pewności, czy po wojnie odrodzi się niepodległa Polska, ale coraz więcej przesłanek wskazywało na to, że cokolwiek nad Wisłą powstanie, będzie bardziej suwerenne niż twory istniejące przez poprzednie sto lat. Być może decyzję o wyjeździe przyspieszył romans, w który wdał się dziewiętnastoletni Janek. Adorowana przez niego Rosjanka, w dodatku z dwójką dzieci (mąż na froncie), z wdzięcznością przyjmowała pomoc oraz awanse kochliwego studenta. Interweniowała matka. Wzięła syna na rozmowę i roztoczyła czarną wizję przyszłości, która go czeka, jeśli uwikła się w związek z mężatką i będzie musiał wychowywać cudze dzieci. Zostanie w Kazaniu i pogrzebie nadzieje na życie w wolnej Polsce. Dał się przekonać i zerwał kontakty z kobietą (echa tego romansu znalazły się po latach w powieści *Gdy owoc dojrze*). Ale kochanka nie chciała zrezygnować. Po kilku dniach przysłała jedno z dzieci z liścikiem: „Jasja, jeśli wy nie prijdio, ja ubijus”. Odpisał: „Ja bolsze nie prijdu. Ni siewodnia, ni zawtra, nikogda nie prijdu”. „Tak zakończyła się niebezpieczna zabawa w miłość” – wspominała Halina Korecka.

W Kazaniu nieoczekiwanie dla samego siebie wziął udział w rewolucji. Należał do straży studenckiej chroniącej budynki uczelni przed złodziejami, wykorzystującymi rozprzężenie w kraju po zabiciu rodziny carskiej. Rada Delegatów Żołnierskich i Robotniczych, która objęła w mieście władzę, uznała go w związku z tym za osobę zaufaną i mianowała komisarzem ds. rybołówstwa na Wołdze, od Niżnego Nowgorodu do Kazania. Miał do dyspozycji uzbrojonego czerwonogwardzistę i motorówkę. „Po tygodniu zostałem odwołany, gdyż ochrona wód wymagałaby całej flotylli. W braku aprowizacji tłumy amatorów wypływały na połów ryb, a wędkarze obrzucali nas kamieniami” – wspominał po latach.

Wiosną 1918 roku ruszył do Polski, której jeszcze nie było, ale wieści znan z Wisły napawały coraz większą nadzieją. „Przedzierając się przez kordony i kwarantanny, walcząc o miejsce w «ciepłuszkach», częściowo koleją, a częściowo pieszo dotarłem z Kazania do Warszawy w maju 1918 roku” – wspominał. Rodzice, którzy podróżowali osobno, zatrzymali się w Radomiu, gdzie ojciec podjął pracę w Dyrekcji Kolei Państwowych.

Kilka miesięcy później przyjechała do Warszawy także Halina z mężem. Zamieszkali u ciotki Marii przy Czackiego i tam spotkali się z Jankiem, który w Warszawie zapisał się na kolejne studia, tym razem było to prawo na uniwersytecie. Ale bardziej zajęty był tym, co działo się w mieście. Z dumą opowiadał, jak rozbrajał Niemców, a potem razem ze spokrewnionym z Lesmanami Antkiem



Langem (też poetą) wyśpiewywał legionowe piosenki. Miał o czym opowiadać. Niemcy, którzy po wyjściu Rosjan zajęli Warszawę, czuli się na początku pewnie, ale im bliżej było końca wojny, tym buta okupanta malała. W listopadzie, krótko przed przyjazdem do stolicy Józefa Piłsudskiego, rozpoczęło się rozbieranie Wehrmachtu.

Brzechwa mieszkał wówczas na Chmielnej, w wynajmowanym z kolegami pokoiku na piątym piętrze czynszowej kamienicy. Któregoś niedzielnego poranka zaczęli zatrzymywać kręcących się po Brackiej żołnierzy i podoficerów. Niemcy bez sprzeciwu oddawali karabiny, które studenci znosili do swojego mieszkania. Jakiś czas później zapukało do nich kilku wojskowych, którzy zajmowali sąsiednie pokoje. „Postanowili dobrowolnie oddać nam swoją broń” – wspominał Brzechwa. Na dowód pokojowych intencji dołożyli fajkę z metrowym cybuchem.

Studenci zawieźli broń do komendy miasta, utworzonej przez Polską Organizację Wojskową. „Sprowadziliśmy dorożkę, załadowaliśmy na nią stos karabinów, rewolwerów i bagnatów i z tryumfem ruszyliśmy” – pisał po latach Brzechwa.

Jeszcze w listopadzie wstąpił do sformowanej ze studentów warszawskich uczelni Legii Akademickiej, którą później przemianowano na 36. Pułk Piechoty. Razem z innymi ochotnikami trafił do koszar przy Nowowiejskiej. Na początku nie mieli nawet mundurów, „jedynie orzełki na studenckich czapkach wskazywały na przynależność naszą do tworzącej się armii” – wspominał.

Student Jan Wiktor Lesman znalazł się w czwartej kompanii, którą dowodził porucznik Śmigielski; dowódcą pułku był major Bobrowski. Ale tak naprawdę rządził kompanią sierżant Ząbek, były podoficer Wehrmachtu. Żywił lekką pogardę dla studentów, którzy nie powąchaliby jeszcze prochu, i dla ich „inteligentkich” naszywek na mankietach płaszczy. Demonstrował to przy każdej nadarzającej się okazji.

– Baczość! Który z was ma ładny charakter pisma? – pytał.

– Ja – zgłosił się Brzechwa.

– No to pójdziecie zamieść kancelarię.

Świeżo upieczeni rekruci fasowali codziennie gorącą zupę z kotła i pół bochenka chleba, do tego śledzie, kostkę sztucznego miodu i kluski polane kompotem z suszonych ulegalek. Czyli wszystko, co zawierały opuszczone przez Niemców magazyny wojskowe. Oprócz tego dostawali po dwa cygara, które krajali na cienkie pasemka i palili w bibułkach.

Pierwsze dni w wojsku wypełniła musztra od rana do wieczora pod nadzorem sierżanta Ząbka. Potem zaczęto akademików wyznaczać do służby wartowniczej. Pierwszy przydział drużyny Brzechwy to była fabryka konserw na warszawskim Kamionku. W magazynie zakładów znaleźli zapasy wędlin i piwa. „Podczas gdy dwaj spośród nas kolejno pełnili wartę, pozostali ucztowali w kasynie, grali w preferansa albo szli spać na siano do wozowni” – wspominał Brzechwa.

Spędzili w fabryce cztery dni, nie mogąc doczekać się zmiany. W pułku zwyczajnie o nich zapomniano. Wyciągnęli więc z wozowni wóz, zaprzęgli dwa konie i salutując po drodze zdziwionym oficerom, wrócili do jednostki. „Tak zaczynała się dla nas niepodległość” – napisał.

W grudniu na placu Saskim odbyło się uroczyste zaprzysiężenie garnizonu warszawskiego. Nowo sformowane pułki, wśród nich Legia Akademicka, maszerowały przed Naczelnym Wodzem Józefem Piłsudskim. Żołnierze mieli już ponemieckie mundury, „komiśne”, ciężkie i skrzypiące, skórzane buty oraz wełniane kominiarki. Nieco później dostali też karabiny – niemieckie mausery. Instruktorzy uczyli ich, jak broń rozkładać, składać i czyścić, „ale zabrakło już czasu, abyśmy się nauczyli strzelać”.

Innych rzeczy też nie umiał, ale wydany rozkaz trzeba było wykonać. Któregoś dnia miał przeprowadzić kilka pułkowych koni z Nowowiejskiej na plac Saski. Na Nowym Świecie zwierzęta

ucieki i rozbiegły się po bocznych uliczkach. Widziało to kilku przyjaciół i znajomych pańienek, a przygodny gazeciarz rozdarł się na całą ulicę: – Panie generale, po czemu konina?

„Byłem ośmieszony, zdruzgotany” – wspominał Brzechwa. Oczywiście spóźnił się do koszar (konie pomogli mu wyłapać przechodnie) i na próżno tłumaczył szefowi kompanii, że przecież zatrzymał się tylko na chwilę przed kawiarnią Pikador, żeby posłuchać recytującego wiersze Jana Lechonia. Sierżant Ząbek był nieczuły na podobne argumenty. Służba poza kolejnością i dodatkowa musztra składająca się głównie z komend „Padnij” i „Powstań” miały wybić młodemu żołnierzowi z głowy poezję.

Kiedy indziej, pełniąc wartę, zapomniał, jak brzmi hasło, które mieli podawać oficerowie zmierzający do Belwederu. „Oczywiście nie ominęła go paka” – wspominała siostra. Jej zdaniem Janek w ogóle nie nadawał się do służby w armii.

Na przełomie stycznia i lutego żołnierzy Legii Akademickiej załadowano do wagonów. Przez Zamość, Rawę Ruską i Żółkiew ruszyli odbijać z rąk Ukraińców Lwów (kilka lat później Brzechwa dostanie za to medal). Podczas „kampanii ruskiej” zachorował na hiszpankę, odmianę grypy, na którą w latach 1918–1919 zapadł co trzeci człowiek na świecie (zmarło na nią według różnych szacunków od 50 do 100 milionów ludzi). Trafił do armijnego szpitala, a po wyleczeniu – już „jako medyk”, jak napisał w ankiecie personalnej po II wojnie światowej – do Stacji Zbornej Chorych i Rannych. Wojsku nie przeszkadzało, że doświadczenie poborowego to ledwie kilka miesięcy studiów medycznych. W warunkach wojennych lepszy był taki lekarz niż żaden.

Zapamiętał go z tego okresu Czesław Bobrowski, później wybitny ekonomista, który trafił do 36. Pułku Piechoty jako szesnastoletni ledwie gimnazjalista. Był jednym z setek ochotników, którzy tłumnie zgłaszali się do wojska, by bić się za ojczyznę. Powierzono mu obowiązki telefonisty i kancelisty w sztabie. „Dzięki poczuciu humoru mego bezpośredniego dowódcy – późniejszego poety Jana Brzechwy – wróciłem z wojska jako starszy strzelec” – napisał.

Potem była jeszcze Szkoła Podchorążych w Warszawie, której jednak Brzechwa nie ukończył. Odmroził ręce, nie zaliczył ćwiczeń ze strzelania i wrócił do pracy w Stacji. Pod koniec służby, w lipcu 1920 roku, został referentem propagandowym w Sekcji Polityczno-Prasowej II Oddziału 3. Armii. „Przydzielono go do redagowania gazety frontowej i organizowania imprez kulturalno-oświatowych dla żołnierzy” – wspominała siostra. Dowódcy byli z jego pracy zadowoleni. Jest samodzielny, pracowity i obowiązkowy, napisał w opinii szef sekcji. Inny przełożony dodał: „jako inteligentny podoficer wywiązuje się ze wszystkich powierzonych mu zadań w zupełności dobrze”. Jeszcze w 1919 roku awansował na sierżanta, a w 1920 na sierżanta sztabowego.

Wspomnieniem udziału Brzechwy w wojnie polsko-bolszewickiej były wiersze poświęcone Józefowi Piłsudskiemu, które po latach złożyły się na tom *Imię wielkości*. W *Piosence żołnierskiej* pisał:

Leżałem pełen niewiary  
W strzeleckim rowie na dnie.  
Smutny byłem i szary  
I nigdy nie znałeś mnie. (...)

Pamiętam szeregi tamte,  
I dzisiaj już wszystko wiem:  
Tyś dla nich był Komendantem,  
A dla mnie jawą i snem.

Uwielbienie dla Piłsudskiego i duma, że był „jednym z Jego milionów”, będą Brzechwie towarzyszyły do końca życia. Choć w innym wierszu napisze: „marnym byłem żołnierzem”.

# Zniszczyłem swoje utwory i zacząłem od początku...

Wracając do kraju, Brzechwa zabrał ze sobą grubą teczkę z wierszami. Był przekonany, że jest poetą równym najlepszym. Ale kiedy pokazał swoje utwory Bolesławowi Leśmianowi, kuzyn wylał mu na głowę kubeł zimnej wody. Ocenił, że wiersze są nic niewarte, ich autor nie ma czego w poezji szukać, a na koniec dał mu do przeczytania wydany właśnie debiutancki tomik innego młodego poety. To było *Czyhanie na Boga* Juliana Tuwima.

– Po przeczytaniu zniszczyłem swoje utwory i zacząłem od początku – powiedział Brzechwa pół wieku później Krystynie Nastulance.

Warszawa w 1918 roku była miastem pełnym kontrastów. Gliniasty chleb był na kartki, w sklepach z obuwaniem można było kupić głównie drewniaki („po prostu bieda z nędzą” – pisał Brzechwa), ale życie kulturalne kwitło. Rodzina, dobrze pamiętająca jego złośliwe wierszyki z dzieciństwa, poradziła, żeby spróbował sił w jednym z coraz popularniejszych kabaretów. „Można by rzec bez przesady, że obok tygodnika «Sowizdrzał» kabarety stanowiły trybunę satyryczną, z której padały aluzje polityczne, ukłucia pod adresem okupanta, szyderstwa piętnujące bolączki owych czasów” – wspominał. Dowcipy wygłaszane z kabaretowej sceny obiegały najpierw Warszawę, a później całą Polskę. Uznał, że to dla niego dobre miejsce.

Początki były trudne. Napisał dziesięć utworów, różnego rodzaju i różnej jakości, wedle autora przypominających twórczość Tadeusza Boya-Żeleńskiego, i poszedł spróbować szczęścia w Argusie, ogródkowym teatrzyku działającym przy ulicy Bielańskiej. Kierownik literacki scenki, poeta i satyryk Jan Stanisław Mar (naprawdę Marian Lewin), czytał kolejne podsuwane mu utwory, krzywił się i zwracał autorowi z krótkim słowem „nie”. Został ostatni, „zdaniem moim – nieudany, najgorszy ze wszystkich” – pisał Brzechwa. Zdesperowany wręczył go Marowi.

– O, to jest to, czego nam potrzeba – usłyszał zaskoczony. I od razu dostał list do kasy z poleceniem wypłacenia autorowi honorarium w wysokości 25 marek.

Tydzień później mógł już z dumą słuchać, jak Luna Nałęczówna wykonuje jego piosenkę *Rückwandererzy*, jak z niemiecka nazywano reemigrantów, których w wychodzącej z wojny Europy było wielu. Podpisał ją pseudonimem Szer-Szeń, zapożyczonym od tytułu popularnej wtedy powieści *Szerszeń*, brytyjskiej pisarki Ethel Voynich.

Potem było coraz lepiej. W kilku teatrzykach zaprotegował Brzechwę zaprzyjaźniony z ich szefami Leśmian. „W ciągu kilku tygodni zdołałem zadomowić się w Mirażu, Sfinksie, Argusie” – wspominał. Odniósł ogromny sukces, bo obok tych scenek liczył się wówczas w Warszawie jeszcze tylko Czarny Kot, w którym zresztą też pojawiały się teksty Brzechwy. Powodzenie tej formy rozrywki powodowało, że liczba kabaretów w stolicy rosła błyskawicznie. Stare scenki się rozpadały, na ich miejsce powstawały nowe, a artyści i autorzy tekstów szli tam, gdzie płacono im więcej. Brzechwa pisał bardzo dużo, dziesiątki („jeśli nie setki”) skeczy, monologów i piosenek, ale jego specjalnością stały się teksty tzw. recytacji, czyli po prostu wiersze satyryczne mówione przez najlepszych wówczas w stolicy aktorów. Byli wśród nawet Irena Solska i Stefan Jaracz, ale najwięcej wierszy, a potem także piosenek Szer-Szenia wykonywali Józef Cornobis i Henryk Domański. Ten drugi „zamawiał je u mnie prywatnie, płacąc za nie regularnie i rzetelnie, co w pewnym okresie ułatwiło mi studia uniwersyteckie” – napisał po latach Brzechwa.

W wierszu *Socjalizacja mężczyzn* kpił, że w bolszewickiej Rosji wspólne będą nie tylko, jak powszechnie uważano, kobiety, ale także mężczyźni. Raz w tygodniu – zechcą czy nie – będą przydzielani przez odpowiednich urzędników na kartki: kobietom starym i kulawym, brzydkim

i ładnym, wdowom i rozwódkom. A jeśli który odmówi, powołując się na przykład na posiadanie żony, zostanie ukarany: „Przestępcę bez spodni i bez kałesonów / Wyda się na pastwę damskich batalionów”.

Największe wzięcie miały w kabaretach wiersze z aluzjami erotycznymi. W monologu *On i Ona* Szer-Szeń opisywał pożegnanie przez romantyczną dziewczę wyjeżdżającego na front narzeczonego. On natarczywie domaga się, by panna dała mu dowód uczucia, bo przecież może z wojny nie wrócić, a wtedy ich miłość pozostanie na wieki niespełniona. Ona broni się, że owszem kocha żołnierza do szaleństwa, ale przecież jeszcze nigdy, bez ślubu nie można, i w ogóle jest uczciwą i porządną dziewczyną. „A po drugie... mnie zawsze potem boli głowa...”.

Ale pisał też utwory poważniejsze, nawołujące Polaków do większego zaangażowania w budowę nowej Rzeczypospolitej. Ubolewał, jak świetnie w tużpowojennej rzeczywistości radzą sobie różnej maści kombinatory, lichwiarze i zwykli oszuści. Drwił: „Dziś uczciwość nie przyjęta, / Z uczciwości bywa mięta – / Z kombinacji bywa renta!” (*Kombinacje*). Pisał o polskim malkontenctwie, narzekaniu wszystkich na wszystko i gadaniu, że się nic nie da zrobić, gdy trzeba brać się do pracy i walczyć o nową Polskę, bo inaczej wszyscy wszystko postanowią za nas. Nie można myśleć tylko o sobie, przekonywał, bo powstanie państwo bez Gdańska i bez Śląska, słabe i zależne od sąsiadów, a wtedy „...prócz figi na półmisku, / Będziem mieli but na pysku, / Gdy nam w kiszki wepchną noże, / Wtenczas nikt już nie pomoże...” (*Gadanina*). W utworze *Waleczna stolica* ironizował z warszawiaków, którzy – choć przecież trwa wojna – zajmują się głównie „walką” o miejsce w cukierni, teatrze, kinie, na balu, deptając się, przepychając i wyzywając: „Mogą cię więc nie straszyć okropności wojny, / Jesteś piękny, opasły, syty i spokojny. / Bo myślisz sobie siedząc w kawiarni lub kinie, / Że naród tak waleczny – na pewno nie zginie...”. Krytykował uczestników balów karnawałowych, pijących na umór, wyjących nocami na ulicach miasta, wyrzucających pieniądze na dziwki: „Żołnierz nas od zguby zbawił, / By się cham spokojnie bawił” (*Karnawał wojenny*).

W wierszu *W cztery oczy* było jeszcze ostrzej. Wypominał warszawiakom, jak bardzo jeszcze kilka lat temu byli hojni dla kozackich pułków, które stały w mieście, i jak szybko zapominali o hańbiących razach i policzkach, rzucając kwiaty rosyjskim żołdakom. Pisał, że dziś, gdy „w Moskwie Lenin zakłada narodowy stragan”, niewielu jest chętnych, by dać na odradzające się polskie wojsko choć sto marek pożyczki czy rzucić datek kwestującej damie („Bo na cóż? Jeśli wojsko męzne jest i młode, / To może pięknie walczyć i w samej bieliźnie...”).

A chcecie darmozjady, tłuste pasibrzuchy,  
By chamy wam nie wlażyły na spasiono karki!

Chcecie, by was broniono przed najazdem dziczy,  
Coby mogła wam łatwo poprzetrząsać kiszki  
I śmiejąc się oderwać od waszych ust łyżki,  
A potem sobie słuchać, jak głód w was skowyczy.

Chcecie sobie w Warszawie sprawiać pańskie fety,  
Myśląc, że wszak i bez was wszystko się załatwi.  
A czas już, psiakrew, wiedzieć, że o wiele łatwiej  
Siedzieć w krześle w Mirażu niż iść na bagnety...

To wtedy poznał najślynniejszych dostarczycieli kabaretowych tekstów: Juliana Tuwima, Kazimierza Wroczyńskiego, Konrada Toma i Andrzeja Własta. Tuwimowi musiał wieczorami, gdzieś w kącie kawiarni Szwajcarskiej albo Udziałowej, recytować zapamiętane z rosyjskich czasów wiersze Konstantego Balmonta, Włodzimierza Majakowskiego i Aleksandra Błoka. Tuwim słuchał („nie mógł nasłuchać się jej do syta”), zachwycał się i na oczekaniu przekładał fragmenty, które zrobiły na nim największe wrażenie. Zaproponował młodszemu koledze (był starszy od Brzechwy o zaledwie cztery lata) współpracę w kabarecie Gaudeamus, który założyli jesienią na Uniwersytecie Warszawskim. Teatrzyk istniał krótko, bo obaj nie mieli głowy do studiowania: Tuwim – filologii polskiej, Brzechwa – prawa. Pierwszy razem z Leszkiem Serafinowiczem (czyli Janem Lechoniem) i Antonim Słonimskim ogłaszał właśnie rewolucję poetariatu i współtworzył Kawiarnię Poetów Pod Picadorem. Drugi najpierw zajmował się rozbrajaniem Niemców, a potem poszedł do wojska bronić tylko co odzyskanej niepodległości przed bolszewikami, którzy od Polski zamierzali rozpocząć eksport rewolucji komunistycznej na zachód Europy.

Ale nawet w wojsku Brzechwa nie przerwał współpracy z kabaretami. Zgłaszał się na nocne służby w koszarach, żeby móc pisać. „Gotowe skecze i piosenki podawałem przez bramę” – wspominał.

W wojsku napisał swoją pierwszą piosenkę dla Hanki Ordonówny. Ona była początkującą szansonistką w jednym z lubelskich teatrzyków, zabawiającą żołnierzy na przepustkach raczej niewyszukanymi piosenkami o miłości, on jednym z owych żołnierzy (był wtedy w Lublinie z 3. Armią generała Władysława Sikorskiego), zaludniających wieczorami kabarety. Znali się z warszawskiego Sfinksa.

Furorę robiła wtedy w Europie francuska piosenka *Madelon*, z muzyką Camille’a Roberta, o pięknej dziewczynie z gospody Pod Strzelcem, o której nocami śnią, a w dzień marzą wszyscy żołnierze. Ordonówna bardzo chciała o Madelon zaśpiewać, ale nie było polskiego tekstu piosenki. Brzechwa w ciągu kilku godzin utwór przetłumaczył (później przekładał go także Tuwim) i jeszcze tego samego dnia wieczorem Ordonówna mogła czarować zgromadzonych na widowni żołnierzy zmysłową piosenką. Nagrodą dla tłumacza miała być kolacja z Ordonką, ale gdy artystka otrzymała po występie kosz kwiatów od dowódcy Brzechwy, wybrała wieczór z majorem. Zauroczony piosenkarką oficer zabrał ją następnego dnia do swego pułku, co było złamaniem regulaminu i wywołało ogromny skandal. Trwała przecież wojna. Po latach Brzechwa skarżył się, że „romantyczny oficer wysłany został karnie na akcję bojową do Kowla, a my, podoficerowie, wraz z nim. On dostał *Virtuti Militari*, a my figę”.

Był jeszcze w wojsku, gdy poznał Brunona Jasińskiego, jedną z najbardziej tragicznych postaci polskiej literatury. Futurystyczny poeta oddał talent w służbę idei komunistycznej, a system sowiecki najpierw go odepchnął, a potem skazał na śmierć. Obaj zostali wiosną 1920 roku zaproszeni na ślub znajomego w Klimontowie. Szybko odnaleźli się wśród tłumu gości. Brzechwa wygłosił wierszem toast na cześć pary młodej, Jasiński odpowiedział też do rymu. Potem czytał Brzechwie wiersze, które weszły do jego debiutanckiego tomu *But w butonierce*; umówili się, że jesienią spotkają się w stolicy.

Latem 1920 roku sierżant Brzechwa przyjechał do Warszawy jako kurier. Zabrał ze sztabu przeznaczone dla dowództwa pułku rozkazy i paczki, zapakował je do dorożki i ruszył na Dworzec Brzeski, skąd miał powrotny pociąg na front. Jadąc na stopniu wypchanej pakunkami dryndy, czytał otrzymaną od Leśmiana odbitkę korektorską jego nowego tomiku *Łąka*. Po drodze natknął się na Tuwima i pochwalił się, co ma. Tuwim zaczął czytać, wykrzykując na przemian, a to, że utwory Leśmiana są genialne, a to, że cudowne. Nie mógł się od nich oderwać aż do odjazdu pociągu.

Wojskowe perypetie Brzechwa wykorzystywał w kabaretowych skeczach i recytacjach. *Rozważania kaprala Piętki* to cykl monologów o przygodach tytułowego kaprala i niezbyt rozgarniętego rekruta Cynamonera (przypominającego nieco dobrego wojaka Szwejka) podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Kapral Piętka nie lubił mądrzejszych od siebie, robił innym kawały, które śmieszyły wyłącznie jego, i miał zasady moralne... to znaczy „zasadzał rekrutów do paki”. Uważał też, że najładniejsza we wsi dziewczyna powinna być mu dozgonnie wierna, bo podarował jej bandaż. Cynamoner nosił okulary, a wiadomo, że łatwiej się do kryminału dostać, niż rekruta w okularach wyćwiczyć, i zdaniem Piętki był tak głupi, że nawet guzik od sutanny księdza kapelana jest od niego mądrzejszy. Na przykład kiedy całe wojsko miało na rozkaz maszerować albo lewą, albo prawą nogą, to Cynamoner zawsze zaczynał obiema naraz.

– Jak się nazywasz? – pytał kapral.

– Cynamoner, panie kapral.

– To ty jesteś ten, co w okularach chodzi, taki czarniawy brunet średniego wzrostu?

– Tak jest, panie kapral, ten sam, tylko to mój brat, bo ja jestem blondyn – odpowiadał rekrut.

Wojsko jawiło się w tekstach Brzechwy jako instytucja raczej głupawa, w której rozkaz zastępuje logikę i trudno znaleźć kogoś, kto chciałbym w niej być dobrowolnie. Czyli mniej więcej tak, jak jawi się każda armia na całym świecie.

Z Hanką Ordonówną Brzechwa spotkał się znów po wyjściu z wojska. Artystka właśnie podbijała swoim głosem stolicę, a on dostarczał do kabaretów teksty piosenek. Oboje byli świadkami końca Sfinksa, który w 1921 roku dokonał żywota w sposób może nieoczekiwany, ale na pewno godny kabaretu.

Na którąś z prób kolejnej rewii przybiegł podekscytowany reżyser i kierownik teatru Waław Julicz, wymachując podłużną kopertą. To był list od polskiego przedstawicielstwa amerykańskich linii okrętowych Transatlantic White Star, które upatrzyło sobie siedzibę Sfinksa na swoje warszawskie biuro i zaproponowało, że lokal odkupi.

– Zrobimy im kawał – zaproponował Julicz i kazał zawołać Brzechwę. Student prawa miał pomóc mu w zredagowaniu listu w taki sposób, żeby Amerykanom raz na zawsze odechciało się głupich pomysłów. Postanowili z „wujaszka z Ameryki” zakpić i zgodzić się na sprzedaż, ale zażądać sumy tak horrendalnie wysokiej, żeby nawet bardzo bogata firma nie mogła jej przyjąć. Ale to jeszcze nie było wszystko. Do propozycji umowy postanowili dopisać klauzulę o wysokim odszkodowaniu dla wszystkich artystów i personelu technicznego Sfinksa za zerwane kontrakty oraz utracone korzyści. „Oczywiście tylko wariat przyjmie podobne warunki” – wspominał Tadeusz Wittlin w opowieści o Hance Ordonównie – *Pieśniarka Warszawy*.

Julicz i Brzechwa uznali ponadto, że cała historia jest tak pyszna, iż grzechem byłoby ją zmarnować. Zwłaszcza że zainteresowanie Amerykanów Sfinksem wydało im się świetnym chwytym reklamowym. Postanowili nazwać najbliższą rewię *Wujaszek z Ameryki*. Szerszeń miał napisać skecz, wyjaśniający tytuł.

Po dwóch dniach tekst był gotowy i zaczęły się próby. Na jedną z kolejnych przyszedł jednak błąd jak ściana Waław Julicz.

– Proszę państwa, mam dla was tragiczną wiadomość – powiedział załamany – zostaliśmy bardzo bogaci...

Okazało się, że Amerykanie bez zmrżenia oka zaakceptowali absurdalnie wysokie żądania i w kolejnym liście zapytali, kiedy mogą się wprowadzać. A to znaczyło, że Sfinks przestaje istnieć. Opowiedziana przez Wittlina historia końca kabaretu pewnie niezupełnie tak właśnie wyglądała, ale

na pewno została dobrze wymyślona.

Z powstałych w latach 1918–1921 kabaretowych tekstów Brzechwy zachowały się nieliczne. Właściwie tylko te, które zostały opublikowane w kilku numerach „Estrady”, serii zeszytów poświęconych ówczesnej twórczości rozrywkowej (dwa zawierały wyłącznie teksty Szer-Szenia, w tym *Rozważania kaprala Piętki*). Były dowcipnymi komentarzami do sytuacji politycznej pod koniec wojny i w pierwszym okresie II Rzeczypospolitej, ale po latach trudno dopatrzeć się w większości jakiejś ponadczasowej aktualności. Choć trafiają się i takie perełki absurdu jak *Poradnik dla młodych i starych*, a w nim rady *Jak postępować, żeby nie zostać pożartym przez lwy*: „Nie wychodzić z domu bez parasola. Mieć stale przy sobie krowę, którą lew mógłby się najeść. Najprostszy sposób – nie wyjeżdżać z Warszawy, a gdyby przyjechał cyrk, nie wchodzić do klatki, dopóki w niej znajduje się lew. Gdyby w najgorszym wypadku lew pożarł – zaskarżyć go do sądu”.

„Gdy jakieś z dawnych utworów trafiają dziś przypadkowo do moich rąk, oglądam je niby stare, wyblakłe dagerotypy, z trudem rozeznając własne autorstwo” – mówił Brzechwa czterdzieści lat później.

Pisał dla warszawskich kabaretów i teatrzyków rewiowych bardzo dużo, nie doszła natomiast do skutku propozycja spisania wspomnień operowej divy Lucyny Messal. Poznali się przypadkiem. W kamienicy przy Marszałkowskiej, w której Brzechwa w 1921 wynajmował pokój, gabinet miał także laryngolog dbający o głos primadonny. Brzechwa często gapił się na gwiazdę wspinającą się po schodach. Gdy Messalka to zauważyła, sama go zaczepiła:

– Znamy się już tak dawno z widzenia... Może mi się pan wreszcie przedstawi.

Kiedy dowiedziała się, że ma do czynienia z poetą i autorem tekstów piosenek, zaproponowała przy tyleż wykwintnym, co obfitym obiedzie (gwiazda lubiła dobrze i dużo jeść!), żeby spisał jej wspomnienia. Była legendą polskiej sceny, więc biografia miała szansę stać się bestsellerem. Kiedy jednak rozpoczęli negocjacje z wydawcą, okazało się, że Messalka chce poprawić sobie życiorys i nie zamierza na przykład opowiedzieć o swoim romansie z carskim generałem-gubernatorem Gieorgijem Skątonem, o którym mówiła cała Polska. „Ta koncepcja dla wydawcy poszukującego sensacji była nie do przyjęcia” – napisał Brzechwa. Do współpracy nie doszło.

Po wyjściu z wojska wrócił na studia prawnicze. Zamieszkał przy Marszałkowskiej w pracowni malarskiej kuzynki Celiny Sunderland. Była od niego sporo starsza, ale przyjaźnili się i dobrze rozumieli. Piętro niżej mieszkała Dora Lebenthal, wielka miłość Bolesława Leśmiana (to dla niej napisał cykl erotyków *W malinowym chruśniaku*). Obie kobiety otoczyły młodego poetę opieką, a on odwdzięczał się okolicznościowymi wierszykami, którymi bawił gości podczas przyjęć organizowanych z okazji przyjazdu do Warszawy Leśmiana, wtedy rejenta w Hrubieszowie. Bywali na nich m.in. Emil Zegadłowicz i legenda epoki, domorosły filozof i gargantuiczny żarłok, Franciszek Fiszer. O Dorze Lebenthal Brzechwa napisał: „We wszystkim tak dokładna, że wnet się połapiesz. / Ma jedna zawsze rację, prócz niej – czasem papież. / Tańczy jak Terpsy-chora, a pije jak zdrowa. / Na złość wszystkim lekarzom niech mnie boli głowa”. Uważał Dorę za piękność i podkochiwał się w niej („jak wszyscy”), a nawet próbował uwieść. Twierdził, że bezskutecznie. Dora Lebenthal oświadczyła mu, że zgodzi się „na wszystko”, ale dopiero, gdy dowie się, że Bolek ją zdradza. Jak było, raczej się już nie dowiemy, ale starsza z córek Leśmiana wspominała, że Brzechwa był w latach dwudziestych kochankiem i Dory, i Celiny Sunderland. Z Celiną miał nawet romansować w tym samym czasie co Leśmian, i to gdy był już zaręczony z kuzynką całej trójki Marią Sunderland. „Kiedy Brzechwa zaczynał swoją literacką karierę, trzymał się początkowo, że tak powiem, domowych romansów” – napisała Maria Ludwika Mazurowa w liście do Jacka Trznadla. Korespondowali wiele lat po wojnie, w czasie, gdy córka Leśmiana była w głębokim konflikcie



z Brzechwą, więc zapewne nie wszystkie jej opinie były sprawiedliwe.

Leśmian opiekował się kuzynem, choć wyglądał przy wysokim Brzechwie jak karzełek. – Oddałbym chętnie cały talent za to, żeby mieć twój wzrost – mawiał. Zabierał go na spotkania z Stefanem Żeromskim, Xawerym Dunikowskim (przy tej okazji Brzechwa poznał Stanisława Przybyszewskiego) i Miriamem Przesmyckim, podczas których rozprawiało się przede wszystkim o literaturze i malarstwie. W Ziemiańskiej spotykali się z pułkownikiem Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim i Franciszkiem Fiszerem, który później stał się stałym bywalcem, i stołownikiem!, w kolejnych mieszkaniach Brzechwy. Fiszer był także autorem wielu anegdot, które weszły do historii polskiej literatury. Brzechwę bawił dowcipami o sławniejszym kuzynie.

– Zajechała pusta dorożka, z której wysiadł Leśmian – żartował. Innym razem poinformował, że Leśmian na obiad nie przyjdzie, bo przejechał go jamnik.

Podczas wizyt u Dory Brzechwa obserwował jej rozwijający się romans z Leśmianem. Początkowo kochankowie próbowali to przed nim ukryć, ale zauważył, że kuzyn, choć wychodzi od Dory razem z nim, to po pożegnaniu chowa się za słupem ogłoszeniowym, a następnie wraca.

– Niepotrzebnie wychodzisz. I tak wiem już wszystko – oświadczył Leśmianowi. Stał się powiernikiem kochanków i pośrednikiem w ich kontaktach, gdy Leśmian wracał do Hrubieszowa.

Mimo tego, że kuzyn nie zmienił negatywnej oceny jego wierszy, pisał dalej. Posyłał kolejne utwory do miesięcznika „Skamander” z nadzieją, że któryś wreszcie znajdzie uznanie redaktora pisma Mieczysława Grydzewskiego. Umieszczenie wierszy w miesięczniku, w którym publikowali Tuwim, Lechoń, Słonimski, Wierzyński i Iwaszkiewicz, było jak pasowanie na rycerza, ale progi okazywały się wciąż za wysokie.

– Synku, niedobre są te wiersze – powiedział mu kiedyś Tuwim, choć, jak wspominał, „z wyrazami najwyższego zakłopotania”.

Łatwiej poszło z nieco młodszymi od skamandrytów futurystami. Zgodnie z obietnicą, jaką złożyli sobie w Klimontowie, w Warszawie odnowił znajomość z Jasińskim. Brzechwa przystąpił do ich klubu Pod Katarynką w lutym 1921 roku i wziął udział w Wielkim Koncercie Futurystycznym w Filharmonii Warszawskiej. Swoje utwory recytowali podczas koncertu sami poeci, m.in. Jasiński (mówił *But w butonierce*), Brzechwa, Stanisław Młodożeniec, Seweryn Odyniec i Tytus Czyżewski oraz sympatyzujący z grupą aktorzy, wśród nich Irena Solska i Stefan Jaracz. Wiersz Brzechwy *Ekspres* deklamowała Kazimiera Rychterówna.

Koncert wzbudził w Warszawie ogromne zainteresowanie, do sali Filharmonii przyszło dwa tysiące osób. Przyciągnął nawet zaniepokojonych konkurencją skamandrytów, ale dla Brzechwy nie miał dalszego ciągu. Jego romans z futurystami szybko stracił temperaturę, a potem zgasł w ogóle, „byłem za mało futurystą...” – napisał już po wojnie. „Wstydzi się widocznie, że był właśnie w tej grupie Jasińskiego” – mówił Aleksander Wat. Ale to nieprawda, Brzechwa nigdy nie wyparł się romansu z futurystami. Prawdopodobnie chciał spróbować, czy potrafi pisać jak oni, ale zabrakło w tym związku chemii. Pozostały po nim kontakty towarzyskie, przede wszystkim z Jasińskim (choć na próżno próbował bronić jego poezji przed Leśmianem), i kilka „futurystycznopodobnych”, pełnych językowych i kompozycyjnych eksperymentów wierszy. *Ekspres*, zadedykowany Rychterównie, Brzechwa umieścił nawet w debiutanckim tomiku *Oblicza zmyślane*, choć kompletnie nie pasował do pisanych później utworów, a Leśmian odradzał mu pisanie „pod futurystów”.

Stuk szyn,

Stuk szyn,

Stacje lecą jak te ćmy,

Kto ma jechać? My,  
Czy wy?  
Po co  
Nocą  
Tym ekspresem  
Szalejemy nad bezkresem?  
Mamy-ż dotrzeć w tej agonii  
Do Japonii  
Czy do Chin  
W takt stuku szyn?

Na studiach zaprzyjaźnił się z Władysławem Szulcem, także mającym ambicje literackie (publikował pod pseudonimem Władysław Rymkiewicz). „Imponował mi rosnącą popularnością i tym, że był kuzynem wielkiego poety, Bolesława Leśmiana, i że był krewnym Antoniego Lange, wybitnego intelektualisty i estety” – wspominał Rymkiewicz. Mniej entuzjastyczne zdanie na temat rodziny miał Leśmian.

– Sami artyści i ani jednego lichwiarza, od którego można by pożyczyć trochę pieniędzy! – narzekał.

Razem z Szulcem Brzechwa chodził (choć częściej nie!) na wykłady, razem drżeli przed egzaminem z prawa rzymskiego u profesora Ignacego Koschembahra-Łyskowskiego, który słynął z wysokich wymagań. Wiadomo było, że student, którego profesor nie zapamięta ze swoich wykładów, ma niewielkie szanse, by zdać u niego egzamin. Brzechwa uważał Koschembahra za starego nudziarza, który urodził się dwa i pół tysiąca lat za późno, i postanowił, że jeśli egzamin u niego obleje, nie będzie dłużej zawracał sobie głowy studiami prawniczymi, tylko wróci na wydział humanistyczny. Ostatecznie jednak znalazł na surowego profesora sposób. Przychodził na wykłady spóźniony i choć Koschembahr nie lubił, kiedy ktoś mu przeszkadzał, to przerywającego wykład wysokiego i przystojnego Brzechwę zapamiętał. „Przyciągał jak magnes oczy wszystkich studentek” – wspominał Rymkiewicz. Elegancję młodego człowieka dostrzegł także aktor, a później reżyser Henryk Szletyński. W czasie studiów Brzechwa nie zawsze dojeżdżał – dorabiał w kancelarii adwokackiej, żeby mieć na obiad – ale jak prawdziwy dandys nosił rękawiczki i laskę, bo tego wymagała ówczesna moda. Tylko studencka czapka zdradzała, kim jest.

Studia prawnicze ukończył w 1924 roku i rozpoczął aplikację w kancelarii adwokackiej Jana Fidlera. Razem z Rymkiewiczem trafili na praktykę do Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Warszawie, w dawnym pałacu Paca przy ulicy Miodowej. Urzędowali w pokoju dla aplikantów, gdzie ich zadaniem było opracowywanie protokołów na podstawie nie zawsze dokładnych i rzadko wyczerpujących notatek z sądowych rozpraw. Nudne zajęcie urozmaicali sobie rozmowami o literaturze. „Janek był wtedy pod urokiem fantastycznych romansów grozy E.T.A. Hoffmanna” – wspominał Rymkiewicz.

Brzechwa opowiedział mu nowelę, którą zamierzał napisać. Bohaterem był kochanek, który co noc przepływał jezioro, by trafić w objęcia czekającej na drugim brzegu dziewczyny. Płynął w kierunku światełka, które zapalała. Któregoś wieczora jednak światło zaczęło zachowywać się inaczej niż zwykle. Niespodziewanie gasło, potem zapalało się w innym miejscu, by po chwili i stamtąd zniknąć. Zakochany pływak miotał się w wodzie, aż w końcu, wyczerpany, utonął. Według Brzechwy miała to być ingerencja w grzeszny związek sił wyższych stojących na straży moralności albo po prostu zemsta zdradzanego męża.

Po latach, gdy ukazały się *Opowiadania drastyczne* Brzechwy, Rymkiewicz był przekonany, że znajdzie wśród tekstów także ten, który zapamiętał z czasów wspólnego aplikowania. Ale nie było go w zbiorze.

Mimo rozkwitającej kariery prawniczej i obowiązków w kancelarii Brzechwa nie zerwał współpracy z kabaretami, które nadal wyrastały jak grzyby po deszczu. Równie szybko też upadały. Wszystkie potrzebowały wciąż nowych tekstów piosenek, monologów i skeczy do zmieniających co kilka tygodni programów, więc potrafiący błyskawicznie pisać autorzy byli na wagę złota. Brzechwa współpracował zarówno z najlepszymi scenami, jak i tymi, które marzyły dopiero o podbiciu Warszawy. Zwykle jednak plajtowały po pierwszym programie, bo ani repertuar, ani wykonawcy nie byli w stanie zapełnić widowni. Pisał dla Qui Pro Quo, gdzie na premiery przychodziła „cała Warszawa”, dla Lotosu („pierwszego artystycznego teatru rewiewego na Pradze”), który szukał dla siebie miejsca programem *Wódka krzepi, Lotos lepiej*, i dla Czerwonego Asa, m.in. teksty (razem z Arturem Turem) do rewii *Jak kochają warszawianki*. Piosenki i skecze Szer-Szenia wykonywano także w teatrzykach rewiewych poza Warszawą. Na scenie łódzkiego Teatru Literacko-Artystycznego Gong (m.in. w rewiach *Koty w marcu* i *Kochanie, zdejm maskę*) oraz w lwowskim wcieleniu Gongu (w obu miastach kierował scenami Walery Jastrzębiec-Rudnicki), gdzie teksty Brzechwy pojawiły się w programach *Gdy czego kobieta zapagnie... Rewelacje erotyczne w 11 pragnieniach* oraz *Gong – Jazz*.

Dla Qui Pro Quo („szwoleżerów polskiego kabaretu”, jak mawiał Bolesław Wieniawa-Długoszowski) napisał wspólnie z Marianem Hemarem i Julianem Tuwimem nostalgiczną rewię *Moryc* (o tęsknocie za Polską żydowskich emigrantów w Ameryce), którą teatr zainaugurował sezon 1927 / 1928. Reżyserował Fryderyk Járosy, występowali najwięksi: Hanka Ordonówna, Adolf Dymśa, Kazimierz Krukowski, a Tadeusz Boy-Żeleński pisał: „nowy doping dla blazujących się zbyt łatwo warszawian”. Z *Morycem* teatrzyk ruszył w objazd po Polsce. „Jest inteligentnie, pracowicie, szczęśliwie eklektycznie. [Qui Pro Quo] Uznało w publiczności dyktatora. Postanowiło spełnić wszystkie jego życzenia. Odczytuje je z oczu, ze śmiechu, z oklasków”, „Publiczność wypełniająca codziennie widownię doskonale się bawi” – tak „Gazeta Lwowska” relacjonowała trwające tydzień gościnne występy Qui Pro Quo we Lwowie.

Stańczyk, z którym Brzechwa także współpracował, dał przez trzy lata ponad czterdzieści programów, a poeta do pseudonimu Szerszeń dodał kolejny – Inspektor Brzeszczot. W kilku rewiach wystąpiła Helena Buczyńska, na co dzień aktorka Reduty Juliusza Osterwy, mówiąc wiersz Brzechwy *Zabawki norymberskie* o ożywających w noc świętojańską zabawkach. „...miała powodzenie” – wspominał Walery Jastrzębiec-Rudnicki. W kolejnym programie, jak zanotował recenzent dwutygodnika „Ekran i Scena”, wygłaszała „niezwykle nastrojową melorecytację Szer-Szenia”.

W powstałym w 1925 roku Perskim Oku Brzechwa był współautorem (obok Słonimskiego, Andrzeja Własta, Konrada Toma i innych) najważniejszych rewii, m.in. *Perskiego oka* (program inaugurował działalność scenki), *Pod sukienką*, *Tylko dla dorosłych* (1925) i *Spotkamy się na Nowym Świecie* (1926). Perskie Oko założyli aktorzy, którzy odeszli z Qui Pro Quo. Występowali w sali na Nowym Świecie, dając każdego wieczora dwa spektakle. „Nowa ta placówka, stworzona wyłącznie wysiłkiem aktorów, przy zgodnej i poważnej pracy może stać się punktem zwrotnym starzejącego się już typu kabaretu warszawskiego” – witały nowy teatr „Wiadomości Literackie”. A Szer-Szeń został pochwalony za dowcipny prolog pierwszej rewii.

Kolejne programy wystawiane były z różnym skutkiem i różnie odbierane, jedne schodziły z afisza po kilkunastu wieczorach, inne grano po sto razy i więcej. Recenzenci skupiali się jednak przede wszystkim na grze aktorów i muzyce, o autorach tekstów pisano rzadziej, a jeśli już, to źle.

W recenzjach jak mantra przewijały się narzekania na niską jakość tekstów piosenek, mało zabawne skecze, nieśmieszne żarty i pozbawioną polotu konferansjerkę. Dlatego każda dobra opinia musiała mieć dla autorów znaczenie szczególne. Zwłaszcza gdy pochodziła od samego Boya. Teksty rewii *Tylko dla dorosłych* Boy-Żeleński uznał za bardzo dowcipne i świetnie wykonane – występowali w niej m.in. Eugeniusz Bodo i Tadeusz Olsza, a Zula Pogorzelska śpiewała, że boi się sama spać. „Wszystko razem polecenia godne dla melancholików... oczywiście dorosłych” – pisał Boy.

Późną jesienią 1927 roku Perskie Oko przekształciło się (powód był zwykle ten sam i bardzo prozaiczny – kłopoty finansowe) najpierw w Nowe Perskie Oko, a następnie w Morskie Oko. Dyrektorem w obu teatrach był Andrzej Włast, ale mógł odnosić sukcesy tylko dlatego, że umiejętnie dobierał współpracowników. Sam też pisał, zwłaszcza piosenki, ale „skecze i dział prozy oddał w ręce pana Jana Brzechwy”, wspominał Ludwik Sempoliński.

Brzechwa był współautorem, najczęściej z Włastem i Słonimskim, kolejnych programów Nowego Perskiego Oka (*Nareszcie jesteśmy*, *Miss America* i *Publiczność ma głos*), a później Morskiego Oka: *Tego jeszcze nie było*, *Klejnoty Warszawy*, *To trzeba zobaczyć* (w 1928 roku), *Cała Warszawa*, *Coś dla każdego* i *Tysiąc pięknych dziewcząt* (1929), *Grunt to flota* i *Uśmiech Warszawy* (1930). W kilku rewiach, jak choćby *Codziennie dancing* (1930), Włast i Brzechwa dopasowywali jedynie paryskie albo broadwayowskie oryginały do realiów warszawskich. „Rzecz podana jest z niejaką pretensją do nowego rodzaju scenicznego” – pisał Boy. Chodziło o to, że po raz pierwszy w polskim kabarecie nie było granicy między sceną a widownią. Aktorzy występowali między stolikami gości.

Po premierze *Klejnotów Warszawy* w październiku 1928 roku prasa zachwycała się rozmachem rewii, „przepychem barw i świateł”, jakich stolica dotąd nie oglądała, scenografią i kostiumami, które porównywano z teatrzykami paryskimi, a przede wszystkim aktorami: Zulą Pogorzelską przebraną za brylant, Janiną Sokołowską w kostiumie diamentu, Lodą Halamą, Eugeniuszem Bodo, Tadeuszem Olszą, Ludwikiem Sempolińskim i Witoldem Rolandem. Bilety na kolejne programy sprzedawano z dużym wyprzedzeniem, choć autorom tekstów jak zwykle się dostało. „Ujemną stroną rewii jest słaba, często wulgarna proza, nie odstrasza to jednak publiczności, która codziennie, do ostatniego miejsca, zapełnia sympatyczną salę teatru” – oceniał tygodnik „KinoTeatr”. Sukcesami były także kolejne programy. O *Tysiącu pięknych dziewczętach* jeden z recenzentów napisał, że rewia olśniła, oślepiła i omamiła widownię tak bardzo, że trzeba było zachwyconych widzów wrywać z osłupienia. Przedstawienie grano przy kompletach na widowni blisko 200 razy. A po *Całej Warszawie* – z satyrą na *Trzech muszkieterów*: Walerego Sławka, Wieniawę-Długoszowskiego i Józefa Becka, w których wcielili się Sempoliński, Olsza i Roland – autorzy rewii zebrali pochwały za dowcip, „na nadmiar którego dawniej trudno było uskarżać się” – napisał recenzent „Tygodnika Ilustrowanego”.

Z Morskim Okiem współpracowała nawet Lucyna Messal, zmuszona do dorabiania w kabarecie, bo młody oficer, z którym wdała się w romans, ograbił ją z pieniędzy i klejnotów. Na scenie występowała zawsze w bajecznych operowych strojach i strusich piórach, ale za kulisy przynosiła z domu sagan bigosu. Jakiś czas potem Brzechwa spotkał gwiazdę w Mariańskich Łaźniach, gdzie przechodziła kurację odchudzającą. Niewiele jednak wskórała, bo po górskich spacerach, w których towarzyszył jej poeta, miała jeszcze większy apetyt.

Perskie, a później Morskie Oko były jedynymi teatrami rewiowymi, które mogły konkurować z Qui Pro Quo. Pierwsze stały rozmachem, blichтром i pomysłami ściąganyymi z paryskich Moulin Rouge, Folies Bergère czy Casino de Paris, do których kilka razy w roku podróżował dyrektor Włast, by podejrzeć, co nowego „nosi się” w bieżącym sezonie. „Płomienne piekła buchają ze sceny,

najpiękniejsze grzesznice świata defilują niczym w «Casino de Paris» – zachwycił się Anatol Stern, ale nawet najlepsze pomysły szybko zaczynały się powtarzać. „Typ rewii Morskiego Oka wyciśnięty jest jak cytryna: schody, pochody, girlsy, Argentyńczycy, Halamy. (...) piosenki «Morskiego Oka» mają tę cenną właściwość, że można je śpiewać na wspak i... w ogóle we wszystkich kierunkach” – pisał Tadeusz Boy-Żeleński. Qui Pro Quo uwodziło publiczność geniuszem reżysera i konferansjera Fryderyka Járosyego, tekstami Juliana Tuwima i Mariana Hemara oraz czarem największej gwiazdy przedwojennych scenek – Hanki Ordonówny. Inni artyści: Zula Pogorzelska, Eugeniusz Bodo, Tadeusz Olsza, występowali na zmianę na scenach obu teatrów.

W oczach recenzentów tym, co najbardziej różniło obie scenki, była jakość tekstów. Qui Pro Quo było kabaretem literackim, a monolog Tuwima i Słonimskiego oraz piosenki Hemara wyznaczały poziom nieosiągalny dla innych. Zaś Andrzej Włast szybko zrozumiał, że sukces piosence gwarantuje przede wszystkim chwytliwa melodia i niezbyt skomplikowany tekst, który będą nuciły wszystkie kucharki i służące w Warszawie, i – choć krytykowano go za to – właśnie takie utwory pisał sam i takich żądał od współpracowników. Wszelkie żarty bardziej wyrafinowane były z góry skazane na zagładę, wspominał Ludwik Sempoliński. Publiczność wołała, żeby było lekko, łatwo i przyjemnie. „...dobry dowcip w Morskim Oku zalicza się nadal do zjawisk stosunkowo rzadkich” – oceniła w „Tygodniku Ilustrowanym” I. Kołłupajło. „Zdarzają się czasem koncepty ucieszne, lecz są i takie, co w zdumienie wprawiają swoją wulgarnością i cynizmem”.

O dobre teksty było trudno, więc ich autorzy byli opłacani nieporównanie lepiej niż dostarczyciele sztuk do teatrów dramatycznych. Płacono im nie tylko za to, co napisali, ale i za to, żeby nie pisali dla konkurencji. Boy-Żeleński uznał nawet, że skoro można pobierać co sezon pokaźną kwotę „za wyłączność” od jednego teatru, to jeszcze lepiej n i e p i s a ć do kilku i „pobierać w kilku teatrach pensję za to, że się nie będzie pisało dla innych”. Zarobione pieniądze autorzy tekstów efektownie wydawali. W niedzielę odbywały się zbiorowe wycieczki samochodowe, w których uczestniczyły też największe rewiowe gwiazdy. Zizi Halama i Andrzej Włast jechali packardami, Marian Hemar sportowym bugatti, Zula Pogorzelska pomidorowym studebackerem, Ordonka, Władysław Dan i Mieczysław Fogg szarymi citroenami, a Brzechwa fiatem 520. Kawalkadę zamykał Olsza na motocyklu.

Po rewiach wystawianych w Morskim Oku pozostały popularne piosenki autorstwa Szer-Szenia: tango *Jak kochać, to namiętnie* (muzyka Henryka Warsa) z programu *A może do nas*, tango *Santa-Fé* z muzyką Henryka Golda i *To tylko żart* (muzyka Zygmunta Karasińskiego) z rewii *Grunt to flota*. Śpiewała je cała Warszawa, a Gebethner i Wolff wydawali broszury z tekstami i nutami. Piosenką *To tylko żart* zachwycił się recenzent „Tygodnika Ilustrowanego”. „Mąż przyłapuje żonę nieledwie «in flagranti», wpada w gniew, wyciąga rewolwer, po czym przypomina sobie niby to wielką prawdę: «To tylko żart, kto miłość dziś poważnie bierze», śpiewa udobruchany małżonek” – relacjonował JAR. Ale najbardziej znaną piosenką Brzechwy było tango *Nietoperze* (do muzyki Fanny Gordon, także z rewii *Grunt to flota*), wykonywane jeszcze po II wojnie światowej przez Tadeusza Faliszewskiego i Mieczysława Fogga.

Jak nietoperze

Mamy nocne sekrety,

Jak nietoperze

Słuchamy wielkomiejskich ech.

W nocy dziwnej atmosferze,

Gdzie rozkoszy księżyc strzeże,

Krążą ludzie-nietoperze,  
Pijąc słodki grzech.

O popularności *Nietoperzy* świadczy anegdota opowiadana przez Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Po maturze trafił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Zambrowie. Szef jego kompanii podczas marszu wymagał od żołnierzy nie tylko równego i energicznego kroku, ale i śpiewu. A najwyraźniej był miłośnikiem rewiiowych przebojów.

– Kompania śpiewa!... No, „Jak nietoperze”! Raz, dwa!... – komenderował.

I kompania, przeklinając „muzykalnego” szefa kompanii, zaczynała zgodnie ryczeć „Gdy już noc odetchnie szerzej / Ponad dachy, ponad wieże / Lecą czarne nietoperze / W nieprzejrzaną mgłę...” w rytmie marsza.

Bywał Brzechwa nie tylko autorem, ale i kierownikiem artystycznym nowych scenek, próbujących podbijać Warszawę. Odpowiadał za poziom literacki (pisał oczywiście także część tekstów) *Wesołego Wieczoru* (1930), *Wesołego Oka* (1931) i *Nowego Momusa* (1933), jednak żaden z tych teatrzyków, choć pojawiali się w nich aktorzy znani z *Qui Pro Quo* i *Morskiego Oka*, nie zdołał osiągnąć ani takiego poziomu, ani powodzenia, jakim cieszyły się obie najsłynniejsze scenki. Recenzując rewię *Rumba, rumba* w *Wesołym Oku* Boy-Żeleński znów pisał, że zatrudnione w teatrze gwiazdy mają problem z dobrymi tekstami. „Kiedy im się zdarzy dopaść dowcipnego tekstu, umieją go wyzyskać; ale rodziniki są trochę za rzadkie” – ubolewał. „W programie «Wesołego Oka» słyszymy miłe melodie, szkoda tylko, że teksty nie zawsze są na wysokości zadania” – pisał JAR w „Tygodniku Ilustrowanym” o rewii *A może do nas*. Jednak publiczność często bywała innego zdania niż recenzenci. Po programie *Tańcowały dwa Michały* w *Wesołym Wieczorze* dużą popularność zyskały napisane przez Brzechwę tango *Pedro* i one-step *Caballeros z Granady* do muzyki Fanny Gordon. Po rewii *Bez paszportów i wiz* w *Wesołym Oku* sporym powodzeniem cieszył się wykonywany przez Bodo i Olszę slow-fox *Annabel Lee* (z muzyką Henryka Golda) o *Mulatce z Chicago*, która pije whisky w portowym barze z marynarzami. A po programie *Rumba, rumba* (też w *Wesołym Oku*) slow-fox pod tym samym tytułem i drugi, napisany specjalnie dla Eugeniusza Bodo: *Zapuszczam brodę*, do muzyki Szymona Katuszka. Wszystkie ukazały się w broszurach Gebethnera i Wolffa i innych wydawców.

Ostatnia piosenka powstała na zamówienie. Zwykle starannie ogolony Bodo, bożyszcze kobiet, zapuścił brodę, szykując się do roli Araba w filmie *Głos pustyni*. Oczywiście stało się to natychmiast ogólnonarodową sensacją, o której rozpisywały się gazety. Autorzy rewii postanowili to wykorzystać i Brzechwa ułożył piosenkę o nowej modzie, w której prym wiedzie, rzecz jasna, Eugeniusz Bodo.

Trochę mi wstydy,  
że człowiek zbrzydł,  
Lecz pieścić nie mam kogo,  
więc włosy rosnać mogą.  
Ja nawet tak wolę!  
Ach, madame, bo zarost kole.

O kolejnej rewii w *Wesołym Wieczorze* – *Niebieski walc*, recenzenci pisali lepiej niż o poprzednich: „Wśród starych znajomych zazwyczaj czujemy się dobrze. Chyba, że są nudni. I tak przecież bywa. Ale *Niebieski walc*, jakkolwiek nie posiada niezwykłych przebojów, pozwala

spędzić wesoły wieczór”. Większość tekstów do *Niebieskiego walca* ułożył kierownik literacki teatru Szer-Szeń. W wydrukowanym programie rewii wystąpił pod pseudonimem, ale na zdjęciu wszyscy mogli zobaczyć, że Szer-Szeń to w rzeczywistości mecenas Jan Lesman.

Kryzys gospodarczy, który rozpoczął się w 1929 roku, odbił się także na przemyśle rozrywkowym. Teatry rewiowe upadały po kilku programach. Na ich miejsce powstawały kolejne, by kończyć żywot jeszcze szybciej i to mimo tego, że występowali w nich najlepsi: Ordonówna, Bodo, Dymśa, Igo Sym czy siostry Halama. Kłopoty miał nawet Cyrulik Warszawski, założony przez Fryderyka Járosyego po zamknięciu w 1931 roku Qui Pro Quo. Głównymi autorami tekstów w Cyruliku byli Tuwim i Hemar, a więc tworzyła scenę trójka ludzi, którzy do tej pory zamieniali w złoto wszystko, czego dotknęli. Mimo to po paru latach także Cyrulik przestał istnieć.

Brzechwa współpracował w tym czasie z kierowanymi przez Własta teatrami Wielka Rewia i Hollywood, z Kameleonem Zygmunta Woyciechowskiego, Praskim Okiem Juliana Oldaka (rewia *Prosto z mostu*), ale i z Cyrulikiem. Przychodzący na próby elegancki mężczyzna robił wrażenie na girlsach i piplajach, tancerkach wywijających nogami z tyłu sceny. Jedną z nich była Stefania Grodzieńska, przyjęta do zespołu przez Járosyego. Któregoś dnia, kiedy jak zwykle przypatrywała się przez dziurę w kurtynie, kto przyszedł na próbę, zobaczyła w trzecim czy czwartym rzędzie przystojnego pana o ciemnych włosach, z siwym pasemkiem z boku.

– Jaki piękny! Muszę natychmiast się w nim zakochać – ogłosiła koleżankom.

Inne piplaje uświadomiły jej, że ów elegancki pan to Brzechwa – ten Brzechwa!, dyrektor, mecenas i poeta – i każda chciałaby go zdobyć, ale to nie takie proste. Choć pewnie Brzechwa, czuły na wdzięki kobiet, zwłaszcza młodych, myślał zupełnie inaczej.

# Pospolite korsarstwo w todze katońskiej...

Dołączając pod koniec 1918 roku do grupy założycieli Związku Artystów i Kompozytorów Scenicznych, student pierwszego roku prawa, który w dodatku za chwilę miał wyruszyć na wojnę, nie mógł przewidzieć, że wchodzi właśnie na ścieżkę, którą będzie szedł przez całe życie.

Powstała w marcu 1918 roku organizacja, pierwotnie pod nazwą Związek Autorów Kabaretowych, miała zająć się ochroną interesów autorów dostarczających teksty do teatrów rewiowych i kabaretów. Ich programy zmieniały się co parę tygodni, więc autorzy piosenek, monologów i skeczy musieli pisać dużo i szybko, a płacono im początkowo bardzo mało. I to bez względu na to, czy utwór wykorzystywany był tylko raz, czy cieszył się powodzeniem i powtarzano go w kolejnych programach. W krajach Europy zachodniej obowiązywał już system tantiem, więc najpopularniejsi autorzy zarabiali tam naprawdę duże pieniądze.

Założycielami ZAK (nazwa ZAiKS pojawiła się we wrześniu roku 1919) byli w większości dobrzy znajomi Brzechwy, autorzy najbardziej płodni, a więc i najbardziej zainteresowani traconymi w kabaretowej wolnoamerykance pieniędzmi: Julian Tuwim, Andrzej Włast, Konrad Tom czy Jan Stanisław Mar. Inicjatorem powołania organizacji broniącej ich praw był Stanisław Ossorya-Brochocki, popularny wykonawca własnych tekstów w warszawskich teatrzykach. Brzechwa (razem z nim m.in. Antoni Słonimski) dołączył szybko do grona założycieli i natychmiast go tam doceniono. Już wiosną 1919 roku (zapewne podczas przepustki z pułku) został członkiem Komisji Organizacyjnej, której zadaniem było stworzenie struktur związku. A kiedy skończył studia, został naczelnikiem Wydziału Prawnego ZAiKS-u. Drugim prawnikiem związku był znany adwokat Gustaw Beylin.

„Związek ma stać na straży interesów moralnych i materialnych autorów i kompozytorów, zasilających swymi utworami repertuar teatrzyków literackich, estrad i scen kabaretowych” – głosił statut, jednak przez pierwsze lata działania stowarzyszenia były to wyłącznie pobożne życzenia. Owszem, w przepisach ZAiKS-u określono minimalne honoraria należne autorom, ale właściciele teatrzyków, zwłaszcza pozawarszawskich, z niedowierzaniem przyjmowali informację, że mają płacić za wykorzystywane wiersze czy kompozycje.

Pierwszy przewodniczący ZAiKS-u Kazimierz Wroczyński wspominał, jak zareagował dyrektor Filharmonii Warszawskiej, do którego zadzwonił w sprawie tantiem należnych twórcom wykonywanych kompozycji.

– Filharmonia od początku swego istnienia nigdy nie płaciła żadnych tantiem żadnym kompozytorom, uważając, że robi im już dostateczną reklamę, grając ich kompozycje – oświadczył dyrektor i zakończył rozmowę.

Niewiele zmieniło się po uzyskaniu przez ZAiKS w 1921 roku osobowości prawnej. Brakowało solidarności nawet wśród samych zainteresowanych. Część autorów wołała dogadywać się z właścicielami na własną rękę, nie wierząc w skuteczność działania związku i nie chcąc oddawać ZAiKS-owi nawet niewielkiej części honorarium. Ale przede wszystkim brakowało ustawy o prawach autorskich, która jednoznacznie ustalałaby zasady korzystania z cudzej twórczości. Dlatego przedstawiciele związku starali się raczej o rozwiązania polubowne, bo wytaczane procesy rzadko kończyły się wyrokami korzystnymi dla autorów. Próby wyegzekwowania należnych pieniędzy znacznie częściej kończyły się wyrzucaniem inkasentów ZAiKS-u za drzwi.

– Jak to, nie płacę za muzykę? Każdemu jazz-bandycie płacę – tłumaczył jeden z restauratorów wezwanemu po awanturze policjantowi.



– A kompozytorom?

– Przecież nuty kompozycji kupiłem za pieniądze, nie?

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero po uchwaleniu przez sejm w maju 1926 roku Ustawy o prawie autorskim i po Międzynarodowym Kongresie Prawa Autorskiego, który odbył się w Warszawie jesienią. Wroczyński zadzwonił do tego samego dyrektora Filharmonii, który kilka lat wcześniej odesłał go do diabła:

– Od dzisiaj zabraniam panu bez porozumienia z ZAiKS-em grać któregokolwiek z kompozytorów polskich.

– Więc będę grał wyłącznie kompozytorów zagranicznych, a moralna odpowiedzialność za to spadnie na panów – usłyszał w odpowiedzi.

– Kompozytorów zagranicznych też pan grać nie będzie. ZAiKS ma przedstawicielstwo praw 26 związków całego cywilizowanego świata.

– Więc mam zamknąć instytucję, pozbawiając chleba...

– Może pan grać Bacha, Beethovena, Mozarta, Chopina, Schumanna...

– Samych nieboszczyków?

– Nie wszystkich, tylko tych, którzy umarli przed pięćdziesięciu laty – prawa autorskie wygasają wtedy pół wieku po śmierci twórcy.

Ale mimo uchwalenia ustawy i tak trzeba było jeszcze trochę poczekać, nim nowe prawo zaczęło być traktowane poważnie. „Przełomowym momentem był pierwszy proces o prawo autorskie w dziedzinie filmu dźwiękowego” – wspominał Brzechwa, który reprezentował poszkodowanych autorów muzyki. Proces wygrał i był to pierwszy wyrok w tego rodzaju sprawie na terenie Europy. Artyści mieli dopiero stanąć wobec problemu piractwa, który pojawił się wraz z rozwojem produkcji płyt gramofonowych. Tłoczył je, kto tylko chciał, zaś „manipulacje z płytami dawały im zarobki grubo większe, niż gdyby handlowali «zajęczymi skórkami»” – wspominał Wroczyński.

W połowie lat dwudziestych w „Wiadomościach Literackich” zaczęła pojawiać się rubryka „Poradnia prawna dla autorów”. Brzechwa tłumaczył mniej biegłym w przepisach kolegom, czego mogą wymagać, a czego oczekiwać od wydawców i księgarzy. Porady dotyczyły spraw najprostszych i bardzo skomplikowanych: niezgodnionych zmian w tekście, liczby egzemplarzy autorskich, obowiązku korekty, prawa do kontroli wysokości nakładu. Redakcja zachęcała twórców do nadsyłania pytań, „pragnąc otoczyć jak najbardziej wydatną opieką wszelkie objawy działalności duchowej, noszące cechy osobistej twórczości”. Chyba jednak nie było zbyt wiele pytań, bo w kolejnych latach rubryka zmieniła nazwę na „Temida wśród Muz” i była poświęcona przede wszystkim łamaniu praw autorskich w krajach zachodnich. Sprawy, które rozstrzygały sądy francuskie i włoskie, na pierwszy rzut oka wyglądały absurdalnie, ale Brzechwa był przekonany, że prędzej czy później podobne pojawią się i w Polsce. Opisywał spory o wykorzystanie fragmentu cudzej fotografii, autorstwo adaptacji utworu literackiego w radiu, o prawo do bezpłatnego wykorzystania na włoskich banknotach wizerunku Banku Narodowego. Relacjonował procesy o jakość przekładu, zmiany w tekście czy pominięcie w utworze nazwiska autora, a nawet o to, nazwisko którego z artystów ma być wydrukowane na plakacie większymi literami.

Opisywał też przypadki naruszania praw autorskich w Polsce, gdzie ciągle panował w tej dziedzinie ogromny bałagan. W 1931 roku „Ilustrowany Kuryer Codzienny” przedrukował bez zezwolenia broszurę wydaną przez Polską Ligę Morską i Kolonialną, nie podając źródła i usuwając nazwisko autora. Kiedy Liga upomniała się o swoje prawa, dziennik odrzucił roszczenia, arogancko odpowiadając, iż w obliczu korzyści społecznych prawa autorskie muszą ustąpić. Brzechwa w „Wiadomościach” napisał, że w żadnym praworządnym kraju, a nawet w krajach mniej

cywilizowanych niż Polska, podobna sytuacja nie mogłaby się wydarzyć. Wydawcy „IKC” demonstrują skrajną hipokryzję, próbując kradzież usprawiedliwić jakimiś wymagowanymi wyższymi racjami. Dlaczegoż to w imię służby społecznej sami nie zrezygnują z opłat za swój dziennik? Pisał: „Przestępstwo popełniono, a ubieranie pospolitego korsarstwa w togę katońską musi każdego obiektywnego obserwatora napełnić niesmakiem”.

Radca prawny ZAiKS-u występował przed sądem w sprawach ważnych i mniej ważnych, ewidentnych i nieoczywistych, takich, które po latach pozostają nadal istotne, i tych, które mogą dziś budzić jedynie uśmiech. Właściciele kawiarni, restauracji, lokali tanecznych nie rozumieli, dlaczego mają dodatkowo płacić za wykonywane podczas dancingów utwory, skoro płacą orkiestrze, którą zatrudnili. Wytwórnice płytowe nie widziały żadnego problemu w powielaniu w nieograniczonych nakładach nagrań, za które przecież już raz zapłaciły! Sąd musiał także rozstrzygnąć, czy w kinie można przed projekcją filmu puszczać muzykę z płyt, nie płacąc za to autorom wykorzystywanych utworów.

W 1934 roku Brzechwa reprezentował w sądzie kompozytora Zygmunta Białostockiego i autora tekstu Walerego Jastrzębca, domagających się odszkodowania za wykorzystanie ich piosenki *Mój chłopiec* w filmie reklamującym kawiarnię Paradis. Aktorka Żenia Magierówna śpiewała ją podczas programu rozrywkowego kawiarni, za co właściciel Paradisu zapłacił. Ani jemu, ani wytwórni realizującej film nie przyszło jednak do głowy, że powinni za wykorzystanie utworu w reklamówce płacić jeszcze raz. Podobne stanowisko zajął najpierw sąd okręgowy, a później także apelacyjny w Warszawie, uznając, że piosenkę nagrano przypadkiem i bez złych intencji. Brzechwa nie dał jednak za wygraną i po trwającym dwa lata procesie Sąd Najwyższy przyznał mu rację, uznając, że wyłącznie autorzy mogą decydować, gdzie i w jaki sposób ich utwór będzie wykorzystywany.

W tym samym roku Brzechwa wystąpił w imieniu autora piosenek i tekstów kabaretowych Władysława Szlengela przeciwko pracownikowi Polskiego Radia Henrykowi Bielickiemu, oskarżając go o plagiat. Szlengel złożył na ręce Bielickiego scenariusz słuchowiska *Ludzie na dnie*, które jakiś czas potem pojawiło się na falach eteru pod tytułem *Trzy mile od brzegu*. Autorem miał być ktoś ukryty pod kryptonimem Henbiel. Pikanterii procesowi dodało ujawnienie starań Bielickiego, by uniemożliwić Szlengelowi wysłuchanie audycji. Najpierw próbował w dniu emisji zaprosić pisarza do siebie, a kiedy okazało się, że Szlengel jest chory, przyszedł do niego w odwiedzin i uszkodził mu radio. Plagiator został skazany na trzy miesiące aresztu w zawieszeniu.

Prawo autorskie nawet po uchwaleniu ustawy było dla niektórych sędziów prawem nie całkiem zrozumiałym, więc dochodziło czasem do wyroków kuriozalnych. Przedstawiciel ZAiKS-u, który pojawił się w sosnowieckim Palais de Danse, domagając się opłaty za wykonywanie chronionych przez prawo piosenek i utworów tanecznych, został wyrzucony za drzwi. Następnie sąd okręgowy właścicieli lokalu uniewinnił. Dopiero w postępowaniu apelacyjnym uznano racje ZAiKS-u, a właścicieli Pałacu Tańca skazano.

Najgłośniejszym procesem, w którym wziął udział mecenas Jan Lesman (występując przed sądem używał prawdziwego nazwiska), była rozpoczęta w 1935 roku i ciągnąca się kilka lat sprawa z powództwa Zenona Przesmyckiego-Miriama przeciwko Tadeuszowi Piniemu. Przesmycki, poeta i krytyk literacki, zarzucił Piniemu, wydawcy i historykowi literatury, bezprawną edycję wierszy Cypriana Norwida. Sprawę relacjonowały wszystkie gazety, opisał ją także w swoich wspomnieniach *Między życiem a sądem* adwokat Leon Okręt, przed wojną sprawozdawca sądowy „Kuriera Porannego”. To o nim Brzechwa chętnie opowiadał złośliwy dowcip: Okręt, mężczyzna mocno tłusty, gramoli się do dorożki. Dorożkarz, patrząc na jego wysiłki, tylko wzdycha: – Panie mecenasie, na raz się nie zabierzemy.

Przesmycki, którego reprezentował Brzechwa, był odkrywcą i wielbicielem twórczości Norwida. Za zgodą rodziny poety wydawał kolejne tomy jego wierszy, bardzo pieczołowicie i pięknie („drogo i snobistycznie”, uważali krytycy). Tymczasem Pini, nie zważając na brak czyjejkolwiek zgody, opublikował szybko mało elegancką, za to znacznie tańszą antologię wierszy Norwida. Umieścił w niej utwory, do których prawa autorskie już wygasły, jak i te, do których publikowania w myśl ustawy miał prawo tylko upoważniony przez rodzinę Miriam. „Zebrał, wydał za drobną cenę i zdystansował arystokratyczne tomy pracą Miriam, kosztem jego świty wydawniczej, do życia powołane” – pisał Leon Okręt. A w dodatku poprzedził antologię wstępem, z której wynikało, że Norwid to poeta raczej drugorzędny i trudny do zrozumienia. „Czy Norwid miał talent?” – pytał wprost.

Zasługi Przesmyckiego podkreślali powołani na świadków profesorowie Uniwersytetów Jagiellońskiego i Warszawskiego. Miriam nie robił błędów, chwalili, a książka wydana przez Piniego jest niechlujna i bezduszna. Mimo to piracka edycja Piniego została przez „Wiadomości Literackie” przyjęta entuzjastycznie. Tygodnik uznał, że ważniejsze jest udostępnienie czytelnikom poezji Norwida niż to, że wydany tom jest niekompletny, wydrukowany bez zachowania specyfiki interpunkcji Norwida i mało wobec czwartego wieszca entuzjastyczny. Było to konieczne, pisał Adam Czartkowski, bo Miriam swoją powolnością i kunktatorstwem o mało nie skazał Norwida na ponowne zapomnienie. A to, że Pini nie dość się poezją Norwida zachwycił? To tylko wyjdzie jej na dobre, bo badania Przesmyckiego prowadzone są w atmosferze niezdrowej, przesyconej entuzjazmem badacza i oparami snobizmu. „Ostry powiew świeżego wiatru, tnącego w oczy, może tylko zmusić do otrzeźwienia” – orzekł Czartkowski.

Sąd pierwszej instancji uznał prawa Przesmyckiego do odczytanej przez niego z rękopisów twórczości Norwida i skazał Piniego na grzywnę, ale odrzucił żądanie konfiskaty wydanego tomu wierszy. Sąd apelacyjny wyrok jednak uchylił i uniewinnił wydawcę, uzasadniając, że dzieła wybitnego poety „stały się własnością narodu” i nikt nie ma prawa ich zawłaszczać ani czuć się wyłącznym dysponentem. Nie pomogło emocjonalne wystąpienie Brzechwy, z którego – co podkreślali sprawozdawcy – przebijała głęboka cześć dla Norwida i uznanie dla pracy Miriam. Po stronie Piniego stanęła spora część prasy, drwiąc, że Przesmycki niemal „usynowił” Norwida. Uniemożliwia dostęp do jego twórczości, czując się nie tylko właścicielem praw, ale niemal współautorem wierszy poety.

W „Wiadomościach” głos zabrał także Antoni Słonimski. Napisał, że Miriam aresztował Norwida w swoim biurku, przez ponad piętnaście lat nie wydając, mimo czytelniczego głodu, ani pism zebranych, ani nawet tomu wierszy wybranych, stając „między Norwidem a narodem polskim”. Zlekceważył czytelników i zlekceważył samego poetę, i to z sobie tylko wiadomych powodów, bo jakież odkrywca nie chce się przed ludźmi swoim odkryciem pochwalić. „Czyżby to była zarozumiałość nadętej ropuchy, pogarda dla świata, który niegodny jest Norwida, bo Norwida godzien jest czytać tylko Miriam? Czyżby to zarozumiałe mniemanie, że przypisy ważniejsze są od wierszy? A może pycha podupadłego tłumacza i kiepskiego poety, który okazuje w ten sposób swą ważność?” – Słonimski pisał, że nie potrafi zrozumieć motywów postępowania Przesmyckiego, poza jednym. Brak czasu na pracę nad wydaniem wierszy Norwida spowodowany jest tym, że Miriam zajęty jest od rana układaniem misternej fryzury przykrywającej łysą czaszkę i nie może do wieczora zdążyć. „Mamy do czynienia z ostrym wypadkiem megalomanii” – uznał. Sam Pini zarzucił Przesmyckiemu w „Wiadomościach” wyłudzenie praw do twórczości Norwida – za zaledwie sto rubli! – od będącej w biedzie i nieświadomej, co traci, rodziny.

Adwokaci reprezentujący Przesmyckiego (drugim był Gustaw Beylin) złożyli skargę kasacyjną

w Sądzie Najwyższym. Tam mową Brzechwy zachwycił się Leon Okręt. „Bo wobec dziwnej, okrutnej atmosfery napaści na «tragicznego starca», trzeba było, i obrońca uczynił to przejmująco, skończyć z tą złośliwą legendą, którą gnębią, niecierpliwi i trochę bezduszni ludzie, wytrwałego pracownika. Różaniec przywar i lekkomyślnych prób pracowitości p. Piniego wypadł w tej obronie bardzo plastycznie” – napisał Okręt.

Pod wrażeniem jego wystąpienia był także Józef Kuropieska, który był obecny w sądzie. „Doskonale rozprawił się z rzekomo złą wolą swego klienta i wspaniale uzasadnił jego troskę o staranne przygotowanie do druku bezcennej spuścizny Cypriana Norwida. Zręcznie również dobrał się do rzeczywistych motywów edytorskiej działalności Piniego” – wspominał. Tekst mowy Brzechwy nie zachował się.

Sąd Najwyższy uznał argumenty adwokata i w lutym 1937 roku zatwierdził wyrok pierwszej instancji, skazujący Tadeusza Piniego na karę grzywny i zapłatę Miriamowi tzw. pokutnego.

W 1936 roku Brzechwa reprezentował w sądzie autorów operetki *O piętro wyżej* Władysława Krzemińskiego (libretto) i Ignacego Gertnera (muzyka) w sprawie przeciwko Polskiej Spółce Filmowej Urania, która zapowiedziała właśnie premierę komedii zatytułowanej niemal bliźniaczko: *Piętro wyżej*. Autorzy operetki uznali, że tytuł filmu (treść nie wywoływała kontrowersji) myli widzów i zażądali jego zmiany jeszcze przed rozpoczęciem rozpowszechniania. Kiedy Urania należąca do aktora Eugeniusza Bodo odmówiła i obraz wszedł do kin, wystąpili o odszkodowanie w wysokości 2 tysięcy złotych. Warszawski sąd okręgowy, a potem sąd apelacyjny uznały argumenty Brzechwy, że prawie identyczny tytuł może zaszkodzić interesom Krzemińskiego i Gertnera, a przede wszystkim utrudnić im ekranizację operetki, gdyby kiedyś chcieli to uczynić. Urania zapłaciła grzywnę, jednak tytułu nie zmieniła. Komedia *Piętro wyżej* (pierwotnie miała nazywać się *Pęczek contra Pęczek*, od nazwisk głównych bohaterów filmu) jest uznawana za jedną z najbardziej udanych w historii przedwojennego polskiego kina, a pochodzące z niej piosenki: *Umówiłem się z nią na dziewięć* oraz *Sex appeal*, śpiewana przez Bodo przebranego za kobietę, są do dzisiaj wielkimi przebojami.

W imieniu Ludwika Starskiego, później także działacza ZAiKS-u, Brzechwa oskarżył o plagiat wydawców drukowanego w jidysz dziennika „Warszawer Radio”. Starski publikował w łódzkim „Expressie Wieczornym Ilustrowanym” powieść w odcinkach *Niewolnicy pieniądza*. Po jakimś czasie dowiedział się, że fragmenty powieści z niewielkim opóźnieniem ukazują się w żydowskim dzienniku pod zmienionym tytułem *Grzeszne dusze*, a jako autor występuje niejaki Rubinowicz. Sąd ustalił, że Rubinowicz naprawdę nazywa się Dawid Micmacher, a „zanim zaczął zajmować się literaturą”, był subiektem w sklepie z artykułami żelaznymi. Co prawda plagiator próbował dowodzić, że to Starski ukradł jego pomysł, ale kolejność publikacji nie budziła wątpliwości i sąd skazał Micmachera na trzy miesiące aresztu w zawieszeniu na trzy lata i grzywnę. Wydawców dziennika ukarano grzywnami po 300 złotych, z zamianą na 10 dni aresztu. W trakcie procesu okazało się, że powieść Starskiego była jednym z wielu tekstów i rysunków bezprawnie wykorzystanych przez „Warszawer Radio”.

Podczas procesów dotyczących praw autorskich dochodziło do zdarzeń groteskowych. ZAiKS wystąpił w imieniu swoich członków przeciwko Abramowi Krulickiemu, który przy bramie Ogrodu Saskiego sprzedawał drukowane na szarym papierze taniutki broszury ze spisywanymi z płyt gramofonowych tekstami największych przebojów. Zwykle mocno zniekształconymi, bo Krulicki nie radził sobie z językiem polskim. „Broszurki zaopatrzone w slogan reklamy: «Zapoznaj pięknego tanga», zawierają przeważnie utwory członków ZAiKS-u” – informował biuletyn związku.

Jednym z utworów, który został przez Krulickiego ukradziony i przekręcony, była piosenka Jerzego

Jurandota. Przed sądem reprezentowali go Brzechwa i jego aplikant Aleksander Orlan, również autor kabaretowych piosenek, m.in. przeboju *Tomasz, ach Tomasz*. Podczas rozprawy Orlan wyciągnął rękę oskarżycielskim gestem i przemówił:

– Tak, na przykład, proszę wysokiego sądu, tango świadka Jurandota *Tak mi weszłaś w krew* oskarżony wydrukował pod tytułem *Tak mi weszłaś w krok*, co jest przecież bardzo bolesne dla autora!

„Parsknąłem pierwszy. Przy dostojnym stole zaczęła się krztusić protokolantka. Sędzia próbował przez chwilę utrzymać powagę, ale nie udało mu się i ryknął na całe gardło” – wspominał Jurandot. Po wysokim sędzie śmiechem wybuchnęła także publiczność, rozprawę trzeba było przerwać. Sąd skazał Krulickiego na miesiąc aresztu i 300 złotych grzywny, jednak przedsiębiorczy edytor zapowiedział, że prowadzone w piwnicy wydawnictwo przejmie żona. A gdyby i ją wsadzono do więzienia, to kolejne broszury drukować będą jego dzieci.

W dodatku okazało się, że Krulicki w porównaniu do swoich naśladowców był wydawcą prawie profesjonalnym. Na praskim „kiercelaku”, gdzie handlowano wszystkim, pojawili się sprzedawcy oferujący teksty i nuty najpopularniejszych przebojów przepisywane... ręcznie. Wyroki skazujące ich na areszt (w zawieszeniu) i zniszczenie kopii nie były w stanie powstrzymać procederu.

Mecenas Lesman występował przed sądem także w sprawach, które z prawami autorskimi nie miały wiele wspólnego, ale dotyczyły ludzi, z którymi stykał się poza salą sądową. Między innymi w procesie wytoczonym przez zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego „Ilustrowanemu Kuryerowi Codziennemu” o oszczerstwo. Poszło o numer wydawanego przez ZNP tygodnika „Płomyk” z marca 1936 roku, w całości poświęcony Związkowi Sowieckiemu. „IKC” w artykule *Szaleństwo czy zbrodnia – młodzież szkolną truje się jadem bolszewizmu* zarzucił „Płomykowi” uprawianie propagandy komunistycznej, co brzmiało tym bardziej prawdopodobnie, że współredaktorkami „Płomyka” były związane z partią komunistyczną Wanda Wasilewska i Janina Broniewska. Rozpętała się awantura na cały kraj. Rodzice uczniów wzywali do bojkotu pisma „zatrującego dusze młodzieży”, kolejne szkoły informowały o rezygnacji z prenumeraty „Płomyka” i słały do redakcji listy protestujące przeciwko apoteozie bolszewizmu w piśmie dla dzieci.

Brzechwa, wspólnie z mec. Jaroszem, podjął się reprezentowania ZNP, choć zawartość „Płomyka” była nie do obrony, z czego musiał zdawać sobie sprawę. Wyidealizowany obraz Związku Sowieckiego pod rządami Stalina pozostawał w jaskrawej sprzeczności ze wszystkim, co w drugiej połowie lat trzydziestych wiedziano już o panującym w ZSRR terrorze, głodzie i prześladowaniu mniejszości narodowych. Adwokaci reprezentujący „IKC” powołali na świadków m.in. urzędników Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz znanych księży: dyrektora Instytutu Badania Komunizmu prałata Antoniego Kwiatkowskiego i dyrektora Katolickiej Agencji Prasowej prałata Zygmunta Kaczyńskiego. Mieli oni potwierdzić uprawianie przez ZNP polityki antypaństwowej. „Przygotowanie ataku było majstersztykiem” – pisała Halina Skrobiszewska. Proces przyciągnął dużą część prasy, która na bieżąco relacjonowała wystąpienia adwokatów. „To był pojedynek szermierki słownej najwyższej klasy” – wspominał Wacław Mrozowski, sąd uznał jednak, że „IKC” „działał w interesie społecznym” i oddalił oskarżenie. W kolejnej instancji wyrok został utrzymany. „To, że sprawy nie można było wygrać, nie było winą adwokatów” – napisała Skrobiszewska, a sprawozdawca sądowy „IKC” informował czytelników oskarżonego dziennika, iż adwokat Lesman podczas rozprawy apelacyjnej „zmaćcił dostojną atmosferę przykrymi zgrzytami, polemizując niepoważnie z motywami wyroku I instancji”. Starając się o korzystny dla redaktorów „Płomyka” wyrok, Brzechwa musiał podważać kryptokomunistyczną wymowę numeru tygodnika, a to akurat było bardzo łatwe do obalenia. „Mec. Skoczyński

w przygwożdżający sposób zbija twierdzenia adw. Lesmana” – pisał jeden z reporterów.

Nakład „Płomyka” został skonfiskowany, a w ZNP decyzją premiera wprowadzono zarząd komisaryczny. W odpowiedzi w siedzibie związku rozpoczął się strajk okupacyjny, na czele którego stanęły Wasilewska i Broniewska.

Jako naczelnik wydziału i radca prawny ZAiKS-u Brzechwa uczestniczył w pracach CISAC – Międzynarodowej Konfederacji Stowarzyszeń Autorów i Kompozytorów, do której ZAiKS przystąpił już w połowie lat dwudziestych. Został członkiem Komisji Ustawodawczej federacji (pełnił tę funkcję przez trzy kolejne kadencje), brał udział w kongresach i posiedzeniach zarządu CISAC w Berlinie, Paryżu, Sztokholmie i Rzymie, publikował w piśmie związku „Inter-Auteur” artykuły na temat praw autorskich w Polsce i w Związku Radzieckim. „Zawsze opanowany, małomówny, o nienagannyh formach towarzyskich, był autorytetem i praktykiem w dziedzinie prawa autorskiego nie tylko w Polsce, ale i na terenie międzynarodowym” – wspominał działacz przedwojennego ZAiKS-u Mieczysław Idzikowski.

W czerwcu 1934 roku był współorganizatorem warszawskiego kongresu CISAC, na który przyjechało trzystu pisarzy i kompozytorów z kilkudziesięciu krajów. Jak wspominał Brzechwa, stałym elementem kongresów były bankiety z udziałem przedstawicieli władz państwa organizatora i krajoznawcza wycieczka w jakieś atrakcyjne miejsce. Polacy postanowili pokazać gościom Puszcę Białowieską i hodowlę żubrów. Wynajęto trzy wagony restauracyjne, zaproszono kilka aktorek, które miały uatrakcyjnić podróż, i pociąg ruszył. Ku zaskoczeniu zagranicznych twórców na stacjach, przez które przejeżdżali, witały ich tłumy ludzi. Byli przekonani, że to z powodu sławy, którą cieszą się nawet w najbardziej zapadłych dziurach Polski. Prawda okazała się inna. Tym samym pociągiem jechała gwiazda ówczesnego kina Jadwiga Smosarska i ludzie czekali, żeby zdobyć jej autograf. „Z lekceważeniem pomijano znanych autorów i kompozytorów, którzy trzymając pióra, na próżno ofiarowali swe podpisy” – zapamiętał Brzechwa.

Wpadek było więcej. W Białowieży czekało na delegatów siedemdziesiąt furmanek, którymi zawieziono ich do zagród żubrów. Jechali w tumanach kurzu, który wdzierał się do gardeł i szybko pokrył wszystkich grubą warstwą: „Cudzoziemcy dusili się, kasłali i miotali przekleństwa. Ale ZAiKS uparcie realizował program wycieczki”. Kiedy brudni i zakurzeni wrócili wreszcie do Białowieży na obiad, okazało się, że w kasynie pracowników leśnictwa nie ma bieżącej wody, jest tylko jedna miednica i jeden dzbanek. Do mycia ustawiała się długa kolejka, a stojący w niej twórcy sarkastycznie zapewniali, że równie długo będą pamiętali warszawski kongres. Jeden z Francuzów zapowiedział nawet, że napisze na ten temat złośliwą komedię. Nie napisał, bo krótko po powrocie do Francji zmarł. Rozeszła się plotka, że to dlatego, iż pił w Polsce wodę z zatrutej studni.

Artykuły poświęcone prawu autorskiemu Brzechwa publikował w piśmie adwokatów „Palestra” i w prasie popularnej. W „Przeglądzie Księgarskim”, zaproponował, żeby płatne wypożyczalnie książek i nut część swoich dochodów przekazywały twórcom, którzy ponoszą w wyniku ich działalności straty. Ze statystyk, na jakie się powoływał, wynikało, że możliwość wypożyczenia książki zmniejsza jej sprzedaż nawet dziesięciokrotnie. W krajach zachodnich sprawa została rozwiązana na korzyść twórców, w Polsce mimo dyskusji nic z artykułów Brzechwy nie wynikło.

Za sprawą mecenasa Lesmana do polskiego prawa autorskiego wprowadzona została instytucja „droit de suite”, czyli prawo ciągłości, raczkujące dopiero nawet w ustawodawstwie zachodnim. Na początku lat trzydziestych Towarzystwo Ochrony Prawa Autorskiego powierzyło mu przygotowanie nowelizacji ustawy o prawie autorskim. Ogłosił wtedy w „Palestrze” artykuł o wprowadzonym kilka lat wcześniej we Francji rozwiązaniu, które dało malarzom prawo do udziału

w zyskach z handlu ich obrazami przez kolejnych właścicieli. Przedtem przez francuską prasę przetoczyła się dyskusja na temat fortun zbijanych przez marszandów handlujących dziełami przymierających głodem twórców. Jako przykład rażącej niesprawiedliwości podawano historię obrazu Jeana-François Milleta *Anioł Pański*. Artysta sprzedał go za 1200 franków, po kilku latach płótno było warte 70 000 franków, kolejny nabywca zapłacił już 550 000, ale nie stracił, bo sam uzyskał niebawem cenę miliona franków. Akwarele Leona Bonnina sprzedawano na aukcjach po 1500–2000 franków, gdy on sam dostał ledwie 12 franków za tekę zawierającą 160 prac, „po czym powiesił się w ucieczce przed wierzycielami” – pisał Brzechwa. Rynek sztuki rozwijał się szybko, obrazy na aukcjach osiągały ceny coraz wyższe, czasem wręcz niebotyczne, a jedynymi, którzy nic z tego nie mieli, byli malarze. Każde inne dzieło, muzyczne czy literackie, można było powielić lub wykonywać wielokrotnie, natomiast ich prace występowały tylko w jednym egzemplarzu.

Na początku lat dwudziestych prawo ciągłości wprowadzono do ustawodawstwa francuskiego, dość szybko przejęły je Belgia i Czechosłowacja, później także Austria, ale odrzucił parlament Niemiec. Francuscy malarze mogli liczyć na zysk w wysokości od 1 do 3 procent ceny obrazu podczas kolejnych transakcji. Mecenas Lesman zaproponował, żeby twórca otrzymywał aż 10 procent, ale nie od ceny sprzedaży dzieła, tylko od różnicy między kolejnymi transakcjami. Sejm II RP, uchwalając 22 marca 1935 nowelizację ustawy o prawie autorskim, poszedł jeszcze dalej. Ustalił, że jeśli cena sprzedaży dzieła przewyższy o ponad połowę cenę kupna, twórca ma prawo do dwudziestoprocentowego udziału w nadwyżce. Brzechwa uznał to rozwiązanie za „niemal doskonałe”. Prawo ciągłości zostało ostatecznie przyjęte przez większość państw europejskich i działa do dziś.

W artykule poświęconym „droit de suite”, pisanym w większości nudnym prawniczym językiem, znalazł się akapit pokazujący, jak Brzechwa pojmował zadania prawa autorskiego. „Myśl prawnicza jest powolna i, zapewne, tej powolności codzienne stosunki ludzkie zawdzięczają swą równowagę. Jednakowoż zachodzą w świecie materialnym wydarzenia, które od prawa wymagają większej elastyczności. Cóż dopiero, gdy idzie o domenę ludzkiej twórczości, gdzie rządzi irracjonalizm, przypadek i niespodzianka. W tej dziedzinie normy prawne muszą być zmienne, muszą podążać za kaprysem przejawów twórczych i bezustannie treść swą odświeżać” – napisał to prawnik, ale tak mógł myśleć jedynie artysta.

Mecenas Lesman był też autorem komentarza do polskiej ustawy o prawie autorskim, tekstu tym cenniejszego, że pisanego przez praktyka, w odróżnieniu od akademickich prac profesorów Fryderyka Zolla czy Stefana Rittermana. Prawo autorskie nie tylko w Polsce, ale i na zachodzie Europy, jest jeszcze „dżunglą, przez którą z trudem przebijają się pionierska myśl prawnicza” – pisał. Przekonywał, że konieczne jest ukrócenie niemal powszechnej praktyki bezprawnego wykorzystywania opublikowanych wcześniej utworów muzycznych czy literackich, które uważane są za bezpłatne. Wydawcy i restauratorzy nie chcą pojąć, że żądanie niewielkiej opłaty „od orkiestry grającej zarobkowo utwory muzyczne czy też ściganie czasopisma, które przedrukowało bezprawnie utwór literacki, nie może być uważane za szykanę, ani za przerost roszczeń autorskich”.

Komentarz miał ukazać się jesienią 1939 roku, ale we wrześniu na drukarnię, w której był składany, spadły bomby. Brzechwa był przekonany, że książka przestała istnieć. Po wojnie okazało się jednak, że w Milanówku, w domu profesora Jana Namitkiewicza, ocalał egzemplarz korektorski książki, który uczony dostał do recenzji. Brzechwa egzemplarz oprawił i przez wiele lat – aż do uchwalenia w 1952 roku nowej ustawy o prawie autorskim – korzystali z niego prawnicy. Ale przydawał się i później. Dodatkiem do komentarza był zbiór orzeczeń Sądu Najwyższego II RP oraz

wypisy z wyroków polskich sądów niższej instancji i sądów zagranicznych, wydanych w sprawach o ochronę dóbr intelektualnych.

Nawet po zmianie ustawy o prawie autorskim przedwojenne orzecznictwo stanowiło w PRL-u podstawę wielu rozstrzygnięć.



# Imię to wyławiam z wody rękami Don Kichota...

Jako Jan Lesman był adwokatem o coraz bardziej rozpoznawalnym nazwisku, jako Szer-Szeń dostarczał teksty do rewii, teatrzyków i kabaretów, jako Jan Brzechwa marzył o miejscu na pisarskim Parnasie. Na tym ostatnim zależało mu najbardziej, choć pieniądze, na jakie mógł liczyć za tomiki wierszy drukowane w nakładach nieprzekraczających kilkuset egzemplarzy – jeśli w ogóle udawało się coś od wydawców wydobyć – były nieporównanie mniejsze niż te, które zarabiał w kabarecie i jako radca prawny w ZAiKS-ie.

Pierwszy tom wierszy Jana Brzechwy, *Oblicza zmyślane*, ukazał się w 1925 roku nakładem Księgarni Gustawa Szylinga. Raptem trzydzieści wierszy ułożonych w cykle: *Godziny przemian*, *Dziesiąta noc*, *Legendy* i *Pieśni umarłych*. Dumny autor natychmiast wysłał książeczkę sławniejszemu kuzynowi. Kilka lat później Leśmian opowiadał Stanisławowi Ryszardowi Dobrowolskiemu, jak kiedyś utwory krewniaka zdyskwalifikował, radząc, żeby odpuścił sobie pisanie, wziął się solidnie za studia i został sędzią albo adwokatem. Ten jednak z poezji nie zrezygnował.

– Przysłał mi egzemplarz z dedykacją. Przeczytałem to jeszcze raz i przyszedłem do wniosku, że się poprzednio pomylił w ocenie – mówił Leśmian.

Krytyka nie bardzo wiedziała, jak ocenić wiersze Brzechwy. Nawet ci, którzy chwalili ich urodę, dostrzegli, że debiutant idzie ścieżką wytyczoną przez innych, brak w jego utworach świeżości, a ich neosymbolizm jest po prostu jałowy. „Są to słowa wystygłe jak żuźle, martwe jak skamieliny, wylupane ze szerniałych gwiazd” – napisał w „Wiadomościach Literackich” Stefan Napierski. Nie zostawił na poecie suchej nitki. Pisał o bezpłodnym nowatorstwie, wlokącym się rytmie i przebrzmiałym ekspresjonizmie. „Poezja nie wydaje się drogą właściwą Brzechwie” – podsumował. Z jakichś powodów recenzja pojawiła się w „Wiadomościach” dopiero dwa i pół roku po ukazaniu się tomiku.

Część recenzentów zareagowała w sposób dla każdego twórcy najbardziej obraźliwy, pisząc o narzucającym się podobieństwie poezji Brzechwy do wierszy bardziej zdolnego kuzyna. Bo podobna tematyka, język, a nawet metafory. Bo jak Leśmian ucieka od codzienności w stronę natury, kosmosu i Boga. Jerzy Braun w „Gazecie Literackiej” napisał wprost: „drugi Leśmian”. Mało tego, niektórzy uważali, że udały się Brzechwie wyłącznie te wiersze, w których wzorował się na Leśmianie. Inni, wręcz przeciwnie, radzili, że jeśli chce znaleźć w poezji własną drogę, powinien jak najszybciej zrezygnować z naśladowania zarówno Leśmiana, jak i innych poetów, którzy zamiast kierować go ku przyszłości, spychają w stronę poetyki z wieku XIX.

„O p. Brzechwie trzeba powiedzieć, że jest wierszopisem beztrasko i niefrasobliwie korzystającym z dorobku poprzedników. Otrzymujemy w ten sposób wiersze gładkie (ach, tak: zabójczo gładkie, bezbarwne, mdłe) o wersyfikacji tradycyjnej, zwrotkowej lub vers-libre’owej” – nie pozostawił żadnych wątpliwości co do oryginalności tych utworów Jarosław Jankowski w „Głosie Narodu”. Nawet w Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powszechnej, w haśle poświęconym Brzechwie napisano „bratanek poety Bolesława Leśmiana, pod którego wpływem pozostaje”. Druga część tego zdania musiała być dla młodego poety dużo bardziej bolesna niż błąd dotyczący rodzinnych koligacji.

Wysłał debiutancki tomik Józefowi Piłsudskiemu. Na stronie tytułowej zamiast dedykacji umieścił wiersz o córkach Marszałka. Kilka tygodni później odszukał go adiutant z Belwederu. Miał dla niego wspomnienia Marszałka *Moje pierwsze boje*, z odręcną dedykacją „Janowi Brzechwie –

J. Piłsudski”.

Dopiero po ukazaniu się *Oblicz zmyślonych* doczekał się wymarzonego debiutu w „Skamandrze”. Opublikowanie wierszy w miesięczniku było sukcesem większym nawet niż wydanie tomiku, bo trudniejszym do osiągnięcia. Zamknięci w swoim kręgu skamandryci długo i uparcie bronili się przed Brzechwą. Od początku popatrywali na niego podejrzliwie, jak na wszystkich poetów związanych z futuryzmem, wątpliwości budziło też jego pokrewieństwo z Leśmianem. Najwyraźniej podzielali niepoehlebne zdanie kuzyna na temat wierszy Brzechwy. „Najdłużej trwało «forsowanie» «Skamandra», który uparcie odrzucał teksty podpisane moim nazwiskiem” – wspominał po latach. „Wziąłem się na sposób i zacząłem posyłać wiersze pod najróżniejszymi pseudonimami – i te drukowali. Aż wreszcie zebrałem garść takich moich wierszy drukowanych w «Skamandrze» i pokazałem je Grydzewskiemu”.

Wiersz *Ludzie leśni* podpisany pseudonimem Stanisław Rudawa (jedyny, Brzechwa trochę poprawił rzeczywistość), ukazał się w zeszycie „Skamandra” nr 34–36 z 1924 roku. Pierwszy utwór sygnowany nazwiskiem Jan Brzechwa – *Radiokoncert* – został opublikowany w zeszycie nr 43 ze stycznia 1926 roku. Ale mimo kłopotów z przebicciem się na łamy pisma, Brzechwa cały czas utrzymywał ze skamandrytami kontakty towarzyskie. Zresztą chyba nie mogło być inaczej, skoro na co dzień współpracowali w kabaretach i teatrach rewijowych. Razem też towarzyszyli Konstantemu Balmontowi podczas pobytu rosyjskiego poety w Warszawie. Z tym że skamandryci szybko się starszym od nich o ćwierć wieku Rosjaninem znudzili. Kiedy po miesiącu wracał do Paryża (wyemigrował z Rosji po rewolucji październikowej), na dworzec odprowadzali go już tylko Leśmian i Brzechwa. – Polacy umieją witać, ale nie umieją żegnać – skwitował rozgoryczony Balmont.

W 1926 roku Brzechwa po raz pierwszy się ożenił. Wybranką była Maria Sunderland, wnuczka siostry ojca i bratanica Celiny, w której pracowni mieszkał po powrocie z wojny i z którą miał poetę łączyć romans. Ale związek z Marią nie trwał długo. Kiedy w sierpniu 1928 roku przyszła na świat ich córka Krystyna, formalnie byli jeszcze małżeństwem, ale poeta romansował już z Karoliną Lentową, z domu Meyer, która miała wkrótce zostać jego drugą żoną. Porzucenia „wspólnej kuzynki, ślicznej Marysi” nie mógł wybaczyć Brzechwie Leśmian, wspominała Maria Ludwika Mazurowa. Karą za „za jego bestialskie obejście się z pierwszą żoną” było zerwanie na kilka lat stosunków rodzinnych. A Krysia zobaczyła ojca pierwszy raz, kiedy miała prawie dziewięć lat, właśnie na pogrzebie Leśmiana.

Dzięki łączeniu różnych zajęć Brzechwa miał więcej pieniędzy niż większość jego kolegów (nie licząc oczywiście zarabiających krocie skamandrytów), żyjących z honorariów wydzieranych z coraz większym trudem redaktorom pism. I to on zwykle stawiał kolejne małe czarne i duże wódki przyjacielom, którzy nie śmierdzili groszem. „Bo zdobywać pieniądze potrafią nawet ostatni durnie, ale mądrze je tracić – mało kto” – pisał Dobrowolski, jeden z beneficjentów fundowanych przez Brzechwę kolejek. Poznał go w jednym z lokali, które wypełniali wówczas zarówno sławni, jak i początkujący dopiero literaci. To mogła być Europejska, Ziemiańska albo położona po sąsiedzku tej ostatniej – knajpa U Wróbla, gdzie było mniej wytworknie, za to wódka była znacznie tańsza.

Wybranych znajomych Brzechwa zapraszał do domu. To nie było Stawisko Iwaszkiewicza, ożenionego z jedną z dziedziczek fortuny Lilpopów, ale nie było to też ciasne mieszkanie, jakie zwykle zajmowali początkujący literaci. I to często po kilku naraz. Luksusy, w których żył Brzechwa, nie były jednak jego zasługą. Mieszkanie przy Wspólnej albo Żurawiej, Dobrowolski nie pamiętał już dokładnie adresu, należało do ojca drugiej żony poety – Karoliny. Teść Brzechwy, stołeczny przedsiębiorca i bon vivant, zrobił majątek na interesach z bolszewicką Rosją, oficjalnie pozostającą

z sanacyjną Polską w stosunkach raczej chłodnych. Dobrowolskiemu Meyer zaimponował szczególnie tym, że do wycierania nosa używał przywiezionych z Rosji chusteczek z monogramem cara Mikołaja II.

Wyposażenie mieszkania było równie luksusowe co chusteczki. Na podłogach leżały jasne perskie dywany, budzące w gościach lęk przed ich zabrudzeniem. Dobrowolski patrzył z rosnącym przerażeniem, jak podczas którejś wizyty żarzący się popiół z papierosa, który spadł mu na dywan, wypala coraz większą dziurę. Brzechwa tylko machnął na to ręką. „I w ten sposób właśnie wyrażonym stosunkiem do wszystkiego, co można nabyć za pieniądze, kupił mnie sobie na zawsze” – napisał Dobrowolski.

W Ziemiańskiej i U Wróbla Brzechwa spotykał się także z obłąskawionymi już skamandrytami. U Wróbla oblewali wypuszczenie z aresztu Władysława Broniewskiego, gdzie poeta trafił w 1931 roku razem z Aleksandrem Watem i Janem Hemplem. Broniewski recytował zebranych swój wiersz *Poeta i trzeźwi*: „Bije czarna godzina, / czarny wiersz się poczyna. / Dajcie mi, ludzie trzeźwi, / szklankę mocnej poezji, / szklankę czarnego wina”. Krótco przed wojną Brzechwa dostał od niego tom wierszy z dedykacją „W prastarej przyjaźni, z serdecznością wielką...”. Poznał też jego żonę, Janinę, wtedy jeszcze nauczycielkę, później autorkę opowiadań i powieści dla dzieci i młodzieży. „Stał się mimowolnym świadkiem jakiejś jej miłosnej eskapady” – wspominał Antoni Marianowicz, co Broniewska pamiętała mu długo po wojnie, kiedy jako przedwojenna komunistka i osobista przyjaciółka Wandy Wasilewskiej trzęsła Związkiem Literatów.

W 1929 roku ukazał się kolejny tom wierszy Brzechwy – *Talizmany*. Nieliczni recenzenci, w większości ci sami co poprzednio, znów przyjęli książkę chłodno, wyliczając zapożyczenia, wtórność, naśladownictwo. I to już nie tylko Leśmiana czy Wierzyńskiego, ale nawet... Kochanowskiego. Ta sama była zdaniem krytyków tematyka i język, a Stefan Napierski dopatrywał się w poezji Brzechwy nawet odwołań do niemieckiego ekspresjonizmu, twórczości Przybyszewskiego i secesji. „Począwszy od tytułu, poprzez pretensjonalność dedykacji aż po sam słownik poetycki jest Brzechwa wytworem tej właśnie atmosfery, tego kawiarnianego «światoburstwa». Od knajpy do gwiazd il n’y a qu’un pas” – czyli tylko jeden krok, pisał w miesięczniku „Droga”. Równie surowy był recenzent tygodnika „Tęcza”, podpisujący się inicjałami e.k. Wiersze Brzechwy ani nie wnoszą do literatury nic nowego, ani nie zapowiadają talentu, który mógłby zająć w polskiej poezji czołowe miejsce. W dodatku autora często, i to bez powodu, ponosi temperament. „Jest w poezjach Brzechwy pewna przesada, którą nazwałbym makabryzmem uczucia” – pisał e.k.

Lepszego zdania był Karol Wiktor Zawodziński, który w „Wiadomościach Literackich” ogłosił, że Brzechwa to „poeta bardzo odrębnego oblicza i talentu”. Choć i on dostrzegał wpływ na jego poezję „słopiewni” Tuwima, ale uznał, że właśnie muzyczność i śpiewność wierszy Brzechwy, potok „słów dziwnobrzmiących”, częste aliteracje i refrenowe powtórzenia, to ich największy walor.

W *Talizmanach* znalazł się wiersz, który odstawał od pozostałych utworów równie mocno, co w poprzednim tomie *Ekspres*. To był *Radiokoncert*, opublikowany w 1926 roku w „Skamandrze”, a więc wydawałoby się mający mocną pieczęć jakości. Radio, które podbijało dopiero świat (pierwszą próbną audycję nadano w Polsce 1 lutego 1925 roku, oficjalnie Polskie Radio Warszawa wystartowało 18 kwietnia następnego roku), fascynowało poetę. *Radiokoncert* to wyobrażona przez Brzechwę transmisja radiowa z kilku ważnych historycznych wydarzeń. Utwór, w którym wrócił do doświadczeń futurystycznych.

Chwytajcie, chwytajcie fale,  
Nastawiajcie kondensatory, Wyczuwajcie mózgami napięcie...

Hallo! Hallo! Radio-Paryż! Robespierre przemawia w Konwencji!  
– Wrogowie ludu zamordowali Marata,  
Wandę do buntu podżegali,  
Zdrajcy Louvet, Pétion, Barbaroux zbiegli,  
Zdrajcy w obliczu świata  
Sponiewierali Konwent! Brissot, Vergniaud... Dość tych imion!  
I któż miał śmiałość powiedzieć, że niżej stoimy od Rzymian?  
Patrioci! Lapelletier zabity! Lud zemsty pożąda!  
W imię cnoty! W imię Rzeczypospolitej  
Żyrodystom śmierć! Ileż głów ma Żyronda?!... (...)

Ż ż ż ż ż ż ż ż – z z z z z z z z z z – fh fh fh fh fh...  
Chwytajcie, chwytajcie fale!  
Hallo! Hallo! Generale,  
Jesteś wielki jak świat!...  
– Precz z Dyrektoriatem!...  
– Żołnierze! Austria pogwałciła układy,  
Koalicja granicom francuskim zagraża...  
Marsz! Marsz! Lewą, prawą – lewą, prawą...  
Sztandary wielkiej armii furkoczą nad światem – –  
– Żołnierze! Bądźcie godni waszego cesarza!  
– Vive l’Empereur!!  
Weszło słońce pod Austerlitz! Orły okryte sławą!  
– „Le Moniteur!” – „Le Moniteur!!” – „Le Mo-ni-teur!!!”...  
To my! To my! Europa, Afryka, Azja...

Ż ż ż ż ż ż ż ż – z z z z z z z z z z – fh fh fh fh fh...  
Raz jeden! Tylko raz jeden!  
Znakomity maestro  
Ludwik van Beethoven dyryguje orkiestrą,  
Hallo! Hallo! Radio-Wiedeń!  
– Sonata guasi una fantasia.  
Antena drga i szeleści,  
My – ludzie – ludzie z zaświata –  
Posyłamy prawdziwe wieści...

*Radiokoncert* pogodził recenzentów. Obu się nie podobał. Dla Zawodzińskiego był nieudanym eksperymentem, według Napierskiego nadawał się głównie na estradę.

Kolejny, znacznie obszerniejszy od dwu poprzednich, tom wierszy Brzechwy *Trzeci krąg* ukazał się w roku 1932. Jego objętość wynikała jednak nie tyle z większej poetyckiej aktywności autora, co z faktu, że oprócz dwóch nowych cykli (*Zaczarowany krąg* i *Pod Księżycem*) poeta umieścił w książce prawie wszystkie utwory opublikowane wcześniej w *Obliczach zmyślonych* i *Talizmanach* (choć zabrakło m.in. *Radiokoncertu*). Tamte książki ukazały się w bardzo niewielkiej liczbie egzemplarzy i trafiły głównie do rąk recenzentów i przyjaciół, pisał rozgoryczony we wstępie. I choć jedni i drudzy (naprawdę raczej drudzy) okazali mu wiele życzliwości, chwalili

i podziwiali, to widać, że już na zawsze przypisany mu będzie los człowieka, „którego imię napisane było na wodzie”. Z nowym tomem też nie wiązał wielkich nadziei. „Oddając nową książkę niewiadomym i zapewne nielicznym czytelnikom, imię to wyławiam z wody rękami Don Kichota” – dodał.

Gorycz zawarta we wstępie została osłodzona przyjęciem tomu przez krytykę. Co prawda jak zwykle usłyszał, że nad wierszami unosi się duch Leśmiana, ale nikt nie podważał już jego talentu i prawa do pisania. Znowu podkreślano muzyczność jego wierszy, oryginalne łączenie tematu miłości i śmierci, subtelną erotykę. A Stefan Napierski, choć podtrzymał wcześniejsze zarzuty, napisał w „Wiadomościach” o „odrębnej, wyłącznej, na wskroś imaginacyjnej poezji”. Nawet krytyka wlokąca się rytmu i bezpłodnego nowatorstwa tym razem zmieniła się w dość pochlebne uwagi na temat ekspresji, jednolitości metody, sugestywności. „Jest to bowiem poezja symboliczna, doprowadzona do ostatecznych krańców; trudna, oporna, aż nadmiernie wybredna, nieszukająca poza sobą legitymacji, całkowicie odgradzona zarówno od tradycji polskiej, jak i od bieżącej twórczości” – pisał Napierski. Od innego recenzenta poeta usłyszał nawet odpowiedź na swoje wątpliwości ze wstępu do tomu. Nie zostanie człowiekiem, którego imię zapisane było na wodzie: „Zapiszą je na papierze historycy literatury”.

Miał prawo poczuć się wreszcie zaakceptowany. Kiedy w 1930 roku młodzi polscy poeci postanowili, że będą raz w roku honorować nagrodą najbardziej ich zdaniem niedocenionego przez krytykę twórcę starszego pokolenia, Brzechwa został jednym z jurorów. W skład jury weszli jeszcze m.in. Lucjan André, Jerzy Kozikowski i Stanisław Maria Saliński. Pierwszym laureatem Nagrody Młodych został Bolesław Leśmian.

Później było już tylko lepiej. Pisząc o wydanym w 1935 roku tomie *Piołun i obłok*, Karol Wiktor Zawodziński zatytułował swoją recenzję *Najśpiwniejszy poeta*. Ten termin przyłgnał do Brzechwy na lata. Zawodziński pisał, że kolejnymi wierszami zajmuje miejsce wśród czołowych polskich liryków, a jego poezje powinien poznać, a najlepiej mieć ich zbiór u siebie, każdy miłośnik poezji „niekierujący się snobistyczną modą, lecz rozkoszujący się nią po prostu i dla siebie”.

Książka ukazała się kilka miesięcy po śmierci Józefa Piłsudskiego. Brzechwa umieścił w niej poświęcony Marszałkowi cykl *Imię wielkości*. Trzy lata później te wiersze, uzupełnione kilkoma nowymi, ukazały się w osobnym, ozdobnym tomie z ilustracjami Edmunda Bartłomiejczyka. Sylwetka twórcy Legionów, który wyłania się z tych utworów, to obraz geniusza, który natchnął Polaków marzeniem o wolności. Poderwał do walki i przekonał do złożenia ofiary z własnego życia. Potem poprowadził Polskę ku wielkości i zamyślony patrzył, jak podczas parady w dniu niepodległości, na toczącą się historię:

A w siodle siedzi Komendant, wykuty z upartej skały,  
Taki jak był – najbielszy, cały z marmuru, biały,

Sam posąg już, sama chwała – nieśmiertelna i wieczna,  
Tylko bardziej płomienna niż wieczność, bardziej słoneczna!

Dlatego właśnie – pisał Brzechwa – dziś płacze po jego śmierci. Bo Piłsudski walczył i cierpiał dla innych, chyliły się przed nim serca ludzi za życia, a po śmierci odprowadzili go do nieba aniołowie. A tam Stwórca staje przed nim i obiecuje wszystko, co najlepsze: mundur marszałkowski, nową szablę, karty do pasjansa, ordynansa wiernego, Kasztankę, a nawet bieliznę z lnu czystego, ale Komendant wszystko odrzuca, bo jedna tylko jest dla niego nagroda i jedno ma tylko pragnienie:

by aniołowi przychyliłi nieba ukochanej ojczyźnie, by dali Polsce moc i prawdziwą wielkość.

Marnym byłem żołnierzem, lecz dotąd dumny chodzę,  
Że szary mundur nosiłem, wtedy gdy On był wodzem,  
Że dzisiaj z rozdartym sercem, przy najsmutniejszej trumnie,  
Płacze się tak prawdziwie. I gorzko. I tak – dumnie.

Brzechwa pisał o osieroconej ojczyźnie, o testamencie Marszałka zapisanym w sercach Polaków, o wierności jego słowom i dziełu. Pisał to w czasie, gdy w Polsce działo się coraz gorzej. Widział to, co widzieli wszyscy: brutalizację życia politycznego, wytaczane opozycji sfingowane procesy, obóz w Berezie Kartuskiej, gdzie bez sądu więziono krytyków władzy, bezkarność endeckich bojówek na ulicach miast, coraz bardziej wrogimi wobec mniejszości narodowych język części prasy, antysemityzm. Wiersze pisane w 1935 roku mogły być próbą przypomnienia, że nie tak wyobrażali sobie Polskę żołnierze, którzy dwadzieścia lat wcześniej szli za Komendantem do boju.

„Do pień żałobnych, które należą do najpiękniejszych, jakie w związku ze śmiercią Piłsudskiego rozległy się w poezji polskiej, najbardziej taktownych przez swą bezpretensjonalność, przez postawę autora jak najbardziej osobistą, «prywatną», «szarego» człowieka, i przez to najbardziej ogólną, mieszają się więc w tej książce nuty otuchy, wiary, że testament Marszałka nie pójdzie na marne, nawet optymizmu i poetyckiej afirmacji rzeczywistości polskiej” – napisał w „Wiadomościach Literackich” Zawodziński. A wiersz *Jedenastego listopada* („Chylą się przed nim wierne sztandary, / Chylą się serca żołnierskiej wiary, / Szary mundur, znajomy strój... / – Hej, hej, Komendancie, miły Wodzu mój!”) trafił nawet do wypisów z języka polskiego w czwartej klasie gimnazjum.

Nie wszyscy jednak uwierzyli w szczerość żalu Brzechwy. W endeckim i otwarcie antysemickim tygodniku „Prosto z mostu” Tadeusz Dworak nie miał wątpliwości, że utwory poety-Żyda muszą być podszyte fałszem. Bo jedni Żydzi „robią «awangardę», drudzy pracują «formą klasyczną»” – pisał. Pierwsi adresują swe utwory do polskich i żydowskich sfer snobistycznych, gustujących w poezji zwyrodniałej, sprzedając w Polsce popłuczyny po grafomańskich eksperymentach Żydów paryskich. Drudzy to poeci-prostaczkowie, składający rymy ku ucieście równie prymitywnej publiczności, autorzy utworów do deklamowania przez młodzież, samozwańczy nauczyciele narodu. Właśnie do tej kategorii należy Brzechwa, uznał Dworak. Człowiek, którego „nieposzlakowane, słowiańskie nazwisko w wolnym przekładzie na żargon znaczy Lesman” – zakpił. Tenże Lesman napisał wiersze niezmiernie ubogie w treści, wypełnione płytką frazeologią, niby-patriotyczne, za to pełne naiwnego prymitywizmu. Bo nie wystarczy używać w wierszach słów: Piłsudski, Związek Strzelecki, Legiony, Magdeburg, Lwów, żeby zostać polskim patriotą. Jest coś niepokojąco fałszywego w tym żydowskim kulcie dla Piłsudskiego i wrzuceniu po jego śmierci, pisał Dworak, przecież „świat historii i duszy polskiej jest w swej głębszej istocie niedostrzegalny dla Żyda”.

Brzechwa nie czuł się związany ani z kulturą, ani z językiem czy religią żydowską. Nie musiał, wiadomo było, że i tak, i to prędzej niż później, pochodzenie ojca zostanie mu wypomniane. Jak Tuwimowi, Słonimskiemu i wielu innym polskim pisarzom, którzy mieli żydowskie korzenie. Powstało wtedy kilka utworów takich jak *Żydokomuna*:

Kołtun pod rękę bierze kołtuna:  
– Wódki na kredyt nie chce dać sklep!  
– Żydokomuna! Żydokomuna!  
Huzia panowie! Kija – i w łeb!

Prztycki kołduny pcha do kałduna,  
Czosnkiem w tramwaju odbąknął, więc:  
– Żydokomuna! Żydokomuna!  
Huzia, panowie! Kija! I bęc! (...)

Deszcz pada w Tatrach. Cóż, do pioruna?  
Wiatr, panie dziejski, wieje od hal!  
– Żydokomuna! Żydokomuna!  
Huzia, panowie! Kija! I – wal!

W 1932 roku Brzechwa, podoficer rezerwy z cenzusem, został wezwany na ćwiczenia wojskowe. Wśród kilkudziesięciu rezerwistów, którzy trafili do kompanii strzelców dowodzonej przez porucznika Józefa Kuropieskę, byli prawnicy o znanych nazwiskach, restauratorzy, kupcy, a nawet popularni aktorzy i pisarze. Zdarzali się pośród powołanych dyrektorzy banków, redaktorzy naczelni gazet, słynni piłkarze i uczeni, a nawet wysocy ministerialni urzędnicy. Ćwiczenia były dla nich tyleż okazją do odświeżenia wiedzy wojskowej, co odpoczynku od codziennych zajęć i... rodziny.

Szef kompanii dość szybko zameldował Kuropiesce, że wieczorem, kiedy rezerwiści zostają w koszarach sami, uprzyjemniają sobie trudy żołnierskiego życia libacjami, a tym, który dostarcza alkohol, jest sierżant Brzechwa. Przywozi wódkę własnym samochodem, wracając z przepustki. Dowódca nie mógł nie zareagować. Co prawda znał Brzechwę wcześniej, bywali razem w tym samym kawiarnianym towarzystwie, ale nie wynikało z tego wiele więcej ponad przypadkową wymianę zdań. Wezwał winowajcę i oświadczył, że następstwem każdej kolejnej informacji o piciu w koszarach będą wielokilometrowe nocne marsze połączone z ćwiczeniami. „O żadnych «nocnych szmerach» już mi więcej nie meldowano” – wspominał Kuropieska. Ale zapamiętał Brzechwę bardzo dobrze. Świetny piechur, wytrzymały podczas ćwiczeń i marszów, a przy tym pogodny i koleżeński, wspominał. Szkolenie uwieńczył awansem na starszego sierżanta.

Tradycyjnie na koniec wielotygodniowych ćwiczeń odbywał się wyprawiany przez rezerwistów bankiet. Brzechwa zaprosił przyjaciół z kabaretu: Tolę Mankiewiczównę, Michała Znicza i Stanisława Łapińskiego; przyjechali na własny koszt i zaśpiewali dla wojska. A znajomość świeżo upieczonego starszego sierżanta z Kuropieską rozkwitła. Kilka tygodni później zaprosił porucznika do Morskiego Oka, żeby posłuchał, jak piękna Dora Kalinówna w uniformie Przysposobienia Wojskowego Kobiet recytuje wiersz Brzechwy *Pewukaczka*. Kuropieska bywał także w domu nowego przyjaciela, gdzie poznał wielu sławnych wtedy ludzi, m.in. Brunona Winawera, fizyka, felietonistę i komediopisarza, który przychodził do poety na brydża.

Wojskowe doświadczenia wykorzystał Brzechwa, pisząc w 1934 roku z Emanuelem Schlechterem scenariusz filmu *Parada rezerwistów*. Na ćwiczenia rezerwy wezwany zostaje szef najwytworniejszej w miasteczku restauracji (Adolf Dymśa) i dwaj jego kelnerzy (Stanisław Sielański i Władysław Walter). W wojsku okazuje się, że pracownicy mają stopnie wyższe niż ich chlebodawca, i tym razem to oni będą wydawać rozkazy. Wszechwładny w cywilu szef nie może zrozumieć, że odtąd wszystko będzie wyglądać inaczej.

– Proszę o mundurek! Żeby leżał jak ulany. Jestem bardzo wrażliwy na te sprawy – próbuje komenderować wojskowym magazynierem Dymśa.

– Na półce leżał jak ulany. Nie wiem, jak będzie leżał na was – słyszy od kaprała.

Sytuację jeszcze bardziej komplikuje kobieta (Tola Mankiewiczówna), dyrygentka zespołu

muzycznego, w której z wzajemnością zakochuje się strzelec Dymśa. Kłopoty zaczynają się, gdy dziewczyna zastępuje nietrzeźwego ukochanego na warcie. Przełożonych niepokoi, gdy wartownik nagle zaczyna sobie pudrować nos.

*Parada rezerwistów* ma być odtrutką na nudę, na smutek, na ból i troski – zapowiadali film dziennikarze. Michał Waszyński, reżyser najpopularniejszych przedwojennych polskich komedii, mówił pismu „Reporter Filmowy”: „Nigdy jeszcze tak świetnie się nie bawiłem. Nakręcanie *Parady rezerwistów* stało się dla mnie lekcją śmiechu”. Recenzenci nie byli jednak równie zachwyceni filmem, a właściwie nie byli zachwyceni w ogóle. Chwalili aktorów, zwłaszcza Dymśę, ale na reżyserze i scenarzystach nie zostawili suchej nitki. *Parada* byłaby dobrą farsą „przedmieściową”, gdyby w ogóle była dobrą farsą – ocenił recenzent tygodnika „Bluszcz”. Film nie ma scenariusza, mizerna akcja zaczyna się dopiero pod koniec, rozwlekłe i niedokończone gagi ściągnięte zostały z filmów zagranicznych, reżyseria żadna, robiona „sobotnim ścięciem na niedzielny targ”, zresztą któryż to już w tym roku film Waszyńskiego? Zarzuty były celne. Filmy robiło się wtedy bardzo szybko, właściciele kin, którzy finansowali produkcje, naciskali na tempo, więc nie było czasu na dopieszczanie obrazów. A Waszyński był szczególnie rozchwytywany. W 1934 roku wyreżyserował pięć filmów, w 1935 i 1936 po sześć, a w 1938 aż siedem!

Stefania Zahorska w „Wiadomościach Literackich” była jeszcze bardziej surowa. Pochwaliła Dymśę, że autentyczny, pierwszorzędny, pełen wdzięku, ale scenariusz filmu nie dorasta mu do pięt, bo znalazły się w nim zaledwie trzy lub cztery dobre kawały, „wszystko pozostałe jest takie, jak zwykle bywa w polskim filmie, tylko montaż wypadł gorzej, tak tandetnie, że zaciemnia chwilami nieskomplikowany sens, przeznaczony dla rezerwistów” – napisała.

*Parada rezerwistów* nie przetrwała do naszych czasów (istnieje jedynie zwiastun filmu). Ale na starych płytach wytwórni Columbia zachowała się jedna z piosenek autorstwa Brzechwy – *Barbara*:

Największy wdzięk i szyk  
Największy smak i dryg  
Czaruje wszystkich w mig  
Barbara! Barbara!  
Na banjo pięknie gra  
Pieprzyków tysiąc ma  
Malutki nos, milutki głos  
Po prostu: wielki los!

W filmie śpiewał ją dla Mankiewiczówny Dymśa, później wykonywał Tadeusz Faliszewski. Teksty i nuty utworów z *Parady...* (także slow-fox *Oj, niedobrze* i walc *Już wiem*), zostały wydane przez Gebethnera i Wolffa. Podobnie jak kilka innych piosenek Brzechwy, które napisał do popularnych filmów. Boston *Adieu, bądź zdrów!* (muzyka Jana Maklakiewicza) z filmu *Cham* (według powieści Elizy Orzeszkowej), dopowiadał historię prostytutki Franki, która próbując wyrwać się ze świata płatnej miłości, wychodzi za mąż za zwykłego chłopaka ze wsi. Nie wytrzymuje jednak nudnej egzystencji i wraca do dawnego życia. „Wyznaję wam, że ciało mam nienasycone. / Wczorajszy szal, co mógł, to dał, a dziś już w sercu zgasł” – śpiewała w filmie Krystyna Ankwicz. Brzechwa był także autorem słów bostona *I nic więcej* (do muzyki Fritza Hollandera) w polskiej wersji słynnego filmu Josefa von Sternberga *Błękitny anioł*, z Marleną Dietrich w roli piosenkarki Loli Loli uwodzącej starego profesora Ratha. Tę piosenkę też włączył



do swego repertuaru Faliszewski.

Przystojny, szarmancki i znany prawnik, tekściarz i poeta miał powodzenie u kobiet i chętnie z niego korzystał. Nie chwalił się nim jednak. Wręcz przeciwnie, „lubował się w opowieściach na temat swych nieudanych eskapad i romansów o groteskowym posmaku” – zapamiętał Antoni Marianowicz. Jedna dotyczyła przygody z sądową stenotypistką, Żydówką. Urzędniczka, nie mogąc nawet w takim momencie zapomnieć o przepaści dzielącej ją i adwokata, w chwili ekstazy szeptała:

– Oj, panie mecenasie... Uj, panie mecenasie!

Już po wojnie Brzechwa opowiedział Marianowiczowi o jeszcze jednej przygodzie. Tym razem chodziło o nieudaną próbę uwiedzenia podczas kongresu CISAC w Paryżu pięknej pedikiurzystki. Po całym dniu prac nad prawniczymi przepisami i umowami postanowił zabawić się w damskim towarzystwie. Kazał hotelowej pedikiurzystce zgłosić się do swojego pokoju o jedenastej wieczorem, zamówił szampana i czekał pełen nadziei. Pedikiurzystka przyszła punktualnie, otworzyła walizeczkę z kosmetycznymi utensyliami i przystąpiła do pracy. Pozostała nieczuła zarówno na szampana, jak i sugestie, że przecież tak naprawdę wcale nie o obcinanie paznokci u nóg chodziło.

– I jak idiota spędziłem wieczór z bosymi stopami w misce z gorącą wodą – opowiadał Brzechwa.

W Paryżu spotkał Zofię Nałkowską. Wybrali się razem na bankiet w pasażu La Boule Blanche, tańczyli z przygodnie spotkanymi Murzynami, a Nałkowska uważnie się Brzechwie przyglądała. Nie wiadomo, czy poeta był na liście erotycznych celów, a tym bardziej zdobywcy romansowej pisarki, ale parokrotnie w swoim dzienniku podkreślała, że „choć poeta słaby, mężczyzną jest powabnym”. W odróżnieniu od żony: „jasnowłosej i brzydkiej”, z którą w dodatku jest rozwiedziony. Rozwiedziony jeszcze nie był, ale małżeństwo z Karoliną rzeczywiście stawało się coraz bardziej fikcją.

Zimą 1934 roku pojechał do Estonii. Po kilkunastogodzinnej podróży pociągiem złożonym z trzech wagonów, w których jechało zaledwie dwóch pasażerów, dotarł do Tallina. Wrócił zauroczony miastem pełnym małych, wąskich uliczek, z kamienicami o ostrych dachach, które zbudowano według miniatur malowanych na wieczkach starych tabakier. Po powrocie opublikował w „Wiadomościach Literackich” artykuł o estońskiej literaturze, a jakiś czas później w „Tygodniku Ilustrowanym” bogato ilustrowany esej o estońskim malarstwie, rzeźbie i architekturze. Pisał, że to konieczne, bo Polacy, którzy na przykład Francję znają lepiej od Francuzów, o Estonii nie wiedzą nic albo kojarzą ją wyłącznie z kilkoma rewelskimi (od dawnej nazwy Tallina – Rewel), małymi słonymi rybkami, które przywożono do Polski całymi wagonami. „Nie wykazują nawet takiego zainteresowania, jakie budzą w nas wiedeńskie miłostki operetkowego króla Albanii” – pisał. Nie miał raczej złudzeń, że po jego artykule Polacy masowo rzucą się do czytania estońskiej literatury, której przekładów i tak nie było, i do kontemplowania estońskiej sztuki, ale przygotował się do obu tekstów solidnie.

Druga połowa lat trzydziestych to nie był dobry czas ani dla kabaretu, ani dla prawników żydowskiego pochodzenia. Z kręgów adwokatury coraz częściej dochodziły głosy o konieczności ograniczenia dostępu do palestry osób o niepolskim pochodzeniu. Nie było wątpliwości, że chodzi o Żydów, którzy dominowali w większości okręgów adwokackich. W czerwcu 1939 roku Związek Adwokatów Polskich podjął uchwałę o zmniejszeniu liczby adwokatów pochodzenia mojżeszowego do najwyżej dziesięciu procent. W uchwale obok patetycznych zdań o patriotyzmie i Polsce stojącej w obliczu śmiertelnego zagrożenia znalazł się też zapis o akcji zmierzającej do nadania adwokaturze „całkowicie polskiego oblicza”. Adwokaci Polacy uznali za konieczne usunięcie z palestry adwokatów Żydów, „którzy są znani z ujemnego ustosunkowania się do kultury i państwowości polskiej”. Oczywiście Brzechwę równie trudno było podejrzewać o którykolwiek z tych grzechów, jak chcących pozbyć się żydowskiej konkurencji prawników o czyste intencje. Ale pretekst w razie

potrzeby był.

Rewiowe scenki do końca II Rzeczypospolitej próbowały utrzymać się na powierzchni. W kwietniu 1939 zainaugurował działalność nowy warszawski teatrzyk Ali Baba. Do współpracy zaproszono najlepszych: Tuwima, Hemara, Własta, Władysława Szlengela i oczywiście Brzechwę. W pierwszym programie *Sezonie otwórz się* wystąpili Mira Zimińska i Alicja Halama, Ludwik Sempoliński i Mieczysław Fogg. W kolejnym, *Orzeł i Rzeszka*, Sempoliński wykonywał słynną piosenkę Hemara o Hitlerze *Ten wąsik, ach ten wąsik*. Ostatnią premierę Ali Baba dał 1 września, ale rewia z nowymi żartami o wodzu Trzeciej Rzeszy i niemocy niemieckiej armii chyba mało kogo już wtedy śmieszyła.

Czasy dla kabaretu nadchodziły fatalne, prawo miało zostać zastąpione przez zarządzenia władz okupacyjnych, a muzy, zgodnie z łacińską sentencją, zamilknąć pośród szczęku broni. Nie było miejsca ani dla dostarczyciela kabaretowych tekstów Szer-Szenia, ani dla prawnika Lesmana, ani dla poety Brzechwy. I to w momencie, kiedy wreszcie znalazł w poezji własny język.

# Dopiero te moje wiersze są dobre i oryginalne...

Zadebiutował jako bajkopisarz późno. Dobijał czterdziestki, doświadczenie w kontaktach z dziećmi miał niewielkie, żeby nie powiedzieć żadne, gdy pewnego dnia przyniósł Janinie Mortkowiczowej, prowadzącej wraz z mężem słynne wydawnictwo, kilkanaście wierszy dla dzieci, które w dodatku wcale nie były przeznaczone dla... dzieci.

Podczas wakacji w Zaleszczykach – rok musiał być 1934 lub 1935, lało, było nudno – zaczął pisać wierszyki, żeby rozerwać dorosłych. Tak przynajmniej opowiadał w wywiadach. Jednemu z przyjaciół zdradził wersję mniej oficjalną. Otóż poznał w jednym z otwockich pensjonatów przedszkolankę („niepobawioną wdzięku i urody”), i to ją uwodził, układając żartobliwe strofy.

Złożył je najpierw w oficynie J. Przeworskiego, a kiedy tam nie znalazły uznania, zaniósł do Mortkowiczów. Janinie Mortkowiczowej wiersze się spodobały, mimo wszystko jednak Brzechwa zdziwił się, kiedy zapowiedziała, że wyda je jako książeczkę dla dzieci. I to koniecznie z kolorowymi ilustracjami! Czekał na to blisko dwa lata, bo edytorka wypróbowała kilkoro plastyków, zanim zdecydowała się na rysunki Franciszki Themerson. Tuż przed gwiazdką 1937 roku w księgarniach pojawiła się pierwsza z dwu przedwojennych książek Brzechwy dla dzieci – *Tańcowała igła z nitką*.

– Jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy Leśmian powiedział mi, że dopiero te moje wiersze są całkiem dobre i oryginalne – wspominał. – Zachęcony tym, napisałem *Kaczkę dziwaczkę*.

W drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku nad Polską rozbiła się bania z dziecięcą poezją. W tym samym czasie, i równie niespodziewanie co bajki Brzechwy, ukazały się książeczki Juliana Tuwima: *Lokomotywa*, *Słoń Trąbalski*, *O Panu Tralalińskim*. Tomiki Brzechwy były pierwszymi wielobarwnymi książkami składanymi w drukarni Mortkowiczów. Jej kierownik, Władysław Grzelak, wspominał, że Brzechwa bardzo się tym interesował. Przychodził do drukarni, oglądał kontrolne wydruki, sprawdzał, jak wyszły kolory. Wiedział, co robi. „*Kaczka dziwaczka* zrobiła fantastyczną karierę i była kilkakrotnie wznawiana” – pisał Grzelak.

W dwu przedwojennych książeczkach znalazły się wiersze podstawowe dla bajkopisarskiego dorobku Brzechwy. Oprócz tytułowych, także: *Nie pieprz Pietrze*, *Katar*, *Żuraw i czapla*, *Kłótnia rzek*, *Pomidor*, *Na straganie*, *Sum*, *Sroka*, *Kokoszka-smakoszka*, *Sójka*, *Stryjek*, *Znaki przestankowe*, *Pytalski*, *Wrona i ser*.

Entuzjastycznie powitała Brzechwę bajkopisarza Janina Broniewska, sama też autorka opowiadań dla dzieci. W „Wiadomościach Literackich” napisała o czarodziejskim cyrku, w którym dzieją się rzeczy dziwne i niespodziewane. Zapowiadają je już rysunki na okładce: struś na sprężynowych nóżkach, ucieszna paniusia z koczką i żółw grający na trąbce, a „wewnątrz jest jeszcze zabawniej” – zachwycała się pierwszym z tomików. Przed *Kaczką dziwaczką* ostrzegła rodziców, którzy na nieposłuszeństwo dzieci stosują różgi albo dyscyplinę, nie pozwalają na „ryzykowne” zabawy w rodzaju berka albo łażenia po drzewach i zakazują przedrzeźniać i śmiać się z innych, chyba że są słabsi i „gorsi”. Reszta nie powinna się „literackiego narkotyku” Brzechwy obawiać, gdyż, jak pisała, „ten «biały proszek» wyjdzie najbardziej przedrzeźniałskim i przeżywalskim na zdrowie. Poprzez zabawę, radość i śmiech nawet *Kaczka dziwaczka* ma także swój wpływ wychowawczy – i to dodatni”.

Stefania Podhorska-Okolów w „Bluszczu” pisała z podziwem o zabawie słowami oraz finezyjnym i dowcipnym antropomorfizmie utworów Brzechwy, w którym zakochają się nie tylko dzieci, ale także dorośli: „Temperament twórczy i wrodzona swada zapędzą go nieraz w ślepią uliczkę nonsensu,

z której w ostatniej chwili wywinie się zręcznym piruetem”.

Jednak tak zwana krytyka fachowa nie była utworami Brzechwy zachwycona. W periodyku „Wychowanie Przedszkolne” zarzucono poecie, że wiersze, których przecież wcale nie pisał dla dzieci... nie nadają się dla dzieci. Bo są zbyt skomplikowane (w *Kłótni rzek* padają nazwy aż 24 rzek, zarzucił poecie recenzent, choć naprawdę pojawia się ich 16) i abstrakcyjne, za dużo w nich groteski i absurdalnego humoru („panie sumie, w sumie niewiele pan umie”). Ponadto poeta za często posługuje się niezrozumiałą dla dzieci grą słów („ślepy przeoczył”, „niemowa opowiedział”, „głuchy streścił to, co słyszał”) i zbyt trudnymi zwrotami, jak „besztać” czy „pypeć”.

A przede wszystkim – pisała Barbara Stefania Kossuthówna – wiersze Brzechwy były niepedagogiczne. Nie kończyły się chwalebny morałem, promowały niewłaściwe zachowania, a opisywane w nich zwierzęta nie budziły sympatii. „Przykrym pomysłem jest zrobienie ze stonogi eleganckiej damy: stonoga żyjąca w wilgotnych, niechlujnych domach jest upostaciowaniem nieporządku i nie jest bynajmniej pożądanym gościem” – uznała recenzentka.

Jeszcze inne pretensje pojawiły się w jednym z endeckich dzienników, wspominał po latach Brzechwa. Został zaatakowany za deprawowanie dzieci i przemycanie pod pozorem niewinnych wierszyków pornografii. Poszło o wiersz *Nie pieprz Pietrze*, w którym miał jakoby sugerować dzieciom inne, bardziej dosadne znaczenie czasownika „pieprzyć”. W innym utworze zdaniem recenzenta perfidnie podrzucał małym czytelnikom rym do słowa „zupa”, przywodzący na myśl brzydkie słowo: „Na co wasze swary głupie, / Wnet i tak zginiemy w zupie...” Podobny zamiar miał mieć, kiedy pisał: „siedzi sroka na żerdzi i twierdzi...”.

Powodzenie bajek spowodowało jednak, że zaczęto postrzegać Brzechwę jako specjalistę od utworów dla dzieci. Warszawskie Nowe Wydawnictwo zamówiło u poety adaptację książeczek Einara Noreliusa o przygodach trójki krasnali – *Trzy wesole krasnoludki* i *Krasnoludki w ciepłych krajach*. Praca była karkołomna, bo najpierw tłumacz musiał przełożyć utwory z języka szwedzkiego, a potem Brzechwa układał rymowaną historyjkę tak, żeby pasowała do oryginalnych obrazków, więc tak naprawdę tworzył nową opowieść. W efekcie nawet życzliwa mu Broniewska napisała w „Wiadomościach”, że po Marii Konopnickiej, której skrzaty bez reszty zawładnęły sercami Polaków, trudno napisać coś, co wywołałoby silniejsze wzruszenie, „nawet gdyby Brzechwa mógł działać tutaj zupełnie swobodnie, rozwijając własną, niczym nieskrępowaną inwencję”.

Nowe wiersze, nowy poetycki język, nowi odbiorcy, wszystko to zmieniło także samego Brzechwę. „W miejsce mecenasa w todze udrapowanej na młodopolską pelerynę lub płaszcz i szpadę Don Juana pojawił się Brzechwa prawdziwy, taki, jakim był jako człowiek: dowcipny pan, już wtedy w średnim wieku, bardzo bystro obserwujący świat, który go otaczał, bardzo tego świata ciekawy, bardzo nim rozbawiony” – napisał Ryszard Matuszewski.

Pojawił się, ale szybko musiał zniknąć. Wybuchła wojna.

# Amok miłosny anulował rzeczywistość...

Pod koniec sierpnia 1939 roku coraz mniej osób wierzyło, że wojny z Niemcami uda się uniknąć. Brzechwa zareagował na zagrożenie wierszem *Ojczyzna*. Nad Wisłą zawisła burza, przekonywał, ojczyzna wzywa, trzeba na jej wezwanie odpowiedzieć.

O, matko! Mundur mi podaj –  
Ten sprzed dwudziestu lat,  
Krew moja jest znowu młoda  
Jak rozmarynu kwiat.

O, matko! Mój mundur szary  
Bóg mi kulami szył,  
Kulami uczył mnie wiary,  
Kiedy już brakło sił.

Przecież krew w żyłach jeszcze nie wyschła, pisał dalej, więc włoży mundur i buty, które nosił dwadzieścia lat temu, i jak wtedy pomaszeruje bić się za Polskę. „Gdy padnie słowo «Ojczyzna», / Znow będzie warto żyć”.

Wiersz ukazał się na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich” z 3 września 1939 roku. Kiedy numer wysyłano do drukarni, nie było jeszcze wiadomo, którego dnia Niemcy zaatakują. Utwór Brzechwy był jedyną aluzją do nadciągającego zagrożenia. Na tytułowej stronie tygodnika oprócz *Ojczyzny* ukazało się omówienie francuskiej książki Henri Gauberta, poświęconej najśłynniejszemu bon motom w historii, takim jak „A jednak się kręci” czy słowu, którego użył general Cambronne pod Waterloo.

Wiersz był podczas wojny wielokrotnie przedrukowywany przez podziemne gazetki. Ale we wrześniu 1939 poeta nie zdążył założyć munduru. Nie przedostał się też, jak tyłu artystów, ani do Lwowa, ani do Wilna, a pozostanie w Warszawie oznaczało dla pisarza żydowskiego pochodzenia śmiertelne niebezpieczeństwo. Tym większe i bardziej dosłowne, gdy w jednej z gadzinowych gazet nazwisko Brzechwy znalazło się na liście osób przeznaczonych do eksterminacji. Niebezpieczeństwo groziło mu zarówno ze strony Niemców, jak i szmalcowników, dla których majątny adwokat był łakomym kąskiem.

Początkowo ukrywał się w Mianolicach pod Krakowem, a potem, razem z przyjacielem Adamem Ostoją Owsianym, w Opaczy pod Warszawą.

W majątku Heleny Oskierko-Haller w Mianolicach schronienie znalazło więcej osób. Bywał tam nawet słynny Oskar Schindler, który kupił za grosze fabrykę w okupowanym Krakowie, ale potem uratował życie ponad tysiącu Żydom. Podczas którejś z wizyt zobaczył Brzechwę. Miał wtedy powiedzieć właścicielce majątku:

– Kiedy ja tu przyjeżdżam, ten pan może bez obaw zasiadać z nami do stołu. Ale jeśli przyjdą Niemcy, lepiej niech się nie pokazuje.

Schindler przyjeżdżał do Mianolic ze swoją współpracownicą Janiną Olszewską. Najwyraźniej spodobała się Brzechwie. Zadeedykował jej wiersz zaczynający się słowami „Lat temu trzysta na pewno / Byłabyś dumną królewną...”. Utwór według Marianowicza „nieznany”. Olszewska dostała go od poety opatrzony tytułem *Janusi za pocałunek*. Ten sam wiersz, ale pod tytułem *Ballada*

o małej księżniczce, znany jest dobrze, był jednak uważany za utwór dedykowany przyszłej żonie Brzechwy. Być może poeta, jak tyłu przed nim, i tyłu po nim, ofiarował go dwóm kobietom? Tym bardziej że miały tak samo na imię!

Późniejsze miesiące Brzechwa opisał w poemacie zatytułowanym *Opacz*:

PO DNIACH ścigania, nędz i płaczu  
Musiałem wreszcie ruszyć w świat  
Ażeby ukryć się w Opaczu,  
Gdzie pada deszcz i szumi wiatr...

Czas upływał mu na grze w szachy, nieczęstym pisaniu wierszy i czekaniu, co się jeszcze wydarzy. No i na picciu karmelowej przepalanki na pędzonym po kryjomu spirytusie. „I wódki nalej nam Adamie – / Wszak Dante lubił wypić też” – zwracał się w wierszu do przyjaciela.

Adamie, trudno żyć w tych czasach,  
Gdy pęka niebo, ziemia drży,  
Gdy nawet krzyż się zmienia w tasak  
I odrąbuje ludzkie łby.

W końcu jednak wrócił do Warszawy. Pracę znalazł w gospodarstwie rolnym, utworzonym przez Niemców na terenie toru wyścigów konnych na Służewcu. Został ogrodnikiem odpowiedzialnym za stan żywopłotów, formalnie zatrudnionym przez Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni w Polsce. Praca nie była może najbardziej satysfakcjonująca, ale dawała mocne papiery, bo Służewiec i Towarzystwo znalazły się pod bezpośrednim zarządem jednej z niemieckich firm. A solidny ausweis z niemiecką wroną i stemplem dawał nadzieję na przeżycie. „Nowo kreowany ogrodnik miał lekką rękę i był pojętny, dowodem tego są służewieckie żywopłoty, do dziś żywe i zielone” – wspominał w 1961 roku Roman Rogowski, zarządca gospodarstwa podczas wojny. Brzechwa przyjeżdżał rano tramwajem, przebierał się w drelichowy kombinezon i szedł do pracy. Po paru godzinach przychodził do biura Rogowskiego, mył się, coś zjadał i wracał do domu. Czasem szli razem na brydża do mieszkających przy ulicy Moniuszki przyjaciół Rogowskiego, Janiny i Jerzego Żółkiewskich. Brzechwa, smakosz i znawca kuchni, pomagał pani domu w przygotowywaniu zakąsek.

Mieszkał na przemian w swojej garsonierze na Szczygłej albo w kamienicy przy Marszałkowskiej, u tancerki Wity Niedzielskiej, dla której krótko przed wojną porzucił Karolinę. Albo „u jednej z licznych swoich przyjaciółek”, wspominał Stanisław Ryszard Dobrowolski, który odwiedził go kiedyś w mieszkaniu na rogu Kredytowej i Jasnej. Wcześniej spotykali się rzadko i raczej przypadkiem. Brzechwa ze swoim nie całkiem aryjskim wyglądem ściągał niebezpieczeństwo, a Dobrowolski działał w akowskim podziemiu, „nie należy gromadzić za wiele prochu w jednym miejscu” – pisał. Potem, w miarę oswojania okupacyjnej rzeczywistości, spotykali się częściej.

Jedno z takich spotkań Dobrowolski zapamiętał na długo. Któregoś dnia, była jesień 1943 roku, Brzechwa oświadczył mu, że jest zakochany. Jakiś czas później zaprosił przyjaciela na kolację do Cyranki, małej restauracyjki przy ulicy Widok, żeby przedstawić wybrankę. Był jeszcze Jan Marcin Szancer i ktoś, czyjego nazwiska Dobrowolski nie zapamiętał. Podano frykasy w okupacyjnej Warszawie widywane rzadko: wykwentne zakąski, smażonego łososa, polędwicę na grzance, białe i czerwone wino, szampana i wielki tort. „Od paru lat czegoś podobnego nie oglądałem nawet

z daleka” – wspominał Dobrowolski. Brzechwa przedstawił gościom piękną młodą kobietę. To była Janina Serocka, która po wojnie została jego trzecią żoną.

Przypadkiem poznał ją Eryk Lipiński, znajomy Brzechwy sprzed wojny (projektował programy do rewii Momusa). Szukał schronienia, a znajomi zaproponowali mu pokój w jednej z kamienic na Foksal, w mieszkaniu należącym właśnie do Serockiej, „osoby młodej i bardzo urodziwej” – zapamiętał Lipiński. Któregoś dnia usłyszał dochodzący z pokoju gospodyni głos, który wydał mu się znajomy. Nie potrafił tylko przypisać go konkretnej osobie. Dopiero kiedy natknął się na gościa w przedpokoju, wszystko się wyjaśniło. To był Brzechwa, „nieco speszony, ale powitał mnie bardzo serdecznie” – wspominał Lipiński. Poeta i jego kochanka zostali natychmiast zaproszeni do literacko-aktorsko-malarskiego towarzystwa, które kilka pięter wyżej odbywało regularnie towarzyskie spotkania, zwane „nocnikami”. Trwały zwykle znacznie dłużej, niż dopuszczała to godzina policyjna, więc musiały być przedłużane do rana.

Okupacyjna historia związku Janiny Serockiej, z domu Magajewskiej, i Brzechwy obrosła legendą. Ona była żoną fryzjera, który oprócz zakładu prowadził różne mniej lub bardziej nielegalne interesy, on zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia już w 1940 roku. Ale bez wzajemności. „W dniu upadku Paryża zażył truciznę, ponieważ ukochana kobieta oznajmiła mu, że kocha innego” – zanotował opowieść Brzechwy Kazimierz Brandys. Dwa i pół roku później, w dniu klęski Niemców pod Stalingradem, zobaczył kobietę w barze na Nowym Świecie. Wszedł, runął na kolana i... zemdlął. Janina zgodziła się na spotkanie, ale tylko po to, żeby jeszcze raz powiedzieć mu, że nie rzuci męża. „Bajkopisarz chudł w oczach, przez co uwydatniły się jego semickie rysy” – pisał Brandys. Zapytał kiedyś Brzechwę, jak udało mu się przeżyć okupację, skoro niearyjskie pochodzenie miał wypisane na twarzy.

– To bardzo proste. Okupacja mnie nie dotyczyła. Byłem zakochany – usłyszał.

„Nie zauważył okupacji hitlerowskiej, A wiesz, że z jego pochodzeniem to nie było takie łatwe” – opowiadał Artur Międzyrzecki w *Hańbie domowej*.

„To uczucie miało charakter monomanii i przeprowadziło Janka przez okres wojny w sposób na wpół cudowny” – pisał Antoni Marianowicz. Przestał dostrzegać, że wokół trwa wojna, poszedł nawet do wróżki, żeby zapytać o przyszłość, wspominała Irena Szymańska, „on racjonalista, dumny ze swojej nowoczesności, zachowywał się jak bohater modernistycznej powieści”.

Dożywiał się słodyczami, ale nie przynosiło to żadnych efektów. Chudł dalej. Któregoś dnia, gdy kupował w cukierni torcik mocca, podeszło do niego dwóch mężczyzn w cywilu. Zabrali go do siedziby gestapo w Alei Szucha i oskarżyli, że jest Żydem. Brzechwa miał odpowiedzieć, że mylą się, ale jeśli chcą go rozstrzelać, mogą to zrobić, bo jemu już i tak nie zależy na życiu.

– Czemu? – chcieli wiedzieć Niemcy.

– Kobieta, którą kocham, nie chce się ze mną połączyć, a życie bez niej nie ma dla mnie wartości – odparł.

Odpowiedź była tak absurdalna, że trudno było ją wziąć poważnie. Niemcy ryknęli śmiechem i wyrzucili go za drzwi. Był już na dziedzińcu, przy budce wartownika, gdy przypomniał sobie, że przecież w pokoju, w którym był przesłuchiwany, został torcik. Wrócił, zastukał, przeprosił i zabrał zgubę. Niemcy byli tak zaskoczeni niewiarygodną bezczelnością tego, co zrobił, że nie oponowali. „Ukochaną kobietę zdobył dopiero po wojnie” – napisał Brandys. „Romansować z innymi kobietami zaczął wkrótce po ślubie. Byli dobrym małżeństwem aż do śmierci Bajkopisarza”.

Zachował się list Brzechwy do Janiny, pisany przez trzy dni, od 12 do 14 grudnia 1944 roku. Czterdzieści stron maczkiem. Zaczął go pisać po spotkaniu z ukochaną, która po raz kolejny

oświadczyła mu, że nic z ich związku nie będzie. Poskarżyła się mężowi, że Brzechwa ją nęka, i zapowiedziała, że odtąd będą rozmawiać wyłącznie w jego towarzystwie. A potem odwróciła się na pięcie i zostawiła poetę na środku rynku w Mogielnicy, gdzie mieszkała po powstaniu.

Poczuł się oszukany. Janina była jego kochanką od dwóch lat; zaczęło się, gdy jej mąż trafił do więzienia na Pawiaku. Myślał, że wybrała właśnie jego. „Przyszłe nasze małżeństwo zdawało się być sprawą przesądzoną (à propos: czy miałem o tym wszystkim mówić przy Tadeuszu?)” – wypominał jej Brzechwa.

Wyrzucał jej, że po tylu nocach, które spędzili razem, po miłosnych zaklęciach i przyrzeczeniach, znów go unika, zwodzi, szuka wybiegów, by z nim nie rozmawiać. Że zwala wszystko na chorobliwą zazdrość męża, a tymczasem to ona zachowuje się tchórzliwie, nie mówiąc mu o uczuciu łączącym ją z Brzechwą. W zamian manifestuje nawrót miłości małżeńskiej, łasi się i przymila do męża, byle tylko uwierzył, że jest mu wierna. Oskarżał Janinę, że kocha jego, a mężowi podkłada się jak zwykła dziwka, „aż najbliższe otoczenie Twoje doznało uczucia niesmaku”. Robił wszystko, żeby zozydzić w jej oczach męża-fryzjera. Pisał, że to zidiociały samiec z rogami zasadzonymi na mętym łbie, ograniczony aż do mdłości, który sprowadził jej życie do cerowania skarpet i mycia klozetki. „Kładziesz się obok swego matołka, chociaż nie możesz patrzeć na jego tępą twarz i wyłupiaste oczy, wyteżasz swą sztukę miłosną, aby dogodzić temu nedorozwiniętemu, wyblakłemu prostakowi i zmylić jego podejrzenia” – pisał.

Posunął się nawet do moralnego szantażu. Janina powinna pamiętać, napisał, że wojna kiedyś się skończy, a wtedy on, Brzechwa, poeta i wzięty prawnik, znów stanie się tym, kim był dawniej, „paląc za sobą mosty, burzysz to wszystko, co opromienia Twoje życie i Twoją postać! Znadto wdarłaś się w moje istnienie, abys nie miała utwalić się w mojej twórczości, która nie osiągnęła jeszcze szczytowego punktu swego rozwoju”. Straszył Jankę, że pisze właśnie nowelę *Zmory mogielnickie*, w której występuje ona, jej matka i reszta rodziny. „Z jakim obliczem przejdiesz przez tą twórczość? Bo w życiu mym dwa miałaś oblicza: jedno – uroczej, nieśmiertelnej boskiej kochanki i drugie – niegodziwej, złej, okrutnej, małodusznej dręczycielki. Które oblicze wybierasz i które mam utwalić?” – był pewnie przekonany, że nie zostawia kochance wyboru. Przecież po wojnie przed nim świat stanie otworem, a ona pozostanie żoną fryzjera w prowincjonalnym miasteczku. „Przyjdzie czas, kiedy więcej będziesz przy nim połykała łez i upokorzeń aniżeli chleba” – pisał. Dziś fryzjer tryumfuje, ale przyjdzie czas, gdy fortuna się odwróci i to on będzie górą.

Wyrzucał jej wyrachowanie, przez które niszczy życie trzech osób: własne, Brzechwy i tego „żałosnego idioty, fryzjera”, który jest jej mężem. Bo uznała, że to się jej opłaci, bo podczas okupacji zakład fryzjerski to zajęcie pewniejsze i bardziej dochodowe niż pisanie bajek dla dzieci, których i tak nikt, póki trwa wojna, nie wyda. Wypominał Janinie, że poświęca jego miłość dla dostatku, bo tacy byli jej rodzice i taki jest jej mąż. To oni, pisał, wpoili w nią „przeświadczenie, że ta stęchlizna, to groszorbstwo, to sobkostwo, że to jest czystość obyczajów, że tak jest dobrze i ładnie”. Przekonywał kochankę, że zabija swój talent (pod wpływem Brzechwy Janina zaczęła pisać opowiadania), który on pierwszy dostrzegł.

Na 40 stronach listu przechodził od oskarżeń, przez szantaż, do wyznań wręcz modlitewnych: „Światłości mego życia, królowo moich marzeń, udręko mego życia – zmiłuj się nade mną. Wejrzyj w moją niedolę, ulituj się nad moim obłędem, ugaś moje tęsknoty. Odpuść mi moje winy, zapomnij uraz, uroń łzę nad moim cierpieniem. (...) Ty, która jesteś jaśniejsza od gwiazd i wonniejsza od kwiatów i śpiewniejsza od ptaków, zmiłuj się nad śpiewakiem Twoim”.

Ostatecznie to siebie obwinił o rozstanie. To przecież on zrobił jej przykrość, to on domagał się zwrotu pieniędzy zostawionych u niej w depozycie, które potem i tak stracił. Miała prawo nie



wierzyć w szczerą jego uczucia. „Wyobrażam sobie, jak musiało to zrazić Cię do mnie. (...) Przyznaję, że zasłużyłem na to, ale gdybyś mogła mi przebaczyć, wyświadczyłabyś mi wielkie dobrodziejstwo” – błagał. Przekonywał, że nie potrafi bez niej żyć. Prowadzi z nią głośne rozmowy, po nocach tuli do siebie, przywołuje pieszczoty.

Nie tracił nadziei, że Janina w końcu będzie jego. Przekonywał kochankę, że skoro dręczy się już cztery lata, więc wytrzyma także następne. Może Bóg zrobi coś, by zwrócić mu jej serce. A jeśli nie, to poradzi sobie bez Boga, choćby miał przywołać moce piekielne. „Moja godzina jeszcze wybije” – napisał.

Już po wojnie Marianowicz i Brzechwa postanowili napisać scenariusz filmu o miłości, która unieważniła okupację. Obraz ostatecznie nie powstał, ale w archiwum Marianowicza zachował się zarys scenariusza. Miał być komedią, ale z wojennym sztafżem: bombardowaniem miasta, łapankami, szmalcownikami i okupacyjnym folklorem – konspiracyjnymi przebierankami, handlem rąbanką i walutą, warszawskim humorem.

Bohater filmu, pan X, miał być przystojnym, pełnym uroku intelektualistą około pięćdziesiątki (fizycznie jak Vittorio de Sica), autorem antyfaszystowskich wierszy, przez które musi ukrywać się przed Niemcami. Zatrudniony jest jako ogrodnik, pielęgnuje żywopłoty. Przez pierwsze miesiące wojny boi się i rzadko wychodzi na ulicę. Kiedy wreszcie opuszcza mieszkanie, poznaje piękną dziewczynę, żonę handlarza starzyzną, w której zakochuje się bez pamięci. Widzi tylko ją, wojna przestaje dla niego istnieć, okupanci znikają. Uczucie staje się dla niego tarczą ochronną, swoistym ausweisem, dzięki któremu jest niewidzialny dla SS i gestapo.

Nie tylko przestaje się bać, ale zachowuje się z nieodpowiedzialną wręcz brawurą. By zobaczyć ukochaną, wystaje godzinami przed jej domem (mieszkańcy kamienicy biorą go za szpicla), na bazarze, gdzie kobieta pomaga mężowi, wyprzedaje resztki garderoby tylko po to, żeby zamienić z nią kilka słów. W końcu pozbywa się ostatniej pary spodni i wraca do domu w samej bieliźnie i palcie.

„Niewidzialność” Pana X staje się pożyteczna dla podziemia. Podczas łapanek tylko on jest w stanie przedostać się z jednej dzielnicy do drugiej. Dostaje do przeniesienia przez kordony żandarmów i „hycli” kopertę z zaszyfrowanymi informacjami. Robi to bez wysiłku. Pogrążony w marzeniach o ukochanej kobiecie idzie, nie zwracając na nikogo uwagi, a na próby legitymowania uśmiecha się i uchyla kapelusza. Zachowanie Pana X tak bardzo kontrastuje z tym, co dzieje się na ulicach, że kolejne patrole nie mają odwagi go zatrzymać, uznając, że tak bezczelnie może zachowywać się wyłącznie jakiś wysoko postawiony niemiecki urzędnik.

Pan X staje się jednak coraz bardziej natrętny, śledzi dziewczynę nawet w toalecie, aż wreszcie nękana przez wielbiciela decyduje się wyjechać z Warszawy. X nie może jej odnaleźć, rozkleja po całej Generalnej Guberni plakaty z rozpaczliwymi apelami, a kiedy wreszcie trafia na jej ślad i wyrusza na poszukiwanie, dowiaduje się, że skończyła się wojna.

Podobną historię umieścił w opowiadaniu *Kilka dni wojny, o której nie wiadomo, czy była* Tadeusz Konwicki. W tomie rozmów *W pośpiechu* potwierdził, że pisząc nowelę, myślał właśnie o Brzechwie. Bohater opowiadania, Żyd o nazwisku Karnowski, zakochuje się w Polce i wojna przestaje dla niego istnieć. Nie ma Niemców, łapanek, ani bomb, „amok miłosny anulował całą rzeczywistość” – mówił Konwicki.

„– Trzeba nie mieć rozumu. Jednych łapią na roboty do Rzeszy, innych rozstrzelują. To nie jest czas na spacer. To nie jest czas na flirty” – przekonuje Ewa, dziewczyna z opowiadania Konwickiego.

„– Za późno. Ja już stąd nigdy nie odejdę” – odpowiada Karnowski.

W Warszawie Brzechwa zachodził często na Chmielną 26, do komisju prowadzonego przez Walerego Jastrzębca-Rudnickiego. Wspominali czasy zaikowskie, planowali, co będą robić po wojnie. Tam poznał go Ryszard Rokicki, subiekt i goniec w sklepie Rudnickiego, po wojnie przez wiele lat pracownik związku.

– Ukrywał się, ale tam nie musiał się niczego obawiać. Wiedzieliśmy, kim jest, ale był wśród przyjaciół – wspomina.

Bywał też w słynącej z dobrej kuchni restauracji Pod Kasztanami, którą na placu Trzech Krzyży prowadziła Lucyna Messal. Sama primadonna pokazywała się w niej rzadko, Brzechwa zobaczył ją ostatni raz już po powstaniu, w Piotrkowie Trybunalskim. Wielka operowa diva, przed wojną noszona przez wielbicieli na rękach, handlowała na dworcu haftowanymi ręcznie chusteczkami. „Nie miałem pieniędzy, ale rezygnując z posiłku, nabyłem jedną chusteczkę” – wspominał Brzechwa, a ona zziębniętymi palcami przebierała towar.

Mniej więcej pod koniec 1943 roku Stanisław Ryszard Dobrowolski zaczął wciągać Brzechwę do współpracy z literackim podziemiem AK. Żałował, że zaproponował mu to tak późno, doświadczenie Brzechwy w pisaniu piosenek było nieporównywalnie większe niż jego własne. Stefan Kisielewski napisał muzykę do opublikowanego we wrześniu 1939 roku w „Wiadomościach Literackich” wiersza *Ojczyzna*. Utwór ukazał się w którymś z konspiracyjnych wydawnictw jako *Piosenka żołnierska*, a po wojnie miał być częścią przygotowywanego przez Wydział Kultury Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj programu odrodzonego Polskiego Radia. Jednak w nowej Polsce *Piosenka* nie znalazła uznania. Uważano, że sławi legiony Piłsudskiego, zwłaszcza słowa o szarym mundurze sprzed dwudziestu lat i kwiecie rozmarynu, i nie pozwolono nadawać.

Oprócz strzyżenia żywopłotu i uwodzenia Janiny Brzechwa pisał wiersze. I to, mimo wojny, raczej nie dla dorosłych. Obie przedwojenne książeczki z utworami dla dzieci robiły w czasie okupacji karierę. „Te moje teksty były przepisywane i sprzedawano je spod lady u Jabłkowskich” – wspominał. Oprawione w karton i opatrzone dedykacją autora stanowiły wspaniałe prezent.

Nowe utwory sprzedawał podziemnym wydawcom. Pojawiło się ich w okupowanej Polsce kilku. Zamawiali u autorów teksty, wypłacali zaliczki, mogąc mieć jedynie nadzieję, że kiedyś odzyskają zainwestowane pieniądze. Podpisywane umowy były tak naprawdę ukrytą formą dotacji dla pozbawionych zmysłu praktycznego twórców, choć po wojnie miało się okazać, że nie wszyscy z przyszłych „wydawców” tak to traktowali.

Dziennikarz i działacz PPS Zbigniew Mitzner (po wojnie m.in. redaktor „Szpilek”) zaczął w 1943 roku skupować rękopisy dla wydawnictwa Wisła, które zamierzał uruchomić po wojnie. Płacił wyłącznie za prawo do wydania utworów, wysokość honorarium miała być ustalona później. W umowach z pisarzami (m.in. z Jarosławem Iwaszkiewiczem, Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, Władysławem Tatarkiewiczem, Czesławem Miłoszem i setką innych) umieszczał – na wypadek przejęcia dokumentów przez Niemców – pseudonimy, Brzechwa wystąpił jako „Henryk Klonowicz”. Wydawnictwo ostatecznie jednak nie powstało, Mitzner po wyzwoleniu oddał rękopisy autorom, nie żądając zwrotu pieniędzy.

Władysław Ryńca, który pieniądze zrobił na okupacyjnym handlu i transporcie (oczywiście nielegalnym, ale Niemcy też brali łapówki), działał za wiedzą Komendy Głównej AK. Rękopisy kupowane od Miłosza, którego uczynił jednocześnie swoim przedstawicielem, od Iwaszkiewicza, Stefana Kisielewskiego, Stefana Wiecheckiego czy Kazimierza Wyki traktował jako inwestycję na „po wojnie”. Zachowała się umowa Ryńcy z Brzechwą na wydanie w wolnej Polsce *Bajek dla dzieci*, na które miało złożyć się czternaście wierszy: *Piątek, Koza, Grzebień i szczotka, Wilk i gąska, Hipopotam, Chrzyszcz, Księżyc, Kijanki, Prot i Filip, Sowa, Ślimak, Osioł i róża, Łata*

*i dziura* oraz *Foka*. Autor otrzymał 200 dolarów zaliczki, co stanowiło wtedy równowartość ok. 25–26 tysięcy złotych i było zaliczką wysoką. Iwaszkiewicz za *Dziela*, w których skład miały wejść jego najważniejsze opowiadania i powieści, dostał 300 dolarów, a Zofia Nałkowska za powieść *Węzły życia* – 200 dolarów i 10 000 złotych. Po wojnie także Ryńca, który ostatecznie nie założył własnego wydawnictwa, umorzył autorom większość zaliczek.

Inny z podziemnych wydawców, przedwojenny warszawski księgarz Eugeniusz Kuthan, kupił od Brzechwy w 1943 i 1944 roku prawa do bajek *Pan Drops i jego trupa* oraz *Za króla Jelonka*, a później także do *Pchły Szachrajki* i kilkunastu innych utworów. Już po wojnie Brzechwa napisał: „Inscenizując atmosferę życzliwości i przyjaźni, zawierał transakcje o charakterze typowej spekulacji wojennej”. Skarżył się, że pisarze, którzy nie chcieli kolaborować z Niemcami, żeby przeżyć, musieli godzić się na nieuczciwe warunki narzucane im przez część wydawców. *Za Pana Dropsa* Brzechwa dostał od Kuthana 13 000 złotych, ale uznał, że został oszukany, bo należało mu się co najmniej pięć razy tyle. Wspominał, że takich pisarzy i ilustratorów, których Kuthan „lirycznymi chwytami” przekonał do podpisania podobnych cyrografów, było znacznie więcej. Jednym z nich był Jan Marcin Szancer (przed wojną autor scenografii do kabaretowych rewii), u którego Kuthan zamówił ilustracje do bajek Brzechwy: „Z narażeniem życia przebiegaliśmy ulice i zanosiliśmy nasze prace na plac Trzech Krzyży, do niepozornej księgarenki, w której Kuthan targował się z nami do upadłego o każdy grosz”. Zdaniem Szancera był najbardziej pazerny spośród wszystkich okupacyjnych wydawców. Za ilustracje do bajki Brzechwy *Za króla Jelonka* dostał od niego w 1943 roku zaledwie 8 000 złotych, i to „po długotrwałych targach”. Inni wydawcy płacili za taką samą pracę (32 wielobarwne ilustracje plus okładka) dwa, trzy razy więcej. Kuthan miał obiecywać Szancerowi, że wyrówna wszystko po wojnie.

Ale po wojnie doszło między Brzechwą i Kuthanem do ciągnącego się przez wiele miesięcy sporu w prasie, choć ich wcześniejsze kontakty konfliktu raczej nie zapowiadały. „Na jakimś przyjęciu u Kuthanów był Jan Brzechwa z żoną (wtedy była to raczej któraś z kochanek pisarza – M.U.). Recytował nam swoje czarujące utwory poetyckie” – wspominał znajomy obu Stefan Szpringer.

Okupacyjne bajki Brzechwy działy się w nierzeczywistym świecie, w którym wojna nie istniała. Tak jakby nic się nie zmieniło od czasów, kiedy ukazały się *Tańcowała igła z nitką* i *Kaczka dziwaczka*. Próżno w perypetiach rudego Tomka Dropsa, którego bracia pozbyli się, wyprawiając w świat w towarzystwie bociana, wiewiórki, polnej myszy, ślimaka i stonogi, doszukać się choć śladu okupacyjnych realiów. Także świat, w jakim żyła Pchła Szachrajka: trzypiętrowy dom, bryczka i dwa kucyki, cukiernie, przyjęcia, bale karnawałowe i koncerty, nijak się miał do rzeczywistości za oknem. Jakby Brzechwa naprawdę jej nie dostrzegał, a jeśli nawet dostrzegał, to nie przyjmował do wiadomości.

Można oczywiście upierać się, że bitwa toczona w bajce *Za króla Jelonka* przez komary, szerszenie, osy, kleszcze, pająki i muchy z drwalem, który postanowił wytepić je środkami chemicznymi, jest tak bardzo realistyczna, bo gdy Brzechwa pisał wiersz, wojna trwała naprawdę. Ale opis pikujących os, eskadry chrząszczy transportowych, oddziału pcheł spadochronowych, pancernych trzmieli i pułku piechoty złożonego ze stonóg niszczących zapasy jada w czasach pokojowych wyglądałby dokładnie tak samo. Tym bardziej że po pierwsze, trudno zorientować się, po czyjej stronie jest Brzechwa; po drugie, wszystko kończy się szczęśliwie małżeństwem Jelonka z córką drwala Janeczką, a w ogóle, zapewniał autor, to cała ta wojna po prostu się Janeczce przyśniła.

Mimo powojennych pretensji Brzechwy i Szancera do Eugeniusza Kuthana jedno pozostanie jego zasługą na zawsze. Wykazał się wyjątkowym nosem, łącząc ich w parę. Tak rozpoczęła się, trwając

wiele lat, współpraca bajkopisarza i jego najważniejszego ilustratora. „Czułem teksty Janka, a on lubił moje ilustracje” – wspominał Szancer po latach. Kłopoty zaczęły się dopiero, gdy Szancer zasiadł do ilustrowania *Pchły Szachrajki*. Miał już gotowe szkice, gdy spotkana w kawiarni znajoma powiedziała mu, że elegancka i zmysłna bohaterka powinna być podobna do niej, bo to ją właśnie autor miał na myśli. Ale potem Szancer spotkał jeszcze trzy „pierwowzory” Pchły. „Niepoprawny donżuan, Janek Brzechwa, w ten sposób głaskał próżność kobiecą” – uznał.

Jedną była na pewno Janina Serocka. Brzechwa ofiarował jej nawet fragment rękopisu z dedykacją.

Janeczko miła chciałaś bajki,  
Jakżeż nie spełnić prośby Twej,  
Ślę Ci przygody „Pchły Szachrajki”  
Dar ten łaskawie przyjąć chciej. (...)  
Przeczytaj bajkę, potem zaśnij,  
Sen Cię zanieś w inną dal,  
Odeszłaś z kraju moich baśni,  
Jeszcze Ci nieraz będzie żal.

Tak pisał w sierpniu 1943 roku, kiedy kochanka po raz kolejny nie dała mu nadziei na trwały związek w przyszłości. Trzy lata później na tym samym rękopisie dopisał: „Dzisiaj Pchła Szachrajka słucha / Uczzonego Karalucha / I w małżeńskim happy endzie / Przy nim już do śmierci będzie”.

Bezradny Szancer wiosną 1944 roku postanowił odłożyć prace nad rysunkami do *Pchły* na później, ostatecznie historię Szachrajki zilustrował kto inny. Mieli współpracować przy kolejnej książce, która jednak nie powstała. Była połowa roku 1944, obydwaj byli w kiepskiej sytuacji finansowej, bo wydawcy, widząc cofających się po klęsce pod Stalingradem Niemców, wstrzymywali się z zamówieniami. Wtedy, w kawiarence przy Szpitalnej, w której wspólnie stać ich było na jedną kawę, Szancer zaproponował, żeby razem stworzyli dzieło, jakiego dotąd nie było – *Encyklopedię fantastyczną*. Brzechwa zareagował na początku sceptycznie:

– Genialnymi pomysłami jest wybrukowane piekło. Pomysł wtedy dopiero staje się realny, kiedy znajdziemy wydawcę skłonnego zapłacić określoną kwotę za nasze dzieło.

Ale wydawca znalazł się błyskawicznie. Już godzinę później obaj autorzy siedzieli w gabinecie Piotra Kawczyńskiego i podpisywali umowę na *Encyklopedię*. „Nie pamiętam równie wirtuozowskiego występu Janka, tej swady nieźrównanej, tego dowcipu i wreszcie urywków wierszy wyjętych z przyszłego dzieła” – wspominał Szancer. Wyszli z gabinetu bogaci, bo zaliczka była spora, więc od razu udali się na suto zakrapiany obiad, żeby rzecz uczcić. Problemy, czyli wymyślenie, co właściwie ma się w encyklopedii znaleźć, odłożyli na dzień następnny.

Postanowili wyjechać pod Warszawę, do Józefowa, żeby tam wspólnie układać, pisać i ilustrować kolejne hasła. W hasła „lotnictwo” musiały np. zmieścić się i zwykły latawiec, i Pegaz, miotła czarownicy i współczesny samolot, latający dywan i ptak Rok z opowieści o przygodach Sindbada. „Janek, który lubił żonglerkę słów, podrzucał mi tak paradoksalne, tak abstrakcyjne zestawienia, że wydawało się nieprawdopodobieństwem znaleźć ich plastyczny odpowiednik” – pisał Szancer. Wyglądało jednak, że wszystko idzie ku dobremu, pomysłów notowanych na karteczkach podczas spacerów w lesie było coraz więcej, gdy prace nad *Encyklopedią* przerwała historia. Niemcy wycofywali się w coraz większej panice, Rosjanie byli już w Chełmie i szybko zbliżali się do Wisły, wydawało się więc, że nie pora na zabawę w absurdalne skojarzenia. Postanowili wrócić

do Warszawy. Kilka dni później wybuchło powstanie i *Encyklopedii* nie ukończyli.

Stracili się na kilka tygodni z oczu. Spotkali się przypadkiem na Foksal, chroniąc się przed kulami w sieni jednego z domów. Palili papierosy, gdy tuż nad nimi urwał się ogromny kawał tynku, mijając ich głowy ledwie o kilka centymetrów. Brzechwa nie przejął się, zapytał tylko Szancera, czy nie słyszał o jakimś wygodnym pokoju do wynajęcia, bo pech chciał, że właśnie tego dnia pocisk artyleryjski rozwalił jego garsonierę na Szczygłej. „Jakby nie dostrzegał niebezpieczeństwa, jakby to jego nie dotyczyło” – nie mógł wyjść z podziwu Szancer.

Brzechwa spędził pierwsze tygodnie powstania na Powiślu, w dzień budując barykady na Nowym Świecie, nocami pełniąc warty w oddziałach służby przeciwpożarowej. Wydawało się, że wszystko skończy się szybko, Niemcy oddadzą stolicę powstańcom i lewobrzeżna Warszawa połączy się z prawobrzeżną, gdzie byli już Rosjanie. Na Powiślu, wolnym początkowo od bombardowań, te nadzieje były jeszcze większe. Zniknęły niemieckie mundury, na kamienicach powiewały polskie flagi, pozory normalności podtrzymywała nawet krążąca po ulicy Kopernika samotna dorożka. „Gdy Wola i Starówka spływały krwią, Powiśle pozostawione chwilowo w spokoju, przeżywało złudne dni wolności” – wspominał Brzechwa.

W powstańczej gazecie „Barykada Powiśla” ukazywały się zagrzewające do boju wiersze Brzechwy. *Godzina bije*:

Godzina bije! Świstem kul  
Pomścimy wreszcie lata grozy,  
Pomścimy groby, łzy i ból,  
I egzekucje, i obozy.

Przez cały świat niech biegnie wieść,  
Że znów broczymy krwią i potem,  
Wysoko pięść musimy wznieść,  
Żeby miazdzącym spadła młotem.

A wtedy w prochu legnie wróg,  
Dzielności naszej się poszczęści,  
I sprawiedliwy wielki Bóg  
Pobłogosławi naszej pięści.

W *Pieśni o walce* pisał: „Nic to, nic że bandyckie hordy / Opasały Stolicę naszą, / Bo pożary, rzezie i mordy / nie nastraszą nas, nie nastraszą. (...) / Uderzajmy celnie w mordercę, / Niechaj spływa krew jego gęsta, / Niech godzi go w samo serce / Nasza wściekłość i gniew, i zemsta!”. W innym wierszu wzywał: „Na barykady Warszawo!”:

Przemówił wróg do Warszawy:  
„Wywieście chusteczki białe,  
Za łyżkę niemieckiej stawy  
Sprzedajcie wolność i chwałę”.  
Lecz serca nasze odważne,  
Nie można ich uciemiężyć.  
Śmierć? – Nieważne!

Życie? – Nieważne!

Ważne – zwyciężyć!

„Wiersz ten obecnie może razić nadmiernym patosem, ale trzeba pamiętać, że nękana ludność spragniona była podtrzymania i otuchy, gdyż Radio Londyn każdą audycję przeznaczoną dla walczącej Warszawy kończyło chorałem *Z dymem pożarów*” – wspominał dwadzieścia lat później. Choć kto wie, czy nie większą popularnością cieszył się wśród warszawiaków krótki wierszyk *Andrus*, o tym, że wojna to nie czas, by być grzecznym poetą i układać eleganckie strofy. To czas, kiedy trzeba pisać językiem, jakim mówi ów andrus z Powiśla, który jak nikt potrafi wymyślać szkopom. Stając zuchwale naprzeciw szwabskich czołgów z butelką benzyny, woła: „Nie zniszczycie nas, podłe dranie, / – Nie zgnębiecie nas, sk...syny”.

Przez pierwsze tygodnie działał na Powiślu nawet teatrzyk Kukiełki pod Barykadą, którego członkiem był Brzechwa. Pomagał układać teksty, poprawiał rymy, załatwiał występy. Satyryczny spektakl o dniu codziennym powstania autorstwa Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej i Michała Dadleza (bohaterami byli m.in. porucznik Szary, panna Strojnicka, tchórz Mięczak, pani Schronowa i Plotkarka) cieszył się ogromnym powodzeniem. Za zgodą dowódcy dzielnicy grano go po kilka razy dziennie w różnych miejscach, na zbitej z desek scenie zasłoniętej zwykłym kocem, udającym kurtynę. Wkrótce jednak także na Powiśle zaczęły spadać bomby, a życie mieszkańców dzielnicy przeniosło się do piwnic i schronów.

Pod koniec sierpnia Brzechwa został niespodziewanie aresztowany. Niemcy odzyskiwali kontrolę nad kolejnymi kwartałami Warszawy i dowództwo powstania zdecydowało o wycofaniu oddziałów powstańczych do Śródmieścia. Ewakuacja żołnierzy i ludności cywilnej odbywała się w nocy przez Chmielną, w kierunku Alei Jerozolimskich, którą prowadził przekop w stronę dzielnicy kontrolowanej jeszcze przez powstańców. „Drogę oświetlała objęta pożarem ulica Boduena” – wspominał.

Ale w Śródmieściu było niewiele lepiej – też brakowało jedzenia, wokół spadały bomby, płonęły domy i nikt na przybyszów nie czekał. Noc Brzechwa spędził w piwnicy jakiejś kamienicy przy Wspólnej, a rano wyszedł szukać w okolicy znajomych, u których mógłby się zatrzymać.

Spotkał Annę Żeliską, aktorkę z Teatru Polskiego, a chwilę potem został zatrzymany przez patrol powstańczej żandarmerii. Usłyszał, że jest aresztowany, potem zaprowadzono go do jakiejś szopy w podwórzu na Wspólnej 6, przy której stanął strażnik. Sprowadzony sierżant nie chciał słuchać wyjaśnień:

– Przez całą okupację byłeś Niemcem, co, udawałeś, że nie znasz polskiego, a teraz nagle zrobiłeś się Polakiem?

Brzechwa nie zrozumiał: – Pan chyba za dużo sobie golnął!

– Chcesz w zęby? – usłyszał w odpowiedzi. A potem coś dużo gorszego: – Należy ci się w czapę. I dostaniesz.

Próbował tłumaczyć, że to pomyłka, nigdy nie znał niemieckiego, i na pewno wszystko się wyjaśni. Od Żeliskiej wiedział, że gdzieś w okolicy jest Leon Schiller z grupą aktorów, więc poprosił, żeby sprowadzić słynnego reżysera, a on na pewno potwierdzi, kim jest. Był przekonany, że każdy wie, kim jest Schiller, ale sierżant nie wiedział. A niemieckie nazwisko jeszcze bardziej go zirytowało.

– Zamknąć go – rozkazał.

„Tak więc na skrawku Warszawy wolnym od Niemców znalazłem się w areszcie jako Niemiec” – wspominał po latach Brzechwa.

Siedział razem z dwiema kobietami, matką i córką, oskarżonymi o dawanie Niemcom sygnałów

światlnych. Szybko jednak wyjaśniło się, że w zaciemnionej Warszawie po prostu używały latarki.

Z Brzechwą było gorzej. Prośby o sprowadzenie jakiegoś oficera nie skutkowały. Jedyne pożytkiem z uwięzienia był taki, że nie musiał troszczyć się o dach nad głową. Kilka razy dziennie posyłano go pod nadzorem wartownika kilka przecznic dalej po wodę. Podczas jednego z nawrotów spotkał znajomego z Delegatury Rządu. Opowiedział o kłopotach, znajomy obiecał pomóc, ale najwyraźniej zapomniał. Za to Brzechwa przypomniał sobie, że zaprzyjaźniony muzyk opowiadał mu kiedyś o bliźniaczo podobnym do niego Niemcu o nazwisku Grundmann, który pracuje w urzędzie propagandy. Zaczął się domyślać, że ktoś musiał wziąć go za Grundmanna i doniósł żandarmerii AK.

Sytuacja wyglądała coraz gorzej, bo dzielnica była cały czas bombardowana, płonęły kolejne kamienice. Oficer pojawił się dopiero na trzeci dzień. Wysłuchał opowieści poety i zapowiedział, że przesłucha go sędzia śledczy. Wieczorem strażnik zaprowadził Brzechwę do sędziego, którym okazał się jego przedwojenny kolega z advokatury. Był zaskoczony i rozbawiony.

– To pan jest tym groźnym Niemcem? – Kazał natychmiast Brzechwę wypuścić.

Ale sierżant, który zdecydował o aresztowaniu, nie chciał się poddać. Powiedział, że jest godzina policyjna, więc może zwolnić więźnia dopiero następnego dnia. Brzechwa postanowił nie czekać, wyrwał się żandarmowi i uciekł do schronu. Po chwili usłyszał huk. „To ściana szczytowa rozwalonego domu z ulicy Żurawiej runęła częściowo na nasze podwórze i zgmiotła drewnianą szopę jak szapoklak” – wspominał.

Powstanie upadło po 63 dniach, Brzechwa razem z innymi musiał opuścić Warszawę. Trafił do obozu w Pruszkowie, skąd został zwolniony jeszcze w październiku, potem zamieszkał w Zalesiu pod Piasecznem. Pisał do Janiny, że nienawidzi tego miejsca. Nie może się stamtąd wydostać, stracił wszystkie pieniądze, bo jacyś aferzyści oszukali go i obrabowali. A teraz, kiedy jest bez grosza, „odsuwają się wszyscy ode mnie. Ludzie zmieniają się w szakale i skaczą sobie do gardła”.

Przypadkiem zobaczył go mieszkający w sąsiedniej wiosce z żoną i dwójką dzieci Władysław Rymkiewicz. Nie widzieli się przez całą okupację. „Janek był mizerny, wychudzony, ale humor i optymizm nie opuszczały go” – wspominał. Brzechwa zaczął przyjeżdżać do maleńkiego pokoju wynajmowanego przez Rymkiewiczów. Przywoził rękopisy *Pana Dropsa i jego trupy*, *Akademii Pana Kleksa* i innych utworów, które czytał przyjaciółom. W zamian za improwizowane wieczory autorskie co jakiś czas zapraszali go na obiady.

Któregoś razu miała być ugotowana na „kozio” zawieszista zupa grzybowa. Obiad jak na okupacyjną biedę zapowiadał się obficie, ale gdy zupa była już prawie gotowa, dziewięcioletni syn Rymkiewiczów potracił rondel i grzyby wylądowały na podłodze. Do jedzenia został tylko razowy chleb i kawa zbożowa, „gość był bardzo rozczarowany” – zapamiętała córka. Udawał, że nic się nie stało, ale po wojnie przyznał się, że był tego dnia bardziej głodny niż zwykle.

W Zalesiu Brzechwa doczekał zajęcia Warszawy przez Rosjan i ucieczki Niemców. W grudniu wyruszył najpierw do Lublina, a potem do Łodzi, gdzie gromadziło się coraz więcej pisarzy.

# Utożsamiał siebie z Panem Kleksem...

Pisał *Akademię Pana Kleksa*, gdy za oknem trwała wojna. „To była jakaś forma ucieczki przed rzeczywistością” – mówił. Krytycy będą później zastanawiać się, jakim cudem był w stanie odizolować się od piekła okupacji tak skutecznie, by pisać pogodną, dziejącą się w świecie magii, opowieść. Szukali w książce śladów wojny, tam gdzie one były, i gdzie ich nie było. Szukali klucza pozwalającego zobaczyć w *Akademii* książkę z kluczem.

Opis inwazji wilków na królestwo szpaka Mateusza (naprawdę królewicza zamienionego w ptaka), który był prawą ręką założyciela Akademii Ambrożego Kleksa, genialnego chemika, matematyka i kleksografa, mógł w ich uszach brzmieć jak opowieść o wrześniu 1939 roku. Olbrzymie stada rozzuchwalonych bestii pustoszą wsie i miasteczka, na drogach bieleją kości ludzi, szerzy się głód. Nie ma siły, która byłaby w stanie powstrzymać pochód drapieżników. Lud oskarża ministrów o nieudolność i złą wolę, wreszcie wilki opanowują stolicę. Ratunku odmawiają Mateuszowi nawet siostry. Zostaje sam, jak Polska po ataku Niemców, mimo wcześniejszych deklaracji Anglii i Francji o przyjaźni i pomocy.

Sygnalów, że *Akademia Pana Kleksa* to nie tylko baśń, było więcej. Zło wdziera się do akademii 1 września. Poprzedza je szantaż golarza Filipa (czyżby aluzja do męża Janiny Serockiej?), który żąda przyjęcia do akademii swoich synów. Grozi, że jeśli Kleks tego nie zrobi, będzie gorzko żałował. „Chce mnie po prostu zniszczyć” – skarży się Ambroży Kleks uczniom. Pierwszego dnia września (data nie oznacza jednak rozpoczęcia roku szkolnego, więc powód jej użycia w powieści musiał być inny) Filip przyprowadza do czarodziejskiej szkoły skonstruowaną przez siebie lalkę. Ożywiony przez Kleksa Alojzy zaczyna niszczyć wszystko, co go otacza; na koniec grozi, że podpali akademię. Nic nie jest w stanie go powstrzymać, a Kleks jest coraz bardziej bezsilny wobec wybryków lalki. Ktoś, kto chciałby doszukać się w *Akademii* aluzji do przedwojennej rzeczywistości i żądań wysuwanych wobec Polski przez Hitlera, nie musi się bardzo wysilać.

Po ukazaniu się książki pisano, że Brzechwa chciał stworzyć za murem akademii taki sam azyl, jaki zbudował w swoim sierocińcu Janusz Korczak. Świat wojennego okrucieństwa nie miał do akademii wstępu. Nawet w snach; złe sny uczniów były przez Kleksa wyrzucane na śmietnik. Nawet jeśli wychodziło się do sąsiedniej bajki o dziewczynce z zapalkami, to obecny w niej Christian Andersen przekonywał, że nie trzeba litować się nad głodną i zziębniętą sierotą. Bo to przecież tylko bajka, w której wszystko jest zmyślane i nieprawdziwe.

A jednak ani Korczakowi, ani Kleksowi nie udało się. Zło okazało się silniejsze, Alojzy – „znieawidzona przez wszystkich lalka” – tryumfuje. Wydaje się, że nie ma na świecie siły, która może mu się przeciwstawić. Nie potrafi nawet Wieszcza Lalek, która próbuje powstrzymać dzieło zniszczenia. W miarę rozwoju akcji powieści Alojzy przestaje być tylko zwykłą lalką. Jest coraz groźniejszy i bardziej agresywny, a Pan Kleks coraz mniejszy i słabszy, coraz bardziej też kurczy się akademia. Przestaje w końcu istnieć, jak sierociniec Starego Doktora.

Na koniec jednak wszystko jeszcze raz okazuje się baśnią. Okrutną, ale z dobrym zakończeniem. Szpak Mateusz zmienia się w „wytwornego pana w wieku lat czterdziestu, o włosach przyprószonych lekką siwizną”, czyli... Jana Brzechwę.

– Jestem autorem historii o Panu Kleksie – mówi elegancki pan. – Napisałem tę opowieść, gdyż ogromnie lubię opowieści fantastyczne i pisząc je, sam bawię się znakomicie.

Pointa *Akademii* brzmi tak, jakby jej autor wiedział już, jak skończy się zło, które spadło na szkołę Ambrożego Kleksa 1 września. Alojzego udaje się w końcu pokonać. Pan Kleks zdołał – choć tylko



na moment – odzyskać dawną siłę i rozkręcił lalkę na części. „Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą: Alojzy – ta niegodziwa karykatura człowieka – przestał istnieć” – opowiada w książce Adaś Niezgódka. Tak samo wyglądał świat po zakończonej wojnie. Człowiek, który ją wywołał, przestał istnieć, ale nic już nie miało być takie jak dawniej.

W jednoznaczny sposób zinterpretował *Akademię* Krzysztof Gradowski, scenarzysta i reżyser filmu według powieści Brzechwy. Skonstruowana przez golarza Filipa lalka nie jest już Alojzym, „przyszłą znakomitością akademii”, tylko... Adolfem. Królewski herold wzywa, by bronić kraju i nie oddać wilkom „nawet guzika” (takie było hasło wojennej propagandy II Rzeczypospolitej, które szybko stało się własną karykaturą). Marsz wilków wkraczających do królestwa Mateusza w czarnych uniformach, z płonącymi pochodniami, w rytm słów piosenki heavy-metalowej grupy TSA „Silne szczęki, silna wola i zdobędziemy cały świat”, przypomina sceny ze słynnej apoteozy faszyzmu – filmu Leni Riefenstahl *Tryumf woli*. Choć na początku lat osiemdziesiątych, gdy obraz Gradowskiego powstawał, odczytywano te sceny raczej jako aluzję do ZOMO i pacyfikacji w stanie wojennym.

Krytycy pewnie już zawsze będą spierać się, czy wytrych wojennej metafory pasuje do *Akademii Pana Kleksa*. Za to na pewno prawdziwy jest inny klucz. Ambroży Kleks ma wszystkie cechy ojca poety. Jest wyrozumiały, mądry i dobry, a jego ulubiony uczeń, Adaś Niezgódka, to sam Brzechwa. Jak mały Janek nie lubi krupniku i marchewki, i jak Janek kolekcjonuje guziki od palt, zakietów i marynarek. Szczególnie pożądane odcina, jak czynił to poeta w Nowych Sokolnikach. „Miałem z tego powodu mnóstwo przykrości” – opowiada w baśni Adaś.

*Akademia* ukazała się rok po wojnie, w wydawnictwie Piotra Kawczyńskiego. Tego samego, od którego tuż przed powstaniem warszawskim Brzechwa i Szancer wyciągnęli sutą zaliczkę na napisanie *Encyklopedii fantastycznej*. *Encyklopedia* nie powstała, ale Brzechwa, którego gryzło prawnicze sumienie, postanowił jednak dotrzymać umowy. Tak książka trafiła do prywatnej oficyny. Ilustrować ją miał oczywiście Szancer.

Rysował, siedząc w pokoju hotelowym w Łodzi. „Brzechwa utożsamiał samego siebie z Kleksem. Chociaż postać, którą opisał, podobna była do Franza Fiszera” – wspominał. W efekcie Pan Kleks z rysunków Szancera dużo bardziej niż szpakowatego wytwornego prawnika przypomina postać legendarnego przyjaciela poetów i filozofa z charakterystyczną, rozwichrzoną brodą. Człowieka, który sam nie napisał żadnej książki, ale o nim napisano już kilka.

Na pewno nie było to wbrew intencjom Brzechwy. Opisy Pana Kleksa, oryginała i smakosza, w którego surducie kryło się aż 41 kieszeni, pasują jak ulał do opowieści o Fiszercie. Jedno wydaje się pewne – i Franciszek Fiszercie, i Ambroży Kleks gardzili akademicką nauką i byli przekonani o wyższości bujnej wyobraźni nad wyrachowaną kalkulacją. A broda Pana Kleksa, wiecznie poplamiona, gęsta i rozłożysta, która mogła służyć równie dobrze jako wiatrołap, jak i gniazdo dla ptaków, to bez wątpienia broda Franciszka Fiszercie.

# Artystom w mieście Łodzi nie bardzo dobrze się powodzi...

Pod koniec 1944 roku Brzechwa wyjechał do Lublina, gdzie organizowały się władze nowej Polski. Tam zgłosił się do Jerzego Borejszy, który w imieniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego tworzył na zajmowanych przez Armię Radziecką terenach koncern prasowo-wydawniczy, spółdzielnię Czytelnik. Borejszę interesowało przede wszystkim prawnicze doświadczenie Brzechwy, bo chętnych do pracy w zakładanych przez siebie pismach miał wystarczająco wielu. Ale ci, którzy przed wojną nie mieli nic wspólnego z komunizmem, a teraz chcieli współpracować, byli w ludowej Polsce w podwójnej cenie. Borejsza zaproponował Brzechwie funkcję radcy prawnego wydawnictwa. I obiecał, nie pozostawiając właściwie poecie wyboru: – Wszystkie wam utwory wydadzą.

Rozglądając się po medialnym „imperium”, które składało się na razie z jednego pokoiku, Brzechwa nie bardzo chciał w to uwierzyć. „Skłonny byłem sądzić, że są to urojenia fantasty” – wspominał. Ale Borejsza dotrzymał słowa.

Na początku 1945 roku, kiedy ruszył front i kolejne polskie miasta odbijano z rąk Niemców, Brzechwa pojechał za Borejszą do Łodzi, gdzie przeniósł się Czytelnik. Zjeżdżało tam coraz więcej twórców, zwłaszcza tych, którzy nie mieli po co wracać do zburzonej Warszawy. Jedni pojechali do Krakowa, inni, wśród nich Zofia Nałkowska, Władysław Broniewski, Kazimierz i Marian Brandysowie, Jan Kott, Janusz Minkiewicz, Leon Pasternak, Stanisław Jerzy Lec, Adolf Rudnicki, Ryszard Matuszewski, Stanisław Dygat, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk czy Jerzy Waldorff, właśnie do Łodzi. „Gdy wyszło się koło południa na Piotrkowską, co krok spotykało się znajomych” – wspominał Stanisław Ryszard Dobrowolski. Rdzennych łodzian było niewiele, pisał Matuszewski, przeważali wysadzeni z siodła warszawiacy, skuszeni fałszą czekających w niezniszczonej Łodzi mieszkań z łazienkami, które w popłochu opuścili uciekający Niemcy.

Literatom w Łodzi żyło się wygodnie, a w porównaniu z milionami zwykłych Polaków wręcz komfortowo, wspominał Kazimierz Brandys. Duże mieszkania w kamienicach po niemieckich fabrykantach, specjalnie zaopatrzone sklepy, w których można było dostać luksusowe dobra: od bielskiej wełny, po wędzone łososie, niedokręcona jeszcze zbyt mocno śruba cenzury, paszporty pozwalające wyjeżdżać na Zachód. Nie wymagano na razie od artystów socrealizmu, rząd w Warszawie był daleko, Moskwa jeszcze dalej, a partia używała raczej marchewki niż kija. AK-owców wsadzano już do więzień, łódzcy robotnicy jedli ziemniaki i kluski, ale artyści „wiedli życie białych w kolonialnym mieście” – pisał Brandys.

Pisarzy było tyłu, że w mieście powołano oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich, a pełnomocnik rządu przydzielił im dwie kamienice, przy ulicach Bandurskiego (dzisiaj Mickiewicza) i Żeromskiego. Brzechwa natychmiast pomyślał o przyjacielu, „zabezpieczył mieszkanie i zachęcał do przyjazdu” – wspominał Władysław Rymkiewicz. W Łodzi oprócz mieszkania czekała także praca. Odradzające się instytucje państwowe i społeczne potrzebowały prawników. Rymkiewicz został zastępcą Brzechwy w Czytelniku, a jego żona, lekarka, opiekowała się zdrowiem pisarzy.

Brzechwa urzędował w gmachu Czytelnika przy Piotrkowskiej. Borejsza, nieformalny minister kultury w odbudowywanej Polsce, wykorzystywał nie tylko jego doświadczenie prawnicze, poeta doradzał też w innych sprawach, związanych z organizacją życia kulturalnego. Obowiązków miał zresztą o wiele więcej. W Czytelniku oprócz radcostwa objął kierownictwo redakcji literatury dziecięcej oraz biblioteki prawniczej. Ponadto został radcą prawnym w odradzającym się ZAiKS-ie

oraz przewodniczącym oddziału ZZLP (w lutym 1945 wybrano na tę funkcję Zofię Nałkowska, ale już po miesiącu zmienił ją Brzechwa), a także prawnikiem w związku. Ostatnie zajęcia były najbardziej absorbujące, bo każdy z mieszkańców literackich kamienic (Brzechwa zamieszkał przy Bandurskiego) miał do sąsiada „na stanowisku” jakieś niecierpiące zwłoki sprawy i interesy. W niewielkiej tylko części dotyczyły twórczości, zwykle chodziło o załatwienie lokalu, posady, węgla na opał, garnków do otrzymanego mieszkania, a przynajmniej całych spodni albo butów. „Należał on w naszym gronie do ludzi najpraktyczniejszych i obdarzonych pewnym instynktem społeczno-organizacyjnym” – wspominał Brzechwę z tamtego czasu Matuszewski. Wszystkich znał, z wszystkimi był w dobrych stosunkach, choć niewielu dopuszczał do prawdziwej przyjaźni, najlepiej ze wszystkich wiedział, do kogo w jakiej sprawie pójść, jakich argumentów użyć, kogo na jaką posadę zaproponować, na czyją wysoką protekcję się powołać. Dlatego wybierano go wszędzie, gdzie tylko było można, i jeśli tylko dał się wybrać. „Wyruszałem więc dwa, trzy razy w tygodniu słynnym autobusem Czytelnika do Warszawy, objąłem progi ministerstw, nachodziłem urzędy, konferowałem z sekretarkami dygnitarzy, molestowałem, interweniowałem, na ogół zawsze z pomyślnym skutkiem” – wspominał Brzechwa.

Jako prezes łódzkich literatów załatwiał jakąś sprawę u ówczesnego ministra zdrowia Jerzego Sztachelskiego. Elegancki garnitur, w którym przyjął go dygnitarz, wydał mu się znajomy, a kiedy dostrzegł dyskretnie zacerowaną dziurkę po papierosie, był już pewny. To był jego własny garnitur, „najprawdopodobniej nabyty przez ministra «na ciuchach» – z grabieży popowstaniowej” – relacjonował Dobrowolski.

Na początku września 1945 roku Brzechwa wziął udział w zjeździe Związku Literatów w Krakowie. Przyjechali prawie wszyscy, którzy coś znaczyli i byli już w Polsce: od Jerzego Andrzejewskiego, przez Jarosława Iwaszkiewicza i Jana Parandowskiego, po Kazimierza Wykę. Pisarze zgodnie potępili faszyzm, postanowili, że będą przewodzić masom oraz tępić wsteczność i obskurantyzm, a następnie przystąpili do uchwalania statutu związku. I tu zgoda się skończyła. Umysły mistrzów pióra zatapiają się w zawilosciach prawnych i głębiach dialektyki, z których był ich w stanie wyprowadzić dopiero mecenas-poeta Jan Brzechwa, relacjonowali w „Przekroju” Zygmunt Fijas i Stefan Otwinowski. „Widzi się najwyraźniej, że mąż ten, pełen godności kodyfikatora, nie jeden kodeks zjadł i nie jeden proces wygrał” – pisali.

Współdecydował też m.in. o przyjmowaniu do związku nowych członków, a w Czytelniku o wydawanych książkach. Seweryna Szmaglewska zapamiętała wykład, który usłyszała, gdy z drzeniem serca przyniosła do wydawnictwa pierwszych kilkadziesiąt stron nowej książki i podpisano z nią umowę.

– Więc podpisaliśmy umowę, co? Mógłbym się założyć, że zrobiła to pani bez przeczytania wszystkich paragrafów, niemal z zamkniętymi powiekami. Znam to. I co dalej? W tej chwili nie zdaje sobie pani sprawy z konsekwencji – mówił Brzechwa.

A potem nastąpiła prelekcja na temat tego, jakie ma wynikające z umowy prawa, a jakie obowiązki, co jej wolno, a czego absolutnie nie. Jakich terminów musi bezwzględnie przestrzegać i na jaką pomoc ze strony wydawnictwa może liczyć. Że ma prawo współdecydować o szacie graficznej, a nawet o rodzaju czcionki, którą książka zostanie wydrukowana. Bo nie wolno bez zgody autora niczego zmieniać ani „ozdabiać” książki jakimiś bohomazami.

– Po to istnieje prawo autorskie, żeby chroniło zdania, co dojrzały w wyobraźni poety, prozaika, dramaturga. Dzieło musi być otoczone troską, jak powstający żywy organizm – mówił Brzechwa.

„Słuchałam, jakby to była bajka dla dorosłych” – wspominała Szmaglewska.

Korzystano z jego wiedzy, doświadczenia i talentów organizacyjnych, ale nie należał do tych,

którzy cieszyli się największymi względami nowej władzy. Mieczysław Jastrun, członek PPR i zastępca redaktora tygodnika „Odrodzenie”, któremu dwupokojowe mieszkanie Brzechwy spodobało się bardziej niż to, które sam otrzymał, zmusił go do zamiany. „Postąpił w sposób bezwzględny, mógł postąpić w sposób bezwzględny, był lepiej widziany” – napisał Adolf Rudnicki.

Zgromadzeni w Łodzi literaci, aktorzy i plastycy za dnia gromadzili się w kawiarence Czytelnika – Fraszka, a wieczorami w Klubie Pickwicka, na piętrze hotelu Savoy przy ulicy Traugutta. Parter i piętro Savoyu literaci dostali, gdy Brzechwa poszedł do magistratu prosić o pieniądze na działalność związku. W opublikowanym w „Szpilkach” wierszu *Apostrofa do Prezydenta Miasta Łodzi* pisał:

Sklepikarz każdy się bogaci,  
A nędzę cierpią literaci,  
Choć Pan im lokal przyrzekł święcie  
Tak, tak, Panie Prezydencie.

Pieniądzy nie dostanie, usłyszał od prezydenta i jednocześnie wojewody łódzkiego Kazimierza Mijala, ale jeśli chce, to może zorganizować w Savoyu stołówkę dla literatów i klub.

Nazwę Klub Pickwicka wymyślił Adam Ważyk, a Jerzy Zaruba namalował we wnękach okiennych kolorowe sceny z powieści Dickensa. Podczas otwarcia Aleksander Zelwerowicz odczytał fragment książki Dickensa, a Brzechwa wygłosił okolicznościowy wiersz. Co czwartek odbywały się w klubie wieczory literackie z udziałem zaproszonych gości. Przyjeżdżali z Polski i z zagranicy: Paul Eluard, Ilija Erenburg, Leon Schiller, Erwin Axer, Stefan Kisielewski, Antoni Bohdziewicz i Władysław Bieńkowski. Podczas jednego z wieczorów początkujący poeta i satyryk Igor Sikirycki przypomniał jeden z przedwojennych wierszy Brzechwy *Preludium*. O tym, że do napisania wiersza potrzebna jest iskra, jednająca człowieka z Bogiem.

– Ładne to, tylko bardzo trudne do zilustrowania – skomentował siedzący przy tym samym stoliku Szancer, który przez kilka miesięcy pomieszkiwał u przyjaciela.

Brzechwa przekonywał, że wolałby swoje przedwojenne wiersze liryczne ukryć wśród bajek dla dzieci, ale Szancer nie dał za wygraną.

– O nie, mój drogi, przecież to twórczość przez duże „tfu”.

„Znacznie później dowiedziałem się, że autorem tego powiedzenia o twórczości był właśnie Brzechwa” – wspominał Sikirycki, który za namową Brzechwy został dyrektorem literackim Klubu Pickwicka.

Oprócz dyskusji o literaturze niemal co wieczór w klubie odbywały się bankiety, podczas których alkohol lał się strumieniami. „Królował słynący z dowcipu prezes Jan Brzechwa, płodny autor «Szpilek» i coraz to sławniejszy... twórca wspaniałych cacek poetyckich dla dzieci” – pisał Dobrowolski. Po sześciu latach okupacji nastąpił czas odreagowania wojennych lęków i napięć. Brzechwa uznał, że przyszła też pora na normalne życie. „Powodziło mu się wspaniale, miał piękną żonę, młode kobiety nazywały go Królem Życia. Był hojny, słynął z szerokiego gestu” – zapamiętał Kazimierz Brandys. „Wszyscyśmy intensywnie pracowali i co tu ukrywać – pili wódkę. Wydaje mi się, że była to ostatnia forma cyganerii w Polsce” – wspominał Brzechwa. Lubił się bawić, to zdanie powtarza się niemal we wszystkich wspomnieniach z tamtego okresu. Lubił, a w dodatku miał mocną głowę, „mógł nawet budzić podziw wytrzymałością” – napisał Matuszewski. Do legendy przeszły przyjęcia imieninowe Brzechwy. Irena Szymańska zdradziła, że były pierwowzorem bankietów uwiecznionych przez Adolfa Rudnickiego w opowiadaniu *Pałeczka, czyli Każdemu to, na czym mu*

*mniej zależy*. W Klubie Pickwicka gromadzili się wtedy wszyscy, którzy w Łodzi cokolwiek znaczyli i którzy mieli „jakie takie nazwisko”. Choć Jaś Lipnica z opowiadania (pod tym pseudonimem miał kryć się Brzechwa), który spał przez cały dzień, a o dziesiątej wieczorem, ogolony i wyświeżony, zaczynał nocne życie od wypicia ćwiartki wódki, przypominał raczej Janusza Minkiewicza.

W Klubie Pickwicka poeci ćwiczyli skojarzenia, rymy i złośliwości, wymyślając dwuwiersze o tym, skąd pochodzi dama, która pewnego dnia pojawiła się w Łodzi, by uszczęśliwić jednego z kolegów. Pierwszy i prawdopodobnie jedyny zawierający prawdziwą nazwę miasta, brzmiał:

Przyjechała z Bielska,  
żeby dać mu cielska.

A potem już poszło. Kojarzono najodleglejsze miasta i najbardziej absurdalne rymy.

Przyjechała z Parczewa,  
dać jak Adamowi Ewa.  
Przyjechała z Elbląga,  
dać mu, chociaż się ociąga.  
Przyjechała z Białegostoku,  
żeby dać mu na boku.  
Przyjechała z Kołbieli,  
żeby dać mu w kąpielu.  
Przyjechała z Zegrza,  
żeby dać mu jak piegża.  
Przyjechała z Kołomyi,  
żeby dać, jak się umyji. [kresy]

Zrobił się z tego prawdziwy konkurs. Ale kiedy przyłączali się do zabawy Brzechwa i Jurandot, reszta mogła wyłącznie statystować.

– Oni zadawali sobie najbardziej wymyślne, najdziwsze rymy. Oglądać Brzechwę i Jurandota, którzy rywalizują ze sobą na czas w układaniu rymów, to naprawdę było coś – opowiadała Grodzieńska Joannie Szczęsnej i Annie Bikont.

Któregoś wieczora mocno już rozochocony Brzechwa zajął miejsce za barem klubu i zaczął nalewać gościom alkohol na swój koszt. Chętni ustawiali się w kolejce po kilka razy, a poeta odmówił tylko jednemu.

– Pan nie dostanie, bo jest pan podobny do Milewicz – oświadczył. Milewicz był osobnikiem, którego Brzechwa z bliżej niewyjaśnionych powodów po prostu nie cierpiał, wspominał Antoni Marianowicz. Jednym z tych, których po wojnie pojawiło się w Łodzi bardzo wielu.

– Ależ ja jestem Milewicz – oświadczył równie nietrzeźwy jak Brzechwa klient.

– Więc nie dostanie pan tym bardziej – usłyszał.

Brzechwa był znany i popularny. Pewnego wieczora w Klubie Pickwicka zaciągnął Sikiryckiego na niewielki taras na pięterku, z którego widać było salę. Wskazał stolik po prawej stronie, przy którym siedział szpakowaty mężczyzna w towarzystwie dwóch kobiet i podpisywał jakąś książkę.

– To jest Jan Brzechwa – powiedział Jan Brzechwa.

Sikirycki domyślił się, że kuzyn, ale Brzechwa zaprzeczył. Tam przy stoliku siedzi Jan Brzechwa, bajkopisarz, powtórzył. Tak się przedstawia, a nawet składa autografy na jego książkach. Powiedział

mu o tym kelner, świadek wszystkiego.

Co z tego ma? Wdzięczność mamusi obdarzonych autografem, a może i coś więcej – domyślał się Brzechwa.

Sikirycki przekonywał, że należy wezwać milicję i oszusta aresztować, ale poeta się nie zgodził. Właściwie facet wyświadcza mu przysługę, tłumaczył. On sam nie lubi podpisywania książek, a tamtemu widocznie sprawia to przyjemność, więc dlaczego mu przeszkadzać? Poza tym ma ładny charakter pisma i zupełnie nieźle się prezentuje.

– Jednym słowem, nie przynosi mi wstydu – oświadczył Sikiryckiemu.

W jednym z łódzkich lokali zobaczył go latem 1945 roku Józef Kuropieska, wtedy dowódca kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Brzechwa wyglądał dobrze, a w dodatku był w towarzystwie pięknej brunetki. Kuropieska spytał, czy nie pora już, żeby nieco mniej czasu poświęcał dziewczętom, nawet tak atrakcyjnym, jak jego towarzyszką. Usłyszał gwałtowne wyznanie, że jest w tej kobiecie od kilku lat beznadziejnie zakochany, „i choć owa pani jest mężatką, pragnie z nią przeżyć resztę swego żywota”. Mówił z takim żarem, że Kuropieska nie miał wątpliwości, że tak właśnie będzie. Brunetką była Janina Serocka; rok później była już żoną Brzechwy.

To dla niej odmłodził się o dwa lata. Jeszcze we wrześniu 1945 roku, pisząc prośbę o weryfikację członkostwa w ZAiKS-ie, podał prawdziwą datę urodzenia – 15 sierpnia 1898. Później w wypełnianych coraz częściej i coraz bardziej szczegółowych ankietach, wpisywał już – i tak miało zostać do końca życia – rok 1900.

Tuż po wojnie w którejś z łódzkich restauracji zrodziła się ulubiona anegdota Brzechwy. W menu pojawiły się dawno niewidziane karpie, ale z jakiegoś powodu wybrakowane – były tylko łby. Za pierwszym razem nie wzbudziło to jeszcze konsternacji, wiadomo, powojenne trudności z zaopatrzeniem, ale gdy sytuacja kilkakrotnie się powtórzyła, Brzechwa zapytał bufetową o powód. Odpowiedź, jak wspominał Marianowicz, weszła do codziennego języka zebranej w Łodzi cyganerii:

– Panowie Żydzi lubieją...

Klub Pickwika, Czytelnik, Związek Literatów i zgromadzeni tam pisarze przyciągali ludzi nie całkiem zrównoważonych. Seweryna Szmaglewska była świadkiem, jak w oddziale ZZLP pojawiła się pani o nazwisku Chopin. Prezes Brzechwa przekonany, że to krewna sławnego kompozytora przerwał posiedzenie zarządu i interesantkę przyjął. Długo słuchał, w jakiej przyszła sprawie, odpowiadał na pytania i potakiwał. Z daleka wyglądało na to, że krewna Chopina zdradza mu jakieś ważne tajemnice, być może nawet dotyczące wielkiego Fryderyka, bo poeta był coraz bardziej przejęty. Dopiero gdy interesantka miała już wychodzić, zapytał, jaki rodzaj pokrewieństwa wiąże ją z muzykiem.

– To zrozumiałe – pokrewieństwo ducha! – usłyszał. – Pokochałam tak bardzo muzykę Chopina, że przybrałam jego nazwisko.

Koledzy z zarządu związku wytłumaczyli prezesowi, że „krewna Chopina” to jeden z upiórów krążących wokół Domu Literatów. Inni nauczyli się już jej unikać, więc zastawiła sidła na ufego Brzechwę. Skutecznie.

W końcu i on miał dość. Zirytowany, ogłosił w „Szpilkach”, których redakcja też przeniosła się do Łodzi, wiersz *W domu literatów*. O tym, że nie ma nawet chwili czasu na pisanie, bo ciągle ktoś czegoś od niego chce. I że wreszcie, zrezygnowany, sam oddał się w ręce milicji: „I przez kilka dni w areszcie / Popracować mogłem wreszcie”.

Pisane w czasie wojny wiersze dla dzieci publikował w „Przekroju”, wydawanym od kwietnia 1945 roku w Krakowie. Pierwsze: *Ślimak* i *Na wyspach Bergamutach* ukazały się w czerwcu. Utwory o ślimaku, co nie chce sera, i o wyspach, na których jest kot w butach, mrówka nosi osła,

a kura samograjka znosi złote jajka, wyglądały dziwnie między wspomnieniami wojennymi, dziennikiem z Dachau, artykułami o zmartwychwstającej Warszawie i relacją z defilady zwycięstwa w Moskwie, ale w końcu, kiedy Brzechwa je pisał, czasy dla bajek były jeszcze gorsze. W lipcu w „Przekroju” pojawiły się kolejne: *Mrówka* i *Dziura w moście*, w sierpniu *Smok* i *Zero*, we wrześniu *Orzech* i *Foka*.

Wiersze, przedwojenne, te powstałe podczas okupacji i powojenne, były następnie publikowane w wydaniach broszurowych i w większych zbiorach. Przez pierwsze dwa lata po wojnie w Czytelniku, Książce i Wiedzy, w prywatnym wydawnictwie Okaes i oficynie Eugeniusza Kuthana, ukazało się ponad dwadzieścia różnych książek sygnowanych nazwiskiem Brzechwy, ale poeta nie był zadowolony z ich odbioru. Żalił się, że nikt ich nie zauważył, choć przecież rozeszły się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. „Opłaciłem abonament w biurze wycinków, sfotografowałem się w trzech pozach u Strzemiecznej (prowadziła znany łódzki zakład fotografii artystycznej – M.U.) i czekałem. Upłynął rok, a tu cisza” – pisał. „Gdyby istniała w Polsce jakakolwiek krytyka, gdyby żyli jacykolwiek recenzenci, napisaliby o tych utworach dobrze albo źle”. Pomysłów na to, co mogliby napisać, jest tyle, ile ich miał Cyrano de Bergerac na temat swego nosa, podpowiadał. Na przykład, że zalew utworów Brzechwy przybiera rozmiary kłęski. Albo że jego wiersze to lektura demoralizująca, która wypacza pion moralny polskich dzieci. Albo że swoimi bajkami zniechęca Matki Polki do macierzyństwa. Albo że jego humor jest płytki i zaśmieca polską literaturę. Albo nawet, że uchyla się od zajęcia określonej postawy wobec przemian zachodzących w kraju, prezentując bezideowy infantylizm ocierający się o negację. Tymczasem wszyscy milczą. Tylko Jan Kott, jeden z tych, którzy nadawali wówczas ton ortodoksyjnie marksistowskiemu tygodnikowi „Kuźnica”, ogłosił, że akurat jemu wiersze Brzechwy się podobają. Z bardzo wielu powodów, po pierwsze dlatego, że nie jest dzieckiem. A poza tym dlatego, że nie jest też krokodylem, anabaptystą, naczelnikiem urzędu mieszkaniowego, egzystencjalistą, kangurem, biskupem, ciotką, redaktorką „Świerszczyka”, Czerwonym Kapturkiem, buchalterem, muchomorem, duchem Blanka, Bolesławem Piaseckim, recenzentem „Odrodzenia” ani trąbą. Nie jest też – tu wymienił tych, którzy najbardziej kręcili na Brzechwę nosami – Lucyną Krzemieniecką, Wandą Grodzieńską ani Arturem Sandauerem.

To będzie przez kolejne lata stały motyw wystąpień Brzechwy. Literatura dziecięca jest niezauważana, jako niegodna „prawdziwych” pisarzy, albo lekceważona jako twórczość gorszego gatunku, literacka galanteria, przychodząca zbyt łatwo, by marnować na nią czas. A jeśli nawet ktoś już o utworach Brzechwy coś napisze, to raczej kwaśno, w dodatku podnosząc te same zarzuty, co przed wojną. Że to, co wychodzi spod jego pióra, nadaje się bardziej dla dorosłych niż dla dzieci, które niewiele z jego zabaw słowami i absurdalnego poczucia humoru rozumieją.

Więcej emocji budziła twórczość Brzechwy dla dorosłych. Tym więcej, im bardziej dotykała nowej rzeczywistości politycznej. Publikowane w „Szpilkach” satyryczne wiersze, które w większości ukazały się w 1947 roku w tomiku *Palcem w bucie*, dają obraz rzeczywistości skażonej już ideologicznymi naciskami, ale ciągle jeszcze pozwalającej zachować nadzieję, że da się w niej żyć, nie gwałcąc sumienia.

„Szpilki” były w precyzyjnie skonstruowanym przez Jerzego Borejszę koncernie prasowo-propagandowym instrumentem wyjątkowo perfidnym. Zachowując pozory niezależności i zwodząc czytelników lekką formą, pełniły w istocie taką samą, a być może nawet skuteczniejszą rolę, co pisma z pierwszej linii frontu ideologicznego. Z jednej strony „demaskowano” w „Szpilkach” intrygi wrogów zainstalowanej przez Związek Sowiecki władzy, z drugiej przekonywano, że ci, którzy zostali za granicą, to zdrajcy ojczyzny. I robiono to z większym talentem niż autorzy drewnianych

wywodów w oficjalnych organach partii komunistycznej.

Brzechwa nie pisał dużo, zdecydowanie mniej niż Minkiewicz, Marianowicz, Pasternak czy Lec. W ogłoszonej przez „Szpilki” wiosną 1947 roku ankiecie na ulubionego autora zajął dopiero dziewiąte miejsce (wygrał Minkiewicz). Ale pisał o tym, co dla dziesiątków tysięcy Polaków poza krajem było pytaniem podstawowym: *Wracać czy też nie wracać?*

Inny, co już zrozumiał i już się ocucił,  
Wszystko chętnie by rzucił i do domu wrócił,  
Ale bardzo się boi, bo tam całkiem serio  
Straszą go wciąż więzieniem, tajgą i Syberią,  
Wmawiają, że kto wraca, ten ojczyznę zdradza,  
Bo w Anglii jest jedyna prawowita władza,  
A w kraju – tylko zdrajcy i tylko Rosjanie. –  
– Wracać, czy też nie wracać? Oto jest pytanie!

Nadto na emigracji są również i tacy,  
Którzy lubią pieniądze, a nie lubią pracy.  
Warszawa cała w gruzach, Polska cała w zgliszczach,  
Praca przy odbudowie męczy i wyniszcza,  
Niech inni wykonają tę czarną robotę,  
Wtedy oni zmieniwszy swe funty na złote  
Wjadą na białych koniach i obejmą władzę.  
Ale teraz? Przenigdy! Skąd znowu? Nie radzę!

Na początku mógł jeszcze mieć złudzenia, że pracuje w niezależnym piśmie, w którym wyraża wyłącznie własne poglądy. Cenzura pozwalała na sarkazm w stosunku do nowej rzeczywistości, a czasem nawet na złośliwości wobec... cenzury i orędowników opiewania mową związaną uroków marksizmu.

W grudniu 1945 roku ogłosił w „Szpilkach” wiersz *Zapałki staniały*. Ironia była gryząca. Pisał, że ci, którzy twierdzą, że w ojczyźnie panuje głód, chłód i drożyzna, kłamią, bo jest coraz lepiej, a państwo i naród krzepną. I nie są to żadne przechwałki: „Staniały zapałki! / Staniały zapałki!”. Co prawda podrożały tramwaje i znaczki, ale w końcu nie ma przymusu jeżdżenia tramwajem czy pisania listów. Za to „staniały zapałki”. Po co obżerać się kotletami, sznyclami czy innym mięsem, skoro i tak ich nie ma? A zapałki są i w dodatku staniały. Nie ma już powodu, żeby przejmować się wydawaniem książek i oświatą, wszak zapałki też dają światło. Niektórzy marudzą, że idzie zima, a nie ma opału i będą marznąć. „Lecz sprawa ta też się załatwia pomału / Już każde mieszkanie ogrzane zostanie / Bo przecież zapałki, zapałki są tanie” – pisał.

Tuż po wojnie na dystans wobec rzeczywistości można było sobie pozwolić nawet w ortodoksyjnej „Kuźnicy”. W marcu 1946 roku Brzechwa opublikował felieton *Świadczenia rzeczowe* o ministerialnym rozporządzeniu zobowiązującym literatów do składania kontyngentów. Każdy miał przez rok dostarczyć:

- 7 artykułów ideologicznych,
- 5 artykułów popierających rząd,
- 4 artykuły zwalczające reakcję,
- 24 hasła o reformie rolnej,



– 6 uwag krytycznych o PSL itd., itp.,

czyli teksty, jakie coraz obficie wypełniały gazety i tygodniki. Redakcje „Kuźnicy”, „Odrodzenia”, „Przekroju” oraz „Odry”, kpił dalej, przygotowały już na nadsyłane świadczenia miejsca w koszach redakcyjnych. „Jedno jest pewne: literaci nie zawiodą. Demokracja polska może spokojnie spać” – pisał.

Jeszcze bardziej gorzki był *Poemat* ogłoszony w „Szpilkach”. Brzechwa skarżył się, że w Urzędzie Improwizacji powiedziano mu, że owszem, nikt mu nie odmawia talentu, ale w tym, co pisze, błądzi. *Poemat*, który właśnie ukończył („bo masom potrzeba / Literatury jak chleba”), nie nadaje się. Zacznie się nadawać, gdy autor zmieni w nim początek, środek i koniec. „Przerobiłem więc cały *poemat*, / Lecz wyłonił się nowy dylemat” – pisał Brzechwa. Bo zdaniem urzędu poprawiony *poemat* był, owszem, ciekawy, ale brak w nim było pozytywnego nastawienia wobec nowego ustroju. „Przerobiłem więc cały *poemat*” – ciągnął poeta, ale dylemat dalej nie chciał zniknąć. Wiersz był śliczny i polityczny, ale nie dość. Nie było w nim ani o repatriacji, ani o propagandzie, ani nawet o reformie rolnej. „Przerobiłem więc cały *poemat*”, ale okazało się, że, zdaniem urzędu, to dalej nie to. Styl wiersza był zbyt przestarzały, a w ogóle takie banały to pisywało się siedem czy osiem lat temu, a więc jeszcze przed wojną.

Po tych słowach złamałem pióro  
I założyłem biuro,  
Gdzie się wiersze przerabia i zmienia  
Dla „Kuźnicy” i „Odrodzenia”.

Drwina była wymierzona celnie. „Kuźnica” miała na sztandarach wypisaną ideologię marksistowsko-leninowską i walkę o realizację wytycznych nowej władzy w kulturze i sztuce. Ukazujące się w Krakowie „Odrodzenie” starało się zachowywać pozory obiektywizmu, ale cel miało taki sam.

Te teksty precyzyjnie oddawały postawę Brzechwy wobec nowej rzeczywistości. Doskonale zdawał sobie sprawę z fasadowości poparcia i pustki ideologicznych zakłęb. Ale gotów był na wiele, nawet na bardzo wiele, w zamian za możliwość spokojnego i wygodnego życia. Pisał dokładnie tak, jak oczekiwała od niego władza. Złamał pióro niezależnego satyryka i założył biuro, w którym „przerabiał i zmieniał” słowa i myśli. Dostarczał kontyngent, który przypadał na niego.

Był oportunistą, ale czy także kolaborantem, jak chcą po latach jego krytycy? Wybrał, jak miliony ludzi, jedną z możliwych po 1945 roku politycznych dróg i jedną z możliwych ojczyzn. To była ta Polska, która gwarantowała mu najwygodniejsze i najbardziej dostatnie życie.

A równocześnie na emigracji  
Piszą, żem zdrajca, że nie mam racji,  
Że mnie Borejsza na pewno upił,  
Moczar zastraszył, Mijał przekupił,  
Że muszę schlebiać i kłamać stale,  
Bo bym inaczej zgnił w kryminale,  
Że nawet pisząc wiersze dla dzieci  
Robię to tylko, co chcą „sowieci”.

Trzeba mieć dużo siły i hartu,

Gdy innym brak jest poczucia żartu.

To była tylko ironia, ale brzmiała z każdym tygodniem nowej Polski bardziej gorzko. Początkowo starał się zachować równowagę. Drwił z tych, którzy hamletyzowali, czy wracać, i z tych, którzy we wszystkim widzieli ataki na socjalistyczną ojczyznę („Kto bez biletu jedzie tramwajem, / Ten niszczy Polskę i demokrację”). Pisał o szabrownikach, o ludziach próbujących zrobić interes na powojennym braku wszystkiego, o wszechwładnej i równie niedostępnej biurokracji, o manii organizowania wieców, manifestacji, zjazdów, obchodów i pochodów z najbardziej błahych okazji, a nawet bez okazji („Jaka szczęśliwa ta nasza ziemia, / Wieczna galówka – można by rzecz”), tak że zwyczajnie brakuje czasu, by ucieszyć się zwycięskim końcem wojny i zacząć normalnie żyć.

Żartował z inwazji cwanych warszawiaków na „mlekiem i miodem płynącą” Łódź i związanych z tym plotek, także na swój własny temat. Kpił, że on też, jak każdy kuty na cztery nogi przybysz, ma oczywiście pięć restauracji, cztery kawiarnie i sześciopokojowe mieszkanie, a na śniadanie zjada złote rybki. „Mam trzy młode żony, przy nich żywot słodki / – Ach, jak żal, mój Boże, że to tylko plotki” – kończył wiersz *Warszawiacy*.

Nie przewidział, jaką niespodziankę szykują mu koledzy ze „Szpilek”. Pod wierszem ówczesny naczelny tygodnika Stanisław Jerzy Lec umieścił rymowany dopisek: „Zewsząd zaś dobiega nas odmienne zdanie, / Że nie wszystko plotki, drogi panie Janie!”. Poeta nie miał co prawda restauracji, kawiarni ani sześciopokojowego mieszkania, ale cieszył się zasłużoną opinią uwodziciela, zaś plotka o zgromadzonym przez Brzechwę majątku znalazła kilka lat później odbicie w raporcie łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

Pisał też utwory, które chyba nie budziły u większości Polaków wątpliwości. *Balladę o dwudziestu dwóch mordercach* poświęcił hitlerowskim zbrodniarzom, którzy przed trybunałem w Norymberdze próbowali bagatelizować znaczenie swoich czynów. Nie rozumieli, dlaczego są sądzeni, przecież wykonywali tylko rozkazy, a poza tym są dobrymi ludźmi („Jeden hodował kwiatki, / Drugi miłował dziatki, / Trzeci do nart miał zapał, / Czwarty motylki łapał...”).

W wierszu *Ratujcie Niemcy!* ośmieszał płynące z zachodu Europy i z Watykanu głosy domagające się, by nie obwiniać o hitlerowskie zbrodnie wszystkich Niemców. Że po zwycięstwie nadszedł czas, by oddzielić naród niemiecki (w większości niewinny!) od nazistów, zapomnieć o przeszłości i wyciągnąć do Niemców rękę. Takie głosy pojawiały się na Zachodzie tym częściej, im bardziej słabła pamięć wojny, a rosło zagrożenie komunizmem.

Niemiec jest dobry, Polak jest zły,  
Stąd oczywiście, nietrudny wybór,  
Po co miliony Polaków szły  
Deptać Majdanek, albo Sobibór?  
Było w gestapo, czy też w es-es  
Niedobrych Niemców parę tysięcy,  
Lecz kłamstwom trzeba położyć kres –  
Ratujcie Niemcy! Ratujcie Niemcy!

W Polsce podobne poglądy nie znajdowały posłuchu nawet w kręgach najsilniej antykomunistycznych, a już na pewno nie u ludzi, którzy wojnę przeżyli pod okupacją niemiecką. Nie musieli nawet być żydowskiego pochodzenia.

W listopadzie 1945 roku na scenie teatru Syrena w łódzkim Grand Hotelu miała premierę napisana

przez Brzechwę i Janusza Minkiewicza *Szopka polityczna 1945 / 1946* (kukielki zaprojektował Jerzy Zaruba). Pierwsza powojenna szopka nie wyszła poza normę lekko kontestujących świat polityki, ale tak naprawdę prorządowych przedwojennych szopek „Cyrulika Warszawskiego”. Tak też przyjęła ją krytyka, chwając autorów za wyrafinowany dowcip, literacki kunszt i dostrzeganie patologii życia publicznego, choć wytknięto Minkiewiczowi i Brzechwie także rażącą („lichą i gazetową”) plakatowość niektórych postaci.

Otwierał szopkę Borejsza, „szarobura eminencja”, której sam cesarz Japonii przysłał przez gejszę pozdrowienia, a rząd radził się w najważniejszych sprawach: „Rząd się do mnie zwrócił: «Słuchaj no, Borejsza / Radź nam, boś ty w Polsce głowa najmądrzejsza»”. Kazimierz Mijał śpiewał, jak dobrze być jednocześnie prezydentem i wojewodą, bo kiedy ludzie przychodzą coś załatwić (zwłaszcza mieszkanie!) do prezydenta, można ich odesłać do wojewody. I odwrotnie. Autorzy dobrodusznie kpili z „demokratycznego” ministra spraw zagranicznych Wincentego Rzymowskiego („Do MSZ-etu po tom szedł / Aby ozdobić MSZ”), z „czerwonego księcia” Krzysztofa Radziwiłła, szefa peerelowskiego protokołu („Słyszę w kółko: –Obywatel księżę...””) i z Zofii Nałkowskiej, dla której niewiele zmieniło się od przedwojny, bo i wtedy, i teraz gale, rauty i święta („tu speech miej, tu mowę”), w teatrach całej Polski grają jej sztuki, a w kinie film *Granica* („tłum się zachwyca”). Nałkowska była na łódzkiej premierze *Szopki*.

Mniej dobrodusznie było o politykach z Zachodu, o emigracji i opozycji. Pojawili się w szopce generał Franco („dostał w Hiszpanii hitlerowskiej manii”), prezydent USA Harry Truman („Wolność atomku w Białym Domku”) i były brytyjski premier Winston Churchill („Już taki jestem zimny drań!”). Były kukielki metropolity krakowskiego, kardynała Adama Sapiehy („Polska nierządem stoi, / Bo rządzi rząd nią, a nie Rzym!”), prezydenta RP na uchodźstwie Władysława Raczkiewicza („Od rana wieść straszną / Wypuszczam na miasto: / «Polska republiką / Będzie siedemnastą!»”) oraz próbującego układać się z komunistami Stanisława Mikołajczyka z PSL („Lepiej stworzyć rząd jedności, / Niźli rządzić bez zjednania”).

Po łódzkiej premierze szopka została pokazana w Krakowie, na scenie Starego Teatru. Jednak w wersji okrojonej. Nie pojawili się w niej prezydent Łodzi Mijał (z powodów w innym mieście zrozumiałych) i kardynał Sapieha, z powodów obyczajowych. Tadeusz Breza ironizował w „Odrodzeniu”, że szopka nie dostała pod Wawelem rozgrzeszenia. Krakowscy konserwatyści skutecznie przeciwstawili się niewczesnym kpinom z księcia Kościoła. Widzowie nie usłyszeli więc, jak kukielka ich kardynała (przedstawionego przez Zarubę bardzo złośliwie) śpiewa:

Dam sobie radę z tym bolszewizmem,  
Wiernych się ilość nie zmniejsza,  
Odkąd książeczki dwie z katechizmem  
Wydał mi major Borejsza!

Nie boję także się socjalistów,  
Dopóki w krąg wszystkie stany  
Czytają prócz mych pasterskich listów  
„Rycerza Niepokalanej” ... (...)

Spór tylko w jednym: że nowa władza  
Pragnie mieć śluby cywilne,  
Bowiem w kościelnych to im przeszkadza,

Że są zbyt trwałe i silne!

To niecna plotka, co tam gadają,  
Że małżeństw trwałość obostrzę –  
U nas rozwody także bywają:  
Cała różnica – że droższe...

Ale najbardziej boleśnie autorzy szopki dogryźli przyjacielowi obu sprzed wojny – Antoniemu Słonimskiemu. Skamandryta hamletyzował. Mieszkał w Londynie, gdzie kierował sekcją literatury w biurze UNESCO, ale przyjeżdżał do Polski, publikował w „Przekroju” i „Szpilkach”. Akceptował sojusz z ZSRR i jego koszty, ale nie bardzo skłaniał się do powrotu. W Anglii wydawał tygodnik „Nowa Polska” będący w sporze z sanacyjną emigracją, ale oczekiwał finansowania z kraju. To wypomnieli mu Brzechwa i Minkiewicz. Kukielka Słonimskiego śpiewała na melodię przedwojennego szlagieru *Święty Antoni*:

Różnym panom grafomanom  
Opłaciła się współpraca.  
Ja pisałem, nie dostałem  
Mnie się Polska nie opłaca.

Ale to był dopiero wstęp. Potem, już w rytmie inwokacji do *Pana Tadeusza*, „pan Antoni” tłumaczył:

Obejrzałem straszliwe ruiny Warszawy,  
Załatwiłem pospiesznie najpilniejsze sprawy,  
Miałem zostać w ojczyźnie, ale każdy przyzna,  
Że z daleka po stokroć miłsza jest ojczyzna.  
Skąpany w Putramencie wracam do Londynu,  
Ażeby nadal chudnąć z nostalgii i spleenu,  
Sześć lat tam przesiedziałem, przesiedzę i więcej,  
A od Polski chcę dostać jedynie subwencję...

W dodatku to nie był jeszcze koniec złośliwości. Kukielka Słonimskiego zwierzała się widzom, że nie wraca, bo w kraju, gdzie wieszczem ogłoszono Przybosia, dla niego miejsca nie ma. Dlatego zostanie drugim Josephem Conradem, bo oczywiście kocha ojczyznę, ale za granicą lepiej idzie biznes. Bo w Londynie czy Nowym Jorku jest ciężka forsa, a w Polsce tylko ciężka praca.

Słonimski mógł poczuć się obrażony. Jeszcze we wrześnie Brzechwa zapraszał go na łamach „Szpilek”... na wódkę. „Obozy, ruiny, gruzy, / To ciernie na naszej skroni... / Lecz z jednej jesteśmy Muzy, / Kochany Panie Antoni” – zapewniał.

Cztery tygodnie później w tych samych „Szpilkach” ukazał się fragment szopki Brzechwy i Minkiewicza, i to akurat ten najbardziej złośliwy wobec Słonimskiego („po moim wyjeździe zjawily się w «Szpilkach» tak zwane insynuacje”), a później wystawiono szopkę. Słonimski odpowiedział fraszką parafrazującą wiersz Juliusza Słowackiego *W pamiętniku Zofii Bobrówny*. „Niechaj mnie Brzechwa na wódkę nie prosi / Bo kiedy wiosną do ojczyzny wrócę, / To taką piosnkę o Brzechwie zanucę, / Że Brzechwa łzami własne brechty zrosi” – pisał.

Ale kpiny ze Słonimskiego były tylko niewinną zapowiedzią prawdziwego sporu o nową Polskę, w który kilka miesięcy później Brzechwa wdał się z Marianem Hemarem.

# Wracamy do ruin, a „Rejtan” nas karci...

W tym sporze padły chyba wszystkie argumenty, jakich można było w 1945 i 1946 roku użyć w dyskusji, co dalej? Jak powinni zachować się polscy twórcy wobec rozstrzygnięć, które zapadły w Jałcie i Poczdamie? Ci, którzy spędzili wojnę za granicą, musieli zdecydować: pozostać na emigracji czy wracać do Polski, która znalazła się w pół drogi między suwerennością a statusem siedemnastej republiki sowieckiej? Ci, którzy przeżyli okupację w kraju albo przeszli przez sowieckie więzienia i obozy, a mimo to postanowili zostać w Polsce, musieli wybrać stopień zaangażowania w nową rzeczywistość.

Dwa poeci, Brzechwa i Marian Hemar, przed wojną co najmniej dobrzy koledzy, po wojnie znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Hemar, który walczył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich, a od 1942 roku pracował w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji rządu londyńskiego, zdecydował, że nie wraca. Podobnie jak Lechoń, Wierzyński, Gombrowicz, Giedroyc, Wańkiewicz i dziesiątki innych pisarzy, utalentowanych bardziej lub mniej. Słonimski hamletyzował, choć dość szybko stało się jasne, że raczej do Polski wróci, Broniewski przyjechał, gdy dowiedział się, że w Polsce jest ukochana kobieta, Tuwim też szykował się już do powrotu zza oceanu. Niespodziewanie wrócił nawet Konstanty Ildefons Gałczyński. W kraju byli Iwaszkiewicz, Dąbrowska, Nałkowska, Makuszyński, Dygat i bracia Brandysowie. Był także Brzechwa.

Podejmowane decyzje nie oznaczały wyłącznie wyboru miejsca do życia. Były przede wszystkim zgodą, lub nie, na ustalenia z Jałty, które podzieliły Europę. Przedwojenne przyjaźnie, utrwalone latami współpracy i butelkami wypitych trunków, po wojnie przestały istnieć. I „niezłomni” w Londynie, i „realiści” w Łodzi byli przekonani, że racja może być tylko po jednej stronie. I jest to właśnie ich strona.

W pismach ukazujących się na emigracji nie pozostawiano wątpliwości, że Polski nie ma, a to, co istnieje między Odrą a Bugiem, to jakaś nędzna namiastka, rzucona jak ochłap zdradzonemu przez aliantów Polakom, zaś ci, którzy opowiedzieli się za porządkiem ustalonym w Jałcie, to zdrajcy ojczyzny. Polska istnieje wyłącznie w Londynie, gdzie prawdziwi Polacy przechowują o niej pamięć.

W gazetach i tygodnikach w kraju pisano o zaślepieniu ludzi, którzy nie chcą zaakceptować nowego kształtu Polski. Nie rozumieją, że mogło jej nie być wcale, a jeśli jednak istnieje, to jest to zasługa wyłącznie Związku Sowieckiego i osobiście Stalina. Prawdziwi patrioci powinni więc wracać do kraju i włączyć się w dzieło podnoszenia Polski z gruzów. Ci, którzy tego nie czynią, odbierają sobie prawo do nazywania się Polakami. W tej dyskusji dopuszczalny był każdy argument, każdy polemiczny chwyt, każda demagogia.

W lutym 1946 roku w „Szpilkach” ukazał się wiersz Brzechwy *Gryps do Jana Lechonia*. Zgodnie z tytułem utrzymany w poetyce listu wysłanego nielegalnie z więzienia.

Kochany Panie Janie, piszę potajemnie  
Żeby w porę ten gryps Pan otrzymał  
Ode mnie.  
Albowiem Pańskie dobro mając na uwadze  
Wracać Panu nie radzę.  
Naprawdę, nie radzę.  
Tu życie nie dla Pana.

Brzechwa ostrzegał Lechonia, że w Polsce pod sowieckim batem jest jeszcze gorzej, niż opisuje to zachodnia prasa. W Łodzi nie został już prawie nikt, wszyscy na zesłaniu, a ci, których jeszcze nie wywieziono, trafili do ubeckich więzień. „Ja, z garstką literatów, na twardym posłaniu / W łańchmanach i kajdanach, z «pepeszą» przy mordach / Za karę oglądamy nowe filmy Forda”.

Ale obowiązek oglądania propagandowych filmideł w reżyserii Aleksandra Forda to jeszcze nic. Więźniom ogolono głowy, do jedzenia dostają wyłącznie trociny, a nadzorujący twórców milicjanci zmuszają ich do pisania peanów na cześć reformy rolnej. W dodatku muszą to robić po ciemku, bo prądu i wody w sowieckiej Polsce dawno już nie ma, „do kościoła, rzecz prosta, nikt dzisiaj nie chodzi / Bo tam żandarm sowiecki, przebrany za księdza, / Każdego, kto się zjawi, na Sybir wypędza” – pisał Brzechwa dalej.

Cynizm sowieckich okupantów jest dużo gorszy, niż mogą to sobie wyobrazić ludzie na demokratycznym Zachodzie. Pisarze, nawet tacy jak Broniewski czy Putrament, są rozpijani i wtrąceni do więzień, a co gorsza, podstawione przez zbrodniczą władzę sobowtóry Bohdana Piaseckiego (twórcy Falangi) i katolika Stefana Kisielewskiego wygłaszają tyrady popierające komunizm. Prawdziwy Piasecki i prawdziwy Kisielewski gniją w lochu, a komunistyczny czynownik Borejsza okłamuje w ich imieniu Polaków. Nawet Mikołajczyk, wicepremier i przewodniczący PSL, ostatnia nadzieja na zachowanie resztek demokracji, jest sterroryzowany: „Mikołajczyk przemawia, lecz podczas przemowy / Ma lufę pistoletu przytkniętą do głowy, / Po czym go się pakuje za kolczaste druty, / Gdzie czeka nań już Kiernik w kajdany zakuty”. W okupowanym kraju panoszą się oddziały NKWD, wyłapujące na ulicach i w barach prawdziwych patriotów. „By gościa, jego żonę i ojca, i matkę / Całkiem nagich, traktorem wywieźć na Kamczatkę” – donosił Brzechwa.

Na koniec prosił Lechonia, żeby spalił gryps. Bo gdyby dostał się w niepowołane ręce: „Pan sam rozumie: postawią «pod ściankę» – / Rozstrzelają, powieszą i zrobią rąbanek”.

Na wydrukowany w „Szpilkach” wiersz niespodziewanie zareagował nie adresat, ale Marian Hemar. Na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” w połowie marca ukazał się jego wiersz *Odpowiedź*.

„Gryps, acz nie do mnie, wszystkich nas dotyczy, / Wszystkich poetów polskiej emigracji, / Którym do kraju tęskno – a nie śpieszno” – tłumaczył. Miał prawo czuć się wywołany do tablicy. Jako autor dziesiątków satyrycznych tekstów wymierzonych w komunistyczną Polskę był lepszym adresatem *Grypsu* niż Lechoń. Odpowiada, pisał, bo pan Brzechwa niesprawiedliwie szydzi z tych, którzy nie wracają do kraju, a więc także z niego. Odpisuje, bo Brzechwa zarzuca takim jak on tchórzostwo, niechęć do pracy dla Polski, choć przecież, jak twierdzi, w kraju panuje już wolność słowa i pióra. Dowód owej swobody? „Szpilki” i publikowane tam wiersze! I „Nieskrępowanie, z jakim tam się smaga / Sanację, faszyzm, warszawskie powstanie, / Armię Krajową i Wielką Brytanię, / Turka nie Turka i Persa nie Persa, / Komorowskiego, Maczka i Andersa...” – kpił. On, tu, na emigracji, żyje w strachu, że w kraju terror i NKWD na każdym kroku, „że żołdak sowiecki / Butami depce krwawy bruk Warszawy”, że pozamykane kościoły i wszechobecna cenzura. Tymczasem Brzechwa twierdzi, że wszystko to nieprawda. Wręcz przeciwnie. Pełna swoboda... atakowania Zachodu i ośmieszania emigracji.

Dalej już było bardzo poważnie. Hemar pytał Brzechwę, jak poeta pochodzący z kraju Traugutta, Piłsudskiego i księdza Skorupki można bronić „jakiegoś” Bieruta, „jakiegoś” Osóbki-Morawskiego? Jak może to zastąpić mu prawdziwą wolność?

Jeśli tam wolność sumienia i słowa,

Jeżeli taka odwaga cywilna,  
Napisz – co myślisz o Polsce bez Lwowa?  
Napisz – co myślisz o Polsce bez Wilna?  
Ten tylko temat nas wszystkich obchodzi.  
O tym bym pisał, gdybym też był w Łodzi.

Wolność sumienia? Niech pan nas przekona!  
Wolność poezji, wśród wolności mnóstwa?  
Niech pan napisze, że linia Curzona  
Jest linią zdrady i linią oszustwa,  
Z którym się nigdy nikt żywy nie zgodzi!  
Bo ja bym pisał tak, gdybym był w Łodzi.

Ale skoro nie wolno poecie napisać, że zamiast nagrody, której mogła się spodziewać za wierność sojusznikom i za poniesione ofiary, Polska została tak naprawdę ukarana pozbawieniem ogromnej części kraju, to nie ma po co wracać. „Ja bym tak pisał. Dlatego nie w Łodzi” – tłumaczył. Jeśli Brzechwa myśli inaczej, jego wybór („to ci gratuluję”), jeśli czuje tak samo, jak każdy Polak i każdy poeta czuć musi, ale nie wolno mu tego napisać, to można mu tylko współczuć. „Lecz nie kuś, by się kto wracać ośmielił / Iz tobą podłość albo hańbę dzielił” – napisał Hemar.

A potem złożył Brzechwie, a tak naprawdę Jerzemu Borejszy, a może wręcz nowym władcom Polski propozycję pokerową. Skoro on, Marian Hemar, przytoczył w całości wiersz Brzechwy w „Dzienniku Polskim”, niech teraz „Szpilki” przedrukują jego *Odpowiedź*. Skoro nad Wisłą nie wierzy się w zachodnią demokrację, niech w ten sposób zostanie dowiedziona wyższość wschodniej. A on przyrzeka, że wtedy: „Wracam, nie czekając chwili”.

Jeśli jednak Brzechwa propozycji nie przyjmie, albo przyjąć nie będzie mógł, niech sobie dalej pisze, ile razy tylko zechce, „łódką ciesząc się wolnością słowa, / «Satyry na prezydenta Trumana»”. „Ale się nie pchaj z nędzną swą ironią / Do tych, co ciebie – choć wbrew tobie – bronią!” – prosił na koniec.

*Odpowiedź* nie ukazała się ani w „Szpilekach”, ani w żadnym innym piśmie w kraju. Ponoć w redakcji długo naradzano się, czy jednak nie dowieść wyższości demokracji w wydaniu sowieckim nad demokracją zachodnią. Konsultowano to z Borejszą, sprawa – taką informację dostał rok później Hemar – miała nawet trafić do samego Bieruta. „Pan Bierut «był za tym», żeby przedrukowywać” – pisał Hemar, ale stało się inaczej.

Po kilku miesiącach Brzechwa, najpierw w prasie: „Polsce Wyzwolonej”, „Szpilekach” i „Trybunie Robotniczej”, a potem w tomiku *Palcem w bucie*, opublikował *Marianowi Hemarowi – odpowiedź*. Z mottem z wiersza Hemara: „Ja bym tak pisał, gdybym mieszkał w Łodzi”. Wiersz poprzedzało wyjaśnienie, próbujące nieudolnie usprawiedliwić polemikę z kimś, komu odmawia się prawa głosu. Hemar postawił jako warunek swego powrotu do Polski opublikowanie jego wiersza *Odpowiedź* – informowała czytelników redakcja „Szpilek”: „W obawie, że po wydrukowaniu jego utworu Hemar wróci, pojedzie np. do swych wielbicieli do Kielc i broń Boże coś mu się stanie (bylibyśmy niepokieszeni, że przyłożyliśmy do tego rękę) – drukujemy tylko odpowiedź Jana Brzechwy”. Żarty z knebla nigdy nie są śmieszne, a aluzja do pogromu kieleckiego, który wydarzył się zaledwie kilka tygodni wcześniej (zabito 37 Żydów), i pochodzenia Hemara, była żenująca podwójnie.

Sam Brzechwa też próbował najpierw obrócić spór w żart, zdjąć z polemiki dwóch poetów



śmiertelnie poważny ton najważniejszej wtedy w Polsce debaty. Zwracał się przecież do przyjaciela, z którym rozdzieliła go wojna. Kiedyś bliskiego, z którym spędzili wiele lat razem, pracując, śmiejąc się, drwiąc z zadęcia innych. Teraz ten sam przyjaciel, odnaleziony po latach rozłąki, gromi go i karci niczym ksiądz Skarga, struga Rejtana, stroi się w togę Katona. „Niech Pan zdejmie togę, / Chciałbym z Pana się pośmiać, a w todze nie mogę”.

Dalej jednak było już bardziej serio. Bez cienia żartu.

Gdybym siedział spokojnie gdzieś na emigracji,  
Gdybym nie miał za sobą piekła okupacji,  
Gdybym nie był głodzony w niemieckim obozie,  
Gdybym tych lat nie przeżył w niewoli i grozie,  
Gdybym nie trwał w Warszawie do końca, niezłomnie,  
Ja bym tak nie napisał, jak Pan pisze do mnie,  
Bo by mnie nieustanna trapiła obawa,  
Że ja tych ludzi w kraju uczyć nie mam prawa.

Hemar poucza tych, którzy przeżyli okupację w Polsce, bo wojnę zna tylko z widzenia, a Niemców wyłącznie ze słyszenia, pisał dalej Brzechwa. Gardzi „żołdactwem sowieckim”, wołałby innych sąsiadów, ale po to trzeba by zmienić geografę w tej części Europy.

Dla Pana to tylko frazes i tylko historia,  
A dla nas tu dymiły sześć lat krematoria,  
Dla nas była Treblinka, Oświęcim, Majdanek,  
Myśmy znali to z życia, Pan – tylko ze wzmianek.  
Nie było takiej nocy, ażeby gestapo  
Nie waliło do bramy zakrwawioną łapą.  
Gdyby „żołdak” sowiecki nie przyszedł, broń Boże,  
Któżby z nas się nie dusił w gazowej komorze?

Jeśli dziś żyję, pisał Brzechwa, to właśnie dlatego, że ów sowiecki „żołdak” przyszedł nad Wisłę. W Londynie można myśleć inaczej, bo tam trudno zrozumieć, co znaczyło wyzwolenie. Tam łatwo być odważnym, a jeszcze łatwiej krytykować i pogardzać.

Te słowa mogły wielu ludziom trafić do przekonania. Życie w okupowanej Polsce było doświadczeniem nieporównywalnym z najtrudniejszą nawet egzystencją w państwie, które mimo wojny pozostało wolne. Takie było doświadczenie milionów Polaków i jeśli nawet w większości nie akceptowali sowieckiego rozpanoszenia się w powojennej Polsce, to z rezerwą przyjmowali również wygłaszane ex cathedra pouczenia emigracji.

Brzechwa użył także argumentu, którym wcześniej posłużył się wobec Słonimskiego. Pisał, że przecież Hemar nie zostanie w Londynie na zawsze. Kiedyś zechce wrócić do Polski, choć pewnie wtedy dopiero, gdy inni już usuną gruzy z ulic, oczyszczą place, odbudują zniszczoną stolicę, przygotują dla gościa dom i auto. Wróci, by dyskutować sławę niezłomnego, który nigdy nie poszedł na kompromis z sowiecką władzą. „Myśmy wyszli z Warszawy nadzy i obdarci / I wracamy do ruin. A «Rejtan» nas karci” – ironizował Brzechwa. Nie przewidział, że wobec Hemara ten argument okaże się nie tylko chybiony, ale wręcz niesprawiedliwy.

Odpowiedział też na propozycję opublikowania w kraju *Odpowiedzi* Hemara: „Napisał Pan

o rządzie dosyć obelżywie. / Mamy to przedrukować? Ja się Panu dziwię, / Czyż możliwość znieważania naszych mężów stanu / Ma stać się tą wolnością, co dogadza Panu?”. On, Brzechwa, nie należy do partii, od rządu niczego nie oczekuje, więc nikt nie może go kupić. Pisze to, co chce. A Hemar stawia warunki powrotu. I to komu? Własnej ojczyźnie.

Za powrót Pan już z góry żąda podarunków –  
Miejsce Pana jest tutaj. Bez żadnych warunków.  
Gdybym ja był w Londynie, pisałbym inaczej.  
Niech Pan wraca do domu. Ojczyzna przebaczy.

To nie było uczciwe. Hemar niczego nie żądał, zaproponował rodzaj testu na wolność słowa. Komunistyczna Polska ten test oblała. Dlatego na drugi wiersz Brzechwy już nie odpowiedział, choć tym razem naprawdę został wywołany do tablicy. Uznał, że nie warto. Po kilku latach, przedrukowując swój wiersz w antologii *Siedem lat chudych*, napisał: „Brzechwa widać pomylił Ojczyznę z redakcją «Szpilek»”. Komentując dwa lata później naradę satyryków, która odbyła się w Warszawie, dodał, że obok mistrza Tuwima, który kiedyś miał na twarzy myszkę, a dziś szczura, obok Gałczyńskiego, który w komunistycznej Polsce liże to, co kiedyś kąsał, a kąsa to, co kiedyś lizał, wziął w niej udział także „Jan Yesman Brzechwa, satyryk posępny”.

Wiersz *Marianowi Hemarowi – odpowiedź* zajął w ogłoszonej w 1947 roku ankiecie na ulubionego autora i utwór opublikowany w „Szpilkach” piąte miejsce. Wyróżnienie było tym cenniejsze, że utwór Brzechwy był jednym z zaledwie dwóch na dziesięć wyróżnionych utworów, który opublikowano w roku 1946, a więc mniej osób go pamiętało. Ale do redakcji przychodziły też anonimowe listy, biorące Hemara w obronę. Oskarżano Brzechwę o zdradę narodową i szarganie emigracji, ktoś pytał, czy oprócz Lwowa i Wilna nie chce oddać Rosjanom także Skierniewic i Łowicza.

To dlatego z taką satysfakcją przyjął opublikowaną w londyńskich „Wiadomościach” recenzję, w której zarzucono Hemarowi mechaniczne dowcipkarstwo, samozachwyty, brak skrupułów oraz atakowanie Mickiewicza. „Może te cierpkie słowa prawdy otrzeźwią garstkę naszych kumoszek, biorących londyńskiego «wieszczka» na serio i piejących jego chwałę w anonimowych listach” – skomentował Brzechwa.

Lechoń, od którego wszystko się zaczęło, nie odpowiedział na skierowany do siebie *Gryps*. Przynajmniej nie od razu. Dopiero w maju 1952 roku, kiedy Brzechwa miał już na koncie kilka utworów znacznie gorszych, zanotował w *Dzienniku*, że sam nigdy nie napisałby wierszy na cześć Bieruta i Stalina. Nie może przysiąc, zastrzegł, jak zachowywałby się, gdyby znalazł się na miejscu Brzechwy czy Iwaszkiewicza, ale takich wierszy, jak oni, nie napisałby na pewno. Tak samo jak nie zabijałby i nie kradł.

„Człowiek, który raz ukradł, jest złodziejem, pisarz, który pisze takie wiersze jak Iwaszkiewicz i Brzechwa – przestaje być pisarzem i naród nie ma żadnej z niego pociechy” – napisał 9 maja. Uważał, że uczciwiej byłoby zostać szewcem, niż pisać pod dyktando bolszewików. Tak jak zrobił Zygmunt Jurkowski, przeciętny literat, bez szans na przejście do historii, ale człowiek uczciwy. Gdy Polskę zajęli komuniści, złamał pióro i poszedł na praktykę do szewca. Iwaszkiewicz i Brzechwa też powinni byli pójść do szewca, uznał Lechoń.

# Arystokratyczna społeczność kaczki dziwaczki

Lojalność większości zgromadzonych w Łodzi literatów wobec nowego ustroju nie budziła raczej wątpliwości, ale władza wolała trzymać rękę na pulsie. Mieszkańcy obu literackich kamienic byli pod stałym nadzorem Urzędu Bezpieczeństwa. Wśród nich oczywiście i Brzechwa.

Może dopatrzono się czegoś podejrzanego w jednej z ankiet personalnych, które musiał, jak tysiące Polaków, wypełniać przy każdej sposobności. Władza chciała wiedzieć, co robił w latach 1939–1945, gdzie pracował i na jakim stanowisku, czy podpisał volkslistę (jako reichdeutsch, volksdeutsch, członek innej grupy?) i czy był za to ukarany po wyzwoleniu? A może należał do jakiejś innej uprzywilejowanej grupy narodowościowej? Albo był członkiem Armii Krajowej, Związku Walki Zbrojnej, Narodowych Sił Zbrojnych lub organizacji Wolność i Niepodległość? A jeśli był, to czy został zrehabilitowany, gdzie, kiedy i przez kogo? Te same pytania dotyczyły członków rodziny: „Wymienić nazwisko i stopień pokrewieństwa”.

Jeszcze bardziej szczegółowe pytania dotyczyły II Rzeczypospolitej. Wypełniający musiał napisać, czy pracował w policji, żandarmerii, straży więziennej albo „dwójce”, czyli wywiadzie. Władze oczekiwały też informacji, czy należał przed wojną do endecji, chadecji albo syjonistów, czy był członkiem BBWR, OZON, ONR, OWP, Strzelca, Legionu Młodych itp.? A może był członkiem KPP, PPS lub SL? Kiedy wstąpił i jak długo należał? Jeśli był członkiem Komunistycznej Partii Polski, to czy miał przerwy w przynależności i z jakich powodów? Kiedy i jak długo? Czy był karany partyjnie i za co? I pytanie najważniejsze: „Kto może potwierdzić zgodność powyższych danych?”.

Pytano nawet o przynależność do związków zawodowych. Do jakich ankietowany należał? Kiedy i gdzie wstąpił? Jakie pełnił funkcje? Czy był prześladowany przez władze sanacyjne? Czy był więziony albo karany sądownie, za co, kiedy i gdzie? Jak się zachowywał w śledztwie, więzieniu, w Berezie Kartuskiej? I znów pytanie podstawowe: „Kto to może poświadczyć?”. Kolejna grupa pytań dotyczyła rodziny za granicą i wyjazdów do innych państw, zwłaszcza zachodnich. Nie wolno było niczego przekręcić, a tym bardziej pominąć czegoś, co już raz zostało napisane, bo to oznaczało, że ankietowany chce coś zataić. Każda nieścisłość była podejrzana.

Być może władzom nie spodobało się, że Brzechwa w 1946 roku podpisał list otwarty w obronie Adolfa Dymy, skazanego przez sąd honorowy Związku Artystów Scen Polskich na zawodową banicję. Aktor nie mógł występować w teatrach warszawskich (do grudnia 1945 nie wolno mu było grać w ogóle), a 15 procent uzyskiwanych honorariów musiał wpłacać na konto Domu Aktora w Skolimowie. Został ukarany, bo w czasie wojny wbrew zakazowi władz podziemnych występował w teatrach koncesjonowanych przez Niemców. Decyzji aktorskiego trybunału nie zmienił nawet fakt, że Dyma został oczyszczony z zarzutu kolaboracji.

W opublikowanym m.in. przez „Kuźnicę” i „Odrodzenie” liście Brzechwa, Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk i Juliusz Żuławski pisali, że oczyszczenie imienia nie naprawia krzywdy, jaką wyrządzono aktorowi. Los Dymy jest bolesnym przykładem marnotrawienia wielkiego talentu: „Chcielibyśmy go widzieć nareszcie na wielkiej scenie, jako odtwórcę humoru Szekspira i Moliera, Gogola i Fredry...”. Brzechwa wiedział, przed jak trudnymi wyborami stawali podczas wojny ludzie i jak niełatwo ocenić, gdzie kończy się walka o przetrwanie, a zaczyna kolaboracja z okupantem. Co jest jeszcze dopuszczalne, a co powinno zostać potępione i ukarane. W Łodzi, a potem także w Warszawie, był członkiem komisji weryfikacyjnej ZZLP, badającej, jak zachowywali się podczas wojny pisarze.

Oświadczenie wywołało dyskusję, ale niczego w sprawie Dymy nie zmieniło. Do Warszawy

mógł wrócić dopiero w roku 1951. Brzechwa jednak nie poddał się. Zakaz ZASP-u nie obejmował występów w filmie, a Brzechwa został w 1948 roku kierownikiem literackim Zespołu Filmowego Warszawa (szefował Ludwik Starski). To dzięki niemu Dymśza zagrał w pierwszej po wojnie polskiej komedii *Skarb*. Jako Alfred Ziółko, naśladujący w radio głosy zwierząt i inne dźwięki, przypominał, jakim jest fantastycznym aktorem.

A może bezpieka po prostu nie była w stanie pojąć, dlaczego poeta, tak ostro polemizujący z Hemarem, jednocześnie występuje przeciwko polityce kulturalnej państwa, krytykując rząd za lekceważenie potrzeb twórców. Podczas zjazdu literatów w 1946 roku Brzechwa mówił o pisarzach, którzy przez sześć lat wojny pozbawieni byli możliwości zarabiania, o głodowych dochodach twórców i upokarzających zasiłkach w wysokości trzech tysięcy złotych, skazujących ich na żalosną wegetację. Buty kosztowały wtedy dziesięć, dwadzieścia tysięcy złotych.

Manifest Lipcowy zapowiadał przywileje dla ludzi kultury, przypominał Brzechwa. Mieli przecież odbudowywać polską kulturę za siebie i za tych, którzy zginęli podczas wojny. Posłowie do Krajowej Rady Narodowej potwierdzili, że tak właśnie będzie, a rządowi dygnitarze „głosili ten mit”, kiedy było to im potrzebne.

– Od chwili ogłoszenia manifestu PKWN upłynęły dwa lata – mówił poeta. – I rzeczywistość pozwala nam dzisiaj stwierdzić, że otrzymaliśmy czek, który nie ma pokrycia.

Z innych obietnic też nie zostało nic, kontynuował. Pisarze nie dostali ani ulg na bilety kolejowe, jak urzędnicy, ani nie znaleźli się na liście uprawnionych do zniżek przy zakupie ponemieckich mebli, choć umieszczono na niej dziesiątki innych zawodów. Zaś ministrowie, kiedy przypomnieć im o złożonych obietnicach, bezkrytycznie powtarzają legendę o dobrobycie i wysokich zarobkach literatów. Choć dobrze wiedzą, że dotyczy to tylko niewielkiej grupki szczęśliwców, których książki akurat zostały wydane, i to w dużych nakładach. Ale po pierwsze, ich zarobki są i tak niższe od zarobków pierwszego lepszego handlarza warzyw, a po drugie, zdarzają się raz na kilka lat, a podatki trzeba płacić co miesiąc. I dodał coś, co musiało zabrzmieć w uszach rządzących szczególnie boleśnie: – Tak nie było nawet przed wojną.

Oklaskiwali go wszyscy uczestnicy zjazdu. „Czarujący mecenas z goździkiem w klapie (...) zdobył serca lewicy i prawicy, nie wyłączając pisarzy tak apolitycznych, jak Maria Dąbrowska i Stefan Kisielewski. Brzechwa ma wyczucie złotego środka, w myśl rozsądnej zasady «Alii bella gerunt, tu, felix Brzechwa, nube!»” – pisał w sprawozdaniu ze zjazdu Jan Rojewski, przywołując maksymę Habsburgów: „Niech inni prowadzą wojny, ty, szczęśliwa Austrio, zaślubiaj” (w XVI wieku Habsburgowie serią mariaży zbudowali potęgę dynastii w Europie). Brzechwa też potrafił przekonać do swoich argumentów każdego.

Agenci UB gromadzili o pisarzach informacje prawdziwe i plotki. Ścisłe tajna notatka, sporządzona kilka lat później w związku z wyjazdem Brzechwy na kongres UNESCO w Montevideo, pokazuje skalę inwigilacji.

Znalazły się w niej informacje na temat rozwodu Brzechwy i kolejnego małżeństwa oraz dużych sum pieniędzy, które miał zarabiać jako satyryk i poeta, „za co mógł sobie pozwolić na chulaszczy (sic! – M.U.) tryb życia i bardzo często do domu wracał w stanie kompletnie pijanym” – pisał T. Pawlikowski. Funkcjonariusz UB donosił, że poeta oprócz mieszkania w Łodzi ma dwie wille: jedną na Ziemiach Odzyskanych, drugą w województwie warszawskim, i należy do spółki posiadającej lokal literacki w hotelu Savoy, gdzie często bawi się, nadużywając alkoholu. Prowadzi obfitą korespondencję, także z zagranicą, a w Łodzi bliższe kontakty utrzymuje z Januszem Minkiewiczem, Władysławem Broniewskim i Leonem Pasternakiem. Po jego wyjeździe z Łodzi, informował Piątkowski, w środowisku literackim mówi się, że rozszedł się z Janiną („brała czynny

udział w pijatykach organizowanych przez męża”) i ożenił po raz kolejny, w Zakopanem, z osiemnastoletnią dziewczyną.

Nawet biorąc poprawkę na fakt, że wiedza oparta na donosach, podsłuchach i plotkach rzadko bywa prawdziwa, to w tym wypadku ilość bzdur (w sprawach ważnych, dotyczących obu willi i kolejnej żony, i drobnych) dowodzi skrajnej niekompetencji tajniaków. Tym bardziej że w rozplotkowanym i skłóconym środowisku o informatorów wcale nie było trudno.

Na początku 1946 roku w prasie wybuchła awantura o umowy, które pisarze zawierali podczas okupacji. Okazało się, że część wydawców nie zamierza kupionych tekstów publikować, ale nie chce też rezygnować z praw do nich. Najchętniej odprzedaliby je, oczywiście z zyskiem. Inna sprawa, że nie wszystkie z okupacyjnych rękopisów nadawały się do druku. Jedne w nowej rzeczywistości politycznej stały się najzwyczajniej niecenzuralne, inne były po prostu kiepskie.

Spór dotyczył Brzechwy podwójnie. Jako radca prawny Czytelnika reprezentował państwowego wydawcę zainteresowanego pozbyciem się z rynku prywatnej konkurencji. Jako autor był związany okupacyjnymi umowami, które uważał za niekorzystne dla siebie. W tygodniku „Kuźnica” napisał wprost, że większość tych, którzy kupowali podczas wojny prawa do książek, to zwykli spekulanci. Wtórowali mu inni pisarze, też zainteresowani rozwiązaniem swoich umów. W artykułach publikowanych w „Odrodzeniu”, „Kuźnicy” i „Nowinach Literackich” wrzucono prywatnych wydawców do jednego worka, uznając za sprytnych kombinatorów. Ministerstwo Kultury do spółki ze Związkiem Literatów szykowało już przepisy zobowiązujące wydawców do opublikowania kupionych podczas wojny tekstów najpóźniej w ciągu roku. Jeśli tego nie zrobią, prawa wrócą do autorów. Zarząd ZZLP zaapelował ponadto, by podnieść stawki okupacyjnych honorariów do wysokości obowiązującej po wojnie, bo – argumentowano – umowy podpisywane były w warunkach przymusowych i są dla pisarzy krzywdzące. Czujący wsparcie państwa literaci zażądali dodatkowych pieniędzy niezależnie od tego, czy wydawcy zamierzali kupione rękopisy wydać, czy nie.

Brzechwa chciał, żeby sprawę załatwił rząd, unieważniając wszystkie okupacyjne umowy i poddając całą działalność wydawniczą kontroli państwa. Pozwoliłoby to oddzielić uczciwych wydawców od „rekinów i pijawek, które powodowane egoistycznym merkantylizmem, opanowane żądzą zysku, żerują na twórczości artystycznej, tworząc swoisty rodzaj szkodników społecznych” – pisał.

Dekretu się nie doczekał, wykorzystał jednak klimat niechęci wobec prywatnych wydawców do osobistej rozprawy z Eugeniuszem Kuthanem, któremu podczas wojny sprzedał prawa do kilkunastu utworów. Kuthan co prawda natychmiast po wyzwoleniu zaczął wydawać bajki Brzechwy, ale poeta uważał, że płaci mu za mało. Uznał być może, że oddając utwory Czytelnikowi, zarobi więcej. Oskarżył Kuthana, że w czasie okupacji, „zachowując pozory wspaniałomyślności”, skupował za bezcen rękopisy od pozbawionych środków do życia pisarzy, a teraz zarabia na tym setki tysięcy, a być może nawet miliony złotych, nie dzieląc się z autorami. „Taki jest obraz tego wydawcy, dla którego wyzysk i bezprawie równoznaczne są z pojęciem inicjatywy prywatnej” – pisał w „Kuźnicy”. W innym miejscu skarżył się, że co prawda musi godzić się na wydawanie przez Kuthana swoich książek, ale postara się, by mu to jak najbardziej utrudnić. Groźbę spełnił. Uruchomił przeciwko prywatnemu wydawcy wielką prasowo-związkową machinę.

W artykule *Casus Kuthan* Brzechwa wyliczał, że za wydaną w 1945 roku w nakładzie 10 000 egzemplarzy książkę *Pan Drops i jego trupa* (kosztowała 300 zł za sztukę) powinien dostać 450 000 złotych, a na początku 1944 otrzymał zaledwie 13 000. Kuthan „oburzał się teatralnie” i obiecywał, że wszystko wyrówna, gdy będzie już mógł normalnie wydawać książki, ale po wojnie

okazało się, że był to tylko chwyt handlowy. A przecież, żalił się poeta, sprzedał Kuthanowi prawa do kilkunastu książek, w dodatku niektóre jeszcze taniej niż *Pana Dropsa*...

Na wezwanie Związku Literatów, by wydawcy wyrównali wojenne honoraria, Kuthan odpowiedział impertynentnym listem, a propozycję arbitrażu odrzucił, pisał Brzechwa. Wydaje kolejne jego bajki i poematy, ale autora ignoruje. Nie pozwala ani na poprawki w rękopisie, ani na korekty w druku, „wykazuje też zupełną pogardę dla ustawy o prawie autorskim, dla moich praw osobistych, tą ustawą zawarowanych...” – żalił się. W dodatku, alarmował, Kuthan uprawia swój proceder nadal, zwodząc pisarzy takimi samymi pięknymi słówkami, jak jego podczas okupacji.

Eugeniusz Kuthan zareagował oświadczeniem, które rozesłał do władz, związków artystycznych i redakcji. Nie zostało opublikowane, pojawiła się natomiast zapowiedź Brzechwy, że sprawę „zawierającego szereg inwektyw” i będącego wierutnym kłamstwem pisma kieruje do sądu. W sukurs ruszyli mu Szancer, Minkiewicz i łódzki oddział ZZLP. Pierwszy zarzucił Kuthanowi, że w swoim „oburzającym liście” kłamie, robiąc z siebie dobroczyńcę i twierdząc, że literaci i malarze podczas okupacji „nie najgorzej żyli sobie”. Obliczył, że tylko za ilustracje do książki *Za króla Jelonka* wydawca jest mu winien 142 000 złotych, zaś „tworzenie legendy Kuthana – jagnięcia jest w wysokim stopniu szkodliwe” – napisał. Minkiewicz ogłosił w „Kuźnicy” wiersz *Różnice* z fragmentem o Kuthanie, który niezależnie od czasów i stroju zawsze znajduje sposób, legalny lub nie, by zdobyć przychylną władzy („Po tamtej wojnie Kuthan bez hecy, / By orznać Brzechwę, znalazłby plecy / Z tym-by zjadł obiad, tu – palnął mówkę, / Tam – komu trzeba – wsunął... nagrodę”).

Satyryk nawiązywał do decyzji Ministerstwa Kultury i Sztuki, które nieoczekiwanie zaleciło stronom konfliktu zaniechanie publicznych wystąpień. Brzechwa odpowiedział, że milczeć nie zamierza. Tym bardziej że w myśl postanowienia Kuthan mógłby dalej wydawać jego wiersze, a on miałby siedzieć cicho. Nie można, pisał poeta, w konflikcie między kłusownikiem a upolowanym kozłem brać strony kłusownika, zaś kozłowi kazać milczeć. Decyzja ministerstwa stała się bardziej zrozumiała, gdy prasa ustaliła, że dyrektorzy dwóch departamentów wydali w oficynie Kuthana książki, a jeden dostał nawet ufundowaną przez wydawcę nagrodę. Zarząd łódzkiego oddziału ZZLP ostrzegł pisarzy, żeby w kontaktach z Kuthanem „zachowali jak najdalej idącą ostrożność”.

Sprawa ciągnęła się blisko rok. Zabierający głos uderzali w coraz wyższe tony, traktując prywatny spór wydawcy i pisarza jako przejaw walki klasowej między przedstawicielem reakcyjnej przeszłości i reprezentantem ideowej narodowej kultury. Do chwili, gdy w lipcu 1947 roku w „Kuźnicy” ukazało się kolejne oświadczenie łódzkiego ZZLP: Wszystkie zatargi między Wydawnictwem Eugeniusza Kuthana i członkami związku zostały załatwione, a pretensje zaspokojone „ku zadowoleniu wszystkich osób zainteresowanych”. Zarząd oddziału wycofał się z zarzutów, jakie kilka miesięcy wcześniej stawiał Kuthanowi. A Brzechwa chyba zrozumiał, że niszczenie prywatnych wydawców jest być może korzystne dla państwa, ale wcale nie poprawia sytuacji pisarzy. Ich pozycja wobec dużych spółdzielni wydawniczych jest jeszcze słabsza, „obniżanie przez nie procentu autorskiego odbywa się w zastraszającym tempie” – mówił podczas zjazdu pisarzy. Wracał do tego jeszcze wiele razy, bo sytuacja literatów stawała się z roku na rok gorsza. Być może to właśnie brak porozumienia z wydawcami był powodem, że po wojnie za życia poety nie ukazał się ani jeden tom jego liryków. A przecież zapowiadał w wywiadach, że przygotowuje do druku wybór *Na ulicy Pogodnej*, w „Nowinach Literackich” ukazały się nawet wiersze, które miały wejść do książki.

Latem 1946 roku Brzechwa wyjechał razem ze Stanisławem Dygatem na kilka dni do Sztokholmu, a później na sześć tygodni do Paryża. Podróż była komfortowa, szwedzkim wagonem sypialnym

z Warszawy do Gdyni, potem promem „Drottning Victoria” do Trelleborgu, i znów pociągiem do Sztokholmu, „z przedwojenną szybkością przez przedwojenny kraj” – opisywał wrażenia.

Kilkudniowy pobyt w Sztokholmie był dotknięciem normalności i dostatku, mimo powojennych ograniczeń kartkowych (kuponami objęte były chleb, mięso i tłuszcz), które obowiązywały także w Szwecji. „W niezniszczonych domach, w nienaruszonych mieszkaniach pomnażają Szwedzi swój dobrobyt” – pisał Brzechwa. Pracowici, trochę nudni, ale bardzo przyjaźni ludzie, pełne sklepy z kolorowymi reklamami, ceny niemal na wszystko dużo niższe niż w Warszawie czy Łodzi, a nocą ulice rozjarzone światłem elektrycznych lamp. „Pomyśleliśmy sobie, że tak samo przed wojną bywało w Warszawie. I każdemu z nas ścisnęło się serce” – wspominał.

Ze Szwecji polecili do Francji. Ale wrażenia Brzechwy z Paryża nie były już tak dobre. Znalazł miasto niby to samo, które pamiętał sprzed wojny (w ciągu sześciu tygodni nie zobaczył ani jednego zniszczonego budynku), a jednak inne. Mniej samochodów, gorsze jedzenie, kawy i masła prawie wcale, ale nie to było najbardziej zaskakujące. Paryż o jedenastej wieczorem szedł spać. Montmartre wyblakł, lokale pełne artystów zostały wyparte przez banalne strzelnice i sale bilardowe, a w miejsce eleganckich kabaretów i winiarni wokół placów Pigalle i Blanche pojawiły się podejrzane spelunki, w których amerykańscy żołnierze oblegali francuskie prostytutki. Z Montparnasse znikła cyganeria i dawne życie. Część lokali przestała istnieć w ogóle, inne zamknięto w oczekiwaniu na lepsze czasy, nieliczne próbowały trwać, ale całkowicie utraciły przedwojenny charakter i styl.

Jednak najbardziej zawiedli go Francuzi. Pochłonięci byli wyłącznie tym, czy dostaną na kartkowe przydziały dodatkowy litr wina i większy kawałek sera. „Trudno uwierzyć, że ci właśnie mali ludzie robili wielkie rewolucje” – pisał Brzechwa. Przykre były też rozmowy o Polsce. Przekonani o swojej wyjątkowości Francuzi z patosem rozprawiali o okropnościach okupacji w Paryżu i bohaterstwie francuskiego ruchu oporu. Jakiś obecny przy tym Włoch zwrócił uwagę, że przecież nie można tego porównywać z tym, co działo się w Polsce i zniszczeniami Warszawy. Odpowiedź była jak machnięcie ręką:

– Ach, Polska, to całkiem inna sprawa.

„To całkiem inna sprawa” – to były słowa, które Brzechwa słyszał za każdym razem, kiedy próbował mówić o dramatycznych losach Polski. Ale kiedy obejrzał serię pocztówek pokazujących najtragiczniejsze wydarzenia w okupowanym Paryżu, przestał się dziwić. „Wobec dziejów Polski z lat okupacji, jakżeż musiałoby zblednąć własne bohaterstwo” – pisał.

Spotkał w Paryżu poetę Paula Eluarda („ma powierzchowność starzejącego się dyplomaty”), autora *Zdrady klerków* Juliena Bendę („wygląda jak przemysłowiec”), legendarną hiszpańską rewolucjonistkę La Passionarię („wytworna, siwiejąca dama o urodzie wprost olśniewającej”) i córkę Marii Skłodowskiej-Curie, Ewę („ładną i powabną”), autorkę głośnej książki o słynnej matce. Zdziwił się, kiedy usłyszał, że na przetłumaczonej na wszystkie ważne języki świata biografii zarobił tylko wydawca i że pisarze francuscy nie zdołali sobie wywalczyć respektu dla swoich praw.

Jeszcze bardziej zaskoczony był rozmowami ze znajomymi sprzed wojny: artystami i adwokatami, którzy zostali na emigracji. Chcieli wiedzieć, co dzieje się z polską inteligencją? Czy ludzie mogą rozmawiać bez lęku, że ktoś doniesie? Czy to prawda, że w Łodzi od miesiąca trwają walki uliczne? Czy wszyscy ministrowie w polskim rządzie są Rosjanami i czy Brzechwa dostał się do Paryża, bo miał fałszywy paszport, a może przedzierał się lasami przez Niemcy. „Wmówiono w nich, że każdy, kto przyjeżdża z kraju, jest przekupiony, albo też kłamie, żeby nie zapłacić za prawdę więzieniem” – pisał.

Efektom tych spotkań był wiersz *Rozmowa*. Tłumaczył w nim jednemu z paryskich emigrantów,

że jest literatem i przyjechał do Francji absolutnie legalnie. Ale tamten nie uwierzył.

„Nie mój panie, znam te sprawy doskonale:  
Albo siedziałby pan dawno w kryminale,  
Albo jest pan zwykłym zdrajcą. To rzecz znana.  
Paszport winien być fałszywy, proszę pana”.

Pięcioodcinkową relację z wyprawy opublikował w czasopiśmie „Tydzień”, które zaczęło się ukazywać w Łodzi latem 1946 roku. Pismo było poświęcone problemom ruchu spółdzielczego, ale współpracowało z nim wielu literatów z Polski i zagranicy. Jarosław Iwaszkiewicz drukował w nim *Nowele włoskie*, Melchior Wańkowicz fragmenty *Bitwy o Monte Cassino*, a Aleksander Janta-Pończyński wspomnienia *Kłamałem, aby żyć*. Brzechwa oprócz sprawozdania z podróży do Szwecji i Francji opublikował w „Tygodniu” kilka wierszy, fraszek i humoresek. Współpraca skończyła się na początku następnego roku.

Miejscem, gdzie ukazywały się jego najważniejsze wiersze satyryczne i polityczne, były „Szpilki”. Tygodnik był dumny z takiego współpracownika, wiersze Brzechwy zapowiadano zwykle na okładce.

Szydził w „Szpilkach” z tych, którzy nie chcieli docenić dobrodziejstw zaprowadzonego w Polsce ustroju. W *Wiecu wariatów* nie pozostawił wątpliwości, że emigrację wybierają wyłącznie „w mózdek kopnięci”, bo tylko tam ktoś taki od razu jest „męczennik, i Rejtan, i święty”. Mimo to ciągle pojawiał się ktoś, kto wiedział lepiej, jak się zachowywać, a zwłaszcza co pisać. Wreszcie Brzechwa nie wytrzymał. Kiedy Pasternak, jeden z najbardziej płodnych autorów „Szpilek” i ideowy komunista, który okupację spędził w Związku Sowieckim, a do Polski wrócił w mundurze oficera politycznego razem z Armią Czerwoną, pouczył go, co jest ważne, a co nie, odpowiedział fraszką *Do Leona Pasternaka*.

Nareszcie uczyniłeś coś dla swojej sławy:  
Napisałeś wiersz o mnie! To temat ciekawy.  
Szukaj dobrych tematów. Ja to samo robię.  
Na tej, właśnie, zasadzie, nie piszę o Tobie.

Formułowane podczas partyjnych narad oczekiwania wobec „inżynierów dusz” doprowadzono do absurdu. Dotknęły one w końcu nie tylko Brzechwy satyryka, ale i Brzechwy bajkopisarza. Jego wiersze dla dzieci, zarówno stare, jak i powojenne, przestały pasować do nowej rzeczywistości.

W „Odrodzeniu” Krystyna Kuliczowska, badaczka literatury dziecięcej z Instytutu Badań Literackich PAN, napisała, że wznowienie w ludowej Polsce przedwojennych tomików Brzechwy z wierszami dla dzieci było poważnym błędem. Autor ignoruje bowiem fakt, kto jest odbiorcą jego utworów, owszem zabawnych, ale przeintelektualizowanych i niezrozumiałych, bo zawierających pointy „o posmaku filozoficznym”. Obok zarzutów, do których poeta mógł się już przyzwyczaić, gdyż powtarzały się niezależnie od ustroju, pojawiły się pretensje o charakterze politycznym. Recenzentka nie napisała co prawda wprost, że burżuazyjna twórczość Brzechwy nie przystaje do nowych czasów, pochwaliła nawet wysoki poziom artystyczny jego wierszy, ale zganiła ich „arystokratyczną aspołecznością”. „Jeśli taki luksusowy produkt wyrósł na gruncie jałowości naszego przedwojennego życia, nie należy przesadzać go na dzisiejszą glebę” – uznała. Zdaniem Kuliczowskiej wiersze adresowane do dzieci inteligencji, mającej przed wojną monopol na dostęp do kultury,



w socjalistycznej Polsce straciły adresata. Pisała, że nowe czasy wymagają innej poezji, zawierającej „postępowe tendencje społeczne i szlachetną atmosferę życia w gromadzie”, a nie „indywidualistyczno-werbalnych” igraszek. Podobne zarzuty postawiła utworom dla dzieci Juliana Tuwima.

Dostało się także *Akademii Pana Kleksa*. Krystyna Kuliczowska uznała, że utwór jest niewychowawczy, nie pobudza dziecięcej wyobraźni w sposób wystarczająco twórczy, a zatem „wniosek jest prosty: *Akademii Pana Kleksa* w obecnej formie odgrzebywać nie należy”.

Zła była „arystokratyczna aspołeczność” utworów Brzechwy, ale równie zły był jej brak. Oceniając napisaną w 1945 roku *Baśń o korsarzu Palemonie*, Kuliczowska pochwaliła poetę, że odszedł od swawolnych igraszek słownych i zagadkowych dowcipów, ale jednocześnie zarzuciła, że bez nich jego wiersze straciły wdzięk i stały się banalne. „...przestają być uroczą lekturą dla dorosłych, nie stając się tym samym literaturą dla dzieci” – napisała. Nie wprost, ale odwołała te zarzuty, pisząc o Brzechwie dwadzieścia lat później, krótko po jego śmierci. Tekst w „Życiu Literackim” zatytułowała *Czarodziej słowa*. „Literatura dla dzieci zyskała wielkiego poetę” – pisała. „Umiał znaleźć we własnej postawie wobec świata takie elementy, które byłyby zbieżne z dziecięcym widzeniem rzeczywistości i z dziecięcymi potrzebami rozwojowymi. (...) dał najmłodszym wszystko, co miał najlepszego. Czynił to z pełną świadomością, że pisząc najlepiej, najpiękniej – spełnia zarazem zadanie społeczno-wychowawcze”. Ale Brzechwa już tego przeczytać nie mógł.

Byli oczywiście i tacy recenzenci, jak autorka powieści dla dzieci i młodzieży Wanda Żółkiewska, którzy nie widzieli w absurdalnym humorze Brzechwy niczego złego, ale czytając te nieliczne i skrajnie różne opinie, poeta miał prawo nie rozumieć, czego właściwie nowa Polska od niego oczekuje.

A przecież się starał. Podczas jednej z suto zakrapianych kolacji w łódzkiej Fraszce, w której uczestniczyli Eryk Lipiński i działacz spółdzielni „Społem” Tadeusz Jańczyk, ten ostatni po kolejnym toaście wpadł na pomysł, że byłoby bardzo pięknie, gdyby Brzechwa napisał, a Lipiński zilustrował bajkę promującą ideę spółdzielczości. Cała trójka zgodziła się, że projekt jest świetny, ale następnego ranka nikt niczego nie pamiętał. Dopiero po kilku dniach przypomniał sobie o wszystkim Brzechwa. Umowa została podpisana i kilka miesięcy później w księgarniach ukazała się książeczka *Opowiedział dzięcioł sowie*, według której nakręcono też film rysunkowy, „niezbity dowód pożytków wynikających z picia wódki w dobrym towarzystwie” – wspominał Lipiński. Pożytków przede wszystkim dla dobrze zapewne opłaconych autorów, bo książeczka skrupulatnie spełniała polityczne wymogi nowych czasów. Od propagowania reklamowych haseł tzw. sektora uspołecznionego („W spółdzielczym sklepie kupisz najlepiej”), po wyszydzenie inicjatywy prywatnej.

W prywatnych sklepach wilka Barnaby i rysia Bazylego zwierzęta były oszukiwane. Towar w sklepie spożywczym Barnaby był nieświeży, zamiast mleka woda, ser gorzki, a w dodatku wszystko drogie i niedoważone. W składzie futrzarskim Bazylego zamiast futer wciskano zwierzętom szmaty, a zamiast skór stare łaty. Obaj handlarze zarabiali podwójnie, bo łupili nie tylko kupujących, ale i dostawców towaru, którym płacili bardzo mało. Wreszcie przebrała się miarka. Niedźwiedź Błażej, którego inne zwierzęta szanowały („Tak jak ludzie – prezydenta”), zwołał leśny sejm. Uchwalono stworzenie sklepu, do którego każde ze zwierząt coś przyniesie: jedno jajka, inne sadło, jeszcze kolejne pierze na ciepłe kołdry. Będzie tanio i nikt nikogo nie będzie oszukiwał. Zwierzęta były zachwycone, nawet lis Mikita postanowił zmienić naturę i pracować dla spółdzielni. Został w magazynie sprzedawcą. A sklep dowiódł wyższości handlu spółdzielczego nad prywatnym: „Nikt nikogo nie oszwabia, / Nikt na nikim nie zarabia. / Bo gdzie łączą wspólne cele, / Tam są wszyscy

przyjaciele”.

W Polsce zaczynała się właśnie „wojna o handel”. Wilk Barnaba i ryś Bazyli, nie mogąc dłużej oszukiwać innych zwierząt, opuścili puszcę. Taki sam los miał spotkać prywatnych handlowców. A Brzechwa miał prawo oczekiwać, że zostanie pochwalony. Ale o pochwały nadal było trudno.

W czerwcu 1947 roku odbył się I Ogólnopolski Zjazd poświęcony literaturze dla dzieci. „Przyjechało kilkaset panius i przez trzy dni biadały wyłącznie nad Brzechwą” – relacjonował „Przekrój” *Zjazd w sprawie Brzechwy*. Jeśli wcześniej poeta mógł być nieusatisfakcjonowany zainteresowaniem krytyki, to tym razem wzbudził emocje.

Zjazdowe referaty, solenne i nudne, poświęcone walorom artystycznym i edukacyjnym literatury dla dzieci, konieczności tworzenia repertuaru teatralnego dla najmłodszych i adresowanych do nich czasopism, nie zapowiadały tego, co miało wydarzyć się podczas dyskusji. Referentki, które mówiły o Brzechwie i Tuwimie, doceniły zasługi obu poetów w gimnastykowaniu dziecięcych umysłów i kształtowaniu poczucia humoru. Podkreślały naturalną u dzieci potrzebę fantazji, nawet jeśli miałyby czasem prowadzić do nonsensu. Podpierały się, jak należy, przykładami z literatury radzieckiej, zwłaszcza z książek Kornieja Czukockiego, bajkopisarza i teoretyka literatury, autora rozprawy o języku dzieci.

Maria Arnoldowa, odpowiedzialna w Urzędzie Rady Ministrów za dobór lektur dla dzieci, pochwaliła Brzechwę za doskonale trafiające w gust małych czytelników, „choć prowokujące słuszną irytację pedagogów”, książeczki *Pali się* i *Depesza*. Przekonywała, że to nie Brzechwa jest winny zalewającej rynek fali absurdalnych opowiadań, ale pozbawieni jego talentu literaci, którzy nieudolnie go naśladowają („U ogromnej większości przeważa nonszalancja i bezładne gadulstwo”), oraz wydawcy, którzy bezmyślnie tę makulaturę drukują. Brzechwie zarzuciła jedynie, że pisząc bajkę („ładną” – zastrzegła) *Opowiedział dzięcioł sowie*, wykorzystał swój talent do stworzenia dzieła w istocie reklamowego. Autorka wierszy i opowiadań dla dzieci Hanna Januszewska mówiła o artyzmie utworów Brzechwy, pobudzaniu dziecięcej wyobraźni i kapitalnych satyrycznych portretach Stefka Burczymuchy czy Stasia Pytalskiego. Nie zawahała się stanąć na barykadzie przeciwko potępiającym Brzechwę pedagogom: „W tych to utworach, jak w każdej dorzeczej drwinie, znajdziemy istotne momenty pedagogiczne”.

Jednak w dyskusji, która rozpoczęła się po referatach, już nie było tak słodko. Brzechwa okazał się uosobieniem wszystkich niebezpieczeństw grożących literaturze dla dzieci. Zarzucono mu, że nie rozumie psychiki najmłodszych i pomija obowiązki edukacyjne ciążyące na literaturze dziecięcej. Że chce tylko dzieci bawić, a taka literatura wychowuje snobów. Że dzieci nie rozumieją jego żartów i traktują jego błazeńskie dowcipy serio. Że jego poezja jest niepedagogiczna, bo nie kształtuje pozytywnego stosunku do społeczeństwa i przyrody. Że utwory takie jak *Pchła Szachrajka* nadają się dla czytelników „Przekroju”, ale absolutnie nie dla dzieci. I że – wśród krytykujących była oczywiście Kuliczowska – formalna wirtuozeria zagnała Brzechwę w ślepią uliczkę. Jego poezja jest zbyt arystokratyczna i pomija cele społeczne literatury, przekonywała, co zwłaszcza w kontekście bajek takich jak *Opowiedział dzięcioł sowie* musiało brzmieć groteskowo. „Wszystkie te biadania wynikły z tego, że dzieci czytają Brzechwę, a nie chcą czytać panius” – skwitował „Przekrój” i już mało elegancko dodał, że gdyby krytykujące poetę panie miały stanąć przed dziećmi i czytać swoje utwory – dzieci uciekłyby „przeleknione samym ich widokiem”.

Podczas dyskusji w obronie Brzechwy stanął jedynie Jan Marcin Szancer, mówiąc, że współczesne książki dla dzieci to „środki na kaszel”, a nie literatura. Ale później pojawili się kolejni sojusznicy: Jan Sztudynger (napisał, że „pisarz dla dzieci nie musi trafiać do wszystkich dzieci”) i profesor Kazimierz Wyka. Wybitny literaturoznawca najpierw w „Twórczości”, a potem

w „Odrodzeniu” przekonywał, że ani Brzechwa, ani Tuwim nie pisali swoich wierszy na złość pedagogom, „po to, ażeby im zaburzyć tę proporcję morału i baśni, do jakiej zdążyli przywyknąć”. Krytyk nie całkiem wprost, ale sugerował, że jeśli najmłodszy są wierszami Brzechwy zauroczeni, a nauczyciele i psychologowie dziecięcy nie, to problem tkwi w pedagogach, a nie w poezji, „w tym miejscu poeci, nie pierwszy zresztą raz, wyprzedzili psychologów” – przekonywał.

„Przekrój” podsumował zjazd fraszką przypisaną Brzechwie: „O wierszach wyraził się Maniś, / Że woli moje od paniś”.

Krystyna Kuliczowska nie rezygnowała jednak do końca. Oddając sprawiedliwość artyzmowi i poziomowi literackiemu Brzechwy (jak zwykle połączonemu w duet „szkodników” z Tuwimem), przyznając niechętnie, że jego wiersze podobają się dzieciom („nie oznacza to wcale, że zostały w pełni zrozumiałe”), kolejny raz (tym razem w „Życiu Szkoły”) wypomniała poecie ich „intelektualno-werbalny” charakter i dysonans między formą i treścią utworów. Skrytykowała *Pchłę Szachrajkę* i „zejście poety na manowce”, za to pochwaliła – jak można się było spodziewać – ideologiczną wymowę bajki o tym, co opowiedział dzieciom sowie na temat uspołdzenia handlu. Napisała, że „«zamówienie społeczne» usidliło jego przekorną muzę i sprawiło, że książeczka jest w pełni dla dziecka czytelna i pod każdym względem odpowiednia”.

O jeszcze inne grzechy obwiniła Brzechwę w katolickim „Dziś i jutro” Wanda Żuomska. Zarzuciła poecie, że *Szelmostwa Lisa Witalisa* to apologia oszustwa, a więc propagowanie postawy, dla której w socjalistycznym społeczeństwie nie ma miejsca. Witalis żeruje na naiwności innych zwierząt, bez skrupułów wykorzystuje ich łatwowierność, krzywdzi, a co najgorsze, nie ponosi za to sprawiedliwej kary. Dziecko tego nie rozumie, przekonywała Żuomska, czeka, że zło zostanie na końcu bajki napiętnowane i ukarane, a Witalis traci tylko ogon i zostaje wygnany z lasu. „Dziecko nie może i nie powinno przyjąć takiej koncepcji świata, w której chytry przynosząca szkodę i krzywdę nie ponosi zasłużonej kary” – tłumaczyła. Dorosły nie może posłużyć się płynącym z bajki morałem, że zło nie popłaca, bo takiego morału nie ma! A satyrycznych intencji autora dzieci nie pojmą. Wróciły też w recenzji pretensje dotyczące nonsensownego poczucia humoru Brzechwy. Upieczenie placków ze śniegu jest przecież niemożliwe!!!

Zarzuty były różnej kategorii i różnej wagi. Niewinna na pierwszy rzut oka bajeczka *Latający pogrzebacz* o chłopcu nie dość uzdolnionym muzycznie, by spełnić ambicje ojca-nauczyciela śpiewu, została potraktowana jak polityczny manifest. To, że Prot wolał być ślusarzem, a nie muzykiem, było z klasowego punktu widzenia w porządku, ale cała reszta już absolutnie nie, „problemy uprzemysłowienia kraju i racjonalizatorstwa nie zostały oświetlone należycie”. Nie był też postacią wystarczająco świetlaną wędrowny ślusarz Pankracy, u którego Prot uczył się zawodu, „odbywający ewolucję wsteczną od przodownika pracy w fabryce do chałupnika”.

Irena Skowronkówna w *Antologii polskiej literatury dziecięcej* uznała twórczość Brzechwy za szkodliwą i niebezpieczną, bo odrzucającą wartości wychowawcze, opierającą się na „bezmysłnej gadaninie”, a zwłaszcza nadużywającą „treści matrymonialnych”. „Nic też dziwnego, że niektóre biblioteki szkolne odmawiały przyjmowania moich książek, które im w darze przynosili rodzice uczących się w tych szkołach dzieci” – pisał Brzechwa w 1958 roku.

Irenie Szymańskiej opowiedział, jak apodyktyczna redaktorka w jednym z wydawnictw zmusiła go do wprowadzenia w kilku utworach zmian. Bo wiersze dla dzieci powinny być wartościowe społecznie i przydatne w dydaktyce. Oprócz tego mają mieć optymistyczne zakończenia i propagować humanizm socjalistyczny.

Redaktorka zażądała, by w wierszu *Tańcowała igła z nitką* dodał postać krawcowej. Przecież igła z nitką nie mogą same uszyć fartucha, nawet tańcząc, potrzebny jest człowiek. Jego nieobecność to

wyraz braku szacunku dla ludzkiej pracy. Kaczka dziwaczka nie może zmieniać się w zająca, w dodatku całego w buraczkach, i po upieczeniu w brytfance trafiać na półmisek, bo to sadyzm. Dziecko przywiązuje się do bohaterów bajek, a tu miałyby jednego z nich zjeść. Brzechwa powinien też zmienić morał bajki *Żuk*, bo to, że biedronka nie chce wyjść za mąż za żuka („Stąd nauka / Jest dla żuka: / Żuk na żonę żuka szuka”), przypomina rasizm. A już pointa bajki *Śledź*: „Ach! Bo w życiu to najgorsze, / Kiedy śledź się wdaje z dorszem”, jest absolutnie niedopuszczalna. Zniechęca dzieci do internacjonalizmu i braterstwa narodów, a więc zakrawa na imperialistyczny spisek.

„Wymagano też usunięcia takich nazw geograficznych, jak: Oszmiana, Wilejka, Litwa, Krzemieniec i in. Wojewodę należało zmienić na przewodniczącego rady narodowej, podobnie jak prezydenta i starostę” – wspominał Brzechwa. Zwierzył się Szymańskiej, że uległ naciskom. Rezultat był tak żałosny, że nie chciał oglądać korekt zmienionych bajek. Nie sprawdził nawet, czy okaleczone wiersze w ogóle zostały wydane, chciał po prostu o tym zapomnieć. To był okres, kiedy nawet najmądrzejsi przestawali często wierzyć we własny zdrowy rozsądek, napisała Szymańska.

Na jeden z takich dowodów „twórczego” aktualizowania starych utworów wpadli po latach czytelnicy „Tygodnika Powszechnego”, porównując wydane w 1985 roku przez dwie różne oficyny wybory wierszy Brzechwy. Obydwa zawierały bajkę *Dwie gaduły*, o paniach Madalińskiej i Gadalińskiej, plotkarach, jakich nie znał dotąd ziemski padół. Wiersz był niby ten sam, tyle że w jednym zbiorze pojawił się w wersji z 1938 roku, w drugim w powojennej. I można było zabawić się w szukanie szczegółów, którymi się różniły.

Po pierwsze, rzecz działa się w różnych miastach, przed wojną w Pińsku, po wojnie w Młyńsku. Nazwy obu dalej jak należy rymowały się z nazwiskami bohaterek, ale Pińsk po 1945 roku znalazł się w granicach Związku Radzieckiego, więc umieszczanie w nim akcji polskiego wiersza stało się politycznie podejrzane.

W wierszu przedwojennym doktor zirytowany na obgadujące wszystkich plotkary („że aptekarz dostał pryszczę, / że sędzinie nos się błyszczy”) pisze skargę do starostwa, w powojennym na milicję. Przed wojną starosta grozi, że wysiedli Madalińską i Gadalińską z Pińska, po wojnie władza jest łagodniejsza: upomina, a gdy to nie skutkuje, zapowiada jedynie, że panie z Młyńska wyjadą. Przed wojną starosta już po jednej rozmowie miał ich dość, stracił zdrowie i przeszedł w stan spoczynku, po wojnie władza (Rada Narodowa) toleruje nawet najgorszych plotkarzy. W 1938 roku panie pocieszają się, że jak skończy się wojna chińska, to w sklepach wreszcie będzie taniej, po 1945 o wojnie chińskiej nie ma już mowy (ludowe Chiny znalazły się w obozie pokoju!). Plotkary szepczą, że wkrótce będzie nowa wojna, więc wszystko się zmieni.

Tak już siedem lat bez przerwy  
Wszystkim w mieście szarpią nerwy  
Dwie plotkary: Gadalińska  
Z Madalińską z miasta Młyńska.

Krytyka stawiała poezji dziecięcej wymagania coraz wyższe i coraz bardziej absurdalne. Nawet w nachalnie dydaktycznym poemacie *Kanato* – choć chwalonym – wytknięto Brzechwie błędy. Co prawda dobre i słuszne było propagowanie wśród dzieci zasad gospodarki planowej i planu odbudowy Warszawy, ale niesłuszne były użyte przez poetę argumenty, pisała krytyka.

Poemat to opowieść o czwórce rodzeństwa Solskich. Dzieci, bawiąc się w Indian, postanawiają wybudować „w lipcowym czynie” miasto. Ma to być miasto socjalistyczne (w gazetach pisano o Warszawie „narodowej w formie, a socjalistycznej w treści”): z placem Zwycięstwa, hutą, trasą

W-Z, muzeum oraz zoo, i indiańskie jednocześnie, a to już nie było ideologicznie poprawne. Socjalistyczne harcerstwo wykreśliło Indian ze swego słownika, pouczyła Brzechwę Wanda Grodzieńska. Niewłaściwe było także to, że miasto powstaje w wyniku działania magii, i tak samo później znika. Dopiero pod koniec poematu ojciec tłumaczy dzieciom, że aby wybudować miasto, a choćby tylko dziecięce miasteczko, trzeba wszystko starannie zaplanować. „Praca wytrwała i planowa, / na tym polega odbudowa” – inżynier Solski dzieli się z dziećmi szeregiem politycznie poprawnych uwag, z których jasno wynika wyższość gospodarki planowej nad innymi metodami budownictwa: „A oto mego planu treść: / Rozłożę pracę na lat sześć...”. Dorośli mogli w gazetach przeczytać o ogłoszonych właśnie przez partię i rząd sześciolletnim planie industrializacji Polski i planie odbudowy Warszawy, a dzieci posłuchać bajki o tym, jakie to wspaniałe i mądre plany. Gdyby tylko nie ci Indianie!

Na jeszcze więcej pozwalali sobie cenzorzy. O szykowanej do druku przez wydawnictwo Czytelnik książce Brzechwy *Skarżypyta* pracownica Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk R. Świątycka pisała: „Wierszyki zamieszone w niej są przeważnie głupie (...) po prostu pozbawione sensu. (...) Autor przeniósł na zwierzęta wszystkie cechy filisterskiego, gnuśnego, kołtuńskiego mieszczaństwa, np. snobizm, zmanierowanie, kłótniwość, skąpstwo, chęć wyjścia za mąż”. Jednak ani krytyka, ani opinie cenzorów nie były w stanie zmniejszyć zainteresowania czytelników.

W grudniu 1947 roku Brzechwa opublikował w „Szpilkach” *Tren o mieszkaniu w Warszawie*. O tym, że on też, jak tysiące warszawiaków „na wygnaniu” w Łodzi, marzy o powrocie do stolicy. Że coraz trudniej mu w Łodzi wysiedzieć i jak tylu znajomków, każdą rozmowę zaczyna od pytania: Kiedy dostanie pan mieszkanie w Warszawie? Jeździ często do stolicy, włóczy się po rodzinnym mieście, ale cóż, nie ma miliona złotych, żeby wrócić. Nie ma też szans na mieszkanie ze spółdzielni, chyba żeby Warszawska Rada Narodowa odniosła się do niego łaskawie: „Może by mi dała mieszkanie w Warszawie” – pisał.

Oczywiście nie stało się to za sprawą wiersza, ale niespełna rok później przeniósł się do przedwojennej kamienicy przy ulicy Mochneckiego w stolicy.

Zbiegło się to z inną ważną decyzją. Złożył w Radzie Adwokackiej wniosek o skreślenie z listy czynnych obrońców. „Zapytał, czy jest sens, żebyśmy tracili czas na pracę, która nie daje nam satysfakcji” – wspominał Władysław Rymkiewicz.

# Tak panoszą się szkodniki, słane do nas z Ameryki...

Przed satyrykami w nowej Polsce postawiono nowe zadania. Nie mieli już tylko ujawniać, krytykować i piętnować, mieli zachęcać i mobilizować. Więc Brzechwa zachęcał i mobilizował.

Z okazji zjednoczenia PPS z PPR (co tak naprawdę oznaczało wchłonięcie partii socjalistycznej przez komunistów) opublikował w „Odrodzeniu” wiersz *Marsz*, później często przedrukowywany jako *Czerwony marsz*. Jeden z tych, które po latach będą mu wypominane najczęściej:

Bije godzina niezapomniana,  
Zakręt historii – druga zmiana.  
Trzeba zwycięstwu drogę torować,  
Marsz rozpoczęty, Partio, prowadź! (...)

Chowa spekulant worki w sklepie,  
Kołtun z trwogi pacierze klepie,  
Bóg na niebie – wojna na czasie,  
Kołtun kałdun pobożnie pasie.  
Warchoł w Londyn wlepia ślepie:  
– Przyjedzie Anders, będzie lepiej!  
W maglu szepcą ciemne kumoszki:  
– Cukru nie będzie, chleb jest gorzki,  
Wiedzmy po domach straszą dzieci:  
– Masła nie ma, wzięli „Sowietów”.  
Tłuste dewotki straszą głodem:  
– Zatrął antychryst chleb i wodę,  
Pasibrzuch wiejski chłopów judzi:  
– Na Sybir będą wywozić ludzi.  
Żyje, mąci, knowa podziemie,  
Walka trwa dalej, wróg nie drzemie,  
Kto nie z nami, będzie z nami,  
Kto przeciw nam – siła go złamie!  
Który tam? Z drogi. Partia kroczy,  
Twoja partia ludu roboczy  
Wspólnie pracować, wspólnie budować  
Maszerować! Partio, prowadź!

W „Szpilkach” poskarżył się, że redaktor satyrycznego tygodnika też chce, żeby napisał coś o zjednoczeniu. „– «Też głupi pomysł masz» – / Kpiarz odrzekł bez wahania. / «Tu przecież nawet kpiarz / Nic nie ma do wyśmiania»”.

Tak myślał naprawdę albo uznał, że nie ma sensu pisać czegoś, co i tak się nie ukáže. Obowiązywał przecież ton entuzjazmu. Kiedy w 1949 roku, podczas zjazdu ZLP w Szczecinie, ogłoszono początek epoki realizmu socjalistycznego, nie zbuntował się. Jego zaangażowanie mniej było widoczne w utworach dla dzieci, gdzie konieczne serwituty już spłacił, ale zdominowało twórczość dla dorosłych.

„Bo trzeba powiedzieć wyraźnie: Janek nie był typem opozycjonisty” – wspominał Ryszard Matuszewski. Wolał afirmować, niż atakować, a wiersze wspierające pomysły władzy traktował usługowo: „od tego był mistrzem w pisarskim rzemiośle, żeby umieć napisać na odgórne zamówienie również tren, pean czy panegiryk”. A ponieważ zamówień nie brakowało, więc pisał.

– Jedni pisali z entuzjazmu politycznego, drudzy z cynizmu, jeszcze inni z dyscypliny partyjnej – mówiła Irena Szymańska Annie Bikont. – Wśród nich Janek. Potrafił wystąpić bardzo odważnie, gdy komuś wyrządzano krzywdę, ale na co dzień nie miał natury buntownika. Był członkiem PZPR i uważał, że jak musi się podporządkować, to się podporządkuje.

„Nie potrafił wykręcić się ani walić pięścią w stół” – wspominał Marianowicz. Pisał to, czego od niego oczekiwano, żeby mieć spokój i robić to, co go naprawdę obchodziło.

Ogłoszony najpierw przez partię, a następnie uchwalony przez sejm plan industrializacji Polski, którego sztandarową inwestycją była budowa Nowej Huty, został powitany przez Brzechwę zbiorem *Strofy o planie sześcioletnim*. Osiem wierszy, które złożyły się na niewielką książeczkę, miało mobilizować, zachęcać do wysiłku, sławić robotniczy trud i opiewać ideę, która była fundamentem planu. Nie było w nich obszarników, kułaków ani spekulantów, tylko raz pojawili się imperialiści, którym groziły („jak palce”) sterczące kominy fabryk. *Strofy* miały być jak sztandar powiewający nad głowami bohaterskich twórców i wykonawców planu, którzy budowali nową Polskę.

Poeta prosił Muzę Sześcioletniego Planu, żeby nauczyła go śpiewać pięknie i mocno. By słowem jak dłutem i młotem mógł wykuwać w granicie strofy, co uskrzydla kilofy i będą nieść pod chmury cegły, z których wzniesione będą nowe domy i kominy fabryk (*Apostrofa do muzy*). Chciał położyć serce na murarskiej kielni i układać dumne pieśni dla budowniczych miast, dróg i mostów, którzy dwoją się i troją, by nigdy więcej nie zabrakło w Polsce szczęścia ani chleba (*Rozmowa z budowniczym*). Obiecywał, że gdy wcielona zostanie w życie leninowska idea: „komunizm to władza rad plus elektryfikacja”, znikną z krajobrazu nędzne strzechy, a wieśniacy rozprostują zgięte plecy i zazną wreszcie szczęścia (*Notatnik agitatora*). Przekonywał, że walka murarzy o realizację planu sześcioletniego jest tą samą walką, którą prowadzą bohaterzy bojownicy z Korei, górnicy strajkujący we Francji, zaszczeni Murzyni w Oklahomie i greccy partyzanci. Razem, pod czerwonym sztandarem, przyniosą światu Wolność (*Wolności, prowadź!*). Do młodzieży apelował, by uniosła oskard i młot w świętej sprawie, burząc stary świat i wznosząc pieśnią i krwią nowy (*Lećcie, orlęta*). W *Lirycznym intermezzo* prosił, by po jego śmierci nie było minuty ciszy, bo nie wolno nawet na chwilę przerywać walki o pokój i wolność, a on swe serce na flagi czerwone potnie, by każdy człowiek usłyszał ich szum. W wierszu *Pokój zwycięży* przekonywał, że plan sześcioletni to najlepsza droga do pokoju na świecie. Złączeni wspólnym wysiłkiem robotnicy w fabrykach, kopalniach, hutach i chłopci na polach wykonają plan, który będzie zwycięstwem w walce o pokój.

Na czele tej walki stał On: Słońce Narodów, Spiżowy Leninista, Lokomotywa Historii, Józef Wissarionowicz Stalin. To On wskazał drogę ku przyszłości, ku nowemu, lepszemu światu, światu socjalizmu. Ale by go zbudować, aby powstał świat, w którym ludziom wreszcie niczego nie będzie brakować: dzieciom nie zabraknie książek ani szkół, a rolnikom traktorów, którymi orać będą spółdzielcze pola, potrzeba stali. Dlatego:

Plują wściekłą purpurą hut oszalałe płuca,  
W piecach lawa szkarłatnym płomieniem się pali –  
Sta-li!  
Sta-li!!  
Sta-li!!!

To kończące każdą strofę wiersza *Nowa Huta* rytmiczne wezwanie było potrzebne, by na koniec przekształcić się w imię tego, który dał ludziom nadzieję na lepszą przyszłość:

Przyszłość należy do tych, czyja wola niezłomna  
Drogę wskazał nam Stalin – chwała mu wiekopomna!  
Świat nowy budujemy od podstaw, od podwalin –  
Sta-lin!  
Sta-lin!!  
Sta-lin!!!

Poziom egzaltacji wierszy, które złożyły się na *Strofy o planie sześcioletnim* był bardzo wysoki, poziom literacki zdecydowanie niższy. Mimo wszystko jednak oskarżanie Brzechwy, że w wierszu *Szóstka-oszustka* chciał z tego samego planu zadrwić, musiało brzmieć absurdalnie. Nawet jeśli Szóstka uciekła z kalendarza, przez co znikły z niego wszystkie soboty i ludzie musieli pracować w niedzielę. Nawet jeśli narobiła bałaganu w rachunkach, a potem udawała tramwaj „dziewiątkę” i zamiast na Pragę, pojechała na Ochotę. „Odtąd przepadła o niej wszelka wieść. / Taka to była szóstka – pal ją sześć!”. „Tytuł wiersza w wiadomych czasach przysporzył Janowi Brzechwie dość kłopotów, odniesiono go bowiem do planu sześcioletniego. Wydawcy bywali w stosunku do jego utworów podejrzliwi, zarzucano mu puste żarty i bezideowość” – wspominała Danuta Cirlić-Straszyńska, przez wiele lat redaktorka książek w Czytelniku. Przekonania cenzorów o wrogich intencjach Brzechwy nie zmienił nawet fakt, że wiersz *Szóstka-oszustka* po raz pierwszy ukazał się w roku 1945, kiedy nikt jeszcze o planie sześcioletnim nie myślał.

*Strofy* nie spotkały się z dobrym przyjęciem recenzentów. Nie pisano o tomiku wcale albo pisano... źle. Recenzenci partyjni, z których strony Brzechwa mógł spodziewać się pochwał, surowo mierzyli zgodność wierszy z kanonami socrealizmu, badali temperaturę politycznego ognia i oceniali szczerłość zaangażowania. Wychodziło im, że nie jest z tym najlepiej. Jeszcze bardziej surowo ocenili Brzechwę funkcjonariusze cenzury. „*Strofy* są konsekwentnym dalszym ciągiem destrukcyjnej działalności autora w poezji polskiej (...) typowe majaczenie dekadentckiego mieszczaństwa, przerażonego ogromem zmian i bełkocącego slogany bez przekonania, a raczej z przekonaniem, że w ten sposób można się lepiej urządzić” – pisał cenzor K. Wołkowicz. „Majakowski w tłumaczeniu Mniszkówny” – brzmiała druzgocąca ocena tomiku. Choć bardziej niebezpieczna mogła być inna opinia: „Autor z niezrozumiałych względów jest tolerowany...”.

Ale kiedy podczas zebrania sekcji poezji Związku Literatów zaatakowali Brzechwę koledzy pisarze, nawet sekretarz generalny ZLP Jerzy Putrament uznał, że to już za wiele. Ryszard Matuszewski mówił o rutynie i koturnowości *Strof o planie sześcioletnim* oraz o poezji formalistycznej i niepogłębionej ideowo, ale Putrament zaapelował, żeby Brzechwy nie zniechęcać. Poeta, który był daleki od partii i lewicy, po wojnie zrobił dziesięć kroków naprzód, żeby się do niej zbliżyć, przekonywał. Być może wciąż jeszcze pozostaje w tyle za niektórymi z towarzyszy, ale te dziesięć kroków należy zapisać na jego dobro. „Jest ważne i cenne, że Brzechwa dał nam szereg wierszy, które świetnie nadają się do deklamacji i odgrywają pożyteczną rolę w akcji walki o pokój i plan sześcioletni” – mówił. Londyńskie „Wiadomości” z satysfakcją odnotowały ten spór w gronie piewców komunizmu, którzy najpierw domagają się wierszy walczących bez pardonu z wrogami ustroju, a potem narzekają, że utwory powtarzające pierwsze zdania z gazetowych wstępniaków i partyjnych referatów pozbawione są metafor. „Trzeba wybierać: albo pokój i plan sześcioletni,



albo obraz, metafora i rygory poetyckie” – pisał w „Wiadomościach” Lector.

Także recenzent katolickiego tygodnika „Dziś i jutro” (jmp) nie zostawił na tomiku suchej nitki. To poezja słaba: deklarancka i wodolejska, składająca się z transparentowych sloganów. „Brzechwa jako poeta nic tu nie stworzył – raczej osłabił wrażenie prymitywną (używając b. powściągliwego określenia) formą” – pisał (jmp). Jan Błoński w „Życiu Literackim” bardzo starał się znaleźć jakąś dobrą stronę temu zbudowanego – jak pisał – „wyłącznie albo z popularnych haseł publicystycznych, albo ze zwrotów poetyckich wprawdzie, ale zupełnie zasymilowanych do mowy potocznej”, jednak mu nie wyszło. Podkreślanie przez krytyka, że wiersze są „konsekwentne i urozmaicone”, to dowód, że nic lepszego powiedzieć się o nich nie dało. A już opinia, że *Strofy* są „w pewnym sensie” cyklem udanym, musiała Brzechwę mocno zabołeć.

Zbigniew Herbert chciał w „Tygodniku Powszechnym” skrytykować rozgadaną „elementarzową” rytmikę wierszy Brzechwy, ich ubogą i nieudolną formę dającą efekty komiczne, banalne rymy, nieudolne obrazowanie i nadmiar publicystyki niszczącej poezję. „Wydaje się, że autor nie posiada wizji poetyckiej, zdolności ogarniania rzeczywistości w jednym skrócie metafory czy obrazu. Żenująca jest także jego bezpośredniość, prozaizmy, nieliryczne wierszowane relacje. (...) Błyskotliwy satyryk i uroczy bajkopisarz krąży wśród gigantycznych planów i perspektyw jak Alicja w krainie czarów” – pisał w recenzji, którą zatytułował *Alicja i plan*. A potem zadał cios najbardziej dotkliwy. Uznał, że pasowanie Brzechwy przez Karola Wiktora Zawodzińskiego („oficjalnego krytyka dwudziestolecia”) na czołowego polskiego liryka wydaje się z perspektywy lat pomyłką.

Jerzy Turowicz, redaktor „Tygodnika”, odmówił opublikowania recenzji. Być może uznał, że i tak nie miałyby szans przebrnąć przez cenzurę, a nawet jeśli, to nie był to tekst, o który warto byłoby kruszyć kopie. A poza tym nie myślał o wierszach Brzechwy aż tak źle jak Herbert. „Pan za ostro ocenia Brzechwę” – pisał. Wyśmianą przez Herberta najboleśniej *Rozmowę z budowniczym*, zaczynającą się jak dziecięca wyliczanka („– Co wy tu robicie? / – Budujemy mosty! / – Dla kogo? / – Dla ludzi prostych!”) Turowicz uznał za żart, piosenkę świetlicową: „Więc może Pan to trochę zmieni i nam przyśle z powrotem” – zaproponował. Kilka miesięcy później Herbert odpisał, że próbował, ale bez skutku: „widocznie działają tu jakieś względy pozaestetyczne. A to źle i wstyd”.

Utwory dużo bardziej agresywne niż w *Strofach* ukazały się w wydany w tym samym roku wspólnie z Januszem Minkiewiczem tomiku *Pokój zwycięży*. Brzechwa powtórzył w nim wiersze takie, jak *Pokój zwycięży* czy *Wolności, prowadź!* Dodał równie jak tamte patetyczne: *Wartę pokoju* i *Pieśń bojowników o pokój*, ale to nie one decydowały o temperaturze książki.

Towarzysze z partii tym razem mogli być zadowoleni z utworów, które obnażały wrogie oblicze imperializmu, ujawniały zbrodnicze intencje Ameryki i Anglii, dawały odpór antypolskim zakusom. Taki był wiersz *Kto się śmieje ostatni*, poświęcony Niemcom, którzy chcieliby, by świat zapomniał o ich zbrodniach („Pan dyplomata z Majdanka sobie drwi”). Taki był *Kongres*, kpiący z przerażenia, jakie wywołała w Białym Domu i w Londynie wieść o warszawskim kongresie pokoju w 1950 roku. Ale przede wszystkim taki był *Głos Ameryki*, utwór o „reakcyjnej” rozgłośni radiowej zza oceanu, próbującej zniszczyć pokój na świecie i kłamstwem zatrzymać zwycięski marsz obozu socjalizmu.

Tu mówi Nowy Jork! Słyszycie Głos Ameryki!

Głos tej Ameryki, co świat dolarem mierzy,

Ameryki giełdziarzy, łgarzy i szalbierzy,

Ameryki bezprawia, chamstwa i ucisku,

Ameryki gangsterów żądnych krwi i zysku,

Ameryki grożącej pałaszem Goliata,

Ameryki zbrodniczych podpalaczy świata,  
Którzy głoszą, że wojna ludzkość uszlachetni.

Parodiując program radiowy, Brzechwa szydził z tych, którzy wołają coca-colę od wolności, a gumą do żucia chcą zastąpić pokój na świecie. Z obłudy Departamentu Stanu USA, który Murzynów poleca trosce Ku-Klux-Klanu, a wojnę z Koreą prowadzi rzekomo wyłącznie w celach handlowych. Z imperialistów wylegujących się na pokładach jachtów w oczekiwaniu, kiedy wreszcie Watykan wskrzesi Hitlera, bo on jeden wiedział, „jak trzeba walczyć z czerwoną zakałą”.

Bodajby komuniści mieli jedną głowę,  
Jak to marzył przed laty cesarz Kaligula:  
Na jedną głowę jedna starczyłaby kula,  
A czerwone sztandary poszłyby na ścierki!

Wojenni podżegacze skazani są na klęskę, przekonywał. Bo gdy oni szykują się do wojny atomowej, w Polsce rozpoczęła się właśnie walka o pokój, która może zakończyć się tylko zwycięstwem.

Większość wierszy, które ukazywały się w prasie, Brzechwa umieszczał później w książkach, ale były i takie, które do zbiorów nie trafiały. Nie wiadomo dlaczego, w większości nie były jakoś szczególnie gorsze literacko, a ich serwilizm też utrzymywał się na zwykłym poziomie. Być może niektórymi nie chciał kłuć ludzi w oczy po raz kolejny. W żadnym tomie nie przedrukował np. wiersza *Wymiana*, w którym przekonywał Polaków, że na wymianie pieniędzy, przeprowadzonej niespodziewanie w październiku 1950 roku, stracą tylko spekulanci, kułacy i waluciarze, którzy zbili majątki na cudzej pracy. A jeśli reforma, która pozbawiła Polaków dwóch trzecich oszczędności, skrzywdzi także zwykłych ludzi, to cóż robić: „Gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą”. I tak powinni się cieszyć. Dzięki temu miliony powędrują do państwowej kasy, powstaną za nie nowe bloki i mosty.

Robotnicy na zmianie pieniędzy nie stracą,  
Bo wzbogacając państwo sami się bogacą,  
Bo są gospodarzami na ziemi ojczystej,  
Gdzie słyhać łoskot maszyn i śpiew traktorzystów.  
Gdzie stają nowe domy, rośnie Nowa Huta,  
A dłonie są tak mocne, jak nowa waluta!

Nigdzie nie przedrukował też *Pałacu Kultury*, opublikowanego pierwotnie w tygodniku „Stolica”. Wiersz o darze narodu-przyjaciela, o pałacu z baśni, który powstaje w Warszawie i sięgnie wysoko w chmury, gdzie tylko ptaki i obłoki.

W sercu Polski, widoczny z daleka,  
Będzie trwał tak jak wiara w człowieka,  
Będzie trwał tak jak miłość dla dziecka,  
Będzie trwał tak jak przyjaźń radziecka.

Można przypuszczać, że skoro z takim zaangażowaniem wspierał kolejne pomysły rządu i partii, chciał, żeby to wsparcie było zauważone i docenione. Zauważone zostało, ale docenione nie bardzo.

Jerzy Putrament wspominał posiedzenie sekcji satyry związku, podczas którego Brzechwa, Minkiewicz i Marianowicz, filary „Szpilek”, zostali z furją zaatakowani przez Tadeusza Borowskiego, byłego więźnia Oświęcimia, a po wojnie jednego z największych orędowników komunizmu. „...za to, że piszą rzeczy śmieszne. Satyra ma nie bawić, ma razić! Nie śmieszyć, zabijać!” – żądał Borowski. W lipcu 1951 roku ten sam Borowski, jak podejrzewano rozczarowany komunistyczną rzeczywistością, popełnił samobójstwo.

Partia uważnie patrzyła na ręce pisarzom, którym wyznaczyła rolę przewodników, mających przekonać Polaków do komunizmu. Błędy były piętnowane i karane. W sierpniu 1951 roku w „Szpilkach” ukazał się przełożony przez Brzechwę wiersz Andrieja Niekrasowa *Pieśń pracy*, według redaktorów tygodnika niewinny i ideologicznie prawomyślny. Strażnicy ideowej czystości odkryli jednak, że wiersz zawiera elementy dywersyjne i wezwali winowajców – tłumacza i redaktora „Szpilek” Antoniego Marianowicza, by się wytłumaczyli. „Przebywaliśmy wówczas z Jankiem nad morzem i zostaliśmy telegraficznie wezwani do Warszawy przed zagniewane oblicze czynnika” – wspominał po latach Marianowicz.

Członkowie organizacji partyjnej przy ZLP uznali, że ironiczny wiersz adresowany do głupców, tchórzy i próżniaków, którzy nie potrafią znaleźć radości w pracy dla kraju i widzą w niej tylko trud i przyszłe odciski, nie jest wystarczająco jasny i przekonujący. Porównywanie bohaterskiego wysiłku, który klasa robotnicza wkłada w budowę socjalizmu („Żeby ostatni wydać dech / Z godnością – przy robocie”), do pracy starego, wiernego psa, który gotów jest zdechnąć, „tropiąc dubelta w lesie”, jest porównaniem złym. Z punktu widzenia partyjnych ideologów metafora mogła rzeczywiście budzić wątpliwości.

Według Putramenta Marianowicz złożył samokrytykę w imieniu pisma, ale Brzechwa uznał, że to on popełnił błąd i tylko on powinien ponieść konsekwencje. Antoni Marianowicz zapamiętał, że Brzechwa błysnął zręcznością wytrawnego obrońcy. Mówił o niewielkim doświadczeniu redaktora „Szpilek”, który zasugerował się uznanymi nazwiskami rosyjskiego klasyka i polskiego tłumacza, i o własnej lekkomyślności, w wyniku której wysłał do wysokonakładowego tygodnika przekład przeznaczony do publikacji w antologii poezji o znacznie mniejszym zasięgu. „No i sprawa rozeszła się po kościach” – napisał Marianowicz, a obaj grzesznicy już następnego dnia znów mogli kąpać się w Bałtyku.

Rok po *Strofach* i po wspólnym tomiku z Minkiewiczem ukazał się znacznie obszerniejszy i dużo bardziej zróżnicowany tom *Cięte bańki*. Zaczynał się od wysokiego C, wierszem *Apostrofa*, adresowanym do „Plotkarzy, malkontentów, szczwaczy i pyskaczy”, do których Brzechwa kierował słowa „chłoszczące i gniewne!”

Już dość ma Europa was i waszych waliz,  
Waszego plotkarskiego po świecie nieróbstwa,  
Więc tu siejecie zamęt i płodzicie głupstwa,  
Szkalując tych, co w znoju budują socjalizm.

Ślina wasza wytryska jak zatruty strumień –  
Pełno was po kawiarniach, w kularach, w magłach,  
Brniecie ślepi i głusi. Czas was nie ponagla,  
Włóczędzy bezdziejowi na bezdrożach sumień.

Ale dalej obyło się już bez podobnej napastliwości. Znalazło się w książce kilka wierszy wziętych

z tomiku *Palcem w bucie* (m.in. *Ballada o dwudziestu dwóch mordercach, Audiencja i Wiec wariatów*), parę utworów poświęconych planowi sześćoletniemu (m.in. o murarzu o nazwisku Kowalski, który odbudowuje stolicę, i *Toast* na cześć robotników Suchanka, Pawelca i Mastalerza, którzy w codziennym mozole zdobywają swój chleb), pewnie niewystarczająco poważnych, by znaleźć się w *Strofach*. Był wiersz o tkaczce, która zgodziła się wyjść za tkacza dopiero wtedy, gdy został przodownikiem pracy. I utwór adresowany *Do kołtuna*, niepotrafiącego docenić wysiłku odbudowy. Był wreszcie wiersz o dzielnych nurkach, którzy przez rok z okładem pod wodą „ryli, drażyli, cięli, łatali” ważący ponad 30 000 ton wrak niemieckiego krążownika „Gneisenau”, zatopionego wiosną 1945 roku u wejścia do portu w Gdyni.

Był bardzo zabawny (i złośliwy!) towarzysko-środowiskowy wiersz o tym, kto i co powie nad trumną Brzechwy („Zjawiły się gazetach nekrologi krótkie, / Bo ludzie, gdy kto umrze – są do pochwał skorzy. / Nawet Szancer powiedział przy kawie ze smutkiem: / «Szkoda go, choć ostatnio pisał coraz gorzej”). I była zjadliwa *Chwila Zoila*, wymierzona w niby-wieszczów, którym wydaje się, że posiadli sztukę pisania, tymczasem ich utworami ludzie krztuszą się jak ośmi. Było kilka liryków i bardzo osobista *Nasza Warszawa* („Tu przeżywałem okres sztubacki, / Tu z dziewczętami miewałem schadzki, / Tu rymowałem pierwsze wyrazy, / Tu się żeniłem pierwsze trzy razy, / Tutaj przeżyłem bomby niemieckie – / Jestem – jak rzekłem – warszawskim dzieckiem”).

Znalazły się w tomie nawet wiersze i fraszki krytyczne wobec socjalistycznej rzeczywistości, choć była to rzecz jasna krytyka mieszcząca się w dozwolonych ramach. Satyry zawarte w *Ciętych bańkach* dotyczyły wszechobecnej biurokracji, braków w zaopatrzeniu we wszystko („Ja wytrzymam, gdy nie kupię / Nowej pary gaci...”) i niedostatku książek innych niż agitacyjne broszury. W wierszu *Plakaty* kpił z propagandowych afiszy, które zawsze wyglądają tak samo. Nieważne, czy chodzi o walkę z alkoholem, czy walkę o pokój, rozwój sportu narciarskiego czy budowę radiowęzłów – zawsze pojawiają się na nich te same trzy postacie.

I znów plakat. Już go znacie:  
Na plakacie trzy postacie,

Z których jedna, nieco sporsza,  
Rzuca hasło: „Jedźmy dorsza”.

Wisi plakat przy plakacie,  
Wciąż te same trzy postacie,

Trzy tułowie, trzy prawice  
Zdobią place i ulice.

A przechodnie myślą: „Psiakość!  
Nie przechodzi ilość w jakość”.

Utwór był co najmniej ryzykowny, bo trzy głowy, które zwykle widniały na plakatach, należały do Marksa, Engelsa i Lenina (czwartą coraz częściej była głowa Stalina). Mogło to też być odczytane jako kpina z sojuszu robotnika, chłopca i inteligenta pracującego, co również nie byłoby interpretacją dla Brzechwy bezpieczną.

Ponadto był w tomie jeszcze przekład wiersza Włodzimierza Majakowskiego (*Rozmowa*

z inspektorem podatkowym o poezji), a nawet trzy bajki (*Pan Szczuka, Wilk i gąska* oraz *Łopuch i kwiaty*). Z tym, że w *Ciętych bańkach* ideologiczne były nawet bajki. Bohater ostatniej, zgorzkniały i zgrzybiały łopuch, nie może znieść, że wiosną kwitnie tyle kwiatów, a w dodatku większość prowokacyjnie, bo na czerwono: begonia, goździk, róża, nawet pelargonia. „To już nie kwiaty, to już komuna” – złości się łopuch, szczęśliwy tylko wtedy, gdy widzi wokół siebie pokrzywy, osty i inne zielsko dzikie. Wściekły rzuca na kwiaty ekskomunikę, ale one nic sobie z tego nie robią. Dalej kwitną i dalej rosną. Bardziej łopatologicznie Brzechwa nie mógł wyłożyć tego, co myśli o nowym ustroju Polski, a zwłaszcza o tych, którym się on nie podoba.

I był wiersz, *Koreańska piosenka*, który po sześćdziesięciu latach może wywoływać wyłącznie uśmiech zażenowania, jak można było być aż tak naiwnym. W roku 1950, gdy powstawał, na Półwyspie Koreańskim trwała wojna między wspieraną przez Chiny komunistyczną KRLD, która zaatakowała Koreę Południową, a siłami ONZ (głównie amerykańskimi), broniącymi południa. Ludowa Polska była oczywiście po stronie koreańskich komunistów, a Brzechwa rymował w tonie, który obowiązywał w oficjalnej propagandzie:

Siedzą w Oenzecie  
Wasale Marshalla  
Naród koreański  
Mac Arthur wyzwala:  
Miasta zrównał z ziemią,  
Pozabijał dzieci,  
Cmentarzyska drzemią  
W śnieżystej zamieci.  
Lud przy Kim Ir Senie  
Stoi niewzruszenie.

Wersy o Kim Ir Senie, przy którym niewzruszenie stoi koreański lud, powtarzały się po każdej zwrotce. Brzechwa nie wiedział, że „ukochany przywódca” Kim szybko stanie się symbolem komunistycznej satrapii, budując państwo oparte na strachu oraz terrorze i dając początek dynastii Kimów, którzy nadal rządzą Koreą.

Kilkadziesiąt lat później wiersze ze *Strof o planie sześciolatnim* i *Ciętych baniek* posłużą przeciwnikom Brzechwy jako koronny dowód jego politycznego koniunkturalizmu. Na początku lat pięćdziesiątych słyszał, że jest za mało ofensywny i krytyczny, że nie obnaża i nie piętnuje, a jeśli nawet to robi, to bez przekonania i literackiej finezji. Partia oczekiwała, że poeci będą przekładali na mowę wiążaną tezy z propagandowych broszur i w dodatku jeszcze będzie to porywające i głębokie.

Wacław Sadkowski, recenzując *Cięte bańki* w „Życiu Literackim”, napisał, że wiersze Brzechwy nie są w stanie sprostać wymogom czasów, czytelników i krytyki. Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego postawiła przed ludową satyrą nowe zadania o ogromnej wadze. Te zadania to „wzmoczona czujność” i „bojowa ofensywność”, niestety polska satyra nie nadąża za tymi światłymi celami. Kilka trafnych wierszy Brzechwy to o wiele za mało na pierwszą linię ideowego frontu. Trzeba, nawoływał Sadkowski, aby satyrycy „atakowali jak najaktywniej pozycje nam przeciwne i wrogie, pozycje kołtuna i kosmopolity, kułaka i zdrajcy-szpiega. A właśnie tego brak satyrze Brzechwy, wpadającej w ton perswazji, zacierającej ostrość podziału i dynamikę walki atmosferą spokojnej deklamowanej polemiki”. Owszem, kpi z wroga, bywa to nawet zabawne, ale brakuje

w tych kpinach żaru i przekonania.

Sprawa wyglądała poważnie, bo oto kolejny krytyk zarzucał Brzechwie grzech w tamtym czasie niewybaczalny – brak zaangażowania, a być może nawet polityczną niepewność. Sadkowski zaapelował do Brzechwy: „Weźże się do roboty i pomóż już dziś, już zaraz wymiatać zmierzwiöne wióry kołtunerii. (...) czekamy na porządne, na skórze wroga cięte banie”.

W 1952 roku ukazały się jeszcze dwie książki Brzechwy. *Gawęda o dawnych latach, o różnych kandydatach, o posłach i mandatach, o rzekach i mostach, o cudach i starostach*, z ilustracjami Jerzego Zaruby, miała formę klasycznej brzechwowskiej bajki dla dzieci, ale naprawdę była aktem oskarżenia skierowanym przeciwko II Rzeczypospolitej. Druga, *Stonka i Bronka*, też na pierwszy rzut oka wyglądała jak zwykła bajka, w dodatku z kolorowymi ilustracjami Szancera, ale w istocie była orężem w wojnie, którą państwo i partia wypowiedziały najnowszemu śmiertelnemu wrogowi ustroju – stonce ziemniaczanej.

*Gawęda* to adresowana do młodzieży opowieść starego Michała o tym, jak było przed wojną. A było niesprawiedliwie. Nieliczni wiedli życie dobre i dostatnie, większość złe. Pasibrzuchy jadły do syta smakowite obiady, biednym brakowało nawet suchego chleba. Bogacze żyli wygodnie w folwarkach, chłopci musieli kołatać o pracę i płacić na bogatych podatki. Fabrykant, kamienicznik, bankier i obszarnik byli w Polsce wszechwładni i bezkarni, gnębili chłopów i ssali krew ostatnią z robotników, a rząd strzelał, kiedy ludzie podnosili głowy. Gdy jednak lud zaczął się burzyć na poważnie, przestraszony rząd postanowił urządzić wybory i pozwolić chłopom i robotnikom wybrać swoich przedstawicieli. Ale takie same wybory, nie pozostawił wątpliwości Michał, mógłby urządzić lis, chcący zwabić do swej nory kury.

Kandydaci jeden po drugim przymilali się do ludu i na wyścigi obiecywali mu, co tylko zechce. Nie ma mostu we wsi? To się go postawi! Że niepotrzebny, bo rzeki też nie ma? Nie szkodzi, rzekę też się załatwi. Kandydaci do parlamentu jak wilki w bajce przebierali się, byle tylko zmylić ludzi. Obszarnik stawał się ludowcem, hrabia chłopem, bankier socjalistą, a fabrykant obrońcą robotniczej sprawy („Wybierzcie go, a będzie byczo!”).

Różne mikołajczyki, warchoły i łgarze,  
Krętacze, rozbijacze, zdrajcy i dwójkarze,  
Hrabiowie, hitlerowcy, wszelakie psubraty –  
Wszystko to wyciągało ręce po mandaty.

Wyciągało i ostatecznie trafiało do sejmu i senatu. Jakim cudem? Cudem nad urną wyborczą! Przychodził starosta, wyjmował z urny kartki z prawdziwymi głosami i wkładał na ich miejsce inne, z nazwiskami tych, których chciała władza („Kto lepiej posmarował, ten posłem zostawał”). A potem, już w sejmie, nowi posłowie żadnej z wyborczych obietnic spełnić nie zamierzali. Uchwalono, że głód i bezrobocie to bajka, robotniczych przywódców wtrącono do więzień, bo „było byczo” i ogólnie państwowotwórczo. A jak się komu nie podobało, to policja i wojsko uśmierzały bunt. A potem uchwalano nowe podatki, by bogatym żyło się jeszcze lepiej.

Było dużo wiwatów, oklasków, uniesień –  
I tak właśnie ich zastał ów tragiczny wrzesień.

Młodzi słuchacze Michała nie mogli mieć wątpliwości, jak niesprawiedliwym i ocierającym się o faszyzm państwem była sanacyjna Polska.

*Stonka i Bronka* to opowieść o groźnej niszczycielce, która chce odebrać ludziom podstawę ich pożywienia i ozdobę stołu – ziemniaki. Zaczyna się sielankowo, niemal mickiewiczowskim opisem zastosowania ziemniaka w polskiej kuchni: do barszczu, na placki, smażone, tłuczone, pieczone: „Ślinka płynie, oko skrzy się, / Gdy ziemniaki dymią w misie”. Niespodziewanie jednak wiosną na polach pojawia się szkodnik – stonka i jej liczna rodzina („Więc małżonek i małżonka, / Brat i siostra i szwagierek, / Ciotek, wujów długi szereg”). Wyłazą spod ziemi, choć tak naprawdę zostały na ziemniaczane pola zrzucone przez wroga.

Stonki rzucają się na ziemniaczane liście i łodygi, pożerając krzak po krzaku („Nagie krzaki płaczą wszędzie: / – Już z ziemniaków nic nie będzie...”). A kiedy już wypełnią brzuchy, składają jaja na krzakach, które mają jeszcze liście. Po ośmiu dniach z jaj wyłazą larwy („Przy czym żadna z nich nie spocznie / Pokąd jeden liść zielony / Został jeszcze niezjedzony”), a z nich po następnych dwóch tygodniach wykluwają się nowe stonki, jeszcze bardziej głodne i żarłoczne. Wyruszają w zwartych szykach niszczyć kolejne ziemniaczane krzaki i pola.

Tak panoszą się szkodniki  
Ślane do nas z Ameryki,  
Które nadto wróg jest gotów  
Zrzucić stale z samolotów.

Plaga stonki dotknęła pod koniec lat czterdziestych XX wieku nie tylko Polskę, ale i całą zachodnią Europę. Walka ze szkodnikiem stała się koniecznością, ale komunistyczna propaganda postanowiła upiec przy tym ogniu własną pieczeń i oskarżyła o inwazję owadów „amerykańskich imperialistów”. Stonka, czyli w nowej wersji żuk kolorado, miała zostać zrzucona z samolotów nad Niemiecką Republiką Demokratyczną, Czechosłowacją i nad Bałtykiem, skąd zaczęła ziemniakożerczą ekspansję. Imperialistyczny żuk stał się winny klęski nieurodzaju i niedoborów żywności. „Niesłychana zbrodnia amerykańskich imperialistów”, „Sabotaż wrogów socjalizmu”, „Amerykańscy kandydaci na zbrodniarzy wojny atomowej pokazali próbkę tego, co szykują ludzkości. Tylko ludobójcy mogą zdobyć się na taką ohydę, jaką jest celowe niszczenie pokojowego dorobku pracy ludzkiej, niszczenie plonów przez stonkę ziemniaczaną” – alarmowały gazety. W odpowiedzi rząd podjął uchwałę o mobilizacji społeczeństwa do walki ze szkodnikiem. Płacono za wykryte ogniska stonki i za zebrane owady. Wydana w półmilionowym nakładzie książeczka Brzechwy i Szancera (w 1953 roku ukazało się kolejne 100 000 egzemplarzy) była częścią antystonkowej kampanii.

Poza zacytowanym fragmentem nie było w niej elementów nachalnie ideologicznych. Miała raczej postraszyć tempem rozmnażania się stonki, co obaj autorzy uczynili z dużym talentem, i zmobilizować dzieci do czujności i pomocy rodzicom. Tytułowa Bronka to pionierka (ma zielony mundurek i czerwoną chustę), która widząc szkodnika, alarmuje Radę Narodową. Pół godziny później wyruszają na ziemniaczane pola drużyny ze środkami owadobójczymi i dzieci z butelkami, do których zbierają żuczki. W jednej z drużyn jest oczywiście Bronka. „Bierzcie wszyscy przykład z Bronki – / Trzeba niszczyć larwy stonki” – pisał Brzechwa.

Do książeczki wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne dołączona została plansza obrazująca rozwój stonki i instrukcja, jak walczyć z owadem, „bo niebezpieczeństwo z roku na rok jest większe”.

Prasa przyjęła napisaną na polityczne zamówienie książeczkę zgodnie z oczekiwaniami. Zachwycono się potoczystym językiem Brzechwy i sugestywnymi ilustracjami Szancera, dzięki

którym *Stonka i Bronka* była zrozumiała dla wszystkich, od najmłodszych uczniów szkoły podstawowej, po dorosłych, którzy wcześniej żuka kolorado nie widzieli na oczy. Recenzent „Słowa Powszechnego” napisał, że to „cenny przykład połączenia sztuki pisarskiej dużej klasy z palącymi zagadnieniami życia codziennego, przykład dobrze pojętej artystycznej propagandy i popularyzacji wiedzy”.

Rok 1952 obfitował w mniej lub bardziej udane wydawnictwa propagandowe. Na święto 22 lipca Brzechwa z Minkiewiczem przygotowali wybór politycznych satyr *Na obie łopatki*. Kilkudziesięciu autorów, z Broniewskim, Gałczyńskim i Tuwimem na czele, opowiadania, wiersze i humoreski o tematyce w większości obyczajowej (wedle obowiązującego kanonu: biurokracja, pozbawienie poczucia humoru działacze i absurdy codziennego życia). Utworów politycznych było zaledwie kilka. Brzechwa umieścił w tomie dwa swoje wiersze – ocierający się o egzaltację apel do młodych, żeby przyłączyli się do walki o lepszy świat (*Na zlot*) i drugi, zdecydowanie bardziej przekonujący, żeby nie zapominali o tym, co w młodości najważniejsze (*Kiedy masz dwadzieścia lat*). O miłości i dziewczynach, których nie mogą zastąpić ani walka ze stonką, ani akcja żniwna, a już na pewno nie zetempowskie zebrania. Jego wiersze ukazywały się też w innych antologiach. *Ballada o dwudziestu dwóch mordercach* i *Kongres* („Tak to lew brytyjski ryczy / Na amerykańskiej smyczy”) zostały przedrukowane w *Gwoździach do Trumana* (razem z wierszami Gałczyńskiego, Słonimskiego, Ważyka i Kerna).

Pod koniec 1952 roku, po siedmiu latach przerwy, pojawiła się nowa szopka noworoczna. Miała trzech autorów, do Brzechwy i Minkiewicza dołączył Antoni Marianowicz. *Upominki noworoczne 1953* nie były jednak już tylko inteligencką zabawą, kontynuującą tradycję szopek Tuwima i Słonimskiego, ale propagandowym teatrykiem kukiełkowym do wystawiania w świetlicach młodzieżowych. Przez siedem lat zmieniło się podejście do satyry. W szopce nie było już ani prezydenta, ani członków rządu i partii. Byli za to imperialiści, hitlerowcy, zdrajcy i emigranci.

Tekst *Upominków* poprzedzało wprowadzenie Kazimierza Rudzkiego. Doświadczony aktor tłumaczył, jak interpretować poszczególne postaci, żeby pozytywni bohaterowie szopki jeszcze bardziej zachwycali, a polityczni wrogowie byli jeszcze bardziej ohydni. Na końcu książeczki umieszczono techniczną instrukcję, jak zbudować scenę, w jaki sposób skonstruować kukiełki i jak nimi poruszać.

Szopka składała się z dwóch części, narratorami obu byli Zetempówka („Twarz pogodna, mądra główka...”) i Zetempowiec („Pierwszy w pracy i nauce...”). Bohaterami pozytywnymi pierwszego aktu byli aktor Ludwik Solski, tenisistka Jadwiga Jędrzejowska (polska finalistka Wimbledonu), bokser Zygmunt Chychła (mistrz olimpijski z 1952 roku) czechosłowacki biegacz Emil Zatopek (zdobywca trzech złotych medali na olimpiadzie w Helsinkach), a negatywnymi: naciągaczka Wróżka, gruba Spekulantka, leniwy Bumelant, rozpieszczony Maminsynek i biurokrata Fajkowicz. Zetempowiec i Zetempówka przekonywali, że młoda ojczyzna jest piękna i zasługuje na entuzjazm, tylko różne czarne charaktery nie potrafią tego dostrzec i docenić. Dostało się nawet aktywiście Ponurakowi, który biegnie z zebrania na zebranie, uważa się za starego („dwudziestka za pasem”), a miłość to dla niego „zdrożna rzecz”. Dziewczynie, która chce mu oddać serce gorące, robi wykład „o żniwach, o stonce”. „Ona mu słodko szeptem «Kochanie»... / A on prowadzi ją na zebranie”. „Każdy powinien dla Polski żyć, / Lecz po co takim nudziarzem być?” – przekonuje chłopca Zetempówka. Szopkowy dialog to w istocie rozpisany na głosy wiersz *Kiedy masz dwadzieścia lat* z tomu *Na obie łopatki*.

W drugim akcie szopki była już polityka na poważnie. Rozpoczęła się zapowiedziana przez Zetempowca „rewia łajdaków”.



Więc sługusy z Wall Streetu:

Tito, Tito, i ty tu,  
Służ i już, gdy każe pan ci,  
Tuż-tuż biali emigranci,  
Esesmani – towar tani  
I od Kruppa kupa drani,  
Rodzime łotrzyki  
Prosto z „Głosu Ameryki”...

Bankier z Wall Street, a tak naprawdę gangster, który nawet o prezydencie USA mówi – lokaj. Marszałek Tito, łańcuchowy pies imperializmu, który za judaszowe dolary wyprzedaje Amerykanom majątek narodowy Jugosławii. Hitlerowiec, który ledwie wyszedł z więzienia, gdzie żył jak w luksusowym hotelu, a teraz zaczyna panoszyć się w Europie i żąda rewizji granic. Wreszcie Emigrant, Polak – przed wojną bił chłopów „po pysku”, zasiadał w sejmie i gościł hitlerowców na polowaniach, a teraz śni o generale Andersie, który przybędzie na białym koniu wyzwolić Polskę. W zamian za nową wojnę gotów jest przesunąć granice i oddać hitlerowcom nie tylko Wrocław oraz Szczecin, ale nawet Łódź. Bo kocha ich b e z g r a n i c z n i e.

Po co się dogadywać. Nikt nie będzie łez lał,  
Gdy Szczecin nazwiesz Stettin, a Wrocław znów Breslau.  
Zaraz, zaraz... Pan bodaj przeżył okupację  
Jako okupant w Łodzi, to jest w Litzmannstacie? (...)  
Więc Łódź wasza! Nie mówmy o tym, to drobiazgi.

Prócz nich pojawili się w szopce jeszcze Kułak, który ukrywa zboże, i pozbawiony ideałów Bikiniarz. Obaj oczywiście cieszą się sympatią Amerykanina i Hitlerowca. Nadlatuje jednak gołąbek pokoju, który przynosi nowy rok i przepędza wszystkie złe duchy z Polski. A Zetempowiec staje na środku sceny i recytuje:

Młodzież walczyć potrafi, trudów się nie boi –  
W taką wolę niezłomną uzbrowimy ramię,  
Że przyjaciół dźwigniemy. Wrogów ono złamie!

„Bo taka powinna być właśnie nasza agitacja – celna i wesoła!” – tłumaczył w instrukcji, jak wystawiać *Upominki*, Kazimierz Rudzki. I tak naprawdę to był najzabawniejszy fragment szopki. Antoni Marianowicz wspominał, że sporą dozą wyrozumiałości dla autorów, że „nosiła jeszcze nieznośne piętno schematyzmu”.

Po latach Brzechwa zapłaci srogą cenę za swoje zaangażowanie w okresie stalinizmu. Będzie oskarżany o zdradę narodu polskiego, znajdą się politycy, którzy uznają, że jego polityczne wiersze przekreślają dorobek bajkopisarski. Bo ktoś taki jak Brzechwa, kolaborant i konformista, nie może przecież być wychowawcą polskich dzieci, autorytetem i patronem szkół. Ryszard Matuszewski był jednak przekonany, że we wspierających władzę utworach Brzechwy nie było wyrachowania. Pisał panegiryki o planie sześćioletnim nie dlatego – a na pewno nie wyłącznie dlatego – że liczył na jakieś szczególne względy partii. Chyba także nie ze strachu, że jeśli czegoś nie napisze, to jego

życie zamieni się w piekło. Robił to, bo był przekonany, że tak trzeba, że to jego zadanie, „nie wypierał się swego zapału dla nowego budownictwa w powojennej Polsce”.

# Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy...

Gdy takie było polityczne zamówienie, Brzechwa wspierał decyzje partii, deklarował lojalność wobec socjalistycznej Polski i pisał entuzjastyczne wiersze o nowym ustroju. Nie krył, dlaczego to robi. W tekście, którym uczcił dziesięciolecie Polski Ludowej, policzył, że w ciągu pierwszych trzydziestu lat pracy (od debiutu w 1915 roku) wydał 8 tomików wierszy w łącznym nakładzie zaledwie 15 000 egzemplarzy. Przez dziesięć lat nowej Polski opublikował 61 książek i książeczek w nakładzie blisko dwóch i pół miliona (będzie te rachunki systematycznie powtarzał; w 1964 roku obliczył, że ukazało się już ponad osiem milionów jego książek) i „zawdzięcza to socjalistycznej Polsce”. Dodał, choć nie musiał: „Chciałbym, aby te słowa przeczytali emigracyjni renegaci, owi wszyscy Miłosze i Nowakowscy, którzy sprzeniewierzyli się narodowi i ojczyźnie w złudnej nadziei, że ich sprzedajne pisarstwo może być cośkolwiek warte w oderwaniu od życiodajnych źródeł i że muzę można karmić zdradą”.

Spłacał polityczne serwituty z nadwyżką, licząc pewnie, że dzięki temu kupi sobie spokój w życiu prywatnym. Ale w tamtym czasie właśnie o spokój było najtrudniej.

Kazimierz Brandys wspominał w *Miesiącach* opowieść Brzechwy o wytwornej starszej panią, którą UB chciało zmusić do współpracy. Usłyszała, że jeśli się nie zgodzi, to jej syn, żołnierz AK, który trafił do więzienia, żywy z niego nie wyjdzie. Przyszła z płaczem szukać u Brzechwy pomocy. Nie odmówił. Co tydzień razem pisali sprawozdania dla UB, ale tak, żeby nikomu nie zaszkodzić.

– Doszli pewnie do wniosku, że jest starą idiotką, bo dali jej spokój – relacjonował poeta.

Na początku lat pięćdziesiątych władze bezpieczeństwa aresztowały dyrektora ZAiKS-u Walerego Jastrzębca-Rudnickiego. Oskarżono go o kolaborację w czasie II wojny i wydawanie Niemcom ukrywających się Żydów (naprawdę chodziło o to, że w 1920 roku był wiceministrem w antykomunistycznym ukraińskim rządzie Semena Petlury). Dowodów „zbrodni” mieli dostarczyć pisarze, których wezwano na świadków. Wśród nich Brzechwę. Okazało się jednak, że lojalny członek partii nie był dość posłuszny, by fałszywie oskarżyć człowieka. W Związku Literatów interweniowała sama „krwawa Luna”, czyli Julia Bristigierowa, która w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego zajmowała się inteligencją (po 1956 roku ujawniono, że osobiście brała udział w torturowaniu stalinowskich więźniów). Próbowano zmusić krnąbrnego świadka, żeby zeznał na temat człowieka „o brudnej, dywersyjnej przeszłości” to, czego oczekuje partia, a nie to, co dyktuje mu sumienie. „Wygrażała się wtedy i wymyślała na towarzyszy Dobrowolskiego i Brzechwę” – oskarżał Bristigierową Leon Wudzki podczas rozliczeniowego VIII plenum KC PZPR w październiku 1956 roku. Wtórował jej Adam Ważyk, który mówił o niskim uświadomieniu i ideowej ślepotce niektórych członków partii, podsycanej resztkami „legalizmu burżuazyjnego”. Mimo to Brzechwa odmówił. „Nie było – mam wrażenie – takiej instancji ludzkiej, która zdolna by go była skłonić do krzywdzenia ludzi ze strachu czy na rozkaz” – wspominał Ryszard Matuszewski. „Byłem na tej egzekutywie, byłem świadkiem tego wydarzenia, dlatego biorę za tę relację pełną odpowiedzialność”.

Ale już na kolejnym posiedzeniu organizacji partyjnej przy ZLP Brzechwa wygłosił wzorcową samokrytykę. Kajał się, że zblądził, bo nie wykazał odpowiedniej czujności i nie odciął od Jastrzębca-Rudnickiego. A wszystko przez niedostateczne ideowe uświadomienie i bezmyślną egzystencję, jaką prowadził przed wojną, kiedy nie angażował się w życie polityczne. Prosił towarzyszy, by pomogli mu zasłużyć na godność członka partii. Samokrytyka była stałym elementem partyjnego rytuału, odprawianego podczas każdego zebrania. Ci, którzy jednego dnia stawali przed

kolegami, by wyznać grzechy zawinione i wyimaginowane, prawdziwe i nie, następnym razem sami zmieniali się w członków trybunału, przed którym dokonywało się samobiczowanie wczorajszych sędziów. Dla jednych był to pewnie niewiele znaczący gest, który należało wykonać i zapomnieć, dla innych trauma, jakiej woleliby nie przeżywać po raz kolejny.

Być może właśnie na to liczył człowiek, który zadzwonił do Brzechwy z informacją, że ma tom jego wierszy pisanych po śmierci Piłsudskiego – *Imię wielkości*. Był przekonany, że poeta będzie wolał, by nie wypominano mu uwielbienia dla Marszałka.

Brzechwa opowiedział o tym Matuszewskiemu, kiedy w jednej z gazet ukazało się opowiadanie o pisarzu, który przerażony wykupuje w antykwariatach egzemplarze swoich przedwojennych książek. Człowiek, który zadzwonił do niego, zaproponował, że egzemplarz *Imienia wielkości* zniszczy. Oczywiście za pieniądze.

– Dawał delikatnie do zrozumienia, że jeśli się nie wykupię, nada sprawie rozgłos – mówił Brzechwa. – Powiedziałem, że może to spokojnie zrobić.

Szantażysta mógł nie wiedzieć, Brzechwa na pewno tak, że władza pamięta jego peany na cześć Komendanta. *Imię wielkości* znalazło się w 1952 roku na sporządzonej przez zespół rządowy liście książek do usunięcia z bibliotek i księgarń. Najwyraźniej jednak uznano, że więcej będzie pożytku z jednego nawróconego „grzesznika” niż z dziesięciu miernot, wiernych, ale niezdolnych.

*Wytyczne w sprawie oczyszczania księgozbiorów* obejmowały książki antykomunistyczne, szkalujące Związek Radziecki, gloryfikujące państwa kapitalistyczne (na tej podstawie na listę trafił *Dywizjon 303* Arkadego Fiedlera), niezgodne z socjalistyczną obyczajowością (np. *Sztuka uprzejmości. Zasady dobrego wychowania* Gustawa Olechowskiego), napisane przez „wrogów władzy ludowej” (m.in. Władysława Gomułkę), albo po prostu niezgodne z linią partii. Tomik wierszy Brzechwy znalazł się na liście utworów zakazanych z paragrafu: „książki dotyczące czynu Józefa Piłsudskiego, powstania II Rzeczypospolitej i wojny polsko-bolszewickiej”. Organy władzy w terenie zostały zobowiązane do przeprowadzenia bibliotecznej czystki niezwłocznie!

Partia postanowiła interweniować, bo dochodziło do sytuacji co najmniej śmiesznych. Erwin Axer wspominał spacer po świeżo odbudowanym Nowym Świecie w Warszawie. Zatrzymał się przed witryną jednej z księgarń. Na wystawie zobaczył ołtarzyk ku czci Brzechwy, poety „bardzo en vogue u dzieci, dorosłych i w sferach rządowych”. W centrum, otoczony książeczkami dla dzieci, leżał tomik *Imię wielkości*. „Księgarze chyba się nie domyślali, kogo Brzechwa tą książeczką uczcił, i na pewno wyobrazili sobie, że kogoś innego, kto wtedy też był bardzo en vogue”. Czyli, jak łatwo było się domyślić, Stalina.

Wypomniał Brzechwie dawne akty strzeliste pod adresem Marszałka także Mieczysław Grydzewski, przedrukowując w londyńskich „Wiadomościach”, w rocznicę śmierci Piłsudskiego, wiersz *Rewia*. Jeden z najpiękniejszych, pisał Grydzewski, w dorobku człowieka, który po wojnie utracił pamięć, a w sercu zastąpił Piłsudskiego Dzierżyńskim i Stalinem.

Brzechwa miał prawo się bać, bo w stalinowskiej Polsce bali się prawie wszyscy, którzy mieli na koncie coś, co mogło być przez rządzących uznane za polityczny grzech. Czy jednak groziło mu coś więcej niż cenzuralne szykany i drobne niedogodności w życiu codziennym? Chyba nie. Wbrew pozorom bardziej mogli bać się ci, którzy najmocniej zaangażowali się we wcielanie stalinizmu w literaturze: Ważyk, Andrzejewski, Putrament. W Związku Sowieckim właśnie najwierniejsi byli w pewnym momencie oskarżani o zdradę, później ten sam scenariusz zaczął powtarzać się w innych krajach komunistycznych. W Polsce przygotowania do takich procesów przerwała śmierć Stalina.

Jakiś czas później, mógł być koniec roku 1954 albo początek 1955, do stolika Brzechwy w zakopiańskiej Watrze dosiadł się pułkownik Józef Różański, wtedy już dyrektor Państwowego

Instytutu Wydawniczego, prywatnie brat Jerzego Borejszy. Wcześniej był szefem Departamentu Śledczego MBP, ale został odsunięty, bo partia miała już dość gęstniejących informacji o wyrafinowanych torturach, które stosował podczas przesłuchań. Tym razem chciał pogawędzić przy kieliszku, „szukał towarzystwa literatów” – wspominał Brandys, któremu Brzechwa zrelacjonował rozmowę.

– Pańscy przyjaciele z „Kuźnicy” i Klubu Pickwicka mieli szczęście, że nie zdążyliśmy ich wsadzić – powiedział mu Różański.

Śmierć Stalina 5 marca 1953 roku była dla wszystkich piszących okresem obowiązkowej żałoby. Rozpacz z powodu zgonu Chorążego Pokoju i Uniwersalnego Geniusza musieli wyrazić wszyscy. Brzechwa w podwójnym numerze „Szpilek” wydanym po śmierci Bolszewika z Granitu porównał Stalina (choć w wierszu nie wymienił jego nazwiska) do życiodajnej rzeki wolności, która żłobi w kamieniach dzieje świata. Nigdy nie wysycha, a gdy wpada do morza, to morze zaczyna nią oddychać.

Rzeko naszej nadziei, wiecznie twój nurt się toczy,  
Wodą twą, wiecznie żywą, ślepiec przemywa oczy,

Odpląnęłaś, lecz wrócisz, jak wracają obłoki:  
Wrócisz deszczem ożywczym, rzeko naszej epoki.

Półtora miesiąca później odbyła się w Warszawie II Ogólnopolska Narada Satyryków. W trwających dwa dni obradach wzięli udział literaci, dziennikarze, graficy i malarze: Andrzejewski, Słonimski, Lipiński, Marianowicz, Minkiewicz i Wiech. Złożyli hołd pamięci Stalina i uchwalili, że chcą służyć swoją twórczością szerokim masom ludowym socjalistycznej ojczyzny, demaskować imperialistycznych wrogów Polski, uporczywie walczyć z wrogiem wewnętrznym oraz pozostałościami klas wyzyskujących, dygnitarstwem, filisterstwem i drobnomieszczaństwem. Że będą w swej pracy czerpać z postępowych tradycji satyry polskiej oraz brać przykład z przodującej satyry radzieckiej. Że uczynią wszystko, by pogłębić niedostateczną dotąd znajomość marksizmu-leninizmu oraz zasad realizmu socjalistycznego, a także przewyciężą widoczne jeszcze w polskiej satyrze pozostałości schyłkowej sztuki burżuazyjnej. Ponadto podejmą prace nad utworami, „które dawałyby wielkie uogólnienie satyryczne naszej wspaniałej epoki”.

Podczas narady przemówił także Brzechwa. Wystąpił w obronie lekceważonych niesprawiedliwie małych form satyrycznych, które muszą wypełniać zadania nieistniejącej powieści satyrycznej. Jej brak może wynikać z tego, tłumaczył, że Polska, „korzystając z doświadczeń radzieckich”, przeobraża się w tak zawrotnym tempie, iż „obraz społeczeństwa odmalowany dziś, już za rok może się okazać nieprawdziwy, a satyryczne uderzenie chybione”.

Potrzeby socjalistycznej Polski są ogromne, dowodził, i każdy dzień stawia przed satyrą nowe zadania i wyznacza nowy cel natarcia. Wszystko to spada na barki szczupłej garstki satyryków, których można policzyć na palcach obu rąk i jednej nogi.

– Mówię o nodze ze względu na różnicę poziomu – podkreślił.

W 1953 roku Brzechwa spełnił swoje marzenie z dzieciństwa. Opublikował książeczkę *Teatr Pietruszki*, zawierającą scenariusze pięciu widowisk, ułożonych na wzór zapamiętanych z Kijowa podwórkowych przedstawień. Kiedy Pietruszka, ulubieniec dzieci i dorosłych, krzykliwy zawadiaka, sowizdrzał i ludowy bohater, pojawiał się nagle, rozstawiał niewielką scenkę i zaczynał ku uciesze widzów krytykować możnych, kpić z popów i urzędników, wyśmiewać ludzkie przywary. Potem

znikał, by pojawić się na kolejnej ulicy i następnym podwórku „i znowu, na przekór cenzurze, wbrew zakazom policji, bawić, śmieszyć i karcić”, wspominał Brzechwa.

Jego Pietruszka nie był antypaństwowy. Nie musiał kryć się przed milicją ani walczyć z cenzurą, która zaakceptowała książeczkę do druku. Kpił z ludzkich słabości i wad, i to tych, które krytykowała także socrealistyczna propaganda. Pietruszka Brzechwy piętnował obiboków, szkodników i wichrzycieli, a wszyscy mu wtórowali.

Dosyć! Koniec. Sąd nie zwleka,  
Wyrokuj i orzeka:  
Bumelantów osądzamy,  
Marnotrawców potępiamy,  
Próżniakami pogardzamy,  
Mąciwodów nie kochamy...

W jednym z widowisk matka Pietruszki poucza syna, że nieważne, kto kogo udaje i jakie stroi miny, ale ile kto ma w głowie i jak idzie mu nauka. W innym Pietruszka okazuje się psotnikiem, który od szkoły woli wagary, kino, park i grę w koszykówkę. W końcu trafia w ręce milicjanta. Ten jednak nie aresztuje chłopca („...gdzież tu / Dzieci wsadzać do aresztu”), tylko oddaje po opiekę władzy szkolnej: „Nie uniknie odtąd kary / Ten, kto chodzi na wagary!”.

Podobną wymowę miała opublikowana w tym samym roku książeczka *Wagary. Szopka szkolna*. Powinna była usatysfakcjonować pedagogiczne trybunały, przed którymi stawiano Brzechwę za brak w jego utworach dla dzieci treści wychowawczych i umoralniających, które zastępuje purnonsensem i językowymi igraszkami. W *Wagarach* nie było ani purnonsensu, ani zabawy słowami, ani nawet... poczucia humoru. Było za to przesłanie, którego nie powstydziliby się sam Anton Makarenko, autor *Poematu pedagogicznego*.

Występują w szopce bohaterowie negatywni i pozytywni. Ci pierwsi to lenie Janek i Franek („Takich leniów, jak my dwaj, / Nie ma trzech na cały kraj”), szkolni bumelanci Tomek („Ja udaję, że mam febrę, / Bo opuścić chcę algebrę”) i Romek („A ja zmykam z geografii”) oraz Spóźnialski („Za późno obudziłem się, / Po drodze zagapiłem się / I spóźniłem się”). Ci drudzy to pilni uczniowie („Kto szkoły nie szanuje, / Porządku nie przestrzega, / Kto uczy się na dwóje, / Ten dla nas nie kolega!”), sportowcy („Nie ma to jak sport zimowy, / Jaki piękny, jaki zdrowy!”) i harcerze („Harcerz służy Polsce Ludowej, / Do jej obrony zawsze gotowy”).

Lenie, bumelanci i spóźnialscy wpychają za szkolny piec wytłuszczone zeszyty i uciekają z lekcji, bo spadł śnieg i znacznie przyjemniej rzucać śnieżkami, niż się uczyć. Nie potrafią potem powiedzieć, gdzie leży Ameryka ani czym żywi się stonka, myślą też, że kangury to wielkie góry, a żur to zwierzę. „To już jest nieuctwa szczyt! / Jaki wstyd! Jaki wstyd!” – dziwi się pan Woźny, który urodził się w sanacyjnej Polsce, więc nie mógł się uczyć, choć bardzo chciał. „Nas do szkoły nikt nie wołał – / Nie dla biednych była szkoła” – wspomina z żalem.

Któregoś dnia – lenie i bumelanci oczywiście znów uciekli – w szkole pojawiają się Lotnik i Kolejarz. Tłumaczą uczniom, że warto się uczyć, bo ktoś, kto szkołę omija z daleka, na pewno nie zostanie w przyszłości tym, kim chciałby: „Kto nie zdobył wiedzy przedtem, / Ten nie będzie architektem”, „Kto nie uczy się, ten potem / Nie potrafi być pilotem”, „Kto ma głowę – pustą banię, / Ten lekarzem nie zostanie”. Nie wszyscy to jednak rozumieją. Pan Aptekarz przyprawia do szkoły wagarowiczów, którzy stłukli w jego apteczkę szybę („Szybka – apteczna, / Własność społeczna! / Sprawa niewesoła, / Musi ukarać ich szkoła!”).

Pan kierownik szkoły przemawia do sumienia chuliganów. Tłumaczy, jaki przynoszą szkole wstyd. Państwo łoży pieniądze, nauczyciele wkładają trud i mózół, by dać im wykształcenie, „A wy. Bumelanci, lenie!”. Kiedy wszyscy zastanawiają się nad karą, okazuje się, że wagarowicze ponieśli już konsekwencje, odmrażając sobie uszy i nosy. „Stracą uszy... Stracą nosy / Będą krzyżeć wniebogłosy. / Sami siebie ukarali!” – mówi kierownik i odsyła krnąbrnych uczniów do lekarza. A pozostali recytują:

Rolnik w polu zbiera żniwa,  
Górnik węgiel wydobywa,  
Hutnik stal wytapia z rud,  
Wieszcz układa dźwięczne rymy,  
A my w szkole się uczymy  
I to nasz codzienny trud.

Wracający od lekarza złoczyńcy (nosy i uszy udało się szczęśliwie uratować) dołączają do recytujących. Przyrzekają, że tak jak przodownicy w miastach i na wsi wypełniają swoje zobowiązania, tak i oni już nigdy nie zasłużą w szkole na dwóję.

Tekst Brzechwy opatrzył posłowiem reżyser Jan Wilkowski, tłumacząc uczniom, jak wystawić szopkę. A więc dobrzy uczniowie muszą też ładnie wyglądać: buty czyste, spodnie zaprasowane „na kant”, a źli – niechlujnie i nieporządnie: buty zabłocone, rozwiązane sznurowadła, wykrzywiona czapka, a wygniecień na spodniach tyle, że policzyć trudno. Nikt nie powinien wzbraniać się przed zagranieniem roli lenia albo bumelanta, przekonywał Wilkowski, choć przyjemne to nie jest. Wiadomo, że każdy wolałby być panem kierownikiem albo dzielnym harcerzem. Ale pokazanie złych, nieposłusznych chłopców też służy dobremu celowi. „Zobaczycie, jak się będą rumienić podobni im, siedzący na widowni uczniowie, wszyscy spóźnialscy, leniuchy i bumelanci. Jak się będą wstydzić, zatykać uszy przed śmiechem rozlegającym się na sali, chować za plecy sąsiadów albo udawać, że nie rozumieją, o kim właściwie mowa” – pisał Wilkowski. Ale potem, czując potępienie, na pewno zechcą się poprawić.

Kiedy tylko stało się to znów możliwe, Brzechwa wrócił do współpracy z kabaretem. W 1952 roku został członkiem kolegium repertuarowego (przewodniczącym był Słonimski) powołanego przez Jerzego Jurandota Teatru Satyryków (działał przy ulicy Konopnickiej w Warszawie, w dawnym budynku YMCA). Ale to nie był jeszcze dobry czas dla satyry. Ograniczony cenzuralnymi i propagandowymi wymogami teatr, mimo świetnych autorów (oprócz Brzechwy i Słonimskiego, m.in. Gałczyński, Wiech, Minkiewicz i Grodzieńska) i aktorów (występowali Dymśza, Sempoliński, Irena Kwiatkowska, Helena Grossówna i Tadeusz Fijewski), nie przetrwał. Choć Brzechwa „i inni świetni panowie”, jak wspominała Grodzieńska, pojawiali się na scenie także osobiście.

W 1952 roku jeden z programów Teatru Satyryków *Objeżdżalnia społeczna* oglądał Brytyjczyk D.J. Welsh. Po powrocie do Anglii opisał go w londyńskich „Wiadomościach”. Nie różnił się od wielu innych nudnych, głupich, propagandowych spektakli, wymierzonych w Głos Ameryki, BBC, Churchilla, Trumana i imperializm, które widział w ciągu dwóch lat pobytu w Polsce. „Satyra, rzecz prosta, nie dotyczyła stosunków w Polsce” – wspominał. Słonimski w swoim skeczu próbował nieudolnie ośmieszyć polską emigrację w Londynie, a Brzechwa bardziej zwracał uwagę eleganckim garniturem z dobrego angielskiego materiału i wytwornymi okularami w grubej rogowej oprawie („rzecz niezmiernie rzadka w Warszawie”) niż czytany utworami. Ktoś powiedział potem Welshowi, że jeden z numerów Brzechwy został usunięty z programu rewii po premierze. „Był to

monolog grabarza, który kolejno wymordował całą swą rodzinę, starając się wykonać planowaną normę produkcji w jego zawodzie” – wspominał Brytyjczyk.

Kolejna scena o satyrycznych ambicjach – Stańczyk – powstała wiosną 1954 roku na fali słabo jeszcze wyczuwalnej liberalizacji życia publicznego po śmierci Stalina. Pierwszy *Wieczór u Stańczyka* premierę miał na początku maja. Teksty oprócz Brzechwy napisali m.in. inicjator scenki Artur Marya Swinarski, Magdalena Samozwaniec, Stefania Grodzieńska, Eryk Lipiński, Janusz Minkiewicz, Antoni Marianowicz (kierownik literacki scenki), Jerzy Waldorff, Zdzisław Gozdawa i Wiesław Stępień. Obok autorów wystąpili Danuta Szaflarska, Andrzej Szczepkowski, Andrzej Łapicki i Wieńczysław Gliński. Żeby uśpić cenzurę i tzw. czynniki, Stańczyk miał w nazwie podtytuł „kabaret literacki”. Wstęp tylko dla zaproszonych gości, żadnych biletów ani ogłoszeń w prasie. Śmiać miano się wyłącznie we własnym gronie. Mimo to do kawiarni Pod Arkadami na MDM-ie, gdzie kabaret występował, trudno się było dopchać. „Przyczyną fantastycznego sukcesu była niewiarygodna po latach stalinowskiej skorupy lodowej ostrość tekstów, które niby to dotyczyły tylko dziedziny kultury, ale tak naprawdę...” – wspominał Marianowicz. „Dowcipne, odważne politycznie i dobre literacko teksty wywoływały burzę oklasków i bezustanny śmiech widzów” – dodał Lipiński.

Gliński parodiował monolog działacza „rzuconego” na odcinek satyry: „Nawet Engels p r a w d o p o d o b n i e śmiał się”. Waldorff wyśmiewał język prasy i drętwość programu radiowego. Lipiński kpił z gazetowych reportaży z egzotycznych krajów, które pełne były ideologicznych zakłęb. Czytał skonfiskowaną kilka miesięcy wcześniej w „Szpilkach” (w kabarecie można było więcej) parodię zbioru reportaży z Chin autorstwa Adama Ważyka. Tekst zabrzmiał podwójnie aluzyjnie i aktualnie, bo właśnie swoimi jedynie słusznymi przemyśleniami po podróży do Kraju Środka podzielił się z czytelnikami „Nowej Kultury” minister Włodzimierz Sokorski. Łapicki wygłosił monolog Brzechwy o konkursie na pieśń młodzieży socjalistycznej zorganizowanym przez Centralny Zarząd Gitar Elektrycznych.

Decyzją jury trzecią nagrodę (pierwszej i drugiej nie przyznano) otrzymała pieśń niejakiego obywatela A. Mickiewicza *Polaty się łzy*, zaczynająca się od słów: „Polaty się łzy me czyste, rześiste, / Na me dzieciństwo sielskie, anielskie, / Na moją młodość górną i durną, / Na mój wiek męski, wiek kłęski...”. Jury doceniło walory artystyczne utworu, uznało jednak, że jego pesymistyczny wydźwięk nie pasuje do nowych optymistycznych czasów, więc należy go zmienić. Po poprawkach tekst brzmiał:

Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy,  
Na me dzieciństwo polne, bezrolne,  
Na moją młodość chwacką, junacką,  
Na mój wiek dziarski, wiek robociarski,  
Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy.

W tamtym czasie trudno było sobie wyobrazić bardziej wyrazistą drwinę z głupoty partyjnej propagandy, zwłaszcza w kabarecie mającym oficjalną pieczęć cenzury. Jerzy Putrament, który z ramienia partii miał pilnować ideologicznej czystości w szeregach pisarzy, wspominał, że na szczytach PZPR kpiny Stańczyka przyjęto z najwyższą irytacją: „Popuścić im trochę cugli, a zawsze ten sam rezultat, biją w swoich! I z jaką zawziętością...”. Na jeden z występów wydelegowano nawet dwoje zaufanych towarzyszy: Janinę Broniewską i Juliana Strykowski. „Jaka była ich opinia, można było odczytać z surowych, zagniewanych twarzy: siedzieli nieporuszeni,



podczas kiedy cała sala wyła ze śmiechu” – pisał Marianowicz. To oznaczało dla kabaretu wyrok śmierci.

Historia Stańczyka była krótka. Dał tylko dwa programy. Pierwszy i... ostatni, choć nawet ten jedyne był coraz bardziej, nierzadko z dnia na dzień, kastrowany przez cenzurę z nieprawomyślnych aluzji i żartów. W zamian wstawiano do programu numery bezpieczne, ale niebudzące już takiego aplauzu spragnionej satyry publiczności. „Po dwóch miesiącach Stańczyk grał jeszcze, ale jego widzowie mogli zapytać, jak biedak w znanym dowcipie: «Co oni widzą w tym czulencie?»” – Marianowicz przywołał żart o ubogim Żydzie, który szykując tradycyjną szabasową potrawę, użył mniej, niż nakazuje przepis, mięsa, jajek i przypraw, a potem nie mógł się nadziwić, co innych tak bardzo w czulencie zachwyca.

Po wakacjach 1954 roku kabaret nie wznowił już działalności, a Marianowicz dostał partyjną naganę. To nie był jeszcze czas na prawdziwy kabaret polityczny oraz żarty z ustroju, partii i rządu, nawet najbardziej niewinne.

Za to ciągle jeszcze był czas na takie wiersze, jak opublikowana w „Szpilkach” w marcu 1955 roku *Taryfa ulgowa*. Brzechwa nawoływał do wysiedlenia z Warszawy chuliganów, którzy wyrosli z dawnych bikiniarzy. Ani milicji, ani ZMP, ani całemu aparatowi państwowemu nie chciało się na czas wysilić i zająć wychowaniem wyrostków, którym imponowały amerykańskie ciuchy, wzorzyste krawaty, spodnie do kostek i plerezy na głowie. A teraz jest już za późno, grzmiał, dawni bikiniarze zmienili się w bandytów.

Teraz więc trzeba „koleżków”, którzy straszą nożami i rabują grzecznych przechodniów na ulicach stolicy, po prostu z Warszawy wysiedlić, wyrwać z korzeniami „jak pęk suchej trawy” – pisał.

Niech po nim mieszkanie natychmiast dostanie  
Ten, który na próżno od lat czeka na nie!  
Bo nie dla szumowin igraszki ponurej  
Robotnik warszawski budował te mury.  
Zgniliznę wymiećmy! Nie czas już na słowa!  
Niech skończy się wreszcie taryfa ulgowa!

Był „poetą postępowym”, członkiem partii, ale nie należał do osób cieszących się absolutnym zaufaniem władzy. W październiku 1954 roku, gdy Brzechwa miał jechać na kongres UNESCO w Montevideo, Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwróciło się do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z pytaniem, czy nie ma wobec kandydata do wyjazdu za granicę „jakichś zastrzeżeń”.

W MBP prześwietlono życiorys Brzechwy drobiazgowo, łącznie z analizą przebiegu służby wojskowej w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Ustalono, że w Warszawie prowadzi spokojny tryb życia, opinię ma dobrą, a z sąsiadami nie utrzymuje bliższych stosunków. Z żoną „żyje w dobrej zgodzie małżeńskiej”. Ma samochód, który sam prowadzi, i duże, elegancko umeblowane mieszkanie. Pracuje jako literat, najczęściej w domu. Nie ustalono co prawda, czy ma jakieś niepożądane kontakty z zagranicą, ale dyrektor Departamentu VII MBP (czyli wywiadu) pułkownik Sienkiewicz mógł poinformować MSZ, że nie widzi przeszkód co do wyjazdu Brzechwy do Urugwaju.

Najwyraźniej jednak ktoś uznał, że brak zastrzeżeń jest równie podejrzany, więc postanowiono przyjrzeć się poecie bliżej. Poproszono o opinię na temat Brzechwy Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi (to wtedy w jego aktach pojawiły się informacje o willach w Warszawie i na Ziemiach Odzyskanych, a także o osiemnastoletniej żonie, dla której miał porzucić Janinę) oraz o obserwację poety podczas wyjazdu.

W grudniu 1954 roku agent Sosna, prawdopodobnie także członek polskiej delegacji na kongres UNESCO, donosił, że Brzechwa już w Paryżu kontaktował się z polskim emigrantem, hrabią inżynierem (nazwiska nie podał). W Montevideo wolny czas spędzał głównie ze Stefanem Wiecheckim. Podczas wycieczki do Buenos Aires, skąd przywiózł paczkę dla Antoniego Słonimskiego, poznał Rosjankę o imieniu Natasza, pracownicę sekretariatu UNESCO, i dwóch emigrantów, także z Rosji. Z Nataszą spotykał się później także w Montevideo. „Nie krył się z tym i robił wszystko oficjalnie” – pisał Sosna. W trakcie drogi powrotnej, w Paryżu, spędził cały dzień „w towarzystwie rzekomo pierwszej żony”. Deklarował też chęć kupienia od Sosny dolarów. „Jest to człowiek, który nie lubi się przemęczać, natomiast towarzystwo kobiet go nie męczy” – podsumował agent.

Mimo tego donosu UB, a potem SB nie utrudniały Brzechwie kolejnych wyjazdów zagranicznych.

Wiosną 1955 roku, po kilku latach, kiedy Brzechwa mniej pisał dla dzieci, a zdecydowanie więcej – i gorzej – wierszy politycznych, ukazał się gruby tom *Wierszy wybranych*, prezentujący po raz pierwszy cały dorobek poety. Ponad 160 utworów: liryki (przede wszystkim przedwojenne), baśnie i poematy, satyry, bajki i przekłady. Książka miała dwa wznowienia, w 1957 i 1959 roku, ale kolejne wydania poważnie się od siebie różniły. Po wprowadzanych przez poetę zmianach widać, jak bardzo przyspieszyła wtedy historia i jak gwałtownie przekształcała się Polska.

Już w pierwszym nie było najostrzejszych i najbardziej agresywnych satyr politycznych, choć uchowały się jeszcze *Ballada o dwudziestu dwóch mordercach*, *Wiec wariatów*, *Kto śmieje się ostatni* i *Do kołtuna*. Były socrealistyczne wiersze z tomików *Palcem w bucie*, *Strofy o planie sześcioletnim* i *Pokój zwycięży*. Wśród baśni i poematów były *Kanato* i *Opowiedział dzieciom sowie*. W kolejnych wydaniach zaczęło się jednak „poprawianie” wyboru. Z książki wyparowały wiersze, które były dowodem zaangażowania Brzechwy podczas tzw. poprzedniego etapu. W 1957 roku zniknęły *Apostrofa do muzy* i *Warta pokoju*, a przede wszystkim aż 16 z 37 satyr i fraszek, w tym zarówno *Wiec*, jak i *Kto śmieje się ostatni* oraz *Do kołtuna*. *Ballada o mordercach* skazanych w Norymberdze jeszcze była, ale wśród baśni i poematów zabrakło już *Kanato*.

*Ballada* zniknęła z następnego wydania. Nie było też w 1959 roku poematu *Opowiedział dzieciom sowie*. Jego miejsce (i *Kanato*) zajęły *Przygody rycerza Szalawity* i *Pan Soczewka w puszczy*. Za to inny z utworów – *Milicja*, o tym, że funkcjonariuszy MO nie ma, gdy obywatele są oszukiwani, okradani i bici, natomiast pojawiają się z mandatem natychmiast, gdy tylko ktoś przejdzie przez jezdnię wbrew przepisom („Płacę i nie mówię nic ja, / A więc jednak jest milicja!”), który pojawił się w roku 1957, dwa lata później z książki zniknął. Dopuszczalny margines krytyki najwyraźniej znów się skurczył.

Recenzenci piszący o *Wierszach zebranych* nie zajmowali się jednak zmianami w kolejnych wydaniach. Mając w rękach zestawione w jednym tomie wiersze Brzechwy dla dzieci i dla dorosłych, musieli zacząć je porównywać. A to porównanie nie wypadało dla Brzechwy liryka dobrze. Krytycy zachwycali się bajkami, ale krzywili na sonety. Rozpływali nad wierszami dla dzieci, ale sugerowali, że najlepiej byłoby, gdyby z wierszami dla dorosłych dał sobie w ogóle spokój. Bo albo popada we wtórność (do naśladowania Leśmiana i Staffa dołożyli jeszcze Baudelaire’a, Rimbauda i Apollinaire’a), albo próbuje być oryginalny, a wtedy jest jeszcze gorzej.

Pocieszające dla Brzechwy mogło być jedynie to, że nikt wreszcie nie podważał wartości jego wierszy dla dzieci. Pedagodzy, nawet jeśli dalej myśleli tak, jak jeszcze parę lat wcześniej, zamilkli. A krytycy nie mieli wątpliwości: „Dawniej – dwóch było tylko wysokiej klasy poetów dla dzieci: Brzechwa i Tuwim. Dziś – Brzechwa jest bezkonkurencyjny” – napisał Jerzy Kwiatkowski. Tuwim nie żył od grudnia 1953 roku.

Współpracował z wieloma ilustratorami, mógł pozwolić sobie na grymaszenie i przebieranie w propozycjach. Ale tym, którego rysunki zarówno do wierszy, jak i w *Akademii Pana Kleksa* przeszły do historii, był Jan Marcin Szancer. „Mieli podobny typ wyobraźni i ogromne poczucie humoru” – wspominała żona Brzechwy. Kiedy się spotykali, gabinet Brzechwy zmieniał się w pokój dwóch rozbrykanych chłopców, którzy przerzucali się coraz bardziej absurdalnymi pomysłami. Janina miała wrażenie, że ktoś wpuścił tam nagle gaz rozweselający. Usłyszała kiedyś, jak mąż pyta Szancera:

– Powiedz mi, Marcin, czy ty wszystko potrafisz narysować?

– A co masz na myśli – Szancer zwietrzył podstęp.

– Narysuj mi androna.

– Ty najpierw napisz, a ja wtedy narysuję – nie dał się podejść ilustrator.

– Ba, jak ja napiszę, to już każdy potrafi narysować – poddał się Brzechwa. I napisał: „Pan Marcin plecie androny. / Z czego plecie? A no z łyka. / Taki andron upleciony / Jest podobny do koszyka”.

I Szancer narysował koszyk. Zachował się film z udziałem obydwu artystów. Brzechwa czyta fragment wiersza o kocie i capie, a następnie informuje widzów, że ten właśnie wiersz został pięknie zilustrowany przez Szancera. Grafik pokazuje rysunki, chwali się, że przygotował nawet kilka wersji.

– To jest jedna wersja – mówi z dumą – to druga, chciałem pokazać tych gapiów naokoło...

– ...ale zaraz, przepraszam cię – przerywa Brzechwa – czyś ty przeczytał ten wiersz?

– No, do pewnego stopnia.

– Bo tam się zaczyna od tego, że wlaź kotek na płotek, i że kot jest na płocie, a tu na tych wszystkich rysunkach płota nie ma. Przeciwnie. I w wierszu kot jest ponad capem, wyżej, a u ciebie odwrotnie.

– Przecież mógł zeskoczyć.

W 1955 roku spotkała bajkopisarza i jego ilustratora przygoda, jakiej pewnie nigdy w życiu się nie spodziewali. Trafili przed sąd, oskarżeni o... plagiat. Niejaka pani J. uznała, że to ona jest autorką książki Brzechwy i Szancera *Pan Doremi i jego siedem córek*. Tłumaczyła, że złożyła w ministerstwie kultury projekt identycznej publikacji, a Brzechwa i Szancer wykradli podstępnie nie tylko tekst, ale nawet ilustracje jej autorstwa.

Absurdalność zarzutu była oczywista od samego początku, bo książka Brzechwy i Szancera trafiła do drukarni dwa lata wcześniej, ale pani J. przekonywała, że „plagiatorzy” dokonali zamiany tuż przed drukiem. „Taka była dosłowna treść pozwu i proszę nie posądzać mnie o zmyślenie ani o przesadę” – relacjonował Brzechwa. W dodatku wszystko odbywało się na koszt skarbu państwa, bo oskarżycielka skorzystała z tzw. prawa ubogich i została zwolniona z opłat sądowych.

To najbardziej wzburzyło prawniczą duszę poety. Opisując sprawę w „Expressie Wieczornym”, wyliczał, ilu ludzi zostało zaangażowanych w ciągnący się przez parę lat bzdurny proces wytoczony jemu, Szancerowi i ministerstwu kultury. Składy sędziowskie w kilku instancjach, dziesięciu adwokatów, czterech biegłych, kilkunastu świadków, sekretarz, woźny sądowy i pracownicy kancelarii sądowej, którzy musieli wszystkim dostarczać kolejne wezwania, w sumie około czterdziestu osób. Cóż z tego, że sprawa znalazła w końcu sprawiedliwe rozstrzygnięcie, skoro skutek chorobliwych urojeń i pieniactwa pani J. skarb państwa poniósł wymierne straty, a kilkudziesięciu poważnych ludzi zmarnowało czas. Wszystko przez to, że procedura cywilna pozwala na wytaczanie procesu niemal przez każdego, komu strzeli to do głowy, „każdy może być uwikłany w podobną aferę godną pióra Kafki” – pisał. Owszem, prawa obywateli powinny być chronione, ale nie kosztem zdrowego rozsądku, dodał.

Mógł mieć poczucie kafkowskiego absurdu, gdy po długich staraniach udało mu się wreszcie

doprowadzić do wydania wyboru wierszy Bolesława Leśmiana, a żona i córka kuzyna, które po wojnie znalazły się w Argentynie, oskarżyły go, że przywłaszczył sobie należne im honorarium. „Poszedł do magistratu, wyrobił papiery zejścia nas trzech, co za makabra brr... i podał się za jedyne go spadkobiercę Bolesława Leśmiana” – napisała starsza z córek, Maria Ludwika Mazurowa, do Jacka Trznadla, biografa i edytora pism Leśmiana. Dokumenty, które zachowały się w archiwach ZAiKS-u, pokazują jednak, że to nieprawda. Brzechwa zabiegał za pośrednictwem związku o wykupienie praw do dzieł kuzyna, sprzedanych podczas okupacji prywatnemu wydawcy. „Córka Leśmiana molestuje mnie, abym je wydał, gdyż bardzo potrzebuje pieniędzy na leczenie” – pisał do Walerego Jastrzębca-Rudnickiego. Później szukał sposobu, by dostarczyć pieniądze spadkobierczyniom: „Sprawę przekazu załatwił ma adw. Bloch w Londynie” – informował.

Konflikt trwał kilka lat. Żona Leśmiana żądała pieniędzy, oczywiście w dolarach, bo w nękaną inflacją Argentynie to była jedyna pewna waluta. Ale w Polsce amerykańskie pieniądze można było kupić wyłącznie na czarnym rynku, po bardzo niekorzystnym kursie. A jeszcze trudniej było je wywieźć.

– Ojciec pokazywał mi bardzo nieprzyjemny list, który dostał z Argentyny – wspomina Krystyna Brzechwa. – Został w nim oskarżony o oszustwo i przywłaszczenie pieniędzy.

Pamięta, że poeta znalazł w końcu sposób, by wymienione na dolary honorarium wywieźć z Polski (być może podczas podróży na Kongres UNESCO w Montevideo, kiedy odwiedził także Argentynę). Ale wdowa i córki nie uwierzyły, że dolarów naprawdę może być tak mało. „Brzechwa zagarnął całe pieniądze, okłamując nas, że w Polsce zniesiono prawo spadkowe” – pisała Maria Ludwika Mazurowa do Jacka Trznadla. „Gdyby nie te przykre wypadki, nie byłybyśmy w tak ciężkich warunkach. Mieszkałybyśmy po ludzku”.

Żyjące na emigracji kobiety wyraźnie nie zdawały sobie sprawy z realiów w komunistycznej Polsce. Sądziły, że pieniądze za książki Leśmiana rozwiążą ich problemy, a wokół widziały wyłącznie wrogów, chcących pozbawić je należnych honorariów. Trznadel, który badał jedynie możliwość zakupu rękopisów poety przez Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego (panie podawały coraz wyższe sumy), też w końcu usłyszał, że „współdziałał, by wyrządzić im krzywdę”.

Na początku lat pięćdziesiątych Brzechwa zaczął współpracę z Janem Ernstem, poznanym w Łodzi geografem i muzykiem, liderem popularnego już przed wojną Chóru Eryana. Ernst założył zespół rewelersów pod taką nazwą na początku lat trzydziestych we Lwowie, gdzie muzycy współpracowali ze słynną Wesołą Lwowską Fałą. Po wojnie reaktywował chór, który koncertował w całej Polsce, występował w radio i nagrywał płyty. Śpiewał m.in. piosenki Brzechwy, do których Ernst pisał muzykę. Nie różniły się od utworów, które wypełniały wtedy radio; były radosne, napawały optymizmem i wiarą w przyszłość. „Cieszyły się dużym powodzeniem i szeroką popularnością” – wspominał Ernst. Pracowali razem do końca istnienia chóru w 1961 roku. Wspólnie pisali też piosenki dla bardzo popularnych wówczas artystów, m.in. dla Jerzego Połomskiego walc *Panna Pelagia*, a dla Reginy Pisarek *Walc romantyczny*. Za pierwszą zdobyli nawet nagrodę w konkursie ogłoszonym przez ZAiKS. Konkurs był anonimowy, więc zgłosili utwór pod pseudonimem Błaznawur.

Brzechwa współpracował także z innymi kompozytorami. Muzykę do jego tekstów pisali Witold Lutosławski (*Naprzód idziemy*), Wiesław Machan (*W miłości nie ma mocnych*), Marian Radzik (*Ty jesteś moje hobby*), Witold Rudziński (*Junaczka*) i Władysław Szpilman (m.in. *Piosenka o kapitanie* i *W naszym kraju*). Zwłaszcza ta ostatnia musiała bardzo ucieszyć partyjnych agitatorów.

Za ojczystych ziem rubieżą,

gdzie zachodnie kraje leżą,  
jest daleki obcy świat.  
Tam się ranek we łzach budzi  
na niedolę prostych ludzi,  
tam uciska brata brat.

W naszym kraju, w naszym kraju  
swobodny żyje lud.  
I miliony serc śpiewają,  
by sławić ludzki trud.  
Do szkoły chodzą dzieci,  
tu dla wszystkich słońce świeci.  
Tu czas wolności nastał,  
rosną ludzie, rosną miasta.

W tamtych krajach – tam inaczej,  
wyzyskują lud bogacze,  
nabijają własny trzos.  
Nieurodzaj niszczy pola.  
Tam niedola i niewola  
I zroszony łzami los.

Teksty tych utworów były, jak przed wojną, wydawane razem z nutami w dużych nakładach. Brzechwa cały czas także tłumaczył utwory dla dzieci i dla dorosłych, głównie z języka rosyjskiego, choć zdarzało się, że i z francuskiego. Przełożył poemat Aleksandra Puszkina *Ruslan i Ludmiła*, gruziński poemat ludowy *Opowieść o Arsenie*, fragmenty fińskiego eposu *Kalevala*, tłumaczył także utwory Antoniego Czechowa, Maksyma Gorkiego, Siergieja Jesienina i Włodzimierza Majakowskiego (sarkastyczną *Rozmowę z inspektorem podatkowym o poezji*). Z rosyjskiego, który znał od dzieciństwa, przełożył też (razem z Tadeuszem Żeromskim) drwiące z absurdów sowieckiego ustroju powieści Eugeniusza Pietrowa i Ilii Ilfa *Dwanaście krzesel* oraz *Złote ciele*, a później (już z żoną Janiną) opowiadania i felietony tych samych autorów *Zegary i ludzie*. Dla dzieci tłumaczył *Bajki* Puszkina (m.in. słynną *Bajkę o carze Saltanie, o jego synu, sławnym i potężnym bohaterze księciu Gwidonie Saltanowiczu i o pięknej księżniczce Łabędzicy*, która stała się podstawą opery i filmu) oraz *Bajki ludów północy*, żyjących za kołem polarnym Eskimosów, Jakutów, Czukczów i Ewenków.

Ale najważniejszą książką, którą przetłumaczył na polski, była powieść Ilii Erenburga *Odwilż*. Opublikowana w maju 1954 roku w moskiewskim miesięczniku „Znamja”, po polsku ukazała się niespełna rok później. Stała się symbolem zmian zachodzących w bloku sowieckim po śmierci Stalina, a jej tytułem zaczęto nazywać odchodzenie od kultu jednostki i socrealistycznego schematyzmu w kulturze i polityce. Krytycy pisali, że bohaterowie powieści Erenburga zaczynają wreszcie dostrzegać beznadziejną szarzyznę życia w komunizmie, który wcześniej jawił im się jako raj na ziemi.

Ale *Odwilż* była tylko bardzo łagodnym wstępem do tego, co stało się pod koniec lutego 1956 roku. Podczas XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego jej sekretarz generalny Nikita Chruszczow wygłosił referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*, ujawniający skalę

stalinowskich zbrodni. Był wstrząsem nawet dla tych, którzy dobrze wiedzieli, jak wygląda rzeczywistość w rządzonym terrorem kraju. Początkowo utajniony, szybko stał się tajemnicą poliszynela, także za granicą. Po Polsce błyskawicznie zaczęły krążyć powielane tłumaczenia referatu.

Miesiąc później Brzechwa opublikował w „Życiu Warszawy” swój najważniejszy odwilżowy artykuł – *Ludzie łakną prawdy*. Zaczął od ideologicznych zaklęć, których ciągle jeszcze nie można było pominąć, ale potem zajął się tematami, jakich nie powstydziliby się kroczący na czele przemian w prasie tygodnik „Po prostu”.

Pisał, że powrót radzieckiej partii komunistycznej do prawd leninowskich tchnął ożywczy powiew w miliony serc. I że także polska partia powinna wkroczyć na drogę prawdy: „Widzimy na przykładzie XX Zjazdu KPZR, że prawda taka Partię hartuje, podnosi jej autorytet, mocniej zwiera jej szeregi. Partia żąda prawdy, bo łaknie jej lud, a Partia i lud to jedno”. Dalej było już bez ideologii. Brzechwa domagał się wyjaśnienia spraw ukrywanych przez władzę. Do elektrowni warszawskiej dostarczono wadliwe elementy, w dodatku ze sfałszowaną dokumentacją. Czterej ludzie zginęli, „utajono prawdę, której ludzie na próżno czekają, do której mają prawo, bo są gospodarzami kraju. Chcą wiedzieć, dlaczego czterech wartościowych ludzi poniosło śmierć”. W alei Niepodległości w Warszawie trolejbus najechał na przyczepę, zginął student, drugi został ciężko ranny. Winnych nie ustalono. Takich przemilczanych i zamiecionych pod dywan spraw jest więcej, alarmował.

Jeszcze niedawno musiałby zrównoważyć krytykę odpowiednio długą listą sukcesów rządzących. Krytyków, którzy tego nie robili, oskarżano o oszczerstwa i czarnowidztwo: „Do niedawna jeszcze mówiło się o takich ludziach, że staczają się na pozycje wroga. To nieprawda. Są oni często zmęczeni i zniechęceni”. Brzechwa pisał też o socjalistycznej chorobie społecznej, czyli powszechnym marnotrawieniu czasu. Wzywa się ludzi do współzawodnictwa pracy, ogłasza kolejne bitwy o czas, a naprawdę okrada się ludzi z nielicznych chwil, kiedy mogliby odpocząć. Organizując nikomu niepotrzebne zebrania i konferencje, zmuszając do wyczekiwania godzinami w urzędach i kolejkach.

Nie obeszło się bez porcji kpin. W jakimś warszawskim sklepie zobaczył na stoisku napis „Ta brygada pracuje metodą Korowkina”. Zapytał kierownika, na czym ta metoda polega? Usłyszał, że na uprzejmej i sprawnej obsłudze klientów. Zdziwił się, bo podczas pobytu w Paryżu bywał w wielu sklepach i domach towarowych i nigdzie podobnej tabliczki nie dostrzegł, „wszyscy tam pracują metodą Korowkina, wcale nawet o tym nie wiedząc”.

Nie zapomniał też o literaturze i sztuce. Minęły szczęśliwie czasy, gdy chwalono wyłącznie filmy, książki i obrazy słuszne i politycznie zaangażowane, nawet gdy były złe. Dobre było wyłącznie to, co służyło kultowi jednostki, złe i formalistyczne to, co nie opiewało robotniczego trudu. „Sztuka traktowana jako jedna z gałęzi produkcji socjalistycznej urodziła poronione płody, niemające rąk ani nóg, papierowe sylwetki pociągane za sznurek, zachwalane przez krytykę, ale wyszydzane przez widza, słuchacza i czytelnika” – pisał. Dużo czasu minęło, nim zdrowy rozsądek począł demaskować ten żenujący teatr cieni, dodał. Ale nie był optymistą. Ustało komenderowanie sztuką, ale duchy minionego okresu jeszcze długo będą straszyły na korytarzach ministerstwa kultury, decydując o nakładach książek i zatwierdzając artystyczne projekty wyłącznie wedle własnego widzimisie, „trudno uwierzyć, ażeby nowy duch zamieszkał w starych ciałach”.

Zakończył kolejną porcją ideologicznej mantry. Ludziom potrzebna jest prawda i nowa, rewolucyjna sztuka, „może nie zawsze patetyczna, ale zawsze budzącą ufność do Partii”.

To był także czas, kiedy ze stalinowskich więzień wychodzili ludzie, skazani przez sądy za mniej

lub bardziej wydumane winy. W grudniu 1955 zwolniono Józefa Kuropieskę.

W Warszawie byli sąsiadami, odwiedzali się często do czasu, gdy świetnie rozwijającą się karierę Kuropieski (był już generałem brygady i zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego) przerwało aresztowanie. Został oskarżony o szpiegostwo i próbę zorganizowania w wojsku antypaństwowego spisku. W 1952 roku skazano go na śmierć, ale wyrok nie został wykonany.

Kiedy wyszedł z więzienia, trwała już odwilż, ale ciągle jeszcze nie było wiadomo, jak długo potrwać zmiany i czy na pewno bezpiecznie jest utrzymywać kontakty z byłymi więźniami. Kuropieska spotykał znajomych, którzy wyraźnie nie wiedzieli, jak się wobec niego zachować. Niektórzy udawali, że go nie rozpoznają.

Kilka dni po zwolnieniu zadzwonił do Brzechwy. Zdziwił się, słysząc, że przyjaciel szczerze się cieszy: – Żyjesz? A ktoś mówił, że zmarłeś w więzieniu. Jestem niezdrowy, czy możesz zaraz do mnie przyjechać?

Pół godziny później Kuropieska siedział już w mieszkaniu przy Mochnackiego, jedząc śniadanie i pijąc wódkę. Brzechwa zapytał, czy ma pieniądze. Kiedy dowiedział się, że wszystkiego kilkadziesiąt złotych, wręczył mu pięćset złotych gotówką i czek na dziewięć tysięcy „z oświadczeniem, że jeśli będę w potrzebie, to zawsze mogę na niego liczyć, nie kłopotując się nadmiernie o terminy ewentualnego zwrotu długu” – wspominał generał. Dar był królewski, bo z pięcioosobowej rodziny Kuropieski pracę miała tylko córka. Pieniądzy wystarczyło na utrzymanie przez kilka miesięcy.

Kilkanaście dni później Brzechwa zaprosił przyjaciela do Obór, gdzie spotkali się z Kazimierzem Rudzkim, z którym Kuropieska siedział podczas wojny w oflagu. Wszystko wróciło do normy, znów bywali u siebie, grywali w kierki i brydża. A kiedy przywrócony do wojska generał (został dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego) mógł już zwrócić pożyczone pieniądze, Brzechwa przyjął tylko dziewięć tysięcy. Pięćset złotych potraktował jako ofiarę na prześladowanych, wspominał Kuropieska.

Po powrocie z Łodzi do Warszawy Brzechwa przestał kierować tamtejszym oddziałem związku literatów, ale pisarze byli zbyt mądrzy, by pozwolić mu uwolnić się od organizacyjnych obowiązków. Został, razem z Seweryną Szmaglewską i Lucjanem Rudnickim, członkiem komisji rewizyjnej ZLP. Szmaglewska wspominała, że nie tylko sprawnie poruszał się w gąszczu przepisów, ale pisał także sprawozdania z posiedzeń komisji, „swoim pięknym pismem, wprowadzając od razu prawniczy styl i fachowość”.

Formalnie była sekretarzem komisji, więc po upływie kadencji to jej obowiązkiem było przygotowanie sprawozdania na walny zjazd pisarzy w październiku 1956 roku. Jechała do Warszawy z plikiem kartek pogryzmołonych notatkami, które w niczym nie przypominały porządnego protokołu. Ale podczas spotkania Brzechwa wyciągnął z teczki blok papieru i zaczął czytać. To było sprawozdanie, którego Szmaglewska nie napisała. Doskonałe w każdym zdaniu, porządnie zredagowane, oceniające pracę odchodzącego zarządu i wskazujące, co należy zmienić w przyszłości.

– A na walnym zjeździe pani to przeczyta ładnym głosem. Zgoda? – powiedział na koniec.

Przeczytała. Kiedy skończyła, z pierwszego rzędu usłyszała głos Jarosława Iwaszkiewicza: – Poznaje się od razu liryczny styl koleżanki Szmaglewskiej, zawarty w każdym zdaniu.

„Byłam oto pchłą szachrajką przyłapaną na gorącym uczynku” – wspominała.

Zadaniem zjazdu był między innymi wybór nowych władz związku pisarzy. Polska była już po najważniejszych zmianach, władzę w partii objął Władysław Gomułka, z aresztu domowego

zwolniony został kardynał Stefan Wyszyński, przez kraj przetaczały się wiece, na których żądano demokratyzacji, uwolnienia więźniów politycznych i prawdy w prasie. Wiadomo było, że w takim klimacie szanse kandydatów partyjnych na rządy w ZLP po składającym władzę Leonie Kruczkowskim są nikłe.

Zgłoszono trzy kandydatury na nowego prezesa. Popieranego przez partię Juliana Przybosa, uznawaną za moralny autorytet Marię Dąbrowską i lidera coraz bardziej aktywnej związkowej opozycji Antoniego Słonimskiego. Tego ostatniego zgłosił... Brzechwa, zapewne ku zaskoczeniu swoich kolegów z organizacji partyjnej przy ZLP. Dwoje pierwszych zrezygnowało z kandydowania, prezesem został Słonimski. „Jak było do przewidzenia” – zanotował w dzienniku Putrament.

Już razem, Słonimski i Brzechwa, interweniowali w Prokuraturze Wojskowej w sprawie poety i dramaturga, ostatniego Delegata Rządu Londyńskiego na Kraj, a po wojnie redaktora „Tygodnika Warszawskiego” Jerzego Brauna, który w grudniu 1948 roku został aresztowany pod zarzutem „współpracy z okupantem” i „kontaktów powojennych z czynnikami zagranicznymi”. Trzy lata później skazano go na 12 lat więzienia. Po interwencji ZLP został zrehabilitowany.

Brzechwa prowadził cały czas bardzo aktywne życie, działał w ZLP, Pen Clubie i ZAiKS-ie, był członkiem rady programowej telewizji i komisji zajmującej się przydziałem talonów na deficytowe samochody. Ale jeszcze w Łodzi zaczęło szwankować mu serce. Zapytał żonę Władysława Rymkiewicza, czy zna medyka, który nie kazałby mu zmieniać dotychczasowego trybu życia, to znaczy intensywnej pracy, palenia papierosów, picia alkoholu i podróży. Usłyszał, że nie ma takich lekarzy. No więc nic w swoim życiu nie zmienił.

W połowie lat pięćdziesiątych trafił do lecznicy rządowej, z której mogli korzystać tylko członkowie najwyższych władz partii i państwa oraz tzw. zasłużeni. Jedni zostawali „zasłużonymi” na stałe, inni musieli starać się o zgodę na leczenie w najlepiej wyposażonym w Polsce szpitalu za każdym razem od nowa. Brzechwie w 1956 roku się udało, w 1957 już nie. W styczniu nowy prezes ZLP Antoni Słonimski poprosił nawet ministra kultury o poparcie wniosku poety o przyjęcie do szpitala: „w związku z pogorszeniem stanu jego zdrowia zachodzi ponowna konieczność leczenia klinicznego”. Odpowiedź z ministerstwa była krótka: „Wniosek w sprawie przyznania ob. Brzechwie Janowi uprawnień do korzystania z Lecznicy został załatwiony odmownie, z powodu przeciążenia Lecznicy”.



# O, Przyjaciółko pisarskiej braci (kasa wypłaci)...

ZAiKS został reaktywowany przez członków przedwojennych władz już w maju 1945 roku. Kilka tygodni później dołączył do zarządu stowarzyszenia Brzechwa. Został radcą prawnym związku, miał też zająć się organizacją ochrony praw autorskich polskich twórców za granicą. Było to trudne, bo w rządzonym przez komunistów państwie z każdym rokiem chętniej patrzono na współpracę z ZSRR, a coraz bardziej wrogo na kontakty z podobnymi organizacjami w państwach zachodnich.

Już w lipcu 1945 roku jako pełnomocnik ZAiKS-u wyjechał do Sopotu, szukając odpowiednio dużego pensjonatu na dom pracy twórczej dla członków stowarzyszenia. Odszukał tam znajomego z okupacyjnego Służewca Romana Rogowskiego, który przejmował właśnie sopocki tor wyścigów konnych. Razem objechali kurort, a potem Rogowski pomógł Brzechwie uzyskać zgodę władz na zajęcie jednej z poniemieckich willi. „Miałem znajomości w magistracie i województwie” – wspominał.

Dom służy ZAiKS-owi do dziś, ale na początku trudno było znaleźć pracowników, którzy sprostałyby wymaganiom nowych właścicieli. Magdalena Samozwaniec wspominała po jednym z pierwszych pobytów w Sopocie wyjątkowo kiepską kuchnię. Brzechwa, też wtedy obecny, westchnął: – W tym domu jest za dużo klozetek, jak na tę ilość jedzenia, którą nam dają...

Jako radca prawny ZAiKS-u zajmował się sprawami ogólnymi związku, m.in. systemem opłat za wykorzystywanie utworów członków stowarzyszenia przez Film Polski, i szczegółowymi, których po wojnie było więcej niż zwykle. Wiele rzeczy wymagało rozstrzygnięć uwzględniających wymogi nowych czasów. Na przykład, czy tytuł popularnej w czasie okupacji piosenki *Serce w plecaku* (długo traktowanej jako anonimowa, później jednak znalazł się autor słów i muzyki), może zostać wykorzystany jako tytuł powieści Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, którą zaczęła drukować jedna z gazet.

Pierwsze lata po wojnie to jednak przede wszystkim czas walki o utrzymanie niezależności stowarzyszenia od państwa. Władza próbowała zagarnąć pod swój protektorat wszystkich, którzy tego chcieli i którzy nie chcieli. Państwo z każdym rokiem skuteczniej monopolizowało nie tylko prasę, ale także wydawnictwa, teatry i działalność estradową, więc jego funkcjonariuszom oczywiste wydawało się, że także kontakty i rozliczenia autorów z wydawcami i agencjami z zagranicy powinny znaleźć się rękach odpowiedniego centralnego urzędu. Ostatecznie ZAiKS-owi udało się przed tymi zakusami obronić.

Brzechwa był we władzach stowarzyszenia do końca życia. W czasie, gdy mieszkał w Łodzi, był członkiem rady naczelnej i sądu koleżeńkiego, po przeprowadzce do Warszawy został najpierw przewodniczącym rady ZAiKS (w latach 1952–1956), a w kolejnej kadencji wiceprzewodniczącym. Nie dotrwał jednak do jej końca. W październiku 1957 roku, po tragicznej śmierci w Alpach Wawrzyńca Żuławskiego, został przez nadzwyczajne walne zebranie członków ZAiKS-u wybrany na nowego przewodniczącego związku. „Wybór następcy niejako sam się narzucał. Jan Brzechwa był jednym z tych, którzy uosabiali ciągłość związkowej idei” – pisał we wspomnieniowej książce o dziejach stowarzyszenia Rafał Marszałek. Dwa lata później, już podczas normalnego zebrania, został prezesem na następną kadencję. W 1962 roku, coraz bardziej chory, zgodził się jeszcze zostać wiceprezesem, ale w 1965 już tylko przewodniczącym komisji rewizyjnej.

Dzięki Brzechwie znów zaczął ukazywać się biuletyn związku. Przynosił informacje o działalności stowarzyszenia, omawiał spory między twórcami i instytucjami korzystającymi z ich dzieł, nowe akty prawne i orzecznictwo sądowe w sprawach dotyczących prawa autorskiego. Teksty w biuletynie były

anonimowe, ale tajemnicą poliszynela było, że wychodziły w większości spod pióra Brzechwy.

W ZAiKS-ie przyszło mu współpracować ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim. W 1962 roku wymienili się na stanowiskach prezesa i wiceprezesa stowarzyszenia, a raz nawet rywalizowali o najważniejszy fotel. Brzechwa wygrał sześciora głosami, ale chciał zrezygnować, żeby nie zrobić przyjacielowi przykrości, „był przekonany, iż nie będę kandydował” – wspominał Dobrowolski.

Jako przewodniczący ZAiKS-u, ale przede wszystkim jako specjalista od prawa autorskiego, Brzechwa kilkakrotnie był delegatem na kongresy CISAC, Międzynarodowej Konfederacji Związków Autorów i Kompozytorów. Jego sława wykraczała daleko poza granice Polski. Henryk Szletyński wspominał kongres Międzynarodowej Federacji Aktorów (FIA), który odbywał się w 1964 roku w Meksyku. Jednym z tematów obrad była ochrona praw aktorów, więc zaproszono na kongres zajmujących się tym tematem prawników. Kiedy jeden z nich („mówiono, że cieszy się światowym autorytetem”) zorientował się, że Szletyński jest z Polski, zapytał o Brzechwę. Mówił, że to jeden z najświetniejszych znawców prawa autorskiego, z jakim spotkał się w swojej praktyce prawniczej. A poza tym „un homme d’un jugement juste et d’un charme exceptionnel”, człowiek nie tylko sprawiedliwego osądu, ale i nadzwyczajnego uroku.

Brzechwa jednak wielokrotnie żalił się, że dziesiątki funkcji, które pełni, nie pozwalają mu pracować twórczo.

– O czym Pan marzy jako prezes ZAiKS-u? – zapytano go w jednym z wywiadów.

– Żeby przestać być prezesem – odparł.

Ale praca w ZAiKS-ie dawała też spore możliwości. To z inicjatywy Brzechwy zarząd stowarzyszenia podjął decyzję o przyznaniu Antoniemu Słonimskiemu tzw. zaopatrzenia koleżeńskie, czyli de facto nieformalnej emerytury z funduszy związku. Wypłacano ją autorowi *Alarmu* do czasu uchwalenia przez sejm ustawy o emeryturach dla twórców.

Także za sprawą swego prezesa ZAiKS, stowarzyszenie bogate dzięki opłatom wnoszonym przez twórców za zarządzanie ich prawami, mógł współfinansować różne inicjatywy Pen Clubu, który pieniędzmi nie dysponował, ale w składzie zarządu również miał... Jana Brzechwę. ZAiKS dołożył się do organizacji Międzynarodowego Kongresu Tłumaczy Literatur Pięknych i dawał pieniądze na wydawane po angielsku i francusku pismo promujące w świecie polską literaturę – „Bulletin de livres nouveaux et pièces de théâtre”. Przez dziesięć lat otrzymywali je tłumacze literatury polskiej i ośrodki kulturalne w różnych krajach. Działo się to „głównie dzięki Brzechwie” – wspominał Michał Rusinek, przez wiele lat sekretarz generalny Pen Clubu i działacz ZAiKS-u.

Dzięki Brzechwie polubił nawet nudne zwykłe posiedzenia zarządów obu stowarzyszeń, które wcześniej traktował jako nieuniknioną stratę czasu. Obecność Brzechwy powodowała, że najbardziej nużące obrady nabierały lekkości.

– To był dowcipny, otwarty, życzliwy ludziom człowiek – mówi Ryszard Rokicki, przez pół wieku po II wojnie światowej pracownik, a przez ponad trzydzieści lat zastępca dyrektora administracyjnego związku. Brzechwa wstawił się kiedyś u niego za weteranem wojny 1920 roku, który po 1945 roku został woźnym w jednym z budynków ZAiKS-u. Mocno w pracy popijał i Rokicki chciał go wyrzucić, ale Brzechwa poprosił, żeby dać człowiekowi szansę poprawy. Woźny pracował w związku aż do śmierci.

W archiwum poety zachowała się recenzja wewnętrzna jego książki *Prawo autorskie w ZSRR*, którą w 1950 roku zamierzał wydać Państwowy Instytut Wydawniczy. Brzechwa przygotował uaktualnioną wersję swojej przedwojennej pracy pisanej na zamówienie ZAiKS-u, PIW najwyraźniej się nią zainteresował, ale na wszelki wypadek – dotyczyła w końcu państwa, w którym wszystko musiało być najlepsze i nie podlegało krytyce – zamówił recenzję. Ocena była dla pracy miążdząca,

i to z powodów ideologicznych. Anonimowy recenzent zarzucił Brzechwie „nieznajomość podstawowych zasad marksizmu”, „błędne rozumienie słowa dialektyka”, „fałszywe określenie funkcji państwa i dyktatury proletariatu”, „sugerowanie istnienia przeciwieństw pomiędzy państwem i autorami”, „sugerowanie istnienia walki klasowej między autorami i dyrektorami wydawnictw”, „niewykazanie wyższości prawa radzieckiego nad formalnymi przepisami państw kapitalistycznych”, a przecież socjalistyczna „nauka prawa walczy z takim «obiektywnym» stosunkiem do zagadnień”. To były zarzuty, które w 1950 roku brzmiały bardzo groźnie i mogły co najmniej złamać „winowajcy” karierę.

Brzechwa bronił się. W odpowiedzi wysłanej do dyrektora PIW Karola Kuryłuka, przyszłego ministra kultury, napisał, że recenzja jest w najwyższym stopniu tendencyjna i złośliwa, dowodzi ignorancji oraz złej woli anonimowego autora. Zarzuty „godzą nie we mnie, lecz w naukę radziecką, z której czerpałem zaatakowane wypowiedzi i twierdzenia”, zaś „omawiana recenzja nie jest w stanie podważyć mego autorytetu w dziedzinie prawa autorskiego, jaki sobie, w miarę mych skromnych sił i środków, zdobyłem 25-letnią pracą i doświadczeniem w świecie prawniczym” – oświadczył dumnie na koniec.

Książka *Prawo autorskie w ZSRR* ostatecznie jednak się nie ukazała.

Brzechwa był przystojny, miał powodzenie u kobiet i korzystał z niego. Ryszard Rokicki zapytał go kiedyś, jak to się ma do choroby serca, na którą często się skarżył. Usłyszał:

– Panie Ryszardzie, niech pan pamięta, na twarz się nie choruje.

Na Dzień Kobiet w 1953 roku przewodniczący rady napisał okolicznościowy *List do pracowniczek ZAiKS-u*:

Przychodząc do ZAiKS-u nie na forszę liczę,  
Ale raczej na Wasze tak zwane słodycze!  
A Wy co? Przynosicie wykazy, rachunki...  
Od rachunków mi stokroć miłsze pocałunki.  
Dla kogo je chowacie? I kto je oceni  
Tak jak ja? Kochankowie czy też narzeczeni?  
Dla mężów marnujecie czas młodości drogi?  
A jeśli przyprawiacie mężom swoim rogi,  
Z kim? Dlaczego nie ze mną? Niedobre dziewczęta!  
Muszę Wam to wypomnieć w dniu Waszego Święta.

Przepraszał panie, że nie ma w jego wierszu sloganów o współzawodnictwie pracy, o pokoju, normach i odbudowie, ale przecież idzie właśnie wiosna, a na wiosnę chodzą po głowie raczej myśli o miłości. „Te czułe niepokoje... Te słodkie podniety... / Socjalizm nie zabrania uwielbiać kobiety!”. Nie byłoby w *Liście* nic szczególnego, gdyby nie czas, kiedy powstał. Trzy dni wcześniej, 5 marca 1953 roku zmarł Józef Stalin, Chorąży Pokoju, Słońce Narodów i Uniwersalny Geniusz. Cały komunistyczny świat pogrążył się w rozpacz, w Polsce trwała ogłoszona przez rząd żałoba narodowa, więc frywolny ton listu brzmiał co najmniej dwuznacznie.

Janina Rosłanowa, która przez wiele lat pracowała w ZAiKS-ie jako kasjerka, prowadziła księgę pamiątkową, zwaną „Książką zażaleń”. Wpisywali się do niej najszlachetniejsi klienci, przychodzący do kasy związku po pieniądze. Byli wśród nich nie tylko twórcy polscy, ale także wielu wybitnych autorów ze świata (w tym nobliści). Umieszczali w księdze dedykacje, rysunki, aforyzmy, nawet zapisy nutowe, jedne dowcipne, inne mniej. Brzechwa napisał:

O, Przyjaciółko pisarskiej braci,  
(kasa wypłaci)  
Przez Ciebie każdy z nas się bogaci,  
(kasa wypłaci)  
A kiedy tylko pieniądze straci,  
(kasa wypłaci)  
Znowu karteczkę w okienku da Ci  
(kasa wypłaci!)

Dla pokolenia Brzechwy, które ZAiKS zakładało, potem walczyło o jego miejsce w polskim systemie prawnym i starało się przeprowadzić przez okres PRL z jak najmniejszymi stratami materialnymi i moralnymi, stowarzyszenie było czymś zdecydowanie ważniejszym niż tylko sprawnie działającym agentem, stojącym na straży finansowych interesów.

# Złotóweczki za bajeczki bardzo chwałę sobie...

W 1957 roku Brzechwa przeprowadził się do większego, prawie stumetrowego mieszkania w kamienicy przy Opoczyńskiej 5, gdzie spędził resztę życia. Z okna domu naprzeciwko obserwował słynnego bajkopisarza siedmioletni wtedy Jan Gondowicz, przyszły krytyk, eseista i tłumacz. „Poeta był strasznie poważny. Łysiał i nosił muszkę, długo rozmawiał przez telefon, przyjmował gości. Słysząc było obce języki. Brydże trwały do rana” – wspominał po latach. Zamiast rozwiązywać szkolne zadania podziwiał przez okno olbrzymi księgozbiór, który zajmował jedną ścianę, akt Mai Berezowskiej na drugiej i okrągły stół, wokół którego krążył czasem Brzechwa („odziany bardziej niż niekompletnie”) i półgłosem gadał do siebie, najwyraźniej układając wiersze. „Miałem do niego żal – napisał Gondowicz – te wiersze nie wskazywały, by wiedział, że dzieciństwo jest takim koszmarem”.

Poznał poetę kilka lat później. Był już nastolatkiem i nie wypadało mu deklorować zachwyty wierszykami dla dzieci, więc oświadczył („bezczelnie”), że kocha utwory Leśmiana. Oczywiście czytany chłopiec dobrze wiedział o pokrewieństwie poetów. Brzechwa złapał go za rękę:

– A wie pan (tak jest „pan!”), co mi raz Bolek powiedział? „Bracie, oddałbym wszystkie swoje wiersze, żeby mieć t w ó j w z r o s t!”.

„Chyba pierwszy raz powiedział mi ktoś taką rzecz, jaką mówią do siebie dorośli” – wspominał Gondowicz.

Już mieszkając w Warszawie, poeta zaczął publikować w „Przekroju” felietony zatytułowane *Wesołe obserwatorium gastronomiczne Jana Brzechwy*. Pierwszy tekst, *Ratujcie nasze podniebienia*, był tyleż gastronomiczny, co polityczny. Brzechwa ubolewał nad upadkiem polskiej sztuki kulinarnej, jaki nastąpił w „okresie średniowiecza, bo tylko tak określić można epokę stalinizmu”.

Upiorne garkuchnie, które „jakiś matoł i popsuj polszczyzny” nazwał punktami zbiorowego żywienia, uśmierciły dziesiątki potraw i dań, z których słynęła niegdyś polska kuchnia, grzmiął. Zniknęły gdzieś: sztukamięś z kwiatkiem i rurą, żołądki gęsie z kaszą, cynaderki z rusztu, kołduny i inne dania, smaczne, szlachetne i miłe podniebieniu, które jakiś Żdanow przepędził z polskich talerzy! Zniknęły rogaliki, solanki, mulatki i kajzerki, przyrumienione i chrupiące bułeczki z czasów młodości poety, bo za ich wypiekanie zabrało się... państwo. Byli niegdyś w Polsce kucharze – artyści, mistrzowie w swoim fachu, ale funkcjonariusze minionego ustroju przepędzili ich na cztery wiatry „z powodu haków w ankiecie”. Bo jeden miał niewłaściwy życiorys, drugi pracował w obcej ambasadzie, trzeci lansował imperialistyczne potrawy, a czwarty „miał za granicą znajomą połędwicę”. Na ich miejsce przyszli kuchenni analfabeci, z awansu społecznego, ale pewni politycznie. Gotowali niesmacznie, ale ku chwale socjalizmu, odrzucając burżuazyjne zwyczaje i przyprawy, na które potrzebne były dewizy. A ludzie jedli, bo nie mieli wyjścia. „Kultura smaku w obronie pokoju zesła na psy, a ludzkie podniebienia leżą w błocie” – alarmował Brzechwa. Jakby naprawdę nie rozumiał, że gdyby zamiast słowa „kucharze” użyć innego – „satyrycy”, zarzuty musiałyby być identyczne. Tyle, że dla niego dużo bardziej bolesne.

Założeniem *Wesołego obserwatorium* było, że każdy felieton będzie zawierał przepis na jakąś potrawę. Na przykład obszerny wywód, jak dobrze przyrządzić flaki: „Kilo flaków na początku / Dobrze oczyść, wrzuc do wrzątku, / Przepłucz, ocedź. Na to nalej / Rosół z kości. Gotuj dalej...”, Brzechwa zakończył:

By się goście czuli zdrowo,  
Podaj czystą wyborową.

Ale obietnicy nie spełnił. Przepisów było niewiele, albo wcale, już drugi odcinek *Obserwatorium* ukazał się bez przymiotnika „wesole”. W kolejnych przeważały obserwacje socjologiczne („kantuje znaczna część kelnerów, bufetowych, sprzedawców”), opisy rynkowych absurdów („prasa doniosła o przymusowym przetwarzaniu na mączkę rybną setek tysięcy ton świeżo łowionych szprotek”), uwagi o losie klientów państwowej gastronomii („jak nie chce, niech nie żre”) i niewiara, że cokolwiek może zmienić się na lepsze. Co człowiekowi z tego, że są w Polsce tysiące zakładów gastronomicznych trzeciej, drugiej i pierwszej kategorii, jak nie ma ani jednego, gdzie można byłoby zjeść wygodnie, smacznie i szybko? „Bo co człowiekowi z tego, że mu obiecują sto kwiatów, skoro już z cebulą są pewne trudności?” – pisał w felietonie *Od statystyki do mistyki*.

Szybko zwyciężyła w Brzechwie natura publicysty i naprawiacza rzeczywistości. Kazał ministrom zajmującym się w PRL handlem: spożywczym, detalicznym i każdym innym, udać się po naukę do Monopolu Spirytusowego. Bo w Polsce może zabraknąć wszystkiego: chleba, cebuli, soli i nafty, a wódki nie brakuje nigdy, nawet w największej dziurze i najmniejszym wiejskim sklepie. A jeśli ktoś zastanawiał się, kto odpowiada za obowiązującą w peerelowskich knajpach zasadę: „Konsumpcja do alkoholu obowiązkowa”, to właśnie Brzechwa. „Należy zakazać kelnerom podawania wódki bez zagrychy” – pisał. Nie musi być od razu szatobriand, tłumaczył, wystarczy bigos, golonka albo kiełbasa z cebulą. Ale obowiązkowo! Zażądał też wprowadzenia kar za pojawianie się publicznie po pijanemu. Zadeklarował, że dla przykładu może dać się zamknąć jako pierwszy.

Przez cztery miesiące ukazało się osiem odcinków *Obserwatorium*. Potem „Przekrój” przestał je publikować, nie uprzedzając, że to już koniec. Brzechwa pytany w jednym z wywiadów dlaczego, powiedział, że nie wie. Tłumaczył, że najpierw wysyłał do tygodnika felietony, a potem już tylko listy z pytaniem, czy redakcja zamierza je drukować. „Ale ponieważ «Przekrój», jak głosi jego reklama, jest «jedynym pismem, które nie odpisuje na listy», nasza korespondencja była jednostronna” – mówił.

Wydawało się, że przynajmniej w literaturze dziecięcej ma pozycję niepodważalną, ale nawet to okazało się mrzonką. Filmowa Agencja Wydawnicza, z którą miał umowę na książkowe wydanie opowieści o przygodach operatora filmowego Pana Soczewki (wcześniej powstały na podstawie scenariuszy Brzechwy filmy), zaproponowała, że, owszem, książeczkę wyda, ale pod warunkiem, że autor skróci ją o ponad jedną czwartą. Odpisał, że z podobnym żądaniem nie spotkał się w ciągu czterdziestu lat pracy jeszcze nigdy. Owszem, może skrócić tekst o 40 wierszy, żeby nie stawiać w trudnej sytuacji redaktorki książki, ale na kolejne zmiany nie zamierza się godzić. Respektuje prawo wydawcy do dyskusji z autorem na temat książki, a probuje możliwość zerwania umowy, a nawet deklaruje zwrot zaliczki, natomiast nie zgadza się na masakrowanie utworu dla celów nieartystycznych.

„Utwór literacki nie jest miarą owsa, który można dowolnie odsypywać” – pisał. Zmiany powinny mieć uzasadnienie, inaczej psują autorski zamysł i konstrukcję utworu. Nie można dowolnie wykreślać dużych partii dzieła tylko dlatego, żeby zajmowało mniej miejsca. Można, dodał, uprościć nawet fabułę *Pana Tadeusza* (toute proportion gardée – zaznaczył), wykreślając tysiąc wierszy, które nie wiążą się ściśle z akcją: np. sceny grzybobrania, koncert Wojskiego na rogu, opis serwisu czy koncert Jankiela itd. „Ale każdy uznałby to za barbarzyństwo” i on przed takim barbarzyństwem

w stosunku do swoich utworów zamierza się bronić. Dlatego dalszą dyskusję na temat skrótów uważa za bezcelową.

Chciał, by jego utwory były wydawane ładnie, bo jego zdaniem na to zasługiwały. A były publikowane tak, jak większość książek w PRL. Na lichym papierze, wydrukowane kiepskimi farbami i z błędami. Po ukazaniu się nakładem Naszej Księgarni przekładu *Bajki o carze Saltanie* Puszkina, napisał do wydawnictwa, że tom bardziej przypomina makulaturę niż książkę. Niechlujny druk, niedbały układ graficzny, nędzna forma intrologatorska. Na koniec oświadczył, że nie zgadza się na kolejne wznowienie „w tak obskurnej formie”.

W końcu, zirytowany, opublikował w „Życiu Warszawy” artykuł *Do mecenasa*. Zaapelował do państwa, które było właścicielem większości istniejących wydawnictw, o większą troskę o pisarzy. W socjalizmie to państwo jest mecenasem sztuki i opiekuje się artystami, „podlewa te delikatne, cieplarniane kwiatki skarbową polewaczką”, tłumaczył. Niestety ową funkcję sprawują w imieniu państwa jego urzędnicy: nieraz ułomni, czasami krótkowzroczni, zazwyczaj omylni. W efekcie rola mecenas, przepuszczona przez maszynki państwowych buchalterów i urzędowe wyzymaczki, staje się zaprzeczeniem misji opiekuna twórców.

Dlatego on, Brzechwa, „poniekąd pisarz i poniekąd pupilek Państwa” postanowił uzalić się nad niedolą tych, którzy owego mecenatu doświadczają. Czy Mecenas wie, pytał, że podwyżka cen książek zmniejszyła popyt na nie o połowę, tym samym zmniejszając dochody pisarzy, bo wydawnictwa oczywiście na podwyżce zarobiły.

Ale to jeszcze nie wszystko. Szewc za zrobione buty, stolarz za wykonany stół, nawet hodowca świń za sprzedanego wieprzka pieniądze dostają od razu, a pisarz za wykonane dzieło otrzymuje honorarium dopiero wtedy, gdy ukaże się ono – za rok albo później – drukiem. Przez cały ten czas kredytuje wydawcę.

Czy Mecenas wie, pytał dalej, że za trzystustronicową powieść, nad którą pisarz pracuje kilka lat, dostanie najwyżej dwadzieścia, trzydzieści tysięcy złotych i to rozłożone na parę lat. Przeciętny zarobek pisarza, poza nielicznymi, to półtora do dwóch tysięcy złotych miesięcznie. „Przytaczam te liczby tym śmieiej, że sam należę do owej szczupłej garstki lepiej zarabiających twórców” – dodał. A jeśli już nawet ktoś chce i potrafi zarabiać, to mu się nie pozwala. „Raz po raz, Mecenasie, objaja się o moje uszy głos podległych Ci kalkulatorów i rachmistrzów:

– Dość już bajek!

– Za dużo Brzechwy!

(...) Regulacja urodzin ma swój niewątpliwy sens. Ale stosowanie administracyjnych środków antykonceptyjnych do twórczości wydaje się niedorzecznością. Walka z płodnością twórczą pisarza nie była dotąd znana na przestrzeni dziejów. Stała się naszym rodzimym wynalazkiem”.

Nie chciał jednak, by posądzono go o załatwianie prywatnych interesów. Przywołał przykład Szancera, o którym też pisano, że jest go za dużo. Ilustruje książki, dekoruje, projektuje kostiumy, wyklada w ASP, robi scenografie, reżyseruje! „Kalkulatorzy i rachmistrze powiadają, że za dużo zarabia. Ale przecież zarabia dzięki wydajności swojej pracy, a nie wskutek spekulacji” – pisał. Kazimierz Rudzki, aktor, występuje w telewizji, radio, na estradzie, reżyseruje, wyklada w Szkole Teatralnej. Czy ma przestać, żeby jego miejsce zajęli mniej zdolni i mniej pracowici?

W „Szpilkach” opublikował wiersz *Rozprawa o kulturze*:

Ach nie... Mnie też się marzy

Kultura bez pisarzy.

Chcę też ją pchać na tor ów

Bez muzyków, aktorów,  
Bez tej niesfornej rzeszy,  
Co naszych władz nie cieszy.  
Chcę zająć się na serio  
Zwyczajną buchalterią,  
A wtedy się przysłużę  
I władzom i kulturze.

Wracał do tematu jeszcze wielokrotnie, w publicystyce i w satyrach, ale bez skutku. Państwowy mecenas okazał się dodatkowo głuchy na krytykę.

Na początku 1958 roku ukazała się autobiograficzna powieść Brzechwy *Gdy owoc dojrzewa*. Wzbudziła ogromne zainteresowanie krytyki, bo chyba mało kto brał poważnie zapowiedzi, powtarzane przez poetę od paru lat w kolejnych wywiadach, że chciałby wreszcie napisać coś dla dorosłych. Pisarz, który nie pisze powieści, nie jest traktowany poważnie, tłumaczył.

– Czyli, że powieść ta ma pana pasować na... pisarza? – zapytała dziennikarka w jednym z wywiadów.

– Wobec krytyki, która jak dotąd nie uważała za wskazane docenić mojej dotychczasowej twórczości. Może teraz, jeśli powieść będzie zła, okaże się, że wiersze są lepsze – odparł.

Recenzenci, dla których nowa książka Brzechwy mogła być co najwyżej kolejnym tomem wierszy, zbiorem satyr albo bajkami dla dzieci, nie byli zgodni w ocenie jego prozatorskiego debiutu. Maria Klinowska w „Nowych Książkach” pisała o powierzchownej beletryzacji wspomnień i wtórności książki, owszem, zręcznie napisanej, ale niewnoszącej nic nowego do wiedzy o świecie. Zbigniew Dolecki krytykował w „Orce” rozczarowujące luki kompozycyjne i braki formalne powieści oraz nadmiar polityki i historii. W „Twórczości” Włodzimierz Maciąg ocenił, że Brzechwa nie wykorzystał szansy. Mógł stworzyć nowoczesną powieść o kształtowaniu się psychiki młodego człowieka w czasie kryzysu norm społecznych, a napisał książkę eklektyczną, ciekawostkową i unikającą głębszych problemów. Maciąg uznał jednak, że to, co jest wadą w oczach krytyka, może być zaletą dla czytelników. „Krytyk będzie się krzywił, że powieść jest gawędziarska, łatwa w konsumpcji, mało podsuwająca literackich problemów, a czytelnik w prostej elegijności odnajdzie właśnie jej urok” – pisał.

Docenili późny powieściopisarski debiut Brzechwy Marian Brandys i Janina Dziarnowska. Pierwszy pisał w „Nowej Kulturze” o urzekającej prostocie i żywiołowej naturalności powieści oraz o kunsztownej tkaninie artystycznej spojonej ręką dojrzałego mistrza. Dziarnowska przyznała, że jest pod wrażeniem świeżości spojrzenia dziecka, którą zachował pisarz. Potrafił opisać rewolucję 1905 roku, unikając popadania w podręcznikową faktografię i odautorskie komentarze. „Z niebezpiecznej próby Brzechwa wychodzi zwycięsko” – podsumowała. Pozytywna recenzja powieści ukazała się nawet w „Litieraturnoj Gazietie” w Moskwie.

Nie było zgody co do wartości prozy Brzechwy, natomiast wielu krytyków zachwyciło się zawartym w niej obrazem rodzącego się chłopięcego erotyzmu. „Nierzadko można spotkać tak ładnie i sugestywnie przeprowadzony motyw dziecięcej miłości jak podwójne uczucie Adasia do panny Poli i do panny Kazimiery” – pisał w „Życiu Literackim” Jerzy Kwiatkowski. Nawet Zbigniew Dolecki uznał, że opis miłości Adasia do Poliny i Kazi pozwala wybaczyć Brzechwie inne braki. „Pierwsza objawia mu piękno czystych i głębokich uczuć, druga zmysłowy urok kobiecości” – pisał.

Jeszcze w tym samym roku Brzechwa podpisał z wydawnictwem Iskry dwie umowy: na drugie wydanie powieści *Gdy owoc dojrzewa*, bo Państwowy Instytut Wydawniczy odmówił wznowienia



książki, i na kontynuację autobiografii. Wznowienie ukazało się rok później, ale dalszego ciągu nie było. Po trzech latach umowa została rozwiązana, ponieważ autor nie dostarczył maszynopisu.

Na przełomie 1957 i 1958 roku Brzechwa poleciał do Związku Radzieckiego. Po czterdziestu latach wracał do świata, w którym spędził dzieciństwo i którego język przez blisko dwadzieścia lat był jego drugim językiem. W samolocie Aerofłotu zastanawiał się, czy uda mu się odnaleźć klimat tamtego czasu, pierwszych przyjaźni i miłości.

Leciał jako nowy prezes ZAiKS-u, by spotkać się ze swoim radzieckim odpowiednikiem, dyrektorem Ogólnozwiązkowego Urzędu do Ochrony Praw Autorskich; później miał dołączyć do delegacji ZLP, zaproszonej przez pisarzy radzieckich. Pierwsze spotkanie zapamiętał dobrze. Dyrektor WUOAP Gajk Gierasimowicz Elczybekow okazał się serdecznym, gościnnym i otwartym rozmówcą. „Prostota, pełna delikatnego taktu, pozbawiona wszelkiej sztuczności zachwycała i budziła głęboką sympatię” – wspominał wyjazd w tygodniku Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej „Przyjaźń”.

Znacznie gorzej poszło z radzieckimi pisarzami, choć spotkał wśród nich ludzi, których podziwiał i cenił, niektórych nawet tłumaczył. Polską delegację posadzono po jednej stronie długiego, nakrytego zielonym sukniem stołu, Rosjanie siedli po drugiej i zaczęły się przemowy. Każdy wstawał, coś mówił i siadał. „Uderzył mnie oficjalny chłód tego spotkania. Nie było rozmów – były przemówienia” – pisał Brzechwa. Miał nadzieję, że po części oficjalnej przyjdzie czas na część towarzyską, prywatne rozmowy i kontakty, tymczasem Rosjanie wstali i wyszli. Brzechwa uznał, że spotkanie zostało zmarnowane, a deklarowana przyjaźń potraktowana w sposób zdawkowy. „Potrafimy ofiarować z siebie tylko chłód i oschłość, ozdobioną wytartym frazesem” – krytykował. Kilkanaście miesięcy po październiku 1956 roku można było jeszcze napisać o stosunkach polsko-radzieckich prawdę. Wkrótce frazesy znów miały stać się wersją obowiązującą.

W 1959 roku rozpoczął publikowanie w tygodniku „Świat” felietonów „Moje trzy grosze”. I natychmiast wywołał awanturę, która ciągnęła się przez wiele miesięcy. W felietonie *Cyrk pcheł* zaatakował nowoczesną poezję. Pisał, że nie rozumie, dlaczego w czasach, gdy ludzki umysł jest w stanie wytwarzać mózgi elektronowe (tak nazywano ówczesne komputery), zdolne kontrolować losy planety i wpływać na jej przyszłość, w poezji tryumfuje kult bezmyślności, niedorzeczności i podwórzowego kuglarstwa. Człowiek różni się od zwierzęcia nie tylko tym, że pije wódkę, ale i tym, że potrafi posługiwać się artykułowaną mową do przekazywania swych myśli. Chciał wiedzieć, co przeszkadza młodym poetom korzystać z tej umiejętności. Co zamierzają ludziom powiedzieć, zestawiając na chybił trafił słowa w niedorzeczne utwórki-potwórki, i czy w ogóle mają coś do powiedzenia? Komu służy i jaki jest sens w bezsensie młodej poezji?

Brzechwa zarzucił nowej poezji przede wszystkim wtórność. Pisał, że czytał i widział już wszystko, co z literaturą wyczyniano przez lata: ogoławanie wierszy z rymu i rytmu, pozbawianie logicznego sensu, odrzucanie interpunkcji, a nawet zasad ortografii. Pamięta futurystyczny *Nuż w bżuhu*, pamięta *Tram w popszek*, pamięta pochod dadaizmów i futuryzmów oraz inne łamańce poetyckiej szarlatanerii. „Tak, moi drodzy, każda młodość ma swoją porę błaznowania. Ale niechże to będzie błaznowanie własne i samodzielne. Niechaj cyrk pcheł nie małpuje pradziadków i nie częstuje nas odgrzewanymi kotletami, mówiąc, że to bażanty. Ekshumowane schyłkowe staruszki nie staną się kociakami ery atomowej” – napisał.

Każdy eksperyment musi być choć odrobinę samodzielny, stwierdził. Musi w nim być choć niewielki ślad własnej inwencji. Bo można sobie wyobrazić, że jakiś genialny wynalazca skonstruuje samochód, który nie będzie miał kół, silnika ani skrzyni biegów, a mimo to pojedzie. Ale jeśli ktoś weźmie starego forda, odkręci koła i wypatroszy silnik, to nikt nie nazwie tego postępowaniem technicznym

ani eksperymentem, który służy motoryzacji, tylko oszustwem: „Gdybyśmy gdakanie drobiu uznali za nowy kierunek literacki i nazwali go, powiedzmy p t a s z y z m e m, nie stworzymy przez to nowej prozodii. Drób zawsze pozostanie drobiem, tak jak zawsze pchła pozostanie pchłą”.

Ale najgorsze, pisał dalej, że dookoła otumanionej młodzieży literackiej grasują hordy grafomanów, którzy z zimnym wyrachowaniem próbują wepchnąć się do literatury. Poetyckie stare konie przyłączają się do tego bełkotu i, sapiąc, kuśtykają w szeregach młodzieniaszków, w nadziei, że nikt nie zauważy ich szóstego krzyżyka. Pseudorewolucji dali się zwieść nawet krytycy literaccy, którzy dają temu błazeństwu swoją aprobatę, a także redaktorzy czasopism, którzy celebrytują minoderię niezrozumiałstwa, dopatrując się w nim głębinowych metafor i podnosząc je do rangi kanonu nowatorskiej poezji. „Ludzie! Obywatele! Czytelnicy! Nie dawajcie się mistyfikować! Poezja żyje i będzie żyła na przekór fałszywym prorokom. Ale nie w cyrku fałszywych pcheł!” – apelował.

Pisał o poezji, ale dostało się też przedstawicielom innych sztuk. „Nie chcę zabierać głosu na temat malarstwa abstrakcyjnego i muzyki konkretnej, chociaż mam poczucie bredni. (...) Miliony słuchaczy i widzów odwracają się od takiej sztuki” – napisał.

Dwa tygodnie później odpowiedział mu w „Tygodniku Powszechnym” Stefan Kisielewski. Zatyłował swój felieton *Brzechwa niezbyt ostra, czyli diatryba przeciw pierożkom*. Nazwał Brzechwę „złośliwym staruszkim”, którego głos przypominał mu niedawną dyskusję o sztuce nowoczesnej w „Przekroju”, podczas której tygodnik przekonywał, że jeśli ktoś nie lubi pierożków z mięsem, to po prostu nie powinien ich zamawiać. „Ale dość dziwny jest facet – pisał Kisiel – który robi awanturę o to, że pierożki z mięsem w ogóle figurują w restauracyjnej karcie. Istnie Pies Ogrodnika: sam nie zje i drugiemu nie da”.

Brzechwa obwieszcza urbi et orbi, że nie rozumie współczesnej sztuki, kpił Kisiel. Tacy ludzie byli zawsze, tylko nie wszyscy upierali się, żeby od razu powiadamiać o tym resztę świata. A potem było jeszcze bardziej złośliwie. Gdyby Brzechwa zechciał się choć trochę poduczyć, to umiałby czerpać radość ze sztuki abstrakcyjnej, która ma już parę tysięcy lat, a nawet z muzyki konkretnej. Ale uczyć się nie chce i woli kompromitować się publicznie niewiedzą. „Ile radości może dać wystawa dobrego malarstwa abstrakcyjnego, ten tylko się dowie, kto wyzwoli na chwilę swój mózg z okowów konwencji kopiowania i naśladowania zewnętrżności. Nie jest to tak trudno – zapewniam Brzechwę” – pisał Kisielewski. Jeśli chodzi o współczesną poezję, to Brzechwa pomylił prawdziwych twórców i dobrych poetów z grafomanami i imitatorami, których nie brak w orszaku żadnej sztuki. Sierdzi się na bezsens i rozkładowość nowej poezji, porównując ją do dawnej awangardy, która dziś jest już tylko wzruszającą starszyzną. „Jakiż nieoświecony, aż smutno (...). Czas płynie, postęp istnieje i w sztuce, panie Janie” – tłumaczył Kisiel. Współczesna poezja wcale nie polega na bezsensie, absurdzie czy dźwiękowych igraszkach słownych, jak sądzą wstecznicy wszystkich czasów, i jak sądzi Brzechwa. „Poezja dzisiejsza, poprzez rozbicie czy przekształcenie atomowego jądra, jakim jest zdanie, dąży do uchwycenia wielopłaszczyznowości i wielowarstwowości ludzkich doznań i zawarcia ich w kondensacji na jak najmniejszej przestrzeni” – napisał mocno zawile felietonista „Tygodnika Powszechnego”, co Brzechwa natychmiast wykorzystał.

„Oto jak według niezawodnej recepty odmłodzonego Kisiela wyglądać ma młoda poezja. Czyż nie jest to ów antyhumanistyczny bełkot, o którym wyżej wspominałem? Czyż to nie jest popisowy numer z cyrku pcheł?” – zadrwił w kolejnym felietonie *Nożyce się odezwały*. Napisał, że otrzymał po *Cyrku pcheł* kilkadziesiąt listów od czytelników, którzy bardzo dobrze zrozumieli, o co mu chodziło, podczas gdy jego uczeni adwersarze w pismach literackich nie. A on przecież wcale nie szydził z młodych poetów, tylko z literackich szarlatanów. Nie atakował nowatorstwa, tylko mistyfikacje. Wreszcie nie występował przeciwko dobrej sztuce współczesnej, tylko przeciwko szmirze, kiczowi

i grafomaństwu. Dlatego nie ma powodu, żeby bronić przed nim twórców takich jak Picasso, Bartok, Lutosławski, Eliot czy Klee. „Koń by się uśmieł. Nie pisałem o Klee, tylko o kle-kle i ple-ple” – bronił się.

Kisielewskiemu, który nic nie rozumie i wszystko mu się pokręciło, chce poczuć się młodo, więc głosi piramidalne niedorzeczności, poświęcił oddzielny akapit. „To już nie cyrk pcheł, ale cyrk słoni. Z istic słoniową gracją i subtelnością Kisiel uczy mnie pokory i zadufany w sobie dmie w swoją trąbę” – napisał.

Pustkę współczesnej sztuki atakował i na innych łamach. W „Trybunie Ludu” opublikował tekst *W oparach bredni*, poświęcony... „wydupniałości” nowej literatury. Na przykładzie poezji Mirona Białoszewskiego i zachwyty nad nią krytyki.

„Według Słownika Języka Polskiego wyraz, który przytoczyłem, oznacza «w e w n ę t r z n ą p r ó ż n i ę, c z c z o ś ć, w y d r ą ż e n i e, j a m ę w y g n i ł ą, w y p r ó c h n i a ł ą». Jak łatwo się domyślić, chodzi mi tutaj o pewne produkty literatury i publicystyki literackiej, które symulują myślicielstwo, głębię intelektualną, nowatorstwo i elitaryzm, a w rzeczywistości kryją w sobie najzwyczajniejszą wydupniałość” – pisał Brzechwa.

Wydupniałość to właśnie owo zawile mędrkowanie pozbawione logiki i zdrowego sensu, tłumaczył. Te mizdrzące się zlepki słów, udające filozoficzne eseje albo poezję. Ten chóralny bełkot mistyfikatorów, do których przyłączają się starzy i szczywni wyjadacze pisarskiego fachu.

Zapelował do czytelników, żeby nie nabierali się na intelektualne szalbierstwa, uwierzyli we własny zdrowy rozsądek i nie pozwalali się ogłupiać. „Niech lipa zawsze lipę znaczy, a wydupniałość – wydupniałość” – sparafrazował wiersz Tuwima.

Zapamiętano mu te wystąpienia na długo. Trzy lata później w dyskusji o nowej sztuce na łamach „Życia Warszawy” Julian Przyboś mówił krytycznie o ludziach, którzy wmawiają czytelnikom, że młoda poezja jest nieczytelna. I dodał, że należy do nich „znany bajkopisarz”. Nie musiał wymieniać Brzechwy z nazwiska, ale wymienił. Choć i tak najbardziej zabolęła poetę etykietka „bajkopisarza”. Bajkopisarz!!! Przyboś dotknął największego kompleksu Brzechwy.

Swoją polemikę zatytułował: *Bajkopisarz przeprasza*. Choć jest „zaledwie bajkopisarzem” i rozumie, że nie powinien pchać się między prawdziwych pisarzy, gdzie nie mówi się, tylko głosi, gdzie nie pisze się, tylko filozofuje, to jednak Konstytucja PRL nawet bajkopisarzom daje prawo do własnego zdania, napisał. „Drogi panie Julianie! Ja nic nie wmawiam ludziom. Ludzie mają dość własnego rozsądku. A że o tych sprawach pisałem – przepraszam. (...) Bajkopisarz powinien przecież pisać bajki” – kończył z goryczą.

Próbował przekonywać – to był motyw przewodni wielu felietonów – że bajkopisarz, mimo lekceważenia kolegów, wcale nie jest pisarzem gorszym i mniej poważnym. Zwłaszcza kiedy porównuje nakłady swoich książek z mikroskopijnymi nakładami tomików tak zwanych prawdziwych poetów. Ostatecznie lepiej być jedynym bajkopisarzem niż jednym z pięciuset poetów, napisał. „A poza tym znalazłem się przecież w dobrym towarzystwie: Ezop, La Fontaine, Kryłow, Krasicki...” – dodał.

Nie zaakceptował nowoczesnej poezji do końca życia. Nigdy jej nie rozumiał, a jej twórców oskarżał o hochsztaplerstwo. Później doszło jeszcze podejrzenie, że nowa poezja to element spisku wymierzonego w powojenną Polskę. Kilka miesięcy przed śmiercią, kiedy wiedział już, że nie pokona choroby, napisał długi list do Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Był wykładnią tego, co myślał przez całe życie.

Polska poezja zawsze rzeczywistość afirmowała albo negowała, pisał. Pierwsza była poezją dworską, ale od czasu rozbiorów rozwijała się przede wszystkim poezja walcząca. Kiedy więc

Polska odzyskała wolność, powinna rozkwitnąć poezją afirmująca nową rzeczywistość, oczywiście nie ordynarnie dworska, ale sprawiedliwie opisująca socjalistyczną Polskę. Jeśli dzieje się inaczej, muszą być jakieś utajone tego powody. Rozmyślna degradacja języka, stylu, składni, zwulgaryzowane słownictwo, wszystko to stwarza pozory, że Polska pozostaje zniewolona, a poeci muszą używać języka zrozumiałego tylko dla wtajemniczonych. Współczesna polska poezja to wysyłany na Zachód zaszyfrowany sygnał, że choć skończył się czas stalinowskiego przymusu, to twórczość w Polsce dalej tkwi w jarzmie. Stąd to kompletne ubóstwo stylu i jałowość myśli, które „egzegetycy na Zachodzie potrafią odpowiednio skomentować”. Chodzi o skompromitowanie współczesnej polskiej rzeczywistości.

A wszystko to przy akompaniamencie krytyki mitologizującej działalność, która opiera się na zniekształcaniu wartości istniejących od wieków w literaturze. To krytycy nadają błazenadzie artystycznej pozory głębi, której w istocie w niej nie ma. Ale już najgorzej, że owo rzekome nowatorstwo, ową fałszywą rewolucję artystyczną, a naprawdę wrogą wobec Polski działalność aprobuje partia, uznając, że to jest działanie „hermetyczne i nieczytelne, a więc na pozór obojętne politycznie” – pisał. Kierownictwo kraju woli niezrozumiały bełkot „białoszewszczyzny” niż metaforykę Słonimskiego, bo pierwszej nie jest w stanie pojąć, a drugą tak. „O ile jednak Słonimski występuje otwarcie, z podniesioną przyłbicą, tam mamy do czynienia z perfidią, z rozmyślnym dewastowaniem wartości estetycznych” – pisał do Dobrowolskiego. Zalew literatury grafomańskim śmieciem jest dużo bardziej groźny, bo zniechęca ludzi do prawdziwej twórczości, dodał.

W 1960 roku Brzechwa rozpoczął w „Przeglądzie Kulturalnym” kolejny cykl felietonów: „Z piątku na niedzielę”, które jednak po kilku miesiącach przeniósł do „Expressu Wieczornego”. Ponadtrzytysięczny nakład popołudniówki pozwalał mieć nadzieję, że jego słowa przeczyta znacznie więcej czytelników niż w najlepszym nawet tygodniku o ambicjach kulturalnych.

Pisał najczęściej o problemach literackich. O uwiądzie krytyki, która podchodzi z nabożeństwem do wszystkiego z zagranicy, zaś przemilcza, a niekiedy wręcz poniża, polskich artystów. O recenzentach, posługujących się gotowymi formułkami, które nijak mają się do ocenianych dzieł. O zalewających gazety i tygodniki wielkich artykułach publicystycznych, nudnych, pretensjonalnych i pozbawionych sensu. O polemistach, którzy nie mają nic do powiedzenia, poza tym, że się nie zgadzają. O ludziach, którzy decydują o tym, jakie książki się ukazują, a jakie nie, choć ich nie czytają. O lekceważeniu przez pisarzy zasad interpunkcji, choć w tym samym czasie uczniom w szkołach stawia się dwóje za brak przecinków i kropek.

W „Expressie” jako pierwszy dostrzegł fenomen *Jacka i Agatki*, cyklu dobranocek autorstwa Wandy Chotomskiej, które pojawiły się w 1961 roku w telewizji. Prościutkie pacynki bawiły dzieci co wieczór o 19.20, a Brzechwa zachwycał się, że wreszcie dostrzeżono potrzeby najmłodszych, dotąd pomijane albo lekceważone. Poza tym, słuchając dialogów Jacka i Agatki, dzieci uczą się pięknej polszczyzny.

Kilka lat później podczas jednej z dobranocek ogłoszono konkurs na największego przyjaciela dzieci. Brzechwa zwyciężył bezapelacyjnie. Wystąpił w telewizji razem z pacynkami i odebrał nagrodę: statuetkę Syrenki z twarzą Agatki. Był tak wzruszony, że składając wierszowane podziękowanie, pomylił rymy.

Ale największe emocje wzbudzały te teksty, w których pisał o sprawach obyczajowych i społecznych. Po felietonie o świadomym ojcostwie, w którym skrytykował bezmyślne płodzenie dzieci, dostał z Krakowa anonim z obelgami. „Do listu dołączona była ulotka przeznaczona dla krakowskich szkół, nawołująca do bojkotu moich książek, jako że ich autor, czyli ja, «jest mordercą polskich dzieci» (!)”.

Czasem jednak jego felietony brzmiały tak absurdalnie, że trudno uwierzyć, by myślał tak naprawdę. W lipcu 1963 roku pochwalił się w tekście *Busola*, że z najwyższą uwagą wczytywał się w dokumenty XIII Plenum KC PZPR, a zwłaszcza w treść referatu I sekretarza Władysława Gomułki. Suche i nudne przemówienia Gomułki były zwykle naszpikowane liczbami i technicznymi danymi, tymczasem Brzechwa dostrzegł promieniującą z mowy przywódcy partii „głębką myśl humanistyczną”. Ubolewał tylko, że tak niewielu dziennikarzy doceniło zawartą w referatach życzliwość dla twórców i troskę o dobro kultury. Nie rozumiał, dlaczego z gazetowych relacji wieje tak straszną nudą. W końcu jednak znalazł wytłumaczenie. Złożonych, delikatnych i najgłębszych spraw poruszanych przez I sekretarza nie da się przekazać w zwykłym streszczeniu: „Tak jak nie można streścić ani opowiedzieć własnymi słowami *Dziadów* czy *Poloneza As-dur*”.

Musiał czuć śmieszność tych słów. Musiał wiedzieć, że porównując przemówienie kaleczącego język polski partyjnego kacyka z najwybitniejszymi utworami kultury narodowej, kompromituje się. Nie musiał tego pisać, ale mógł myśleć, że kupuje sobie w ten sposób taką przychylność rządzących, jaką cieszyli się bardziej zaufani koledzy. Przychylność, która pozwoli coraz bardziej choremu poecie nie czekać przez wiele miesięcy na zabieg w klinice rządowej i uwolni od strachu, że znów spotka go odmowa „z powodu przeciążenia Lecznicy”.

Urzędowe funkcje, które pełnił w ZAiKS-ie, Pen Clubie i ZLP, ciążyły mu coraz bardziej. Zrezygnował tylko z udziału w komisji rozdzielającej talony na samochody. Miał dość próśb, interwencji i pretensji, telefonicznych, listownych i osobistych, których było coraz więcej, a samochodów do podziału coraz mniej. „Rola komisji stała się niemal całkowicie iluzoryczna i udział w komisji uważam obecnie za bezcelowy i bezpłodny” – napisał, składając rezygnację. Pytany przez „Nową Kulturę” o plany na rok 1962, wypalił:

– Moje tegoroczne plany są wyjątkowo konkretne. Postanowiłem uwolnić się od wszelkich stanowisk i funkcji społecznych.

Miał poczucie, że zostaje mu coraz mniej życia, a tyle jeszcze chciałby napisać. Cały czas towarzyszył mu też lęk, że to, co napisał dla dzieci, nie jest dość ważne i nie daje pewnego miejsca w literaturze, że powinien jeszcze raz spróbować twórczości dla dorosłych. Ale opowiadania, które zaczął pisać na początku lat sześćdziesiątych, ukazały się już po jego śmierci.

Po blisko dziesięciu latach przerwy wrócił za to do pisania szopek. Dyrekcja telewizji poprosiła Brzechwę, Marianowicza i Minkiewicza o przygotowanie szopki na rok 1960. Minkiewicz odmówił; stwierdził, że nie ma zamiaru kompromitować się na całą Polskę. „Istotnie, ryzyko było spore. Październik bowiem należał już do przeszłości i cenzura ponownie podnosiła głowę” – wspominał Marianowicz. Ale po sukcesie pierwszej szopki (kukiełki, jak przed laty, zaprojektował Jerzy Zaruba), Minkiewicz dołączył do grona autorów.

Szopki były jak najbardziej prorządowe, inne zresztą nie mogły być, bo zarówno tekstowi, jak i lalkom przypatrywano się bardzo podejrzliwie. Jeśli nawet autorzy pozwalali sobie na uszczypliwości wobec władzy, to było to raczej przekomarzanie się przyjaciół niż prawdziwa satyra. Mimo to w przaśnej gomułkowskiej Polsce szopki stały się sensacją. Zwłaszcza że pokazywała je telewizja, jeszcze raczkująca (miała tylko jeden program i nadawała pięć razy w tygodniu przez kilka godzin dziennie), ale już skupiająca powszechne zainteresowanie.

Gospodynią pierwszej szopki była największa wówczas gwiazda „małego ekranu”, Irena Dziedzic. Wystąpili reżyser Aleksander Ford, piosenkarka Sława Przybylska, aktor Kazimierz Krukowski, Jan Kamyczek, czyli Janina Ipohorska z „Przekroju”, kilku ministrów, w tym szef MSZ Adam Rapacki oraz premier Józef Cyrankiewicz. Ford skarżył się na kłopoty ze znalezieniem odpowiedniej aktorki do roli Jagienki w filmie *Krzyżacy*, bo Jagienka wiadomą częścią ciała łupała orzechy, a polskie

aktorki są raczej wątle. Przy okazji dostało się Andrzejowi Wajdzie za film *Lotna* („Koń by się uśmieł na tym banale”). Sława Przybylska żaliła się, że po sukcesie piosenki *Pamiętasz, była jesień* od roku nie może znaleźć nowego przeboju. „Zaliczki wstrzymać, dopóki wierszoroby / Nie znajdują nowych, równie bezsensownych słów” – śpiewała w szopce jej kukielka.

Premier skarżył się, że ministrowie zamęczają go o różne sprawy, a przecież właśnie skończyły się obchody pierwszego Millenium Polski, pełnego sukcesów. „Czyliż tysiąc lat temu istniał postęp taki / Jak dzisiaj? Czy wiedziano, co to są wapniaki? / Czy widziano tramwaje i uliczne bruki” – pytał. Czy za króla Piasta były publiczne szalety? A teraz w Warszawie są aż dwa, a w przyszłym tysiącleciu powstanie trzeci (premier rozmawiał już o tym z właściwym ministrem). Nawet myszy mają lepiej, tysiąc lat temu zjadły Popiela, a dziś żywią się w Delikatesach.

Kupę lat sprawuję władzę  
I ojczysty wóz prowadzę,  
Czy na wozie, czy pod wozem  
Jadę naprzód, jadę, wiozę. (...)

O mnie wszystko się ociera,  
Každy pisze do premiera  
O mieszkanie i o auto.  
Gdybym miał to, to bym dał to. (...)

Každy w kraju o mnie powie:  
„Cyrankiewicz, ten ma zdrowie!”.

„Widowisko zostało przyjęte wręcz entuzjastycznie, krajowa prasa nie szczędziła pochwał, a paryski «Le Mond» wydrukował na pierwszej stronie korespondencję z Warszawy, w której uznano szopkę za znaczący element polityczny” – wspominał Marianowicz. Najbardziej zachwycone było Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które pochwaliło autorów szopki za sposób przedstawienia tzw. planu Rapackiego. Dwa lata wcześniej minister Adam Rapacki zaproponował na forum ONZ utworzenie na terenie Polski, NRF, NRD i Czechosłowacji strefy bezatomowej. W szopce minister żalił się, że pomysł został przyjęty entuzjastycznie przez wszystkich, którym miły jest pokój, nie akceptują go tylko ci, co śnią o wojnie, czyli źli zachodni Niemcy: „Tam jako kata-strefę przyjęto myśl ową, / Bo chcieliby mieć strefę, lecz bezadamową”. A następnie zaśpiewał na melodię *C'est si bon*:

C'est si Bonn,  
Wojowniczy wciąż ton.  
Że na szczycie... ach, nie!  
To pokojem pachnie.  
To już szczyt,  
To tragiczne jest zbyt,  
Nie chce mówić, ach, cyt!  
O takiej sesji – Bonn!

„Szopka lepiej zaprezentowała polskie stanowisko (...) niż sto artykułów prasowych na ten temat”

– usłyszeli autorzy od przedstawicieli MSZ.

Kolejne szopki, które miały już trzech autorów, witały lata 1961 i 1963. Bohaterami pierwszej byli aktorzy Mieczysława Ćwiklińska, Barbara Kwiatkowska i Gustaw Holoubek, medaliści olimpijscy Elżbieta Krzesińska i Tadeusz Walasek, pisarze Magdalena Samozwaniec i Melchior Wańkowicz, prezes telewizji Włodzimierz Sokorski i komendant główny milicji generał Tadeusz Dobieszak, dyrektor Teatru Narodowego Arnold Szyfman, naczelny architekt Warszawy Adolf Ciborowski oraz sam Władysław Gomułka. Żarty – jak zwykle – były towarzyskie, złośliwości subtelne, aluzje zrozumiałe wyłącznie dla dobrze zorientowanych w tajnikach artystyczno-politycznego świata. Polityka, międzynarodowa!, pojawiła się tylko w piosence śpiewanej przez Gomułkę. Sekretarz partii słynął z braku poczucia humoru, więc jego pojawienie się w szopce – bez wątplenia akceptowane na najwyższym szczeblu – było sensacją. „Umiłowany tow. Wiesław pozazdrościł widać reklamy Cyrankiewiczowi i postanowił uświetnić swą postacią rewię znakomitości” – pisał Marianowicz. Ale wcześniej zarówno tekst, jak i lalka oglądane były ze wszystkich stron przez powołaną w tej sprawie nieformalną komisję partyjno-rządową.

Gomułka zaśpiewał (na melodię *Kurdesz*) o swoim przemówieniu w ONZ, o którym rozpisywała się polska prasa.

Gdy tam przybyłem ze swoim zespołem  
Z trybuny prawdę światu wygarnąłem.  
Uprzejmy byłem, choć ostry czasami –  
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami.

Oni o NATO, a na to o Bonn ja,  
Że jest w tym jakaś wielka monotonia:  
Co lat dwadzieścia kłopot z Niemiaszkami  
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Trzeba doprawdy nietęgą mieć głowę  
By im głowice dawać atomowe  
I znowu cackać się z hitlerowcami –  
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami.

I sekretarz zapewnił Polaków, że mogą spać spokojnie. Nie muszą się bać dyszących żądzą zemsty, szykujących się do wojny i marzących o odebraniu Polsce ziem zachodnich odwetowców z Bonn. Niemców ostrzegł, żeby nawet nie myśleli o nowych podbojach.

Niech żyją z nami w zgodzie, jeśli mogą –  
Taką dajemy radę naszym wrogom,  
A jak nie mogą, też im radę damy –  
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami.

W szopce na rok 1963 Władysława Gomułki już nie było, „tekst Gomułki nie przypadł do gustu wysokiemu partyjnemu areopagowi, podobnie jak napisany w ostatniej chwili tekst Cyrankiewicza” – wspominał Marianowicz. Premier Cyrankiewicz miał zastąpić sekretarza, ale też pojawił się tylko na moment.

Autorzy już na samym początku przyznali się, że nie będzie w ich szopce nic ważnego. Bo choć warto byłoby zdradzić, co piszczy w trawie, wyłożyć kawę na ławę, ogłosić „śmiało i bez blag” komu od dawna piątej klepki brak, to przecież mają żony, a niektórzy nawet dzieci, więc „cyt... cyt... lepiej nie. / Ktoś by to zrozumiał źle / (...) I tak każdy o tym wie / To pikantny fakt, / Lecz odłóżmy go do akt”. Po takim wstępie mogli już nie przejmować się ewentualnymi zarzutami, że coś albo kogoś w szopce pominęli. I że to, co napisali, to raczej pieszczoty niż satyra. Nawet złośliwości pod adresem ministra kultury i sztuki Tadeusza Galińskiego, który zajmuje się głównie przecinaniem wstęg, przypinaniem orderów i obcinaniem subwencji, gdy kultura coraz bardziej przypomina gadanie o „trupie... Maryni” (w telewizji niewyobrażalne było jeszcze wtedy użycie słowa „dupa”), były złośliwościami mało złośliwymi. „Satyra nasza cięta, ostra jest i bystra, / Ale w swym działaniu nie sięga ministra” – zastrzegli autorzy szopki. Zestaw występujących kukiełek był zupełnie inny niż dwa lata wcześniej. Bohaterami szopki byli Zbigniew Cybulski i Kalina Jędrusik, Irena Dziedzic i Bohdan Tomaszewski, Stanisław Lorentz i Bohdan Wodiczko, a premier, owszem, pojawił się, ale tylko po to, by złożyć rodakom życzenia szczęścia w Nowym Roku.

Następna szopka (na rok 1964) powstała już bez udziału Brzechwy. Został za to jednym z jej bohaterów. Śpiewał na melodię popularnej wtedy piosenki *Biedroneczki są w kropeczki* (kukiełkę poety zaprojektował, a jakże, Jerzy Zaruba), że dzieci czytają jego książki i... niszczą, ale jego to wcale nie martwi. Przecież na miejsce zniszczonych książek mamusie muszą kupować nowe, wydawcy jak najszybciej dostarczać je do księgarń, a on pisać kolejne bajki i baśnie, za które inkasuje honoraria.

Złotóweczki za bajeczki  
Bardzo chwaleń sobie,  
Zatem scenki i piosenki  
Bez wysiłku skrobię.  
A z „Kleksika” także cyka  
Niemają mi grosika,  
Więc dziateczki, więc milusie,  
Przy kasach wciąż się tłoczcie,  
I was proszę też, mamusie,  
Zachodźcie, ach, zachodźcie!

Brzechwie piosenka bardzo się spodobała, „choć uważał ją za nie dość złośliwą” – wspominał Marianowicz.

Był współautorem (z reżyserem Janem Batorym) scenariusza filmu według powieści Kornela Makuszyńskiego *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, który wszedł na ekrany jesienią 1962 roku. Nie doczekał się natomiast ekranizacji *Akademii Pana Kleksa*, choć jak pochwalił się w jednym z wywiadów, niewiele brakowało, by opowieść o niezwykłym uczonym i podróżniku została sfilmowana w Hollywood. Twierdził, że gotowy był już nawet scenariusz, i to przygotowany przez nie byle kogo, bo Erikę Mann, aktorkę i pisarkę, córkę noblisty Thomasa Manna. Film nie powstał, bo Brzechwa, jak twierdził, nie zaakceptował warunków, jakie mu postawiono. Miał przybrać jakiś międzynarodowo brzmiący pseudonim i nie podkreślać zanadto, że scenariusz jest adaptacją polskiej książki. „Nie potrzebuję wyjaśniać, dlaczego zrezygnowałem z propozycji” – mówił. Zabrzmiało to bardzo patriotycznie, ale jeśli propozycja była naprawdę poważna (córka poety nic o niej nie słyszała, on sam poza jednym wywiadem też o niej więcej nie wspominał), to Brzechwa mógł



o trzydzieści lat wyprzedzić Joanne K. Rowling i jej opowieść o Harrym Potterze, czarodziejskiej szkole na zamku Hogwart i profesorze białej magii Albusie Dumbledore.

Jesienią 1963 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie odbyła się premiera sztuki Brzechwy *Niezwykła przygoda Pana Kleksa*. Była to historia poszukiwań zbuntowanego robota Alojzego, w czym pomagali Kleksowi m.in. Pan Drops, Rycerz Szaławiła, Korsarz Palemon i inne postaci z bajek Brzechwy. Nobilitująca była już scena, na której spektakle dla dzieci gościły bardzo rzadko, ale równie imponujący był zestaw współtwórców spektaklu. Autorem scenografii był oczywiście Jan Marcin Szancer, muzykę skomponował Stefan Kisielewski, jeszcze wtedy poseł na sejm, reżyserował sam Kazimierz Dejmek, dyrektor Narodowego. Profesorem Kleksem był Zdzisław Mrożewski, Alojzym Bąblem Lech Ordon.

Widowisko, które pierwotnie miało nazywać się – tak zapowiadał w wywiadach Brzechwa – *Kleks kontra Kleks* albo *Sobowtór Pana Kleksa*, stało się wielkim sukcesem. Narodowy zagrał je 162 razy przy kompletach na widowni. Równie entuzjastyczna była krytyka. „Od lat 5 do 105”, zachwycała się Karolina Beylin, „Folies Bergère dla dzieci”, pisał August Grodzicki. Tygodnik „Świat” poświęcił sztuce dwie kolumny pełne zdjęć i pochwał dla reżysera, scenografa i aktorów. Nie wymieniono tylko autora. „A więc mamy jeszcze jedno wesele bez panny młodej” – zauważył gorzko Brzechwa.

Był popularny, więc zapraszano go do różnych komitetów i jury. Został nawet jurorem w konkursie na Miss Polonia. Obok niego w gronie oceniających zasiedli reżyserzy Jerzy Kawalerowicz i Adam Hanuszkiewicz, satyryk Józef Prutkowski i aktor Kazimierz Krukowski. W 1960 roku razem m.in. z Jeremim Przyborą, Jerzym Wasowskim i Jerzym Jurandotem był jurorem w Konkursie na Polską Piosenkę. Dwa lata później z Władysławem Szpilmanem oceniał uczestników II Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie. Obaj byli jurorami także w kolejnym roku. Brzechwa opowiadał potem Marii Koterbskiej, która zachwycała wszystkich, jakim problemem okazała się śpiewana przez nią piosenką Marka Sarta i Jerzego Millera *Odejdź smutku*.

– Było już postanowione, kto dostanie I nagrodę. I ty naraz wyskoczyłaś z tą piosenką! – tłumaczył. Koterbska, a tak naprawdę kompozytor i autor tekstu, bo to ich oceniano, otrzymali drugą nagrodę. Wygrali Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski piosenką *Nie pamiętam*, wykonywaną przez Reginę Pisarek.

O polskich piosenkach nie był jednak dobrego zdania. Każdy może pisać, a co gorsza każdy może śpiewać, ale żadna z tych piosenek nie miałyby szans, żeby znaleźć się w którymś z przedwojennych kabaretów, mówił. Niby są jakieś konkursy, jakieś instytucje i rady powołane do dbania o poziom piosenek prezentowanych w radiu, telewizji czy na festiwalach, ale nic z tego nie wynika. Popisy wokalne, których musi wysłuchiwać, przypominają raczej skrzypienie szafy niż śpiew, „są przejawem grafomaństwa albo rażącej nieudolności”.

To mniej więcej wtedy powstał wiersz, który nie ukazał się w żadnej z książek Brzechwy. Był dedykowany kobiecie, w której się zakochał. Gotów był rzucić dla niej żonę, ale kilkanaście lat młodsza kochanka nie chciała zostawić dla niego męża, którego zresztą dobrze znał. Spotykali się w mieszkaniu Haliny Koreckiej i to siostra znalazła podartą kartkę z zapisanym wierszem. Musiała rozpoznać pismo brata. Poskładała kawałki papieru i skleiała.

Jam Cię na podobieństwo muzy mej ulepił,  
Jam Cię sercem wykarmił i krwią własną krzepił,  
Prowadziłem za rękę w światło mojej sławy,  
A ty sączyłaś we mnie jad i fałsz nieprawdy.

Byłaś ze mną w stu łóżach, gdzie po tysiąc razy  
Powtarzałaś najczulsze oddania wyrazy,  
Dzisiaj miłość umarła. Ja nad grobem stoję  
I nie ma przebaczenia. Umrzemy oboje. (...)

Po latach zaprzątnięty mą sławą kronikarz  
Odkryje Cię. I pozna, że trwasz i nie znikasz,  
Więc imię twe uwieczni litościwą wzmianką,  
Iż byłaś mą kochanką. Niewierną kochanką.

Zareagował tak samo gwałtownie, jak podczas wojny, kiedy zabiegał o Janinę Serocką. Nie potrafił zrozumieć kobiety, która odrzucała jego miłość. Był przecież Janem Brzechwą!

W 1964 roku jego nazwisko znalazło się wśród sygnatariuszy protestu przeciwko nagonce na Polskę Ludową, której przyczyną miał być tzw. List 34. Radio Wolna Europa, a za nim tygodnik „The Times”, opublikowały list, który skierowała do polskiego rządu grupa wybitnych pisarzy i uczonych, m.in. Maria Dąbrowska, Maria Ossowska, Jerzy Andrzejewski, Karol Estreicher, Paweł Jasienica, Tadeusz Kotarbiński, Jan Parandowski, Stanisław Pigoń, Antoni Słonimski, Władysław Tatarkiewicz i Melchior Wańkowicz. List był krótki i w istocie niewinny. Autorzy protestowali przeciwko zaostreniu cenzury oraz ograniczeniom przydziału papieru na druk prasy i książek, a także domagali się zmian w polityce kulturalnej, czyli tego, o czym wielokrotnie i to znacznie dobitniej mówiono na różnych zebraniach. Problem polegał na tym, że list został przekazany zachodnim mediom, a tego partia puścić płazem nie zamierzała. Zorganizowana została akcja podpisywania kontrlistu, pod którym znalazły się nazwiska ponad 600 literatów. Byli wśród nich najwybitniejsi (m.in. Wisława Szymborska, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Różewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz oraz Brzechwa) i wielu takich, których zasługi literackie zarówno wtedy, jak i dziś pozostają nieznane. Ale listy z ich podpisami publikowały z satysfakcją partyjne gazety. Niektórzy próbowali tłumaczyć, że tak naprawdę z Listem 34 się solidaryzowali, a protestowali jedynie przeciwko szkalowaniu Polski, jednak kontrlist pozostaje dowodem oportunistów środowiska i odwrócenia się od tych, którzy wystąpili w jego najlepiej pojętym interesie.

W tym samym roku Brzechwa otrzymał jedno z najwyższych peerelowskich odznaczeń: order Sztandaru Pracy. Odbierał go razem z Józefem Kuropieską w Belwederze. „Był rad, że o nim pamiętano” – wspominał Kuropieska. Zwłaszcza że rok wcześniej musiał udawać, że nie obeszło go przyznanie komu innemu nagrody literackiej ministra kultury i sztuki, choć gratulowano mu już zdobycia lauru. Ktoś, zwykle dobrze poinformowany, przed oficjalnym ogłoszeniem decyzji ministra powiedział Brzechwie, że nagroda przypadnie właśnie jemu. Wieść szybko się rozeszła, rozzwoniły się telefony z gratulacjami, bo kandydat wydawał się absolutnie oczywisty i niebudzący kontrowersji. „Brzechwa był przekonany, iż ma ją już w kieszeni” – wspominał Stanisław Ryszard Dobrowolski. Tymczasem nagrodę dostał kto inny. Gorycz była podwójna, bo ministerialny laur dawał upragniony dostęp do lecznicy rządowej. Brzechwa, mimo zaawansowanej choroby serca, musiał przed każdym zabiegiem przechodzić upokarzającą procedurę kwalifikacyjną i zabiegać o poparcie związku literatów, w dodatku często nieskuteczne.

Minister, do którego dotarła wieść o nieporozumieniu, przy jakiejś okazji zaczął poetę pocieszać, że na pewno dostanie przyznawaną co dwa lata nagrodę w kolejnym rozdaniu.

– Panie ministrze, mnie pośmiertne wyróżnienia nie interesują – usłyszał.

# O wpływie pełni księżyca na wymiary kocich ogonów...

Im więcej lat mijało od pierwszego wydania *Akademii Pana Kleksa*, tym częściej pojawiały się pytania o dalszy ciąg. Pisały do Brzechwy dzieci, naciskali wydawcy. Niesłabnące powodzenie baśni o magicznej Akademii, w której nie trzeba uczyć się tabliczki mnożenia ani kaligrafii, ani żadnych innych nauk wykładanych w szkołach, dawało pewność, że sukcesem będzie także jej kontynuacja. W połowie lat pięćdziesiątych poeta wreszcie uległ i zaczął pisać. *Podróże Pana Kleksa*, opowieść o wyprawie do najdziwniejszych krain: Bajdocji, Abecji, Patentonii oraz na Przylądek Aptekarski i Obojga Farmacji w poszukiwaniu atramentu, ukazały się w 1958 roku.

Janina Brzechwa była świadkiem, jak rodziły się pomysły do nowej książki. Podczas zwiedzania jakiegoś muzeum oglądali płaskorzeźbę przedstawiającą grupę dostojnych starców z poskręcanyimi, długimi do pasa brodami w kremowym kolorze.

– Popatrz – powiedział Brzechwa – oni mają brody z makaronu. Jestem głodny. Chodźmy na spaghetti z sosem pomidorowym.

Później w *Podróżach* przeczytała rozdział o Parzybrocji, której mieszkańcy noszą brody z makaronu.

Przystępując do pisania trzeciej części powieści – *Tryumfu Pana Kleksa*, Brzechwa zapowiedział, że książka będzie eksperymentem. Warstwę baśniową przeznaczył dla dzieci, a satyryczną dla dorosłych. Jeśli jednak powieść naprawdę miała być satyrą, to bardzo subtelną.

Pierwotnie *Tryumf* zaczynał się tak: „Przed laty, jak powszechnie wiadomo, istniała w naszym kraju Akademia Pana Kleksa, uczelnia, która cieszyła się w całym świecie zasłużonym poważaniem i rozgłosem. Stamtąd wywodzą się najwybitniejsi nasi uczeni, że wymienię choćby profesora Mętlika, autora dzieła *O wpływie pełni księżyca na wymiary kocich ogonów*, czy magistra Kleja, słynnego wynalazcy proszku przeciw rekinom”. Jednak taki początek książki, który mógł być wstępem do aluzyjnej opowieści o kraju, gdzie wszystko jest postawione na głowie, pozostał w rękopisie. Nie wiadomo, dlaczego Brzechwa go zmienił. Ostatecznie trzecia część trylogii, która ukazała się w 1965 roku, rozpoczyna się od wyliczanki imion absolwentów akademii z ostatniego roku: trzech Aleksandrów, dwóch Anastazych, czterech Albinów, dwóch Agenorów, trzech Aleksych, jednego Andrzeja, jednego Apolinarego i jednego Adama. Niezgódki, narratora kolejnych tomów.

Kiedy powstawał *Tryumf Pana Kleksa*, Polska grzęzła w gomułkowskiej małej stabilizacji. Ale jej realia stanowią tylko tło wydarzeń. Owszem, pojawiają się w powieści obrazy, które dorosłym czytelnikom mogły przywoływać przed oczy absurdy rzeczywistości, w jakiej żyli, ale wcale nie ma ich tak wiele, jak można było spodziewać się po zapowiedziach autora.

„Co rok wywozimy za granicę pięćdziesiąt milionów jajek, a za uzyskane dewizy sprowadzamy sto tysięcy zegarków...” (fragment przemówienia króla Alamakoty, które mogło przywołać na myśl pełne liczb, procentów i statystyk referaty Władysława Gomułki).

„Produkcja Bąbli stanie się dla nas posunięciem antyimportowym. Obejdziemy się bez zagranicznych specjalistów. Bąble nam ich zastąpią. (...) Rada Ministrów przystąpi natychmiast do opracowania zasad zbąblizowania gospodarki narodowej” (antyimportowa samowystarczalność polskiej gospodarki była uważana przez I sekretarza partii za cnotę ważniejszą niż cokolwiek innego).

„Telefony nieustannie się psuły i ludzie tracili połowę czasu na daremne zabiegi w celu uzyskania połączenia. Doszło do tego, że praca w biurach i urzędach całkiem ustała. Wszyscy bowiem bez przerwy zajęci byli bezskutecznym nakręcaniem numerów”. (W Alamakocie telefony zostały dla

dobra państwa raz na zawsze zlikwidowane, bo nie działały; w PRL teoretycznie były, ale też trudno było się gdziekolwiek dodzwonić).

„Z jednego końca nazywała się Staroprojektowana, z drugiego Nowoprojektowana, a pośrodku – Środkowoprojektowana” (ulica, przy której mieszkali państwo Lewkonikowie, była wykwitem tej samej nazewniczej fantazji, co ulica Alternatywy 4 z telewizyjnego serialu).

Chlubą Alamakoty były kurze fermy, ale Alamakotańscy nie mogli najeść się do woli znoszonymi na nich jajkami. Niemal wszystkie wywożono za granicę, a najwyższą formą wyróżnienia dla obywatela było prawo do zjadania przez cały rok po jednym jajku w każdą niedzielę, choć oczywiście członkowie władz i ich zagraniczni goście mieli do jaj dostęp ułatwiony. Istniało za to Ministerstwo Hodowli Kur i Instytut Smażenia Jajeczniczy, w którym opracowano sto szesnaście sposobów przyrządzania tej potrawy. Dla czytelników *Tryumfu Pana Kleksa* musiało być oczywiste, że jajka w Alamakocie stanowią taki sam polityczny i społeczny problem, co deficytowe mięso w Polsce dyktatury proletariatu.

Za zasługi dla Alamakoty można było za to zostać odznaczonym jednym z wielu państwowych medali i orderów. Najważniejsze były Order Wielkiej Kury i Krzyż Komandorski Złotego Koguta z Gwiazdą, ale o innych osiągnięciach rząd Alamakoty też nie zapominał. Order Trzeciej Nogi dostawało się za trafienie piłką do bramki, Krzyż Trzeciej Ręki za usmażenie najsmaczniejszej jajeczniczy, a były jeszcze Krzyż Alambajskiego Współistnienia oraz medale: Za Łapanie Komarów, Za Jazdę Na Hulajnodze, Za Puszczenie Bąbelków. No i oczywiście Medal Eksportowego Jajka. Jak w ludowej Polsce, która też mnożyła odznaczenia za zasługi rzeczywiste i wymaginowane.

Równie wiele było w Alamakocie świąt. uroczyście obchodzono Dzień Przyjaźni Alambajskiej, Dzień Hodowcy Kur, Dzień Ogrodnika, Dzień Kucharza, Dzień Dojarza Drzew Laktusowych, a oprócz tego Rocznicę Lądowania Bajdotów, Święto Hulajnogi, Święto Zepsutych Zegarków, Święto Jajeczniczy i jeszcze wiele innych. W Alamakocie świętowano co trzeci dzień, w Peerelu niewiele rzadziej. A jak już świętowano, to na całego.

Świąteczne przemarsze w Alamakocie przypominały peerelowskie pochody pierwszomajowe. Z balkonów i okien zwisały girlandy kwiatów, na niebie rozbłyskiwały fajerwerki, a ludność wznosiła okrzyki w rodzaju: „Niech żyje jajecznicza”. Można było nawet dostać deficytowe jajka na twardo. Manifestujący przesuwali się wolno wśród szpalerów wiwatujących gapiów, ulicami, nad którymi przerzucone były transparenty z rymowanymi patriotycznymi hasłami:

Każdy aktywista sportu  
Dba o kury dla eksportu

Czy to styczeń, czy to maj,  
Niech się zwiększa eksport jaj.

Czytający *Tryumf Pana Kleksa* mogli bawić się aluzjami i ironicznymi odniesieniami do rzeczywistości, mimo wszystko jednak trudno traktować ostatnią część trylogii jako metaforę Polski początku lat sześćdziesiątych XX wieku.

# W mojej pamięci jest słoneczny...

Nie pasował do dziewiętnastowiecznego stereotypu poety. Nie nosił peleryny ani kapelusza z opadającym rondem, nie był chudy ani zabiedzony, nie miał długich włosów ani błyszczących chorobliwie oczu. „Wyglądał jak bardzo zamożny i bardzo wypielegnowany pan mecenas”, pisał Antoni Marianowicz. Czyli wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać człowiek, którym był. Szanowany prawnik, autorytet w dziedzinie prawa autorskiego, adwokat odnoszący sukcesy na sali sądowej, działacz kilku stowarzyszeń pisarzy i organizacji zajmującej się ochroną praw twórców.

Zawsze w nienagannie skrojonym garniturze, eleganckich okularach w grubej, rogowej oprawie, z markowym piórem w kieszonce i przywiezionym z Francji notesem. Był estetą, nie znosił bylejakości ani niechlujstwa, w prząsnej powojennej Polsce od razu czuło się, że jest kimś, wspominał Marianowicz. Bezbłędnie odgadywali to kelnerzy w restauracjach, w których biesiadował z przyjaciółmi. Z rachunkiem podchodzili zawsze właśnie do niego, choć przy stole siedziało kilka, czasem nawet kilkanaście osób.

Wielu przyjaciół wspominało Brzechwę jako mentora.

– Był dla mojego męża wzorem elegancji – mówi Rita, żona Antoniego Marianowicza. – Traktował go trochę jak syna, w końcu był starszy o 25 lat. Sam nie miał syna, a Kazik (tak Marianowicza nazywali przyjaciele i żona – M.U.) stracił ojca w czasie wojny.

Stefania Grodzieńska, przed wojną girlsa w teatrzykach rewiowych, po wojnie autorka satyrycznych opowiadań i wierszy, mówiła, że Brzechwa ją wychowywał. Był elegancki i starał się nauczyć tej elegancji także innych. Kiedy Grodzieńska była zapraszana na jakieś ekskluzywne przyjęcie, najpierw dzwoniła do Brzechwy. Mówiła, gdzie jest zaproszona, na którą godzinę i kto jeszcze będzie: – On opowiadał, w co i jak się ubrać, uprzedzał rozmaite wpadki, które mogą się zdarzyć – wspominała w rozmowie z Moniką Zakrzewską. Kiedy indziej napisała: „miał tę już niespotykaną bezbłędność w zachowaniu, prawdziwe zainteresowanie rozmówcą, intuicję, delikatność, takt, a przy tym ogromny autorytet”.

Przed przyjęciem w polskiej ambasadzie w Wiedniu też zadzwoniła do Brzechwy. Nie zawiodła się. – Na pewno dadzą truskawki, bo to o tej porze roku rarytas. Jeżeli będzie misa z truskawkami z szypułkami, to bierz ręką za szypułkę. Nie żaden widelczyk ani łyżeczki. I zobacz, czy ludzie w czymś maczają. Jak tak, to rób tak samo.

Stefania Grodzieńska wspominała też, że sam zawołany epistolograf, uczył także innych czerpania radości z bezinteresownej korespondencji: „Zdarzało się, że był u nas na brydżu, a po powrocie do domu siadał i pisał do kogoś z nas”. Pisał zawsze ręcznie. Bo list pisany na maszynie uważał za zbyt oficjalny i biurowy, a więc niewłaściwy w kontaktach z osobami, które lubił. Bo maszyna jest narzędziem pozbawionym duszy. Bo, żartował, spadkobiercy będą mieli większą satysfakcję, gdy odziedziczą po pisarzu autograf, wreszcie, bo pismo własnoręczne przybliży autora listu do adresata. Ale nie lubił listów niechlujnych, pisanych na wydartej z zeszytu byle jakiej kartce.

Był wolny od zawiści o dokonania kolegów, nawet tam, gdzie mógł się zasłużyć czuć gospodarzem, czyli w literaturze dziecięcej. Szancerowi sam polecił Igora Sikiryckiego; efektem był bardzo pięknie zilustrowany przekład *Konika Garbuska*. A kiedy zdarzyło się, że Sikirycki napisał wiersz bardzo przypominający jedną z bajek Brzechwy, pocieszał go, że nic złego się nie stało: „pomysły zawsze się powtarzały. Kryłow nic sobie z tego nie robił i zrzynał z La Fontaine’a”.

Podobnie zareagował, kiedy któryś z recenzentów książki Wandy Chotomskiej *Wiersze pod psemy* zasugerował ich nadmierne podobieństwo do utworów Brzechwy. Chotomska wysłała pocie swój

tomik, dołączając recenzję.

– Odpisał natychmiast, zapewniając, że książeczka będzie ozdobą jego biblioteki, bo wiersze świetne, psi temat jest mu bardzo bliski, a wzmianka o powinowactwie literackim przepeliła go dumą – wspominała Wanda Chotomska.

Kiedy otrzymała nagrodę literacką ZAiKS-u (domyślała się, że to Brzechwa stał za wyróżnieniem) i martwiła się, czy wygląda dość dobrze wśród nobliwego literackiego towarzystwa w młodzieżowej sukience na sztywnej halce i butach rokendrolkach (był początek lat sześćdziesiątych), Brzechwa pospieszył ze słowami otuchy.

– Ma pani świetną publicyty i nie mniej znakomitą kreację – zapewnił. „Powiedział to, co każda dziewczyna na moim miejscu chciałaby usłyszeć” – pisała Chotomska.

Stanisław Ryszard Dobrowolski napisał, że wśród setek, a może nawet tysięcy ludzi, z którymi sam współpracował albo których po prostu znał, nie było drugiej osoby tak bardzo wyzbytej zawiści i niechęci wobec innych, „bardzo pospolitej w artystycznych środowiskach”. Podczas przyjęć i zabaw był ostoją nieśmiałych i przerażonych sławą literackich gwiazd oraz ucieczką zagubionych, wspominała Irena Szymańska. „W tym nieskazitelnie wytwornym panu nie było śladu ostentacji” – zapamiętała. Raz tylko wydało się jej, że dostrzegła w Brzechwie zazdrość. Spotkali się jak zwykle przy brydżu, ale tego wieczora poeta nie mógł skupić się na grze. Wreszcie zdradził, co się stało.

Przed południem przyszedł do jego gabinetu w ZAiKS-ie dawny kolega, który właśnie stał się nową... koleżanką. Podał się operacji i zmienił płeć, zmieniając się w kobietę, w dodatku, jak twierdził Brzechwa, ładną. Opowiadając mu o swej przemianie, rozpięła bluzkę, żeby pokazać, że ma nawet piersi. Uczyniła to gestem naturalnym u mężczyzny, bezwstydnym u kobiety, relacjonował Brzechwa. Powiedziała, że pod każdym względem lepiej być kobietą. Właśnie wtedy Szymańska dostrzegła u przyjaciela zazdrość. Przemiana mężczyzny w kobietę wydała mu się wręcz cudem, a coś, co powstało, istotą z baśni. „Tylko tego umiał zazdrościć – pełni doznań, przygód, jakich sam nie mógł doświadczyć” – wspominała.

Potrafił się z siebie śmiać. Kiedyś wystąpił w Tele-Echu, programie Ireny Dziedzic złożonym z wywiadów, który oglądali wszyscy. Na koniec dziennikarka poprosiła, żeby goście zatańczyli walca. Także Brzechwa. Zobaczyła to cała Polska. Kilka dni później nieprawidłowo przejechał przez skrzyżowanie. Milicjant, który go zatrzymał, uważnie obejrzał dowód i prawo jazdy, potem zlustrował Brzechwę i zapytał:

– To wy tańczycie w telewizji?

Na wszelki wypadek nie zaprzeczył. „Dzięki temu unikałem mandatu” – wspominał w jednym z felietonów.

Kiedy indziej doroczny majowy kiermasz książek zbiegł się z zakończeniem kolarskiego Wyciągu Pokoju, w którym startował najśłynniejszy polski kolarz tamtych czasów, Stanisław Królak. Brzechwa podpisywał książki na stoisku wydawnictwa Czytelnik, gdy pojawił się Marcin Szancer.

– Wiesz, Janek, na giełdzie autografów zamieniają „dwie Brzechwy za jednego Królaka”.

– Literatura na końcu peletonu – uśmiechnął się poeta.

W wielu artykułach i wywiadach wspominał przygody podczas wieczorów autorskich. Pokory w podejściu do własnej popularności nauczyła go kierowniczka pewnej świetlicy w Krakowie, wspominał. Zapowiedziała jego występ: – A teraz wystąpi nasz znany pisarz i poeta – Jan Brzytwa! A bywało jeszcze gorzej: był panem Drzewko i panem Grzywką, a nawet panem Rzuchwą, Szewką i Grzeszką.

W Poznaniu jakiś młody człowiek zapytał go, czy potrafi śpiewać romanse cygańskie, w Sobieszowie, kiedy skończył czytać wiersze i poprosił o pytania, pierwsze brzmiało: – Proszę

pana, a jak pan się nazywa? W Łodzi dyrektor szkoły pochwalił się, że uczniowie przygotowali na spotkanie swój ulubiony wiersz jego autorstwa. Wyrecytowali *Lokomotywę* Juliana Tuwima. „Tak, proszę państwa! (...) popularność to rzecz złudna i raczej – pośmiertna” – napisał.

Bał się niemowląt i małych dzieci, wspominała żona. Im były młodsze, tym bardziej wpadał w panikę. Ze starszymi, z którymi można było nawiązać kontakt, spotykał się chętnie, żartował, rozmawiał jak z dorosłymi.

Pewnego razu pięciolatek, który towarzyszył znajomej odwiedzającej Brzechwów, na widok ściany książek zapytał:

– To te wszystkie książki pan napisał?

– Tak – potwierdził Brzechwa, budząc w oczach chłopca bezbrzeżny podziw.

– Dlaczego okłamałeś dziecko? – zapytała po wyjściu gości żona.

– Gdybym zaprzeczył, chłopiec byłby zawiedziony, a co gorsza mógłby stracić respekt dla mnie – odparł bajkopisarz.

Sporo jeździł, służbowo i prywatnie, za granicę i po kraju, najczęściej do któregoś z domów ZAiKS-u albo Związku Literatów Polskich. Oficjalnie, żeby pracować, nieoficjalnie, by spędzić przyjemnie czas na kartach i literackich dyskusjach.

Po jednym z pobytów w Zakopanem wpisał się do księgi pamiątkowej pani Puci, bardzo lubianej w środowisku zaiksowców barmanki w restauracji Watra. Wpisów i rysunków w księdze było mnóstwo, ale zdaniem Marianowicza, prawie nikt nie włożył w swój tyle wdzięku, co Brzechwa. Napisał: „Gdy żonę człowiek porzuci / Przeniesie się do Puci. / Bo tylko z cudną Pucią / Poradzi sobie z chucią”.

Zofia Nałkowska wspominała spotkania z poetą w Krynicy. Przebywała w uzdrowisku na kuracji, gdy przyjechał Brzechwa. Wieczorem przyszedł ją odwiedzić. Miała gości. „Dowcipy przycichły wobec tego autorytetu” – zapamiętała. Wizyt było więcej, „jeszcze herbata i tort z towarzyszeniem Brzechwy i jego żartów, i jego jakości” – zanotowała w dzienniku innego dnia.

Podczas pobytu w jednym z domów ZAiKS-u poznała Brzechwę Maria Iwaszkiewicz, córka Jarosława. Wspomina bardzo przystojnego, wysokiego mężczyznę („Był chyba tak duży, jak mój ojciec”), który bawił wszystkich swoimi żartami.

– Miał niebywale poczucie humoru, ale nie było w nim nawet cienia złośliwości – dodaje. – Ojciec napisał gdzieś o nim, że był jednym z najmilszych ludzi, jakich spotkał w życiu. Może nie był najbardziej utalentowanym poetą, jeśli chodzi o rzeczy poważne, ale to, co pisał dla dzieci, było rozkoszne i po prostu genialne.

Na wypoczynek przyjeżdżał zwykle z żoną, która bywała obiektem żartów środowiska.

– Była bardzo piękna, on zakochał się w niej w czasie wojny śmiertelnie, ale pamiętano jej, że była żoną fryzjera – opowiada Maria Iwaszkiewicz. – Brzechwa był o nią bardzo zazdrosny, mówiono nawet, że dawał jej do przepisywania jakieś teksty, bo miał wtedy pewność, co robi.

Na temat swojego żydowskiego pochodzenia milczał, choć nie było wątpliwości, że wszyscy, których to interesuje, doskonale o tym wiedzą.

„Nigdy nie odcinał się od swoich korzeni” – napisał Marianowicz. Z Żydów próbujących ukrywać pochodzenie kpił. Opowiadał anegdotę o Żydzie i garbusie, którzy spędzili kilka lat w jednej więziennej celi. Kiedy wychodzili na wolność, pierwszy postanowił zdradzić towarzyszowi niedoli długo skrywaną tajemnicę:

– Jestem Żydem.

– Ja też wyjawię ci mój sekret – odrzekł garbus. – Jestem garbaty.

O koledze, który przypisał sobie autorstwo cudzego tekstu, powiedział Ryszardowi Rokickiemu:

– Nie ma większego nieszczęścia, niż jak się urodzi głupi Żyd.

Ci, którzy go znali, wspominają, że nigdy nikomu nie odmówił pomocy. Radził, pomagał nawiązać kontakty z wydawcami, pożyczal pieniądze, krył niewiernych mężów przed podejrzliwymi małżonkami. Raz znalazł się przez to w poważnych tarapatkach. Jednemu z przyjaciół, z którym namiętnie grywał w karty, potrzebne było alibi, usprawiedliwiające przed zazdrosną żoną dłuższe niż zwykle nieobecności. Brzechwa, pracujący właśnie nad przekładem poematu Puszkina *Rustan i Ludmiła*, wpadł na pomysł, że przecież oficjalnie mogą to robić razem. Co prawda przyjaciel nic nigdy wcześniej nie napisał, ale żona, dumna z powodu nowo odkrytego talentu męża, we wszystko uwierzyła.

Słabość fortelu wyszła na jaw, gdy przekład ukazał się drukiem.. podpisany wyłącznie nazwiskiem Brzechwy. Rzekomy współautor tłumaczył żonie, że wszystko przez brzechwową pazerność na sławę. Bo jemu zależało wyłącznie na pieniądzach, więc się przy nazwisku pod tłumaczeniem nie upierał. By uspokoić wątpliwości niewiasty, kupił jej drogie futro. Kobieta, „dotknięta do żywego krzywdą męża, zrobiła dziką awanturę” – napisał Marianowicz, ale Brzechwa do końca nie zdradził, jak było naprawdę.

Ale ostatecznie i jemu dojadły ciągle nagabywania, prośby i żądania, zarówno te przyjacielskie, jak i te służbowe, w ZAiKS-ie, ZLP i Pen Clubie, coraz bardziej natrętne i pełne pretensji, jeśli nie dość szybko zajął się ich załatwianiem. Marianowicz wspominał, że „od czasu do czasu wpadał w furję i zapowiadał, że już nigdy nie kiwnie palcem w niczyjej sprawie”. W końcu napisał wiersz *Bunt anioła*. O pogodnym, wesołym i dobrym aniele, życzliwym, uczynnym i usłużnym. Który pożyczal pieniądze, wstawiał się w sprawie mieszkania albo paszportu, załatwiał przydział na lodówkę albo widzenie u ministra, ale ludziom i tak wszystkiego było mało.

Wił się nasz anioł jak mucha w smole,  
Wreszcie miał dosyć. Zdjął aureolę,  
Na złom ją oddał, zaklął złowrogo  
I tupnął gniewnie anielską nogą.  
Potem na balkon wyszedł i wołał:  
„Skończył się anioł! Nie ma anioła!  
Niech całe miasto obleci fama,  
Że od tej chwili jestem za chama,  
Jestem chuligan, gbur aspołeczny,  
Zły, proszę państwa, zły i niegrzeczny!  
Do diabła wszystko! Diabeł ma rację!  
Zwracam anielską legitymację!”

Lubił dobrze zjeść.

– Poziom jadłospisu wybitnie podniósł Jan Brzechwa. Bywały tam nawet raki – opowiadała o pobytach w Oborach poetka Julia Hartwig.

Często jednak powtarzał, że lubi nie tyle jeść, co ucztować, a to zasadnicza różnica. Równie ważne było towarzystwo, interesująca rozmowa, miło spędzony czas. „«Ucztować» znaczyło podnieść proces jedzenia do rangi wyższej niż prymitywne zaspokajanie głodu” – wspominała Janina Brzechwowa.

– Szkoda, że nie urodziłem się w czasach rzymskich – westchnął kiedyś. – Mógłbym jak Petroniusz wśród grona przyjaciół ucztować na leżąco, w laurowym wieńcu na głowie i prowadzić błyskotliwe



rozmowy.

Żona postanowiła sprawić mu przyjemność i zorganizować obiad á la Petroniusz. Uplotła z liści laurowych dwa wieńce, pospinała agrafkami prześcieradła i podała ułożonemu na tapczanie mężowi krupnik, kurczaka i czerwone wino. Efekt był zniechęcający: pooblewane zupą stroje i meble, walające się po podłodze kości i wariująca suczka Negri. Na powtórkę rzymskiego przyjęcia „na leżać” Brzechwa już się nie zgodził.

– Nie wiem, co ci Rzymianie w tym widzieli. To piekielnie niewygodna pozycja – oświadczył.

Czasem to zamiłowanie to kulinarnych eksperymentów prowadziło do katastrofy. Podczas pobytu z żoną w Nicei wypatrzył w jednej z portowych uliczek restaurację, w której menu była bouillabaisse, słynna francuska zupa rybna.

– Idziemy na bujables! – ogłosił. – Musisz spróbować tej wspaniałej potrawy.

Był tak zachwycony odkryciem, że bez najmniejszego zastanowienia rarytas zamówił. „To, co nam podano, przypominało raczej zupę pomidorową wielokrotnie podgrzewaną” – wspominała żona. A Brzechwa był zażenowany, że tak się wygłupił: – Przecież wiadomo, że bujables można jeść tylko w Marsylii – przeproszał.

Chude diety, przyznawane przez socjalistyczne państwo na służbowe wyjazdy za granicę, wydawał na przyzwoite pióra, które nie robiły kleksów, wykwinną papeterię oraz dobrej jakości papier, niedostępny w PRL (twierdził, że na innym nie jest w stanie pisać). Potrafił całe godziny spędzać w paryskich sklepikach z materiałami piśmiennymi, szukając dobrze leżącego w rękę pióra (nikomu innemu nie wolno było potem zdobywszy używać!) i papieru, którego chciałoby się bez przykrości dotykać. „Twierdził, że poprzez pióro dusza piszącego wraz z atramentem spływa na papier” – wspominała żona.

Z równym zaangażowaniem wyruszał na poszukiwanie markowych papierosów, o które w socjalistycznej Polsce było jeszcze trudniej niż o papier i pióra. Był nałogowym palaczem. Dobrowolski, z którym pojechali jako delegaci ZAiKS-u na konferencję w Brukseli, z przerażeniem patrzył, jak Brzechwa wydaje wszystkie pieniądze na kolejne paczki egipskich, tureckich i amerykańskich papierosów, nie przejmując się, że nie będzie miał za co zjeść obiadu.

Ale największą namiętnością Brzechwy były karty. Brydż, remik, czasem poker, a najbardziej czerwony król, czyli kierki. W Warszawie konfiguracja karcianych partnerów była stała: aktorka Lidia Wysocka, satyryk Jerzy Jurandot, znajomy z przedwojennych kabaretów Artur Tur oraz aktor i współzałożyciel ZAiKS-u Tadeusz Żeromski. Z czasem dołączyła do nich jeszcze Irena Szymańska. Wolała brydża, ale Brzechwa przekonał ją do króla, w którego grywali na Opoczyńskiej przez osiem lat prawie co tydzień. Szarżowali, podwajali stawki, blefowali, wrzeszczeli na siebie i innych, „pożerani żądzą pokonania przeciwników” – wspominała. Było nawet kilka sylwestrów, gdy znajdujący się w „szponach hazardu” karciarze porzucali niegrające żony i mężów w jednym pokoju, a sami zasiadali w sąsiednim do upragnionej partyjki. „Ze śmiercią Jasia król się skończył i wróciliśmy do brydża” – napisała Irena Szymańska.

Grał w karty także podczas pobytów w domach pracy twórczej: ZLP w Oborach i ZAiKS-u w Zakopanem. „Najlepsza partia «rządząca» skupiała się przy stoliku Jana Brzechwy” – wspominała Helena Kołaczkowska pobytu w Oborach. Skład przy stoliku często się zmieniał, dochodził Antoni Słonimski z żoną, hrabia dramaturg Ludwik Hieronim Morstin, także z żoną, przedwojenną piękną, wytworną mecenas z fajką i kierowniczką domu z herbowym sygnetem na palcu (jej rodowy majątek, upaństwowiony podczas reformy rolnej, znajdował się po drugiej stronie rzeki). „Wszyscy oni wyglądali jak towarzystwo z minionych czasów. Pasowali do pałacu” – Marek Nowakowski należał do grona młodych pisarzy, którzy ukradkiem podglądali nobliwie towarzystwo.

Do grających dołączał czasem Tadeusz Konwicki. Razem z Brzechwą, arystokratyczną kierowniczką i zmieniającym się tzw. czwartym rżnęli wieczorami w brydża. Zwykle w którymś momencie Brzechwa, rozdając karty, rzucał trochę do siebie, trochę do Konwickiego: – Tadziu, wiesz, tam za firanką.

To oznaczało, że Konwicki ma szybko iść do pokoju Brzechwy, gdzie za firanką stoi „butelka sympatycznego płynu”, przynieść ją „i jeszcze w trakcie skromnego hazardu robiliśmy sobie taką przyjemność napitkową” – wspominał autor *Kalendarza i klepsydry*.

Jak każdy nałogowy karciarz, jednocześnie cieszył się grą i irytował. Zbyt odważne zagrania partnerów komentował: „Janko ryzykant”, a te, z których był niezadowolony (grający w brydża wiedzą, że takich jest zwykle najwięcej): „Ażebyś popękał w szwach”. Jego pasja była tematem żartów. Słonimski, będąc w 1958 roku w Japonii, wysłał do Szymańskiej depezę, w której ostrzegał ją przed grasującym tam międzynarodowym oszustem, niejakim Brzechwą, znanym już przed wojną w Gliwicach z oszustw karcianych.

Utrzymywał, że człowiek, który wymyślił grę w karty, był geniuszem większym nawet niż „jakiś” Archimedes, Newton czy Marconi. Umieszczał karty w bajkach (namiętym karciarzem był na przykład król Fafuła IV z *Baśni o korsarzu Palemonie*) i lirykach, choćby w *Spóźnionych refleksjach*. O tym, że każdy wiek ma swoje przyjemności: piłkę nożną, rozkosze miłości, podróże, a nawet... naukę. W końcu jednak człowiek mądrzeje i dostrzega to, co w życiu najważniejsze.

Teraz, gdy się zestarzał, umysł mam otwarty,  
Przejrzałem, zrozumiałem i wiem już niezbiecie,  
Że przez to, iż tak późno zacząłem grać w karty,  
Bezpowrotnie i głupio zmarnowałem życie.

„Do pracy i do zabawy! Homo faber i homo ludens. Janek, jak nikt inny, łączył te dwa przeciwieństwa. Pracowity epikurejczyk” – wspominała kilkanaście lat przyjaźni z Brzechwą Irena Szymańska.

Pracował rano. Wstawał wcześniej i pisał, wykorzystując pomysły zanotowane poprzedniego wieczora albo przywiezione z jakiejś podróży. W południe szedł na dyżur w jednej z organizacji, do której zarządu znów dał się wciągnąć, albo na spotkanie w kawiarni z innymi pisarzami. Posłuchać najświeższych plotek, nowych dowcipów i zjadliwych recenzji na temat książek nieobecnych akurat kolegów. Po południu już tylko poprawiał i przepisywał na czysto to, co napisał rano.

– Najpierw mąż pisze ręką. Potem to poprawia. Potem to się przepisuje. Potem to się poprawia. Potem to się przepisuje. Potem to się poprawia. Potem... – opowiadała w jednym ze wspólnych wywiadów żona. Brudnopisy dał dokładnie na drobne kawałki... utwory Brzechwy bardzo rzadko mają po kilka wersji.

Do końca próbował oszukać śmierć. Kokietował ją żartobliwymi wierszami, kpił, uwodził, tak jak uwodził przez całe życie dzieci, ich mamusie, a nawet kolegów. Starał się żyć jak dawniej. Ale śmierć w końcu i tak przyszła, jak kelner w czarnym fraku z gotowym rachunkiem, napisała Magdalena Samozwaniec: „– Proszę, tu są wymienione wszystkie butelki wina i koniaku, które pan szanowny wypił, gdy już był chory, a tutaj tysiąc «gauloisów», kiedy szanownemu panu nie wolno już było palić. A tutaj proszę, podróże samolocikami w tę i w tę przy chorobie układu krążenia niezbyt wskazane. Serduszko u szanownego pana było już słabe, miewał szanowny pan skoki temperatury, a tymczasem z podróży do Jugosławii, po krótkim odpoczynku w Oborach, pofrunął szanowny pan

do Paryża – no i to był już ostateczny koniec. – Dziękuję uprzejmie. Moje uszanowanie...”.

Wszyscy, którzy Brzechwę znali, wspominali jego życzliwość, otwartość, ciepło. „Nie było w całej Polsce jednego człowieka, który by na Janka powiedział cokolwiek złego (...). Ów wielki zniewalający urok wypływał z jego psychicznego stosunku do ludzi” – napisała Magdalena Samozwaniec. Człowiek o uśmiechu pogodnym jak letnie niebo, patrzył na ludzi jak Czechow, rozczulały go ich smętne zabiegi i wysiłki, mówił Jarosław Iwaszkiewicz. „Był satyrykiem bez potrzeby agresji” – takim zapamiętała go Irena Szymańska.

„Janek Brzechwa w mojej pamięci jest słoneczny, z nim nie łączą się w mojej pamięci żadne jakieś chmury, żadne zawieruchy, żadne wiatry. To był wspaniały, strasznie sympatyczny człowiek” – wspominał go po latach Tadeusz Konwicki.

# Staroświecko pocziwe historie drastyczne

„Przez cały czas chciałem być poetą lirycznym. No, ale stało się inaczej” – powiedział pod koniec życia Krystynie Nastulance. „Przydarzyło mu się bowiem to, co się czasem poetom przydarza (...) złote jabłko znalazł nie tam, gdzie go początkowo szukał” – napisał Ryszard Matuszewski.

W dodatku wcale nie był przekonany, że naprawdę to złote jabłko znalazł. Bardzo długo, być może do końca życia, miał kompleks niedoceny. Bo tworzy dla dzieci: utwory niepoważne, mało wartościowe i niewymagające literackiego talentu. Pisał o tym w felietonach i poważnych artykułach, mówił w wywiadach, dzielił się poczuciem dotykającej go niesprawiedliwości w prywatnych listach. Z rzadka tylko potrafił z tego żartować. Nawet dzieci, które zachwycają się moimi wierszami, w końcu dorastają, mówił Nastulance, „zaczynają pracować we «Współczesności», piszą docinki”.

W 1961 roku, gratulując Marianowi Brandysowi książki *Nieznany książkę Poniatowski*, którą porównał do najlepszych esejów Boya, pisał, że robi to przede wszystkim jako miłujący książki czytelnik, a nie pisarz, którego zdania Brandys być może nie ceni. „Wiem, że w środowisku naszych kolegów jestem uważany za coś pośredniego pomiędzy półinteligentem a producentem galanterii dziecięcej i dlatego mój sąd może wydać Ci się mało ważny” – napisał.

Jeśli nawet środowisko nie dawało mu tego do zrozumienia wprost, to musiał boleśnie odczuwać lekceważenie, które okazywali mu nawet znacznie młodszy. Czuli się lepsi, bo zajmowali się „poważną” literaturą. „Janka bardzo lubiliśmy, choć intelektualnie to nie był nasz kompan” – mówił w *Hańbie domowej* Artur Międzyrzecki. Bo oni, „prawdziwi poeci”, byli awangardowi i nowocześni, a on może nie wiedział nawet, co to jest surrealizm. „Pewno nigdy nie czytał Bretona. To była inna formacja” – dodał.

Na pewno nie pomagały mu też ataki w prasie na młodą poezję. Nawet jeśli w większości naprawdę była literacką hucpą bez przyszłości, to w chwili kiedy o tym pisał, miał przeciwko sobie nie tylko autorów wierszy, ale i hołubiących ich krytyków.

Nie był przekonany, wspominała Irena Szymańska, czy pisanie wierszy dla dzieci wystarczy do tytułu prawdziwego poety i czy są one naprawdę tak dobre, jak mówią mu o tym ludzie. Czytelnicy wprawdzie wykupywali na pniu kolejne nakłady bajek, ale krytyka milczała, a pedagodzy wybrzydzała. Miał prawo wątpić. „Może okazać się, że wszystko, co dotąd napisałem, nic nie jest warte” – powiedział Nastulance.

O tym właśnie był wiersz *Człowiek nie umiera*, opublikowany kilka lat wcześniej w zbiorze *Cięte bańki*. Opisał w nim swój pogrzeb, a potem parę razy utwór aktualizował, dopasowując wymieniane nazwiska do zmieniających się okoliczności. Bo nic nie było tak, jak mógłby sobie wymarzyć. Owszem, zjawili się przyjaciele, ale tylko dlatego, bo tak wypada.

Staś Dygat, roztargniony, ogolił się, ostrzygł  
I przyszedł w przekonaniu, że to imieniny,  
Minkiewicz spytał żony: „Co robi nieboszczyk?”  
I dziwił się, że nos mam jak od wódki siny.

„Szpilki” wydały numer żałobny („Lecz przez to się nie stały smutniejsze niż zwykle”), Roman Bratny opublikował w „Nowej Kulturze” liryczny wiersz („Z którego zrozumiałem jedynie początek”), Leon Kruczkowski wygłosił mowę w imieniu ZLP („Chwaląc – choć ich nie czytał – zbiorki moich wierszy”), a przedstawiciel ministerstwa kultury wciąż mylił się i mówił zamiast

Brzechwa – Berent („I książkę Sokorskiego włożył mi pod głowę”). Trumnę nieśli krytycy oraz recenzenci („I milczeli. Gdy żyłem – tak samo milczeli”), a „Głos Ameryki” i Radio Londyn poinformowały, że poetę zgładził reżim („Audycja miała tytuł: *Mała rzecz, a cieszy*”). Nawet poczta, która wypuściła pamiątkowe znaczki, też wszystko zepsuła. Widniał na nich portret... Juliana Tuwima („Trzymającego w dłoni tom *Kaczki dziwaczki*”). Były ordery, wieńce, a nawet pomniki; „I rosły mi po śmierci paznokcie i sława”, wieszczył gorzko.

Dlatego pod koniec życia wrócił do twórczości dla dorosłych. Powstał cykl liryków i seria opowiadań, które złożyły się na tom *Opowiadania drastyczne*. Nie dowiedział się już, jak zostały przyjęte. I nowele, i tom *Liryka mojego życia*, w którym znalazły się wybrane stare wiersze i kilkanaście nowych, ukazały się już po śmierci Brzechwy. Nie zobaczył już też wyboru swoich tekstów satyrycznych; *Miejsce dla kpiarza* trafiło na rynek rok po śmierci poety.

*Opowiadania drastyczne* były dla krytyków ogromnym zaskoczeniem. Mogli się spodziewać po Brzechwie, bajkopisarzu, poecie, satyryku, autorze autobiograficznej powieści wszystkiego, ale opowiadania? I to takie, które już w tytule zapowiadały coś zupełnie odmiennego niż to, z czym autor *Akademii Pana Kleksa* dotąd im się kojarzył.

W rozmowie z Nastulaną powiedział, że tematy do opowiadań gromadził wiele lat. A tytuł wcale nie ma czytelnika okpić: „One rzeczywiście są drastyczne: mówią o różnych kształtach i postaciach spraw miłosnych”. Jeśli jednak ktoś spodziewał się szokujących historii łamiących obyczajowe tabu, musiał poczuć się zawiedziony. Recenzenci byli raczej zgodni. Brzechwa nie szokował, nawet nie bulwersował. Jego opowiadania to były raczej historie niespełnionych miłości, trudnych i powikłanych, które nie przynoszą szczęścia nikomu. Michał Sprusiński napisał wręcz, że opowiadania Brzechwy raczej go śmieszą, niż szokują, ale większość taktownie komentowała, że autorska zapowiedź po prostu nie została zrealizowana. „Bardzo po staroświecku pocziwe i staromodnie eleganckie są te drastyczne historie!” – ocenił w „Twórczości” Stefan Melkowski.

Genialny aktor (*Wielki Aleksander Gordon*), przez całe życie samotny, przygarnia z ulicy trzynastoletnią sierotę, kształci, daje nazwisko, kocha jak córkę, której nigdy nie miał, a ona odpłaca mu miłością, ale innego rodzaju; kiedy dorasta, nie chce dłużej być jego przybraną córką, chce być kochanką. Podstarzały Don Juan (*Quasi una fantasia*) uwodzi młodą dziewczynę w przeddzień jej ślubu, tylko dlatego, że w spełnieniu romansu z jej matką, a wcześniej babką, coś zawsze mu przeszkadzało. Mężczyzna w dniu pogrzebu dowiaduje się, że jego ubóstwiana, cudowna żona od pierwszego dnia małżeństwa go zdradzała (*Zazdrość*). Olśniewająco piękna Klara unieszczęśliwia kolejnych mężczyzn, a kiedy dla ostatniego postanawia pozbyć się szpecących ją kilku wystających kręgów ogonowych, umiera (*Demony*). Wdowiec Walczak poznaje na cmentarzu kobietę; gotów jest się z nią żenić, ale nie wie, czy będą na nią pasowały kostium granatowy z eksportowej setki i suknia czarna jedwabna, które zostały po nieboszczce żonie (*Samotność*). Mężczyzna, zrażony do kochanki, która skrytykowała kształt jego uszu, następnym razem przyjmuje ją z obandażowaną głową; kłamie, że rydze, które podał na obiad, to tak naprawdę obcięte brzytwą jego małżowiny (*Uszy*).

Tylko to ostatnie opowiadanie zdaniem recenzentów pasowało do tytułu zbioru. „...to przynajmniej daje szok, naprawdę brzydzi, a więc autor osiąga skutek, jakiego sobie życzył” – napisał w „Nowych Książkach” Wojciech Żukrowski. Poza tym krytycy wypominali Brzechwie wtórność, łatwe do przewidzenia pomysły, mało pogłębione postaci, amatorskie psychologizowanie, wygłaszanie banałów jako prawd objawionych, a nawet język jakby wprost z romansów dla kucharek, popularnych przed wojną. Bohaterom opowiadań Brzechwy towarzyszy widmo Mniszkówny („edukowane – bywałe w artystycznych sferach”) – zakpił w „Życiu Literackim” Michał Sprusiński.

Krytykowano także to, że we wszystkich opowiadaniach postaciami pozytywnymi, nieszczęśliwianymi przez złe, choć piękne kobiety, są mężczyźni: zawsze szlachetni, mądrzy, uczciwi. „Niezczęsto zdarza się czytać książkę, w której pożądanie okazuje się niezmiennie nienasycone, mężczyźni niezmiennie nieszczęśliwi i bezmyślnie zatracający się w miłosnych podbojach, kobiety obdarzone urodą dzieł sztuki” – ironizował Sprusiński. Melkowski nazwał opowiadania Brzechwy „bardzo ładnie i sprawnie napisanymi salonowymi gawędami, które bardzo szlachetny i godny Pan snuje na temat różnych «ciemnych» stron świata”; „...ot, wakacyjna lektura, łatwa do przełknięcia, nieobciążająca pamięci ani serca” – podsumował Żukrowski.

Krytycy nie zwracali uwagi na wątki autobiograficzne, choć ich w opowiadaniach nie brakowało. Aleksander Gordon wygląda jak Brzechwa na nielicznych zachowanych zdjęciach. Wydatny orli nos, ciężkie powieki, dołek pośrodku brody, uważne spojrzenie. Bohater *Demonów* uwielbia, jak poeta, grać w karty i tak samo jak on zakochany, nie dostrzega dziejącej się wokół wojny. Trudniej było uniknąć biograficznej interpretacji, czytając wiersze Brzechwy, które znalazły się w tomie *Liryka mojego życia*. Pisząc je, zegnał się z życiem. Kiedy się ukazały, już nie żył.

Zdażył jeszcze wybrać wiersze do książki, ale ułożył je „od końca”. Zaczął od utworów, którymi oswajał śmierć, otwierały tom *Taktowne umieranie, Niebo i piekło, Podsumowanie, Bezpotomność*. Nawet tytuły poszczególnych rozdziałów wyglądały, jakby ktoś postanowił puścić film od napisów końcowych: 1966–1938 i 1938–1921. W trzeciej części, zawierającej przekłady, znalazły się tłumaczenia utworów Puszkina, Erenburga, Majakowskiego, Jesienina i Paula Verlaine’a.

Brzechwa napisał przedmowę Do Czytelników, która miała otwierać *Lirykę*, ale z jakiegoś powodu nie znalazła się w książce. Opublikował ją kilka tygodni po śmierci poety tygodnik „Kultura”. Pisał, że miłość i śmierć były zawsze w jego poezji elementem najważniejszym, bo stanowią odwieczną zagadkę istnienia. I przywołał zdanie Jana Lechonia: „Pytasz, co w moim życiu było rzeczą główną? / Miłość i śmierć, odpowiem, obydwie zarówno”.

Ale czytając jego ostatnie wiersze, trudno oprzeć się wrażeniu, że tym razem miłości wcale nie traktuje równo, naprawdę dużo bardziej obchodzi go śmierć. Przez całe życie był optymistą, zwierzał się czytelnikom, ale przecież i on miał przeżycia dramatyczne, żałobne i smutne. Właśnie wtedy powstawały jego wiersze: „moja liryka na te dni ciemne głównie przypada”.

Pisał o śmierci, jakby chciał przygotować się na zbliżający się koniec. Łagodził lęk przed śmiercią, śmiejąc się z niej. Przecież umierając, napisał w *Ostatniej młodości*, przestanie wreszcie być stary. Przeciwnie, przez chwilę znów będzie najmłodszy, „najmłodszy wśród nieboszczyków”. W *Bezpotomości* skarżył się, że nie zadbał za młodu o męskiego potomka, więc ród Brzechwów na nim wygaśnie, szybko jednak się pocieszył. W końcu potomek mógłby być imbecylem, grafomanem, pijakiem albo zwykłym chuliganem, który przehulałby honoraria za pisma zebrane. Więc po co potomek? „Sam potrafię roztrwonić to, co syn by strwonił” – pisał. W *Spóźnionych refleksjach* zegnał się ze swoją karcianą pasją, żalując się, że zaczął grać za późno i grał za mało: „Bezpowrotnie i głupio zmarnowałem życie”. W wierszu *Anioł* żalił się, iż zmuszany do życia, do anielskiej dobroci, wyrozumiałości i cierpliwości, tak się tym zmęczył, że chciał przynajmniej po śmierci odpocząć. Nie udało się. Gdy trafił w zaświaty, powitał go siwy jegomość, „I rzekł: – z marksizmu to wzięłem: / «Niebyt określa świadomość» – / Będiesz aniołem!”. W *Taktownym umieraniu* tłumaczył, dlaczego najlepsza pora na śmierć to z różnych powodów połowa maja: „Postaram się pociągnąć do połowy maja”.

Były w ostatnich wierszach Brzechwy nawet aluzje polityczne. W *Niebie i piekle* śmierć tłumaczyła duszy poety, że nie ma żadnej szansy na odpoczynek wieczny w niebie. Po prostu dusze z Polski trafiają do piekła, a „nie do nieba, bo to strefa dolarowa”. W *Fauście* deklarował, że chętnie

zaprzedałby duszę diabłu, by móc na nowo powtórzyć życie, „lecz czy w naszym ustroju można znaleźć diabła?”.

Tym razem krytycy docenili Brzechwę. Oczywiście byli tacy, którzy jak zwykle pisali o podobieństwie do poezji Leśmiana, ale odnosiło się to wyłącznie do utworów przedwojennych. Wiersze, które powstawały przed śmiercią poety, chwalono. Były zupełnie inne niż wszystko, co dotąd stworzył. Zachwycił się nimi nawet Jarosław Iwaszkiewicz. Napisał, że ostatnie wiersze Brzechwy przypominają mu *Słówka* Boya-Żeleńskiego, że zderzenie lekkiego tonu z tematem przemijania („«wesolutkie» rozmyślania o śmierci”), uśmiech, z jakim ich autor czeka na kres życia, to w polskiej literaturze coś wyjątkowego: „Szkoda, że się kończy, ale dobrze, że było – powiada poeta”. „Czas już wreszcie umierać z humorem” – pisał w jednym z wierszy Brzechwa.

Ale o tym wszystkim, o opowiadaniach, które tylko elegancki bajkopisarz uważał za drastyczne, i o wierszach, którymi łagodził lęk przed odchodzeniem, czytelnicy mieli się dowiedzieć dopiero dwa lata po jego śmierci.

# Umierać trzeba z taktem...

W październiku 1964 roku po wielu zabiegach i pismach z ZLP, że literat Jan Brzechwa jest osobą godną szczególnego traktowania (jeszcze nie był laureatem ministerialnej nagrody!), znów znalazł się w lecznicy rządowej. W tym samym czasie przebywali tam Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz i Adolf Rudnicki. Towarzyszka życia Dąbrowskiej Anna Kowalska zapisała w dzienniku, że obecność w szpitalu innych pisarzy dodała Dąbrowskiej otuchy, cieszyła się, „że nie ją samą los prześladowuje”. „Brzechwa odwiedzał mnie kilka razy, jest chodzący, ale straszliwie wychudzony” – zanotowała Dąbrowska.

Choroba Brzechwy nie pozwalała mu już wtedy na normalne życie. Podczas urlopów nie był nawet w stanie wychodzić na spacer, większość czasu spędzał w ogrodzie albo na werandzie. Kłopot sprawiało mu nawet wspinanie się po schodach. W Paryżu nie mógł korzystać ani z metra, ani nawet z autobusów, jeździł wyłącznie taksówkami. W liście do Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego pisał: „stałem się dziadem, który pomału się rozsypuje i proces ten jakoś nie chce się cofnąć”. W czerwcu 1965 w Teatrze Narodowym odbył się uroczysty koncert poświęcony Brzechwie. Okazja była podwójna, 65 rocznica urodzin i pięćdziesięciolecie twórczości. Pierwsza oczywiście nieprawdziwa, jubilat urodził się w 1898 roku, ale po wojnie postarał się, by zatrzeć po tej dacie ślady. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca, był minister i sekretarz partii nadzorujący kulturę, przyjaciele poety wygłaszali przemówienia i wiersze ku jego czci, aktorzy recytowali bajki. „Brzechwa był «cały w skowronkach»” – wspominał Dobrowolski.

Słowa dotrzymał także minister i Brzechwa dostał nagrodę, dającą prawo do leczenia w klinice rządowej. Został ponadto wyróżniony w sposób może mniej prestiżowy, ale kto wie, czy nie przyjemniejszy.

Tadeusz Przypkowski, arystokrata, historyk sztuki i twórca wielkiej kolekcji zegarów słonecznych, ustanowił gastronomiczny order Pomiana (L'Ordre de Gastronomes POMIANE), który przyznawał najśłynniejszym na świecie restauratorom. Dzięki koneksjom na najwyższych szczeblach PRL udało mu się wciągnąć do kapituły odznaczenia premiera Józefa Cyrankiewicza i ministra spraw zagranicznych Adama Rapackiego. Obok nich członkiem kapituły został Brzechwa.

Już po jubileuszu wyruszył w kolejną podróż do Związku Radzieckiego. Towarzyszył mu Jan Ernst oraz żony obu panów. Fundatorem wyprawy był Brzechwa. Miał na koncie pieniądze za przekłady swoich bajek na rosyjski, a wydać je mógł tylko na terenie ZSRR. Wystarczyło na blisko tygodniowy pobyt czterech osób w eleganckim hotelu w centrum Moskwy, gdzie nie zbywało im na niczym, a później na cztery tygodnie w luksusowym Domu Związku Literatów Radzieckich w Jałcie na Krymie.

W Moskwie Brzechwa i jego towarzysze zostali podjęci wykwintnym obiadem, wydanym na cześć poety przez pisarzy radzieckich, oprowadzeni po atrakcjach Moskwy (największe wrażenie zrobił na nich Kreml i metro), ale przede wszystkim mogli wejść do Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym i zobaczyć mumię wodza rewolucji „z pominięciem kilometrowej kolejki” – napisał z dumą Ernst.

Na Krym polecili odrzutowym TU-104. Na pokładzie doszło do konfliktu. Zajęli miejsca w pierwszych rzędach samolotu, nie wiedząc, że są zarezerwowane. Rosjanie, którzy pojawili się później, zażądali ich opuszczenia. „Szczególnie agresywnie, a nawet groźnie czynił to jeden z pasażerów w stosunku do Janka Brzechwy” – pisał Ernst. Poeta bronił się po rosyjsku, atmosfera robiła się coraz bardziej napięta, w końcu wezwano stewardesę. Przyszła dziewczyna drobna, ale



w mundurze, obejrzała bilety i wydała wyrok na korzyść... Brzechwy, w końcu gościa zza granicy. Rosjanie karnie zajęli wskazane im gorsze miejsca, „przekonaliśmy się, jak daleko sięga dyscyplina społeczeństwa” – wspominał Ernst.

W Jałcie zamieszkali w pałacyku, który rewolucja odebrała jakiejś arystokratycznej rodzinie. Towarzyszyli im przedstawiciel Związku Literatów Radzieckich z Moskwy i prezes ukraińskiego Związku Literatów, który przyjechał z Kijowa. Było luksusowo i dystygowanie. Komunistyczna władza dbała o pisarzy awansowanych do roli inżynierów dusz. „Jeżeli jest na świecie raj, to mógłby być tutaj...” – pisał Brzechwa z Jałty do Antoniego Marianowicza.

Wiedział już, że umiera, ale nie chciał się poddać. Zgodził się kandydować do Rady Miejskiej Warszawy, nie zrezygnował mimo zapowiedzi z funkcji w ZAiKS-ie, Pen Clubie i ZLP, pojechał na wrześniowy zjazd literatów w Lublinie. W materiałach SB wyciągniętych na światło dzienne przez Joannę Siedlecką zachowała się krążąca w kuluarach zjazdu fraszka, prawdopodobnie autorstwa Brzechwy: „Przyjechali do Lublina, / żeby wskrzesić kult Stalina”. To była kpina z tych kolegów, którzy pochlebnie wypowiadali się o referacie Władysława Gomułki, podnoszącego zasługi Stalina dla Polski.

Pisał cały czas sporo, choć musiał znosić odmowy wznawiania nawet tych bajek, których od dawna nie było w sprzedaży. Rynek literatury dziecięcej jest nadmiernie „zabrzechwiony”, argumentowali szefowie państwowych oficyn, których rozliczano z tzw. polityki wydawniczej, a nie z rzeczywistej sprzedaży. Chciał zdążyć z wydaniem nowych liryków, *Opowiadań drastycznych* i wyborem felietonów pisanych przez ostatnich dziesięć lat. Traktował swoją publicystykę społeczno-polityczną bardzo poważnie, tymczasem u wydawców nie znajdowała ona uznania. Żalił się w wywiadach, że tom artykułów i felietonów, który zaproponował kilku oficynom, jest odrzucany bez czytania.

Trzy tygodnie przed śmiercią napisał list do Departamentu Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki. Poskarżył się, że ma w dorobku pół tysiąca felietonów pisanych w prasie na tematy „jak najbardziej urozmaicone”, tymczasem już cztery wydawnictwa: Czytelnik, Iskry, Wydawnictwo Literackie i PIW odmówiły mu ich wydania, nie zapoznając się nawet z materiałem. Większość kolegów po piórze znajduje wydawców dla swoich felietonów, pisał, prosi więc departament o wskazanie oficyny, która opublikuje także jego teksty: „Wydaje mi się, że jako pisarz polski, współczesny i do tego żyjący, mam prawo pretendować do równego traktowania mojej twórczości”. W pewnym sensie mógł czuć się dyskryminowany. Co prawda większość jego felietonów to były teksty doraźne i raczej niewarte przedrukowywania, ale w PRL takich książek publikowano wiele, nie oglądając się na ich poczytność i sprzedaż. Felietony Brzechwy nie ukazały się nigdy.

„Przyjaciółł zdumiewała i trochę przerażała ta jego gorączkowa pasja życia – nieprzyjaciółł razila, dopatrywali się w niej przyziemnej zapobiegliwości” – wspominał Marian Brandys. Chyba właśnie z tego tłumaczył się w liście, który wysłał kilkanaście tygodni przed śmiercią do Dobrowolskiego. „Chciałbym Ci przekazać moje smutne doświadczenie. Z niewielu żądź, które posiadam, tylko żądźa sławy jest godna artysty. Inne stanowią kulę u nogi” – napisał.

Próbował też zadbać o właściwe traktowanie swojej twórczości dla dzieci. Była wystawiana na scenach w całej Polsce, ale często w sposób, którego nie akceptował. Zaprotestował m.in. przeciwko zniekształcającym jego tekst „żałosnym” przeróbkom i „ośmieszającym go w oczach widzów i czytelników” uzupełnieniom, które krakowski Teatr Lalek Groteska poczynił w *Niezwykłej przygodzie Pana Kleksa*, „wskutek czego powstała nedorzeczna sieczka, godząca w moją opinię jako pisarza” – pisał, zapowiadając dochodzenie swoich praw za pośrednictwem ZAiKS-u. Nie zdążył.

Przełom maja i czerwca 1966 roku Brzechwowie spędzili w Oborach, razem z Ritą i Antonim Marianowiczami. Brzechwa rzadko wychodził z pokoju, nie chciał, żeby widziano go obolałego, oddychającego z wyraźnym trudem i wstrząsanego dreszczami. „Wyglądał okropnie, już na pierwszy rzut oka widać było, że zbliża się koniec” – wspominał Marianowicz; „przez całe godziny znajdował się w stanie granicznym z agonią” – pisał Brandys.

W jeden z rzadkich dni, kiedy pojawiał się na tarasie pałacyku w Oborach, zobaczyła go Alicja Lisiecka. Siedział wyprostowany w fotelu, grając w brydża i dyskutując ze znajomymi o ostatnich wydarzeniach kulturalnych.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

– Uchylam to pytanie – uśmiechnął się i powiedział, że patrzy już na świat trochę z drugiej strony. „Nie była to prawda. Miał ogromnie dużo wiary w przesilenie się choroby. Chciał pisać i planował pisanie” – zapamiętała Lisiecka.

– Starał się udowodnić, przede wszystkim sobie, że jest silniejszy od choroby – wspomina Rita Marianowicz. – Nie okazywał słabości na zewnątrz, to byłoby jego zdaniem w złym stylu. Był bardzo dzielny.

„Z tym swoim cudownym uśmiechem, dowcipny, do końca patrzył na życie młodymi oczami. I do końca przychodziło się do niego, oczekując zastrzyku optymizmu” – mówiła Stefania Grodzieńska.

– Daj spokój, tyle jest przyjemniejszych tematów... Czujesz, lipy już pachną... – usłyszał w odpowiedzi na pytanie o zdrowie Brandys. Brzechwa zostawiał chorobę zamkniętą na klucz w pokoju, na zewnątrz jej nie wypuszczał, napisał autor *Końca świata szwależerów*. Postanowił, że „umrze stojąc” i do końca to postanowienie wypełniał. Nie chciał, żeby ktokolwiek się nad nim litował.

Rita Marianowicz podczas pobytu w Oborach była w szóstym miesiącu ciąży. Brzechwa nie mógł doczekać się, kiedy urodzi, chwalił się wszystkim, że będzie miał wnuczkę. Zmarł miesiąc wcześniej. Córka Marianowiczów nosi na pamiątkę imię Janka.

Autorka książek dla dzieci Krystyna Korewicka na wieść o ciężkiej chorobie Brzechwy napisała dla niego bajkę. Zniosła ją pocie na imieniny 24 czerwca 1966 roku razem z bukietem niezapominajek. *Imieniny pana Jana* to opowieść o tym, jak bohaterowie bajek Brzechwy, namówieni przez Pchłę Szachrajkę, idą złożyć swemu twórcy życzenia.

Są wszyscy najbardziej znani. Leń („Wcale się nie myślę lenić, w Pana Brzechwy dzień imienin!”) i pani Gadalińska („Kto wie, gdzie jest Opoczyńska?”). Korsarz Palemon i rycerz Szaławila, pan Soczewka i Lis Witalis. Jest oczywiście Kaczka Dziwaczka i Ambroży Kleks, Pan Do-re-mi z furą córek, Staś Pytalski oraz Skarżypyta. Elita świata bajek Brzechwy. „Bez nich by literatura, była smutna i ponura!” – pisała Krystyna Korewicka. Odwiedzają poetę, „którego kochają i któremu żywot zawdzięczają”, we śnie. Przynoszą mu cudowną miksturę stworzoną z dziecięcego śmiechu i okrzyków, słów podziwu i miłości, pochlebnych recenzji i oklasków, która na pewno pomoże mu wyzdrowieć. A Pchła Szachrajka, ubrana jak zwykle elegancko: w kapelusik z woalką, szpilki i suknię czarno-białą, jest w siódmym niebie, że znów wszystko tak wspaniale urządziła („Głowę mam ministerialną!”).

Brzechwa bardzo się z prezentu ucieszył, czytał wiersz kilka razy, wspominała Korewicka. Opublikowała poemat dopiero dwadzieścia lat później.

Przez ostatnie miesiące Brzechwa oswajał śmierć. Wiedział, że żyje z podpisanym wyrokiem, gdy powstawały utwory, które znalazły się w tomie *Liryka mojego życia*. Był wśród ich wiersz *Taktowne umieranie*. Brzechwa obiecywał w nim, że postara się sprawić swoją śmiercią jak

najmniej problemów. Żeby nikomu nie zepsuć letniego urlopu albo nie narazić na grypę zimą.

Umierać trzeba z taktem. A więc, dajmy na to,  
Nie wtedy, kiedy właśnie zaczyna się lato!

Pomyślcie: każdy człowiek o wakacjach marzy  
W górach czy na Mazurach, na słonecznej plaży

I nagle ja umieram. Jest mój pogrzeb. Jak tu  
Nie nazwać takiej śmierci wprost szczytem nietaktu?

Nie powinno się też umierać zbyt późną jesienią, bo zmoknięci i narażeni na grypę ludzie będą kłać i uwłaczać pamięci nieboszczyka. Ani w styczniu czy w lutym, kiedy siarczyste mrozy zniechęcą ewentualnych żałobników, a tych, którzy jednak przyjdą pożegnać zmarłego, narażą na odmrożenie uszu.

Wiosna to co innego! Nie ma lepszej pory,  
Aby umarł taktownie człowiek ciężko chory.

Na cmentarzu wesoło zielenią się drzewa,  
Żałoba na wiosennym wietrze się rozwiewa,

I śmierć zda się błahostką, gdy wiosna upaja...  
Postaram się pociągnąć do połowy maja.

Zmarł 2 lipca 1966 roku. Zaczynało się właśnie lato, w dodatku pogoda też zawiodła. W dniu pogrzebu na Powązkach lał rześisty deszcz.

# A co Brzechwa był, Szwed?

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku w polskich miastach usuwano z list patronów ulic nazwiska ludzi, którzy mieli komunistyczną przeszłość, o Brzechwie nikt nawet nie wspomniał. Rewolucja 1989 roku zmiotła z nazw polskich ulic i placów Feliksa Dzierżyńskiego, Karola Świerczewskiego i Różę Luksemburg, pozbawiła tablic na murach Wandę Wasilewską i Ludwika Waryńskiego, ale o Brzechwie mowy nie było. W niektórych miastach „zdekomunizowano” nawet Juliusza Osterwę, Brunona Jasieńskiego i Władysława Broniewskiego, ale obecność Brzechwy w nazwach ulic i szkół długo nie budziła wątpliwości.

Aż przyszedł rok 2000. Szkoła podstawowa w Dmosinie pod Głownem (województwo łódzkie) szukała patrona, część rodziców i nauczycieli zaproponowała, żeby to był Jan Brzechwa. Pomysł poparł samorząd uczniowski i rada rodziców, zaakceptowała dyrekcja szkoły, a w lutym także radni gminy Dmosin. Dopiero wtedy się zaczęło.

Do urzędu gminy przyszedł anonimowy list: „Prawdą jest, że większość z nas zna z dzieciństwa wiersze, bajki i opowieści Brzechwy, lecz na tle wielu wybitnych Polaków jest to postać mało wyrazista i przejrzysta. Prawdziwe nazwisko Jana Brzechwy brzmi Lesman. Tutaj dyskutowałbym, czy pseudonimy są odpowiednie, aby nazywać nimi szkołę”. Potem zaczęły nadchodzić kolejne anonimy. Że skoro w polskim parlamencie zdecydowana większość posłów i senatorów to Żydzi, którzy dla zmylenia wyborców przybrali polskie nazwiska, więc pewnie szkole w Dmosinie Brzechwę narzucono: „Dla Polaków we własnym kraju jest coraz mniej miejsca”. I pierwszy podpisany list, od lokalnego patrioty. Że przecież Brzechwa „nie jest nasz” i lepiej byłoby, gdyby patronem szkoły został ktoś miejscowy. Dyrektorka szkoły od kilku osób usłyszała wprost, że patronem nie powinien być Żyd. Kandydaturze „jakiegoś tam Jana, z nazwiska Brzechwy, niewiadomego pochodzenia” miał sprzeciwić się z ambony nawet dmosiński proboszcz.

Ktoś zawiadomił media i na początku kwietnia do Dmosina zwalili się dziennikarze z całej Polski. Niewielka wieść znalazła się na pierwszych stronach największych gazet i w czołówkach dzienników telewizyjnych jako przykład antysemityzmu i ciemnogrodu. W „Gazecie Wyborczej” biskup Tadeusz Pieronek oświadczył, że wstydzi się za tak beznadziejną głupotę ludzi, Brzechwa nadaje się na patrona szkoły jak najbardziej, w końcu można służyć Polsce w różny sposób i nie każdy musi być Kościuszką. Pedagodzy zgromadzeni na ogólnokrajowej konferencji w Gdańsku wystosowali list otwarty, że polska młodzież powinna być wychowywana w duchu tolerancji, życzliwości i przeciwdziałania ksenofobii. Krzysztof Gradowski, reżyser filmów o Ambrożym Kleksie, napisał, że kwestionowanie kandydatury Brzechwy na patrona to plugawa manifestacja antysemityzmu. Obiecał, że jeśli szkoła w Dmosinie otrzyma imię Brzechwy, zorganizuje tam premierę swego filmu *Tryumf Pana Kleksa*. Córka poety oświadczyła, że w Polsce jest wystarczająco dużo szkół, których Jan Brzechwa jest patronem, i jak ktoś go nie chce, to nie ma przymusu.

A w Dmosinie wrzało coraz bardziej. Ktoś na drzewie przed szkołą zawiesił sznur zawiązany w pętlę, ale nie było wiadomo, czy ma to związek z Brzechwą. Proboszcz, powołując się na zakaz kurii, odmówił komentowania sprawy, powiedział tylko, że nie widzi w bajkach Brzechwy wartości wychowawczych ani patriotycznych. Kanclerz łowickiej kurii biskupiej dodał, że wybór patrona szkoły to nie jest sprawa Kościoła. Lokalny patriota, którym okazał się mieszkaniec sąsiedniej wioski, tłumaczył kolejnym reporterom, że nie jest antysemitą, choć przecież Żydzi zabijali Polaków, i Beria też był Żydem, ale chciałby, żeby patronem szkoły był ktoś z Dmosina. Na przykład przedwojenny dyrektor miejscowej szkoły powszechnej albo wójt gminy z okresu wojny, który

ratował ludzi przed Niemcami, czy pochodzący z wioski kapitan, który zginął w Katyniu. A co zrobił dla Dmosina Brzechwa? Nic! Patronem będzie tylko dlatego, że jedna z nauczycielek napisała o nim pracę magisterską. Już w trakcie sporu jako kolejny kontrkandydat dla Brzechwy pojawił się papież Jan Paweł II.

Wójt i członkowie zarządu gminy Dmosin oświadczyli, że są oburzeni antysemickimi głosami, które pokazują fałszywy obraz gminy. Zwłaszcza kiedy wypowiadają je członkowie wspólnoty chrześcijańskiej, i to w czasie, gdy Jan Paweł II nazywa Żydów starszymi braćmi. „Przepraszamy wspaniałego pisarza Jana Brzechwę za zaistniałą sytuację” – napisali członkowie zarządu i poprosili mieszkańców gminy o akceptację dla nowego patrona. Dyrekcja szkoły zwróciła się o wsparcie do innych polskich podstawówek i gimnazjów noszących imię Brzechwy.

W sukurs przeciwnikom kandydatury Brzechwy przyszedli pravicowi publicyści, na czele ze słynnym tropicielem wrogów Polski, Jerzym Robertem Nowakiem z Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Wcześniej szukał ich już w Kościele (znalazł „Tygodnik Powszechny”), wśród dziennikarzy (wytropił Adama Michnika i „Gazetę Wyborczą”), pisarzy (wskazał Czesława Miłosza) i w Unii Europejskiej. Nowak nie miał żadnych wątpliwości, że Brzechwa to stalinowski janczar, komunistyczny poputczyk, prymitywny propagandzista, targowiczanie i kolaborant, w dodatku jeden z najbardziej skompromitowanych, bo najaktywniejszych na tym polu. A mieszkańcy Dmosina wystąpili przeciwko jego kandydaturze wcale nie z pobudek antysemickich. Uczynili tak, ponieważ nie mieściło im się w głowach, by ktoś, kto w czasach stalinizmu popisywał się najbardziej obrzydliwymi tekstami, piętnującymi Watykan i USA, Armię Krajową i kułaków, Stanisława Mikołajczyka i Władysława Raczkiewicza, mógł być patronem czegokolwiek. A obrona Brzechwy przez „niektóre” gazety (Nowak wymienił „Gazetę Wyborczą”, „Trybunę” i „Politykę”) i oskarżanie dmosinian o antysemityzm ma na celu odwrócenie uwagi opinii publicznej od prawdziwego powodu protestu i wybielanie ludzi związanych z reżimem komunistycznym. Dlaczego przedstawiciele tych mediów to robią? Nowak wiedział: bo sami w okresie PRL kolaborowali z komunistami, a ich rodziny brały udział w stalinowskich zbrodniach (w dodatku „con amore”), więc faktycznie bronią samych siebie. Dmosinianie, którzy upierają się przy kandydaturze Brzechwy, na czele z dyrektorką szkoły i nauczycielami, są po prostu ofiarami zakłamej peerelowskiej edukacji. „Nie bardzo wiadomo tylko, czy z ignorancji, czy z oportunistycznego strachu przed napiętnowaniem jako «niepoprawnych politycznie»” – pisał Nowak. Na dowód, że jego własna krytyka Brzechwy nie ma nic wspólnego z antysemityzmem, Nowak pochwalił Mariana Hemara. Był jak Brzechwa pochodzenia żydowskiego, ale w odróżnieniu od tamtego naprawdę kochał Polskę. Ale zamiast niego lansuje się żydowskich targowiczanie: Brzechwę, Jana Kotta, Juliana Strykowskiego czy Kazimierza Brandysa.

Nowak ogłaszał kolejne teksty ujawniające „hańbę” Brzechwy na łamach „Naszego Dziennika”, tygodników „Niedziela” i „Głos” oraz w Internecie, mówił o nim w Radiu Maryja. „W czasie, gdy dziesiątki tysięcy ludzi katowano w komunistycznych więzieniach, a tysiące innych, głównie AK-owców, transportowano w eszelonach na Syberię, Brzechwa wydrwiwał tych wszystkich, co śmiały wątpić w wolność pod rządami «ludowej demokracji»” – pisał. Wreszcie zebrał swoje teksty (i kilku innych autorów z „Głosu” i „Naszej Polski”) w książce, którą zatytułował tak, jak jeden ze swoich artykułów: *Spór o kolaboranta Brzechwę*.

Cytował w artykułach i książce „najbardziej obrzydliwe” wiersze Brzechwy: *Gryps do Jana Lechonia*, *Odpowiedź Marianowi Hemarowi*, *Rozmowę*, *Głos Ameryki*, *Koreańską piosenkę*, fragmenty szopek satyrycznych, wiersze opiewające plan sześćioletni i oczywiście *Marsz*. Zdaniem Nowaka jeden z „najstraszniejszych twórców reżimowego zaangażowania Brzechwy”. Ale na *Marszu*

się potknął. Przywołał go za Bohdanem urbankowskim, który uczynił z *Marszu* (w dodatku pod błędnym tytułem *Czerwony marsz*) motto jednego z rozdziałów swojej książki *Czerwona msza czyli uśmiech Stalina*. W zdaniu „Kto przeciw nam – siła go złamie”, najpierw u Urbankowskiego, potem u Nowaka (a dziś niestety niemal w całym Internecie) w słowie „siła” zamieniono jedną literę i wyszła – „piła”. Nieważne, że powstało wyrażenie nielogiczne – piła, która łamie! – ale „piła” brzmiała bardziej okrutnie, brutalnie, bezwzględnie (wiersz „groźnie zapowiadający” przyszłość – pisał Nowak), więc nikt nad brakiem logiki się nie zastanawiał.

Jerzy Robert Nowak przyjechał nawet do Dmosina osobiście. 22 lipca 2001 roku w dmosińskim kościele mówił o konieczności rozliczenia winnych kolaboracji z komunizmem, w tym Brzechwy. „Cieszyłem się, że tak wielka ilość osób wyraźnie podziela moje zdanie”, że Dmosin hańbiony jest mianem stalinowskiego kolaboranta – pisał później. Sprawa Brzechwy, dodał, stała się sygnałem alarmowym, zachęcającym do przyjrzenia się dramatycznemu stanowi kadry nauczycielskiej, wykształconej w PRL. Wybierając Brzechwę na patrona szkoły w Dmosinie, jej dyrektorka dowiodła, że nie rozumie, co znaczą takie słowa, jak uczciwość intelektualna i hańba domowa, wierność ojczyźnie i Targowica. „Maluczko, a swym młodocianym podopiecznym każe wkuwać na pamięć wiersze swego ukochanego Brzechwy o wielkim Stalinie” – wieszczył.

Nie był sam. Rafał Ziemkiewicz w „Życiu”, Marcin Gugulski w „Głosie” i Jerzy Biernacki w „Naszej Polsce” też nie mieli wątpliwości, że Brzechwa nie zasługuje na wyrozumiałość. „Gdybym miał dziecko, również nie chciałbym, aby kiedyś mi na moje nauki odpowiedziało – nie nudź stary, taki Brzechwa się świnił, płaszczył i kolaborował i jakoś został patronem mojej szkoły” – pisał Ziemkiewicz. „Chwalca wszystkich kolejnych władz i komunistyczny propagandysta to nie jest ideał i wzór wychowawczy dla młodzieży. (...) Zbyt łatwo chwalił możnych, zbyt chętnie pastwił się nad słabymi” – wtórował mu Gugulski.

Dziennikarzy, którzy opisywali konflikt w Dmosinie, Ziemkiewicz nazwał hienami. „Postkomunizm wykształcił typ dziennikarzy żyjących z demaskowania rzekomej polskiej ciemnoty i antysemityzmu” – pisał; zatracili oni ludzkie instynkty i zasady zawodowej etyki.

Jerzy Biernacki pisał w „Naszej Polsce”, że źródłem zamieszania wcale nie jest żydowskie pochodzenie Brzechwy, tylko fakt, że zdradził ojczyznę, „szedł na czele ówczesnego pochodu, po trupach polskich patriotów, do świetlanej przyszłości, do komunizmu”. A dziennikarze, którzy twierdzą inaczej, próbują odwrócić uwagę od udziału pisarza w stalinowskiej propagandzie. Z tego samego powodu arcybiskup lubelski Józef Życiński, który zarzucił protestującym przeciwko Brzechwie mentalność moczarowską, „trafił kulą w płuć”, uznał Biernacki. „Chociaż gwoli prawdzie trzeba dodać, że wśród zhańbionych pisarzy polskich tych z pochodzeniem żydowskim, była, niestety, większość” – dodał. Patronem szkoły Brzechwa mógł zostać wyłącznie dlatego, że władza w Dmosinie jest czerwona i wrogo nastawiona wobec proboszcza i Kościoła. „Niestety, wolne wybory to nie zawsze mądre wybory” – pisał Biernacki.

– Tutaj zawsze trwa wojna z Kościołem – mówił „Tygodnikowi Solidarność” anonimowy mieszkaniec Dmosina. „Kwaśniewski wygrywał tu do zera, bo Dmosin zawsze był czerwony” – dodał inny. I wytłumaczył dlaczego: – Pobliskie zakłady motoryzacyjne produkowały sprzęt dla Rosjan, więc zatrudniano tam tylko zaufanych.

Dostało się nawet, i to z wszystkich stron, córce poety, kiedy próbowała tłumaczyć, że ojciec był przede wszystkim polskim patriotą, jego zauroczenie komunizmem nie trwało wcale długo, a „kilka wierszy”, które napisał pod naciskiem władzy, nie miało większego znaczenia. Nowak (a także Biernacki) pouczył Krystynę Brzechwę, że wcale nie „pod naciskiem”, lecz z niebywałą gorliwością i zapałem. I wcale nie było to tylko kilka wierszy, ani niedługo, ale wysługiwał się komunistom

aż przez sześć lat (Biernacki pisał nawet o dziwieńcu). „– Kazano mi tak pisać – powiecie zapewne. / Tak! Serce mi kazało. Nie mogę inaczej” – Nowak zacytował Brzechwę, a potem skrupulatnie wyliczył wszystkie publikacje z okresu, gdy „nurzał się w błocie stalinizmu”. Przestał pisać nie dlatego, że przejrzał na oczy, ale dlatego, że umarł Stalin i jego „skrajnie toporne, wierszowane paszkwile” przestały być potrzebne. „Czyż można się dziwić, że wielu mieszkańcom Dmosina nie odpowiadała myśl, aby stalinowski denuncjator «wiejskich pasibrzuchów» był patronem akurat ich wiejskiej szkoły” – napisał.

Nowak pochwalił córkę poety wyłącznie za krytykę „Gazety Wyborczej”, która, zdaniem Krystyny Brzechwy, nadała lokalnemu incydentowi w Dmosinie ostrze antypolskie i antykościelne. „Gdy «Wyborcza» osądziła, że niechęć do Brzechwy jako patrona szkoły jest obrzydliwym aktem antysemityzmu, to wielu mieszkańców Dmosina boi się narazić” – pisał Nowak. Obawiają się, że odrzucenie Brzechwy skończyłoby się zmniejszeniem funduszy dla „antysemickiej” gminy.

Piotr Gadzinowski, zastępca Jerzego Urbana w tygodniku „Nie” napisał, że Krystyna Brzechwa zachowała się jak ludzie, którzy w czasie II wojny światowej składali w hitlerowskim Urzędzie ds. rasy papiery poświadczające ich genetyczną czystość. Wysyłając do „Gazety Wyborczej” list przekonujący, że ojciec mimo żydowskiego pochodzenia był polskim patriotą, postąpiła jak ludzie, którzy wypierali się swoich żydowskich krewnych, na gwałt poszukując babki Polki albo dziadka Serbo-Chorwata, byle tylko opóźnić egzekucję. Przekonywanie, że ojciec poety był absolwentem Szkoły Głównej, a nie chederu, że został pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim, a nie na kirkucie, przypomnienie, że walczył w wojnie polsko-bolszewickiej i dostał książkę z dedykacją Piłsudskiego, to przyjęcie filozofii nazistowskiego Rassenamtu. Nieważne, że Brzechwa był znakomitym satyrykiem i autorem wspaniałych wierszy dla dzieci, ważniejsze, żeby przekonać Urząd ds. rasy, że co prawda był Żydem, ale nie całkiem. „Rzygać się chce, czytając takie listy” – pisał Gadzinowski. „Może nawet bardziej niż słysząc o opiniach księdza z Dmosina koło Głowna i jego parafian”.

Także Antoni Marianowicz w dzienniku napisał, że dowodzenie przez córkę Brzechwy, iż ojciec był Arcypolakiem, było błędem. On sam by tego nigdy nie zrobił. „...byłoby poniżej jego godności tłumaczyć się z tego przed byle kim” – uznał Marianowicz.

Burza medialna trwała w najlepsze jeszcze kilka miesięcy, gdy dyrektorka szkoły w Dmosinie zwołała kolejne posiedzenie rady pedagogicznej w sprawie patrona. Zaprosiła nauczycieli, rodziców uczniów, radnych, panią wójt Dmosina i kuratora oświaty z Łodzi. W sumie kilkadziesiąt osób, drugie tyle było dziennikarzy z ogólnopolskich telewizji, stacji radiowych i gazet.

Rada pedagogiczna i rada rodziców podtrzymały decyzję o wyborze Brzechwy na patrona szkoły, podobnie rada gminy i pani wójt.

– Jeśli Brzechwa nie jest Polakiem, to czy jest nim urodzony na Litwie Mickiewicz albo Chopin, którego ojciec był Francuzem? – mówiła do telewizyjnych kamer i mikrofonów. Dyrektorka szkoły dodała, że w Australii nawet górę nazwano imieniem Kościuszki, choć przecież Kościuszko wcale nie był Australijczykiem. A łódzki kurator oświaty zażartował, że być może *Kaczka dziwaczka* rzeczywiście nie jest utworem patriotycznym, ale jest to niewątpliwie kaczka polska.

We wrześniu 2000 roku odbyła się uroczystość nadania szkole podstawowej w Dmosinie imienia Jana Brzechwy. Była msza celebrowana przez wikariusza generalnego diecezji łowickiej, byli parlamentarzyści, członkowie kuratorium, byli uczniowie innych szkół im. Jana Brzechwy i był Antoni Marianowicz. „Ani jednego zgrzytu, tonacja hołdu dla Brzechwy, jako pisarza i człowieka” – pisał. Ale nie wszyscy byli zadowoleni. „Zapomniano całkiem o osobie i zgodzie księdza proboszcza z miejscowej parafii” – zauważył „Tygodnik Solidarność” w artykule zatytułowanym *Czerwona*

mgła.

– Jan Brzechwa jest bliski kilku pokoleniom dzieci. Ja też uczyłem się w szkole o kacze dziwaczce i samochwale. Jego wiersze miały jedno zadanie: byście byli lepsi, żyli z innymi w przyjaźni i zgodzie – mówił podczas mszy ksiądz kanclerz diecezji. Biskup łowicki poświęcił sztandar szkoły, na którym umieszczono cytat z wiersza poety: „Trzeba miłować wiecznie i sercem i ustami / Ażeby Bóg bezpiecznie mógł mieszkać między nami”.

Wydawało się, że wszystko zostało wyjaśnione raz na zawsze. I nie przeszkodzi temu nawet list grupy dmosinian do jednego z posłów Akcji Wyborczej Solidarność z prośbą o powołanie komisji sejmowej, która zbadałaby okoliczności nadania szkole w ich miejscowości imienia Brzechwy.

Ale tylko wydawało się!

W maju 2001 roku imię Brzechwy postanowiła przyjąć podstawówka na warszawskim Ursynowie. Kandydata zaakceptowali rodzice i rada pedagogiczna, uczniowie przez pół roku przygotowywali się do uroczystości, uczyli się wierszy i gromadzili pamiątki. Ale zaprotestował przewodniczący komisji rewizyjnej rady gminy Ursynów, radny Akcji Wyborczej Solidarność. Oświadczył, że cyniczny stalinowski aparatczyk nie zasługuje na taki zaszczyt, a propozycja jest prowokacją wobec gminy, na dowód czego odczytał wiersz *Marsz*. – Kto tym dzieciom za dziesięć lat wytłumaczy, dlaczego tak zdecydowaliśmy – pytał.

W radzie rozpętała się burza.

– Wyboru dokonały dzieci, które na wierszach Brzechwy uczą się czytać. Trzeba to uszanować – przekonywał radny Unii Wolności.

*Marsz* przywoływano oczywiście w wersji błędnej, ale bardziej dla Brzechwy kompromitującej. Z „piłą” zamiast „siły”.

– Byłem porażony, gdy przeczytałem *Marsz*. Brzechwa w tym wierszu nawoływał, by piłować przeciwników komunizmu – mówił przewodniczący rady gminy (też z AWS). Pytany, czy wierszami dla dzieci nie zasłużył na rehabilitację, odparł: – Przeciwnie. Tym stalinowskim wierszem zaprzepaścił całą swoją twórczość. Przypuszczam, że był cynikiem, który utwory dla dzieci pisał dla pieniędzy.

Pełna emocji dyskusja odbyła się także w Internecie.

„Radni z Ursynowa ujawnili wielki komunistyczny spiszek. Należeli do niego: towarzyszka Pchła Szachrajka (jej ksywka mówi sama za siebie), tow. Rudy (wiadomo, czerwony), Ryś Bazyli, tow. Lis Witalis (podejrzane litewskie nazwisko). A ich wtyczka w środowisku nieletnich to członek ZSMP Staś Pytalski. Dziękujemy wam, radni z Ursynowa. Kiedy podpalacie przed Ratuszem stos z książkami Brzechwy?” – pytał internauta o nicku Witalis.

Podczas głosowania dziesięciu radnych było przeciwko kandydaturze Brzechwy. Mimo to został patronem szkoły.

Inny charakter miała awantura, która wybuchła w Tarnowie. W grudniu 2004 roku w mieście pojawił się skwer poetów. Na ławeczkach przy ulicy Wałowej „usiedli” odlani z brązu Agnieszka Osiecka, Zbigniew Herbert i Brzechwa, wybrani w plebiscycie przez czytelników tarnowskich bibliotek. Obok stała skrzyneczka z tomikami wierszy każdego z twórców (klucze w pizzerii nieopodal). Ale posadzenie „niezłomnego” Herberta obok „moralnie wątpliwych” Osieckiej i Brzechwy (zza pleców poety wychyla się kaczką dziwaczka), natychmiast znalazło przeciwników. Nie przekonało ich nawet to, że poeci siedzą odwrócenii do siebie tyłem.

„Ławeczka, niezależnie od intencji autorów, «uwiarygodnia» etycznie tak Brzechwę, jak i Osiecką. Więc choć wiersze Brzechwy są piękne, a piosenki Osieckiej można cenić, rzecz cała staje się po prostu dwuznaczna” – pisał tarnowski tygodnik „Temi”. Jeszcze ostrzej zareagowała



tarnowska Unia Polityki Realnej: „Podczas gdy Zbigniew Herbert doświadczał szykan od PRL-owskiej władzy, pupile reżimu, «przyspawani» obecnie obok, wychwalali zbrodniarzy albo pławili się w bogactwie, jakie zapewnił serwilizm wobec władz i «towarzystwa»”. Do pisma członkowie zarządu UPR dołączyli wiersz Herberta *Potęga smaku*, wspomnienie o Osieckiej autorstwa Jerzego Urbana i socrealistyczne wiersze Brzechwy („właśc. Jan Lesman” – zaznaczyli autorzy listu).

Tarnowski skwer poetów szybko stał się jedną z atrakcji turystycznych miasta i celem spacerów mieszkańców.

Od stycznia 2007 roku w Telewizji Polskiej zaczęły się pojawiać filmy z serii „Errata do biografii”, poświęcone losom pisarzy w okresie PRL, zarówno tych uwikłanych we współpracę z władzami komunistycznymi, jak i tych, których ludowa Polska skazała na zapomnienie. Pokazano filmy m.in. o Gałczyńskim, Broniewskim i Tuwimie z jednej strony, oraz Herbercie, Cat-Mackiewicz czy Tyrmandzie z drugiej. Inaugurował cykl dokument o Brzechwie. Pomysłodawca „Erraty” Robert Kaczmarek (reżyserem filmu był Dariusz Małecki) tłumaczył, że osobiście nic przeciwko Brzechwie nie ma, ale wątpi, czy „pieszczoch systemu komunistycznego” zasługuje, by być patronem szkół. Owszem, nie robił wielkich świąństw, ale „wspierał ustrój wtedy, gdy w lasach funkcjonowały jeszcze regularne oddziały walczące z komunistami. Artyści po kawiarniach debatowali, jak tu ustawić się w nowych warunkach, a we Wronkach pojmany żołnierz NSZ wieszano za nogi i tłuczono po grzbietach metalowymi prętami” – mówił.

Narratorem filmu o Brzechwie był Jerzy Robert Nowak, prócz niego wystąpili Ryszard Matuszewski („niegdyś jeden z najgorliwszych stalinizatorów literatury” – napisał Nowak), córka poety i Maria Szóstak, autorka książki o twórczości Brzechwy. „Trzy osoby, które co sił wybrańiały Brzechwę, zakłamując, minimalizując lub wręcz negując fakty dowodzące umocnienia się Brzechwy po uszy w stalinowskiej mazi” – skarżył się Nowak w „Naszym Dzienniku”. Przerwywnikiem były bajki Brzechwy, recytowane przez dziewczynki z jednego z warszawskich przedszkoli, symbol kolejnego pokolenia wydanego na pastwę poplecznika reżimu.

Ponieważ film okazał się dla obrońców Brzechwy porażką – pisał Nowak – rzuciła się na niego „grupa rozjuszonych «czerwonych» i «różowych» wybielaczy PRL”. Przekonując („kłamliwie”!), że krzywdzi Brzechwę, bo kilka stalinowskich wierszy tonie w morzu wspaniałych bajek. Wtedy Nowak postanowił raz jeszcze dowieść, że wierszy i satyr było „kilkaset” (później ograniczył się do „wielu dziesiątków”), „zebranych w aż ośmiu kolaboranckich tomach”. Policzył wszystko, co się dało, wiersze „winne” i niewinne, autorstwa Brzechwy i cudze (we współredagowanej przez niego książce *Na obie łopatki*), pisane na zamówienie i wynikające z autentycznego entuzjazmu dla powojennej odbudowy. Dziesiątki tysięcy najlepszych patriotów z AK, Batalionów Chłopskich i Narodowych Sił Zbrojnych wywożone są Syberię i katowane w więzieniach, a Brzechwa pisze, grzmiał Nowak. Prześladowuje się i spycha na margines patriotyczną inteligencję, a Brzechwa układa satyry na kułaków. Naród jest opluwany i bezczeszczony, a Brzechwa rymuje o planie sześćioletnim. Komuniści fałszują wybory, rośnie liczba więźniów politycznych, a Brzechwa pisze coraz więcej. Sowieccy oprawcy rozbijają resztki państwa podziemnego, a Brzechwa publikuje *Balladę o dwóch facetach*, jeden z najpodlejszych „utworków” (zdrobnienie J.R.N.), szkalujący resztki podziemnego państwa. Polska jęczy w sowieckim jarzmie, a dla Brzechwy najważniejszym problemem jest zagrażająca wolności amerykańska coca-cola. Przestaje pisać dopiero, gdy umiera Stalin i nikt już nie chce od niego kolejnych utworów, opluwających patriotów. „Niegodziwa seria wystąpień wybielaczy stalinowskiego służalstwa J. Brzechwy wymaga dokładnego sprostowania w oparciu o jakże uparte fakty” – pisał Nowak, ubolewając, że kłamcy wybielający „targowicką działalność jednego z najgorszych kolaborantów doby stalinizmu” ciągle nie chcą umilknąć.

Odpór Nowakowi dała „Gazeta Wyborcza”. Wypomniała lustratorowi, że w czasach PRL siedział na etacie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i pisał książki „na cześć Janosa Kadara przywracającego sowieckie porządki po rewolucji w Budapeszcie”. W obronie Brzechwy stanęła też Danuta Cirić-Straszyńska, oburzona sądem odprawionym nad poetą w telewizji. Napisała, że w latach pięćdziesiątych, kiedy była w Czytelniku redaktorką książek dla dzieci i młodzieży, zarzucano Brzechwie raczej puste żarty i bezideowość, niż chwalono za zaangażowanie.

Prawdopodobnie to właśnie telewizyjna „Errata” była powodem kolejnej bitwy o poetę. Tym razem we Wrocławiu. Związek Wyszędzonych Wierzyieli Skarbu Państwa zażądał zmiany nazw „niezdekomunizowanych” jeszcze ulic w mieście (pierwsza lustracja odbyła się w roku 1990, kiedy to przemianowano 64 ulice). Tym razem dekomunizacja miała objąć ulice Komuny Paryskiej i Nowohucką, a oprócz nich m.in. Leona Kruczkowskiego, Włodzimierza Majakowskiego, Franklina D. Roosevelta, Ludwika Waryńskiego i Brzechwy. Bo ich patroni służyli komunistom, a Brzechwa „w okresie stalinowskim zasłynął z wielu wierszy gloryfikujących system komunistyczny i Stalina”. Na dowód przewodniczący Związku Wyszędzonych, którego kilka lat wcześniej wyrzucono z Targów Książki we Frankfurcie za wystawienie antysemitkich i antyniemieckich publikacji, odczytał na posiedzeniu Komisji Nazewnictwa Towarzystwa Miłośników Wrocławia kilka wierszy Brzechwy. Wniosek poparł wicemarszałek sejmu z współrządzącej wtedy w kraju Ligi Polskich Rodzin, Janusz Dobrosz. Dolnośląska „Solidarność” poparcia odmówiła.

Brzechwę w roli patrona miał zastąpić generał Władysław Anders.

– Każdy, kto przeczyta prostalinowskie wiersze Brzechwy, będzie się za niego wstydził. Nie trzeba go od razu dyskredytować, ale nazwa ulicy to za dużo. Wystarczy, że jego książki się ukazują – mówił dziennikarzom wicemarszałek.

– Twórców powinno oceniać się po ich dorobku – odpowiedział prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. – Do tego pomysłu jest tylko jeden komentarz: „Dnia pewnego leśne ptaki / Przeczytały napis taki: / Tu dla mody i ozdoby / Wymieniamy ptasie dzioby”. Dodam tylko, że tytuł tego wiersza Brzechwy brzmi *Ptasi mózg*.

Do zmiany patrona ulicy nie doszło. Sprzeciw mediów i mieszkańców miasta był tak wielki, że pomysłodawcy nie wrócili do tematu. (Tej bitwie o Brzechwę poświęcony jest kolejny rozdział „Moja przygoda z Brzechwą. Historia jednego felietonu”).

W połowie roku 2007 posłowie rządzącego Prawa i Sprawiedliwości złożyli w sejmie projekt ustawy o usuwaniu symboli komunistycznych. Z nazw polskich miejscowości, ulic i placów ostatecznie zniknąć miały nazwy „gloryfikujące komunizm”. PiS, mając u boku LPR, mógł w Polsce wszystko, ale autorzy projektu mieli wyraźnie większe poczucie absurdu pewnych pomysłów niż harcownicy we wcześniejszych bitwach o Brzechwę. W uzasadnieniu do projektu ustawy napisali, że nie obejmie ona nazw i przedmiotów upamiętniających wybitnych twórców (z nazwiska wymieniono Władysława Broniewskiego, Juliana Tuwima i Jana Brzechwę), którzy w którymś momencie życia ulegli komunistycznym mirażom. „W takich wypadkach chodzi o uznanie dla nieprzemijających wartości, jakie pozostawili oni jako twórcy, nie zaś o aprobowanie ich wyborów politycznych” – napisano w projekcie ustawy.

Kolejna wojna wybuchła latem 2008 roku w Gdańsku, też z telewizyjną „Erratą” w tle. Trwała blisko rok. Było jak zwykle. Najpierw patrona szkoły podstawowej w Gdańsku-Kiełpinie wybrali sobie uczniowie, następnie zaakceptowała go rada pedagogiczna i rodzice, a później wdali się w to politycy. Co prawda komisja edukacji rady miasta zaopiniowała kandydaturę pozytywnie, ale gdy przyszło do głosowania, poeta przepadł. Nie pomogła nawet opinia IPN, o którą poprosiła dyrekcja szkoły. Instytut uznał, że nie ma przeciwwskazań, by Brzechwa został patronem, ale radni wiedzieli

lepiej. Podczas kolejnego głosowania w lutym 2009 roku przeciwko Brzechwie byli radni PiS i kilku z rządzącej w Gdańsku Platformy Obywatelskiej. Wystarczyło.

– Najpierw pisał peany na cześć Piłsudskiego, potem szydził z żołnierzy AK i gloryfikował Stalina – przekonywał jeden z radnych Prawa i Sprawiedliwości, członek komisji kultury rady. – Był konformistą i lizusem. I ktoś taki ma być wzorem dla młodzieży?

Dla radnego było oczywiste, że nie może! Zwłaszcza w mieście, które „szczyli się mianem kolebki oporu i walki z komunistycznym ustrojem”. I nie przekonało go tłumaczenie radnego z PO: – Brzechwa po tym niechlubnym okresie stał się kontestatorem systemu, a wcześniej brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. To facet o dodatnim bilansie, wychowały się na nim pokolenia Polaków.

Po głosowaniu wybuchła awantura. Rada została zasypana listami od oburzonych gdańszczan, uważających, że taka decyzja kompromituje miasto starające się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury. Zaprotestowało Stowarzyszenie Pisarzy Polskich: „Wygrzebywanie z życiorysów innych ludzi tylko tego, co brzydkie i brudne, pomijając to, co piękne i mądre, nie jest dobrą praktyką. Taka postawa gdańskich radnych dziwi tym bardziej, że przecież nie tak dawno, nie słuchając głupich podszeptów, nie odebrali Günterowi Grassowi honorowego obywatelstwa Gdańska, choć wydaje się, że przynależność do Waffen SS jest większym grzechem niż pisanie wierszyków na cześć Stalina”.

Rządząca Gdańskiem PO zdecydowała, że sprawa patrona dla podstawówki nr 84 w marcu trafi pod głosowanie jeszcze raz („Cała Polska się z nas śmieje” – mówił przewodniczący rady z PO). Łatwo nie było, bo radni PiS zaproponowali jako kontrkandydata słynnego kardiochirurga profesora Zbigniewa Religę, który zmarł kilka dni wcześniej. Ale Platforma zarządziła dyscyplinę w głosowaniu, radni PiS w proteście wyszli z sali obrad, i Brzechwa patronem został. Tylko radny, od którego wszystko się zaczęło, powiedział, że może przynajmniej po dyskusji, która się odbyła, jakaś kolejna szkoła zastanowi się, zanim wybierze Brzechwę na patrona.

Już po zakończeniu awantury w Dmosinie Brzechwa został patronem przedszkoli m.in. w Sopocie, Białymstoku, Sosnowcu i Będzinie oraz szkół w Zielonej Górze, Płocku i na Żoliborzu w Warszawie. Dla żoliborskich radnych okazał się nawet lepszym kandydatem niż legendarny rewolucjonista Ernesto Che Guevara; w 2003 roku zastąpił go w roli patrona szkoły podstawowej nr 62. „Za” byli nawet radni prawicy. Wstrzymało się tylko czterech. Twierdzili, że nie podoba im się postawa, jaką zajął Brzechwa w 1939 roku we Lwowie, po zajęciu miasta przez Rosjan. Krystyna Brzechwa musiała prostować, że ojca w czasie wojny nie było we Lwowie w ogóle.

Spory o Brzechwę trafiły w końcu i do telewizyjnego serialu. W jednym z odcinków *Rancza*, satyry na rzeczywistość polskiej prowincji, wójt gminy Wilkowyje Lucy Wilska proponuje, by gmina fundowała każdej rodzinie, w której urodzi się dziecko, dwie książki. Jedną dla rodziców, o pielęgnacji niemowląt, i drugą do czytania najmłodszym, na przykład *Brzechwa dzieciom*.

Nazwisko Brzechwy od razu budzi czujność radnych. Wiedzą, że poeta jest kontrowersyjny, i dobrze wiedzą dlaczego.

– A nie ma polskich autorów? – pyta jeden.

– A co Brzechwa był, Szwed? – dziwi się Lucy. Jest Polką, ale urodziła się w Ameryce i nie rozumie, skąd biorą się polskie fobie i uprzedzenia.

# Moja przygoda z Brzechwą. Historia jednego felietonu

Na początku 2007 roku wrocławski Związek Wysziedlonych Wierzyteli Skarbu Państwa zażądał zmiany nazw „niezdekomunizowanych” jeszcze ulic w mieście. Wniosek poparł wicemarszałek sejmiku z współrządzącej wtedy Ligi Polskich Rodzin oraz lokalni działacze LPR. Dekomunizacja miała objąć m.in. ulice Komuny Paryskiej, Włodzimierza Majakowskiego, Franklina D. Roosevelta, Ludwika Waryńskiego i Brzechwy (piszę o tym szerzej w rozdziale „Wojny o Brzechwę”).

W marcowym numerze miesięcznika „Odra”, w którym od ponad dwudziestu lat ukazują się moje felietony z cyklu „Stan przejściowy”, opublikowałem zamieszczony niżej tekst.

## PRECZ Z BRZECZWA

### 1.

Redakcji „Stanu przejściowego” udało się dotrzeć do tajnego uzasadnienia wniosku Ligi Polskich Rodzin, która zażądała niedawno usunięcia nazwiska Jana Brzechwy z listy patronów ulic najpierw we Wrocławiu, a następnie w całej Polsce. Ideę wsparł już wicemarszałek sejmiku Janusz Dobrosz (kiedyś PSL, obecnie LPR).

Powodem wniosku LPR nie jest – jak sugerowały media lewicowe oraz zbliżona do Platformy Obywatelskiej prasa liberalna – wiersz Brzechwy *Kaczka dziwaczka*. Utwór, który przez pewną zbieżność tytułu z nazwiskiem dwóch najważniejszych osób w państwie bywa w niektórych kręgach wykorzystywany do mało śmiesznych ataków na prezydenta i premiera Kaczyńskich, nie pojawia się w uzasadnieniu przygotowanym przez LPR w ogóle.

Oto najważniejsze fragmenty dokumentu, który zdobyliśmy.

### 2.

Jan Brzechwa (prawdziwe nazwisko Lesman) nie jest godny, by patronować szkołom, przedszkolom i ulicom w dziesiątkach polskich miast. Nie zasługuje, by płody jego nienawistnego pióra kształtowały wyobraźnię milionów Polaków. Nie tylko z powodu ukrywanych przez lata wierszy sławiących komunizm, sowiecką armię i Józefa Stalina. Znacznie większych spustoszeń dokonały niewinne na pierwszy rzut oka utwory, za pośrednictwem których przez kilkadziesiąt lat Lesman-Brzechwa sączył w umysły polskich dzieci jad kompleksów, niewiary w siłę narodu i bezbożność.

Nie ma wśród jego „utworów” wierszy sławiących bohaterstwo polskiego oręża, patriotyzm i wierność Kościołowi. W zamian ów pożał się Boże „poeta” bez skrupułów zatruwa młode polskie umysły wirusem „gorszości” w porównaniu z przedstawicielami innych nacji. Nie trzeba nawet pisać, kim zdaniem poety o nazwisku Lesman, ukrywającym się jedynie za pseudonimem Brzechwa, są owi „lepsi”!

Mali Polacy w jego wierszach to wyłącznie niepoprawni zarozumialcy („Samochwała w kącie stała / I wciąż tak opowiadała”), notoryczni kłamcy („Pomyśl tylko, co ty pleciesz! / To zwyczajne kłamstwo przecież”) i godne pogardy nieroby („Na tapczanie siedzi leń, / Nic nie robi cały dzień”).

Z poematów takich jak *Pchła Szachrajka* czy *Szelmostwa lisa Witalisa* wynika wprost, że Polacy to także oszuści, naciągacze, populiści, a w dodatku germanofile („Był Witalis rodem z Polski, lecz kapelusze miał tyrolski”). Nie trzeba chyba dowodzić, iż jest to w oczywisty sposób realizacja tego samego programu, który w okresie II wojny światowej miał uczynić z Polaków podludzi.

Takimi, rzekomo wychowawczymi, wierszami Lesmana próbowano w polskiej szkole zastąpić patriotyczne utwory Stanisława Jachowicza czy Władysława Bełzy.

### 3.

Nie ma wśród utworów Lesmana-Brzechwy takich, które budziłyby w młodych Polakach uczucia wyższe, są za to rymowanki przedstawiające nasz naród jako godnych pogardy donosicieli („– Któż się ciebie o to pyta! – Nikt, / Ja jestem skarżypyta”), gospodarczych nieudaczników („Więc zamienił stryjek / Siekierkę na kijek”), brudasów i bałaganiarzy („Pan starosta jadł przy stole, / Naraz patrzy – włos w rosole”), osoby historyczne („Matka wpadła w stan nerwowy / i musiała zażyć bromu”) i – trudno to dłużej ukrywać – ociążałe umysłowo („Ojciec zaś poszedł po rozum do głowy / I kiedy powróci – nie wiadomo”).

Wśród najczęściej drukowanych wierszy Lesmana znajdują się rymowanki jakby pisane na zamówienie propagandy okresu zaborów czy wręcz czasu okupacji hitlerowskiej, a następnie sowieckiej. Podkreślają one niezdolność Polaków do samoorganizacji, budowy własnego państwa i zajęcia należnego nam miejsca w wielkiej rodzinie państw demokratycznych.

Polacy jawią się w nich jako naród, który nie jest w stanie wykorzystać ofiarowanej mu szansy („Usiadł i spojrzał ogromnie struty / Na swoje siedmiomilowe buty, / Zdjął je ze złością, do wody wrzucił / I na bosaka do domu wrócił”), potrafi jedynie wywoływać na całym świecie awantury („Przy tych słowach popadł w zapał, / Za czuprynę Prota złapał, / Wytar mosił bez litości, Porachował wszystkie kości”), czyli z założenia skazany jest na rolę służebną w stosunku do społeczeństw lepiej zorganizowanych i stojących na wyższym szczeblu cywilizacyjnym („Po co wasze swary głupie, / Wnet i tak zginiemy w zupie”). Polacy powinni wykonywać na ich rzecz prace najprostsze, niewymagające wykształcenia większego niż umiejętność czytania i pisania w zakresie podstawowym.

### 4.

Lesman-Brzechwa od samego początku działał ze szczególną perfidią, pozornie niewinnymi utworami sącząc do świadomości młodych Polaków truciznę zwątpienia. Człowiek ów odważył się nawet podnieść rękę na integralność polskiego państwa, sugerując niezdolność do koegzystencji we wspólnych granicach takich rzek, jak Odra, w którą wbijał graniczne słupy Bolesław Chrobry, Warta, płynąca przez gospodarną Wielkopolskę („Ponoć pierwsza rzekła Warta, / Że jest Noteć nic niewarta, / Warcie na to rzekła Odra, / Że jest głupia i niedobra”) i ozdoba wschodniej Polski – malowniczy Wieprz („Wtedy padły słowa Wieprza: / – Sama też nie jesteś lepsza!”).

Tzw. poeta sugerował notoryczny polski bałagan (aż ciśnie się pod pióro pytanie, w czym interesie było to bardzo kiepsko ukrywane nawiązywanie do stereotypu polnische wirtschaft), wykluczający prawo naszego państwa do zajmowania miejsca w sercu Europy („Siedlce wpadły do Krakowa, / Kraków zmienił się w jezioro, / Nowy Targ za San się schował, / A San urósł w górę sporą”).

Doskonale koresponduje to z obecnym także w jego wierszach nieustannym podkreśleniem wyższości gospodarki kołchozowo-spółdzielczej, charakterystycznej dla okresu, gdy Polska pozbawiona była suwerenności („Nikt nikogo nie oszwabia, / Nikt na nikim nie zarabia, / Bo gdzie łączą wspólne cele, Tam są wszyscy przyjaciele”), nad gospodarką wolnorynkową („– Kto powiedział, że jest drogo? / Nie prosiłem z was nikogo / By odwiedzał moją knieję. / Komu drogo – niechaj nie je!”).

### 5.

A jakby tego wszystkiego było jeszcze za mało, Brzechwa-Lesman chciał uczynić idolem polskich dzieci niejakiego Ambrożego Kleksa, człowieka niewiadomego pochodzenia, niewiadomej religii (choć wiele sugerować może noszony przezeń czarny chałat i długa broda) i niewiadomej profesji (bo przecież nie można poważnie traktować jego rzekomej Akademii, w której naucza się

kleksografii i kleksologii), przedstawiającego się w dodatku jako „doktor nauk tajemnych”.

Kleks utrzymuje podejrzane kontakty na Wschodzie i dysponuje najnowocześniejszymi środkami technicznymi, jakie wykorzystują w swej pracy obce wywiady (oko, które jest w stanie wysłać na przespiegani w kosmos, to przecież nic innego jak sonda szpiegowska najnowszej generacji, a okularów, które w miarę potrzeby zmieniają się w rower, nie powstydziliby się sam James Bond). Rzekome podróże, które Kleks odbywa do ludzi podejrzanej proweniencji (np. niejakiego doktora Paj-Chi-Wo, Chińczyka) i jeszcze bardziej podejrzane zajęcia, którym się oddaje, niedwuznacznie sugerują, że jest to przedstawiciel tajnych służb, wypełniający zadania, których nieprzyjaznych wobec Rzeczypospolitej celów łatwo się domyślić. Jeśli prawdziwe oblicze i intencje Kleksa nie zostały do tej pory ujawnione przez komisję Antoniego Macierewicza, świadczy to jedynie o bardzo wysokim poziomie jego zakonspirowania.

Zło, na które dzieci na całym świecie zostały narażone dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy to rozpoczęło się szaleństwo związane z publikowaniem kolejnych tomów przygód niejakiego Harry’ego Pottera, zaatakowało małych Polaków już pół wieku wcześniej, właśnie przygodami Ambrożego Kleksa, które wyszły spod pióra Lesmana. Już choćby to wystarczy, by ostatecznie wykreślić go z grona osób, którym powierzamy dusze i umysły naszych dzieci.

## 6.

Jak udało się dowiedzieć redakcji „Stanu przejściowego”, Liga Polskich Rodzin przygotowuje już kolejny wniosek, o skreślenie z listy lektur i usunięcie z grona patronów polskich ulic i szkół Juliana Tuwima. Jednym z argumentów ma być ośmieszający polski parlamentaryzm wiersz *Ptasie radio*.

\* \*  
\*

To, co wydarzyło się po opublikowaniu tego felietonu spowodowało, że dwa miesiące później napisałem kolejny.

## HISTORIA JEDNEGO FELIETONU

### 1.

W marcowym „Stanie przejściowym” ukazał się felieton *Precz z Brzechwą*. Felieton był dość oczywistym dla czytelników „Odry” żartem z pomysłu członków i sympatyków LPR, żeby usunąć Jana Brzechwę z listy patronów polskich ulic, przedszkoli i szkół. Wydawało się, że absurdalność wymyślonego przeze mnie i przypisanego LPR uzasadnienia wniosku o ekskomunikę Brzechwy nie może budzić wątpliwości. Bo można oczywiście być tak owładniętym inkwizytorską pasją, żeby z podobnym wnioskiem wystąpić, ale nie można być aż tak głupim, żeby uzasadniać to w taki sposób, jak w felietonie. Mali Polacy w wierszach Brzechwy mieliby być wyłącznie niepoprawnymi zarozumialcami („Samochwała w kącie stała / I wciąż tak opowiadała”), notorycznymi kłamcami („Pomyśl tylko, co ty pleciesz! / To zwyczajne kłamstwo przecież”) i godnymi pogardy nierobami („Na tapczanie siedzi leń, / Nic nie robi cały dzień”).

Przez dwa tygodnie po opublikowaniu felieton wiódł spokojne życie comiesięcznego „odrzańskiego” raportu z Najjaśniejszej Wariacji, niespecjalnie niepokojony, kwitowany pochlebstwami przyjaciół i kwaśnymi minami nieprzyjaciół. Po dwóch tygodniach „zawisł” na internetowych stronach portalu Onet.pl i dopiero wtedy się zaczęło. Okazało się, że PT Czytelnicy portalu gotowi są uwierzyć w najbardziej skrajny idiotyzm, byle tylko sygnowany był przez współrządzającą narodowo-katolicką partię.

## 2.

Pod felietonem w ciągu dwóch tygodni pojawiły się 8563 komentarze internautów, co może nie jest rekordem świata, ale chyba niewiele do niego brakuje. Internauci pisali, że argumenty za usunięciem Brzechwy przypominają najgorszą peerelowską cenzurę, endecką nienawiść, składali deklaracje, że w dzieciństwie czytano im wiersze Brzechwy, a mimo to zachowali sprawność umysłową, więc swoim dzieciom też będą je czytać.

Wzruszające w swej bezradności było wezwanie, które w pewnym momencie pojawiło się wśród wpisów: „Niech autor wreszcie odezwie się i powie, że to wszystko żart”. Najbardziej zdeterminowani przysyłali pytania wprost do „Odry”, domagając się odpowiedzi, czy felieton to prawda, czy dowcip. Były oczywiście głosy rozsądku (pochlebiam sobie, że w większości pochodzące od osób powołujących się na znajomość „Odry”), że felieton to prowokacja (niektórzy wiązali to z nadchodzącym 1 kwietnia), ale kolejni internauci natychmiast dawali im odpór.

„Tyle osób wzięło na poważnie żart (...) tylko dlatego, że na hasło LPR włącza im się automatycznie kwadrans nienawiści?” – napisał jeden z internautów. „Dobrze zasłużonej – niestety” – odpowiedział natychmiast drugi.

Internauci podpowiadali bojownikom LPR kolejnych kandydatów do zlustrowania. Parę małych gejów: Bolka i Lolka, Pszczółkę Maję i Gucia, bzykających na lewo i prawo, ociężałego umysłowo Kubusia Puchatka, psa Reksia, który jest mądrzejszy od blondyna, kandydującego na urząd prezydenta Warszawy, zohydzającego Polaków Mickiewicza („...jedzą, piją, lulki palą...”). A „Rej, Kochanowski, Fredro, jeszcze gorsi...” – napisał ktoś.

Liderzy LPR powinni naprawdę poważnie się zastanowić, skąd bierze się w ludziach wiara, że są gorsi, niż są naprawdę.

## 3.

Jeden z internetowych wątków pod felietonem wzywał: „Kto jest za dymisją Giertycha, niech się wpisuje”. Pod wezwaniem szybko pojawiło się blisko pół tysiąca wpisów. Pod wnioskiem o delegalizację Ligi Polskich Rodzin („Niech wpisują się miasta”) wpisały się Kraków, Głogów, Częstochowa, Wrocław, Zabrze, Szczecin, Płock, Starogard, Pruszków, Brwinów, Krotoszyn, Sosnowiec, Złotoryja, Łódź, Poznań, Kielce, Włocławek, Bielsko-Biała, Zduńska Wola, Lębork, Piła i Opalenica, Kluczbork, Olkusz, 254 osoby z gimnazjum w Kiszku, a nawet Toruń. „Te wypociny LPR wyglądają całkiem jak propaganda ZSRR, choćby za to LPR powinna być zdelegalizowana” – podsumował jeden z internautów.

Kiedy ktoś inny (ujawnił, że mieszka w Katowicach) odważył się napisać, że jest i przeciw dymisji lidera LPR Romana Giertycha, i przeciw prowokacji, którą jest artykuł, natychmiast doczekał się kontry: „Ty chyba nie jesteś z Katowic! Nie rób wstydu Katowicom!!! Katowice za dymisją”.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że partia antyewolucjonistów nie cieszy się wielkim poparciem, zwłaszcza wśród internautów, wśród których przeważają ludzie młodzi. Nie spodziewałem się jednak, że tak wielkie jest wśród Polaków oczekiwanie, że partia ojca i syna Giertychów oraz Ryszarda Czarneckiego będzie produkować podobnie kompromitujące i bezsensowne dokumenty, jak ten uzasadniający zamach na Brzechwę.

## 4.

Przez kilka dni burzy, która rozpełtała się po pojawieniu się felietonu w Internecie, zostałem specjalistą od Brzechwy, lustracji i LPR. Udzieliłem kilku wywiadów (m.in. do polonijnego radia w Chicago), ale najzabawniejsze było to, co działo się poza tym.

Telefonowali do mnie dziennikarze TVN, TVN24, „Gazety Wyborczej” i kilku rozgłośni radiowych, którzy zwęszyli gorący temat. Jeden na wieść, że uzasadnienie wniosku LPR zostało

od początku do końca przeze mnie wymyślone, westchnął tylko: – Szkoda! (Kilka tygodni później dowiedziałem się, iż rzeszowski dziennik „Nowiny” potraktował winietę moich felietonów „Stan przejściowy” jako tytuł istniejącego naprawdę pisma, zacytował najbardziej absurdalne fragmenty „uzasadnienia” wniosku i przepytął kilka ważnych osób, co z ulicą Brzechwy w Rzeszowie).

Pojawiło się kilka artykułów w obronie Brzechwy, a ja stałem się bohaterem kilkunastu internetowych blogów (tyle bez specjalnego wyszukiwania pokazało Google), gdzie felieton *Precz z Brzechwą* został przedrukowany, wzbudzając kolejne fale niechęci do partii, która śmiała podnieść rękę na autora *Lisa Witalisa* i *Pchły Szachrajki*. Prowadzący program „Pytanie na śniadanie” w TVN zapytali, co sądzi o wierszach Brzechwy, żonę Romana Giertycha, wicepremiera rządu i ministra edukacji. Próbowwała zapalić diabłu świeczkę i Panu Bogu ogarek, ale Brzechwy nie potępiła.

A książkowe wydawnictwo z Poznania zwróciło się do mnie z prośbą o pomoc w dotarciu do całego tekstu „tajnego wniosku LPR” i zgodę na wykorzystanie go w specjalnym wydaniu wierszy Brzechwy z cenzorskimi uwagami partii osobistych właścicieli Pana Boga.

## 5.

Jednak rekord świata w nieumiejętności czytania ze zrozumieniem pobiła telewizja Polsat, która 30 marca, w głównym wydaniu dziennika „Wydarzenia” o godz. 18.45, uczyniła z felietonu o zakusach na ulicę imienia Brzechwy jeden z podstawowych tematów. Z przerażeniem patrzyłem, jak dzielni reporterzy „Wydarzeń” wypytyują mieszkańców ulicy Brzechwy we Wrocławiu i posłów LPR w Warszawie, co sądzą o tym, żeby Brzechwy się pozbyć. News gęsto przetykany był cytatami (wyczerniony ekran i wystukiwane na nim białe litery) co bardziej absurdalnych fragmentów mojego felietonu, podawanymi jako wyimki z oficjalnego, autentycznego dokumentu koalicyjnej partii. Nawet puenta newsa „wypożyczona” została ze „Stanu przejściowego”. „Następny będzie Tuwim – zakończyła dziennikarka – za ośmieszający sejm IV RP wiersz *Ptasie radio*”.

Patrzyłem na to z cechowym współczuciem dla kolegów z Polsatu. Było absolutnie oczywiste, że następnego dnia liderzy LPR rozszarpią telewizję Zygmunta Solorza na strzępy, mszcząc się za złośliwości i ataki, domagając się w świętym oburzeniu na dziennikarską manipulację nie tylko przeprosin oraz sypania popiołu na głowę, ale i bolesnych nawet dla bardzo bogatej stacji kar finansowych. Tymczasem następnego dnia nie było żadnej reakcji, podobnie kolejnego i trzeciego. Liderzy Ligi Polskich Rodzin w Warszawie uznali widocznie za absolutnie prawdopodobne, że ich koledzy gdzieś na prowincji wydali jakieś idiotyczne oświadczenie, więc lepiej poczekać, aż sprawa przyschnie i odejdzie w niepamięć, niż podgrzewać ją protestami i awanturami.

Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że liderzy LPR myślą o członkach swojej partii równie źle jak internauci, ale na pewno to oni mają rację.

## 6.

Dla mnie osobiście najbardziej bolesnym rozczarowaniem była propozycja jednego z internautów: „Niech pan Urbanek i jego koledzy z LPR odpier... się od Brzechwy”. Bolesnym tym bardziej, że staram się dobierać sobie kolegów dość starannie.

\* \*  
\*

F e l i e t o n *Precz z Brzechwą* nadal można znaleźć w Internecie – [http://czytelnia.onet.pl/0,1401638,1,,0,0,0,precz\\_z\\_brzechwa,artykuly.html](http://czytelnia.onet.pl/0,1401638,1,,0,0,0,precz_z_brzechwa,artykuly.html). Wciąż pojawiają się pod nim nowe wpisy.



# Nasze kontakty były zawsze dość trudne...

Rozmowa z Krystyną Brzechwą, córką poety, malarką

Mariusz Urbanek: – *Kiedy zobaczyła Pani ojca pierwszy raz?*

Krystyna Brzechwa: – To było w 1937 roku na pogrzebie Bolesława Leśmiana. Była cała rodzina...

– *Miała Pani osiem lat.*

– Prawie dziewięć.

– *A wcześniej?*

– Rodzice rozwiedli się krótko po moich urodzinach. Ojciec miał już wtedy romans z inną kobietą, Karoliną Meyer-Lentową. Matka opowiadała, że przychodziła do nich, prosząc, by pomogli szukać jej męża, który zdaje się włóczył się gdzieś po knajpach. Tak się zbliżyli z ojcem. Skończyło się to małżeństwem.

– *I co? Na pogrzebie tak po prostu powiedział: Dzień dobry Krysiu, jestem twoim tatą?*

– Nic nie powiedział, nie rozmawialiśmy. Na pogrzebie był tłum ludzi, pokazała mi go z daleka ciotka, Celina Sunderland, która chyba chciała nas z sobą poznać. Pamiętam tylko, że nie chciałam do niego podejść i powiedziałam: „Nie chcę go znać”.

– *Później próbował jakoś wejść w rolę ojca?*

– Za bardzo nie próbował. Nigdy nie był zbyt wylewny. Potem, kiedy byłam już dorosła, powiedział mi, że nie bardzo się do roli ojca nadawał.

– *Poznała Pani ojca i co dalej?*

– Właściwie nic. Chyba byłam raz u niego, mieszkał wtedy u ciotki Haliny Koreckiej, i raz przyszedł z wizytą do matki i do mnie na Górnośląską. Zapamiętałam, że ich rozmowa się nie kleiła. Matka zachowywała się jakoś tak niewyraźnie, on też był niewyraźny i zrezygnował z tych wizyt.

– *Potem wybuchła wojna.*

– W pierwszym roku okupacji widywaliśmy się częściej, bo chodziłam do niego co niedzielę na obiad. Mieszkałyśmy wtedy z matką na Żurawiej, on przy Marszałkowskiej, nad kinem Polonia u Wity Niedzielskiej, z którą wtedy żył. Potem przyjechał dziadek i zabrał mnie do Nowego Sącza, gdzie rodzice matki mieli dom.

– *Kiedy zobaczyła Pani ojca następnym razem?*

– Dopiero po wojnie. Wtedy nasz kontakt był już systematyczny. Zaczęłam chodzić do liceum plastycznego w Warszawie, a on ulokował mnie na stacji u pani Starzyńskiej, bratowej prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Mama była nadal z dziadkami w Nowym Sączu, a ojciec mieszkał w Łodzi w domu literatów, gdzie przyjechało wtedy wielu pisarzy, między innymi Broniewski, Minkiewicz, Żuławski, Brandysowie i inni. Przed ślubem ojca z Janiną Serocką wszyscy u niego bywali. Dom prowadziła mu najpierw ciotka Korecka, potem już Janka, jego trzecia żona. W niedziele jeździłam do niego do Łodzi. Czasem nawet przyjeżdżałam z koleżanką.

– *Jak traktowała Panią jego żona?*

– Dość przyzwoicie. Nie było to traktowanie ani specjalnie ciepłe, ani specjalnie złe. Lepsze relacje zaczęłyśmy mieć dopiero po śmierci ojca.

– *Interesował się Pani nauką, chłopakami? Była Pani już w końcu dorastającą panną.*

– Chłopakami nie interesował się, ale zapytał kiedyś: czy ty naprawdę sądzisz, że zdasz maturę? Bo pani Starzyńska poskarżyła, że za mało się uczę. Powiedziałam mu, że nie wyobrażam sobie, bym

miała mieć jakiegokolwiek kłopoty. I nie miałam.

– *Jak przyjął decyzję, że będzie Pani studiować malarstwo?*

– Był przeciwny. Odbywały się na ten temat długie rozmowy. Przekonywał: a może byś studiowała chociaż grafikę, albo architekturę wnętrz, albo cokolwiek innego. Coś, co byłoby jego zdaniem bardziej konkretne i użyteczne. Wystarczy już artystów w tej rodzinie, żartował.

– *Mniej więcej wtedy wrócił do Warszawy.*

– Tak. Chodziłam do niego i Janki na obiady.

– *Wtedy kontakt ojciec – córka był już lepszy?*

– Nasze kontakty były zawsze dość trudne, zbyt byliśmy do siebie podobni. Żadne z nas nie miało umiejętności przełamywania barier.

– *Jest Pani do ojca podobna?*

– Fizycznie ponoć tak. I chyba nie tylko. Tak mówią.

– *Malowała go Pani?*

– Nie złożyło się, zresztą ani jemu, ani mnie nie przyszło to do głowy.

– *Zaakceptował w końcu Pani studia?*

– Czy zaakceptował? Nie wiem. Dopiero kiedy dowiedział się, że zaczynam brać udział w jakichś wystawach, to chyba się z tym pogodził.

– *Przychodził na Pani wystawy?*

– Na pierwszą nie musiał. Miałam wystawę w Związku Literatów na placu Zamkowym. Dzisiaj te obrazy pewnie wydałyby się zupełnie niegroźne, wtedy zrobiły tam wrażenie piorunujące. Były protesty. Mówiono, że moje obrazy przeszkadzają pisarzom pić kawę. W końcu zażądali ich usunięcia, ale ja uznałam, że skoro już wiszą, to niech jeszcze tam pobędą.

– *Co było na tych płótnach?*

– To był czas taszyzmu, czy nawet informelu. Obrazy były bardzo kolorowe, grubo malowane, pełne plam, mogły się literatom nie podobać.

– *A co na to ojciec?*

– Nie wtrącał się. Powiedział tylko, że przez moje obrazy zrobił się skandal. Odpowiedziałam, że niektórym się podobają. Janka na to, że nie słyszała, by komuś się podobały. I dodała, że według Magdaleny Samozwaniec są okropne. Temu akurat się nie dziwiłam, bo Magdalenie Samozwaniec pewnie podobały się tylko obrazy Kossaków.

– *Powiedział Pani, co sam myśli o tych obrazach?*

– Wydaje mi się, że malarstwo, zresztą nie tylko moje, kompletnie go nie interesowało.

– *„Mam córkę – malarzkę, która, n i e s t e t y, uprawia malarstwo abstrakcyjne” – mówił w wywiadzie dla „Kuriera Polskiego”. Potem dodał jeszcze: „Nie lubię tego rodzaju malarstwa, nie znam się na tym”.*

– Moim zdaniem pisarze w ogóle nie „widzą” malarstwa. Poza Stanisławem Grochowiakiem. Ojciec tylko raz zapytał mnie, dlaczego mu nie powiedziałam, że na jakiejś wystawie wisi mój obraz, bo Jan Marcin Szancer twierdzi, że jest bardzo dobry.

– *Na następne Pani wystawy przychodził?*

– Jakoś nie przypominam go sobie z wernisaży, choć raz na pewno był. Więc pewnie od czasu do czasu przychodził.

– *W innym wywiadzie powiedział, że ma córkę malarzkę, ale ona nie chce ilustrować jego książek, „ponieważ uważa, że to poniżej jej godności...”.*

– Naprawdę tak powiedział?

– *W 1958 roku, w rozmowie z „Głosem Pracy”.*

– Pierwszy raz słyszę o takiej wypowiedzi. To raczej on mógł uważać, iż moje malarstwo nie pasuje do jego wierszy.

– *I nigdy Pani tego nie zaproponował?*

– Nie pamiętam tego. Skontaktował mnie tylko kiedyś z Szancerem, który pracował w wydawnictwie. Zilustrowałam nawet na jego zlecenie jakąś książeczkę dla dzieci. Ale szybko mnie stamtąd usunęli i to właśnie dlatego, że zaczęły się podejrzenia o protekcję, Szancer miał nawet przez to jakieś przykrości. Jednak nigdy nie powiedziałabym, że ilustrowanie książek ojca jest poniżej mojej godności. Już po jego śmierci robiłam rysunki do *Pana Kleksa*, wydawnictwo do dziś nie zwróciło mi wszystkich oryginałów, a później jeszcze do jakiejś małej książeczki z bajkami.

– *Nie wykorzystał swoich możliwości, żeby pomóc córce?*

– Nie. Miał zasady i uważał, że nie wypada popierać rodziny. Raz tylko, kiedy nie miałam jeszcze pracowni, poradził, żebym poszła w tej sprawie do ówczesnego ministra kultury Lucjana Motyki. Poszłam, przedstawiłam się, powiedziałam w jakiej sprawie, a minister mówi mi tak: – Pani ojciec jest w komisji przyznającej talony na samochody, a mój siostrzeniec bardzo potrzebuje samochodu. No to powiedziałam, dziękuję, przekażę ojcu. Poszłam do niego i mówię, że będę miała pracownię, jak on załatwi siostrzeńcowi ministra talon na samochód, a wtedy auto można było zdobyć prawie wyłącznie w taki sposób. – Wykluczone – usłyszałam. No i nie dostałam wtedy pracowni. Uważałam, że miał rację. Dziś też tak myślę.

– *W ogóle Pani nie wspierał?*

– Wspierał. Świeżo po studiach, kiedy nie miałam żadnej pracy, pomagał mi finansowo, zwłaszcza w momentach najtrudniejszych dla mnie.

– *Byliście oboje dorośli, nie musiał się już bać roli ojca.*

– Stosunki między nami nigdy nie były bardzo ciepłe, ale z czasem zrobiły się bardziej normalne. Kiedy po zawale leżał w szpitalu, w połowie lat pięćdziesiątych i później, odwiedzałam go i był z tego zadowolony. Pamiętam, że nawet podczas choroby nie tracił poczucia humoru. Opowiadał, że lekarze przychodzą do niego wieczorami i grają do północy w karty.

– *To powtarza się prawie we wszystkich wspomnieniach – był namiętnym brydżystą.*

– Co tydzień odbywały się w mieszkaniu ojca wieczory brydżowe, które przeciągały się bardzo długo w noc. Najczęściej przychodzili Tadeusz Żeromski, Stefania Grodzieńska i aktorka Lidia Wysocka.

– *Lubił dzieci?*

– Chyba lubił.

– *Chyba?*

– Nigdy go o to nie pytałam.

– *A jakie miał w ogóle podejście do dzieci?*

– Do cudzych? Dobrze.

– *Antoni Marianowicz powiedział kiedyś, że bał się dzieci.*

– Spotykał się z dziećmi stale, więc chyba się ich nie bał, albo bardzo dobrze to ukrywał. Dzieci go kochały, pisały listy, przynosiły kwiaty, ustawiały się w kolejkach po autografy.

– *Był też dość kochliwy.*

– To prawda, nie rozumiem tylko, czemu musiał się za każdym razem żenić? Z moją matką miał ślub katolicki, z drugą żoną – ewangelicki, bo kościół katolicki nie pozwalał na rozwody, a z Janką, po wojnie, już tylko cywilny.

– *Nie za każdym razem się żenił. Żonaty był trzykrotnie, ale kobiet w jego życiu było znacznie więcej.*

– Na poważnie chyba jeszcze tylko jedna. Być może nawet by się z nią ożenił, ale ona nie chciała rozwieść się z mężem. Niewiele wiem na ten temat, choć na pewno lubił kobiety. A one często zachwycały się, jakiego mam uroczego ojca.

– *Ci, którzy go wspominają, podkreślają jego urok osobisty i elegancję.*

– Bardzo dbał o wygląd i ubranie. Kiedyś powiedział mi, że musi być zawsze ogolony i przyzwoicie ubrany, bo nieogolony i obdarty to może być co najwyżej milioner. Kobiety też lubił przede wszystkim piękne i eleganckie.

– *Odmłodził się o dwa lata. Dla trzeciej żony?*

– Nie sędzę, może wydawało mu się, że rok 1900 wygląda lepiej niż 1898, a na pewno ładniej. Przecież te dwa lata nie miały żadnego znaczenia.

– *W papierach po Pani ojcu pozostała kartka z wierszem, pracowicie poskładana z podartych kawałków papieru, a potem naklejona na inną kartkę. Ten wiersz chyba nie był nigdy publikowany.*

– Myślę, że to wiersz adresowany do jego ostatniej ukochanej, z którą spotykał się u ciotki Haliny. Podarł go, a ciotka sklepiła i trzymała u siebie.

– *Adresatką listu była ta, która nie chciała się dla niego rozwieść?*

– Tak. I więcej nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

– *A jak było z jego religijnością?*

– Nijak. Religia mu w niczym nie przeszkadzała, ale nie potrzebował jej. Wigilię obchodził hucznie, z gośćmi, w stosunku do innych był bardzo tolerancyjny.

– *Pojawiał się w rozmowach temat żydowskiego pochodzenia rodziny?*

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek była o tym mowa. W każdym razie nie sędzę, żeby to było dla ojca jakimkolwiek problemem. Lesmanowie byli rodziną od dwóch pokoleń całkowicie spolszczoną. Bolesław Leśmian i jego rodzice spoczywają w Warszawie na Powązkach, rodzice ojca na cmentarzu ewangelicko-augsburskim, on sam także na Powązkach wojskowych.

– *Skąd to religijne zamieszanie?*

– W przedwojennej Polsce nie było ślubów cywilnych, a kościół katolicki nie uznawał rozwodów, więc wiele osób zmieniało wyznanie na protestanckie, żeby móc ożenić się drugi raz.

– *Wspominał w rozmowach z Panią okupację?*

– Nie, nigdy o tym nie mówił. Wiedziałam, że w pewnym okresie ukrywał się ze swoim przyjacielem Adamem Ostoją-Owsianym w Opaczy. Jest nawet wiersz o tym, ale nie wracał do tamtych czasów. A potem była już Warszawa.

– *Nie bał się zdemaskowania przez szmalcowników? Mimo pochodzenia?*

– Nie wiem, czy były w nim takie lęki, słyszałam, że chodził po kawiarniach, ale pamiętam, że dziadek w czasie okupacji czytał w jakiejś gazecie napastliwy artykuł o pisarzach żydowskiego pochodzenia, w którym było wymienione nazwisko ojca.

– *Był znany i wszyscy wiedzieli, że Brzechwa, czyli mecenas Lesman, jest pochodzenia żydowskiego, a to oznaczało zagrożenie.*

– Jakimś zabezpieczeniem była na początku Wita Niedzielska. Kiedy rozstał się z nią, bo zaczęła się jego wielka miłość do Janki, znów zamieszkał u swojej siostry. Ale z Witą utrzymywał kontakty także po wojnie.

– *Wybaczyła mu?*

– Chyba wybaczyła. Wyjechała za granicę, ale co jakiś czas przyjeżdżała do Polski. Spotkałyśmy się po śmierci ojca. Była ona, Janka Brzechwina i ja. Wita wspominała, jak kiedyś, już po wojnie, ojciec zadzwonił do niej i poprosił, żeby kupiła bukiet róż i dostarczyła do pociągu, którym jechała jakaś jego nowa flama, nie pamiętam która. Pomysł raczej dziwny, ale Wita te róże kupiła i zaniosiła.

– No, czy ja mogłam Jankowi odmówić? – powiedziała.

– *A o co obraziły się na Pani ojca córki Bolesława Leśmiana?*

– O pieniądze.

– *Oskarżyły go, że przywłaszczył sobie pieniądze za tom poezji Leśmiana...*

– Nie sam, ale razem z ciotką Celiną. To było pierwsze po wojnie wydanie poezji Leśmiana, o które ojciec musiał bardzo zabiegać. Gdyby nie on, prawdopodobnie nie byłoby tych wierszy wcale, bo z żoną i córkami, które były już wtedy w Argentynie, nie było kontaktu. Owszem, ojciec i ciotka Celina jakieś pieniądze dostali, ale wcale nie dużo, i w dodatku w złotówkach. Żeby przekazać je żonie i córkom, musieli zamienić je na dolary, oczywiście po kursie czarnorynkowym, i znaleźć sposób na wywiezienie ich z Polski, co było w tamtych czasach karane. Kiedy ojcu udało się wreszcie te dolary jakoś przekazać, one i tak uznały, że dostały za mało.

– *Ojciec zaczął pisać dla dzieci dość późno i nieoczekiwanie. Był lirykiem, autorem wierszy satyrycznych, a tu nagle Kaczka dziwaczka. Skąd taki zwrot?*

– Ja tłumaczę to sobie właśnie kompleksem Leśmiana. Wiedział, że to wielki poeta, podziwiał go, ale był często do niego porównywany, przecież wszyscy wiedzieli, że są kuzynami. To mogło podcinać mu skrzydła. Wiersze dla dzieci, wspaniałe przecież, pozwalały mu się od Leśmiana odróżnić. A po wojnie twórczość dla dzieci była miejscem, gdzie mógł schronić się przed polityką, która wciskała się wszędzie.

– *Często żalił się, że jako twórca literatury dla dzieci nie jest traktowany poważnie. Rozmawiał z Panią o swojej twórczości?*

– Nie.

– *Jak reaguje Pani na powracające dyskusje, czy Jan Brzechwa jest godny, by być patronem szkoły.*

– Całe to zamieszanie to jakiś absurd. Każda szkoła może wybrać sobie takiego patrona, jakiego chce, i dyskusja, czy mój ojciec na to zasługuje, czy nie, nie ma zupełnie sensu. W Polsce jest wystarczająco dużo szkół i przedszkoli, które chcą, by ich patronem był Jan Brzechwa.

– *Krytycy twierdzą, że ktoś, kto pisał w okresie stalinowskim socrealistyczne wiersze, nie może być wzorem dla młodzieży.*

– Okres, kiedy ojciec uległ komunistycznej presji nie trwał długo. Wielu pisarzy tworzyło w okresie stalinowskim rzeczy znacznie gorsze, a dziś uważani są za świętych.

– *Przeciwnicy ojca twierdzą, że był konformistą.*

– Absurdem jest wymaganie od artystów nieskazitelności. Jeśli chcemy, żeby to byli sami święci, wyrzucmy z muzeów i bibliotek wielu twórców.

– *Zarzucono mu brak patriotyzmu.*

– To bzdura. Mogłabym oczywiście przypominać jego udział w wojnie w 1918 roku i w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920, czy wiersze, które napisał o Piłsudskim, a potem o powstaniu warszawskim. Ale ludzi, którzy zarzucają mu brak patriotyzmu, to prawdopodobnie i tak nie przekona. Jasne, że lepiej byłoby, gdyby tych kilkunastu wierszy po wojnie nie napisał, ale na pewno nie przekreślają one znaczenia jego utworów dla dzieci.

– *Do Pani miano pretensje, że broniąc ojca, dowodząc jego polskości i patriotyzmu, podnosząc wojenne zasługi i związki z chrześcijaństwem, niejako zgodziła się Pani z tezą, że żydowskie korzenie to coś złego.*

– Awanturę rozpętali dziennikarze, a potem zaczęła żyć własnym życiem. Nie zaprzeczałam korzeniom rodziny ojca, mówiłam tylko, że ta przeszłość nie miała dla niego żadnego znaczenia. Dlatego ani czynienie mu z tego zarzutu, ani bronienie go, nie ma sensu. Gdyby nie dziennikarze,

sprawa szybko wypaliłaby się, jak każdy lokalny konflikt.

– *Rejestrowała Pani w ogóle tę polityczną część twórczości ojca w czasie, gdy powstawała?*

– W ogóle do mnie nie docierała. Najpierw byłam w liceum, potem studiowałam na Akademii Sztuk Pięknych i miałam zupełnie inne problemy.

– *Myśli Pani, że naprawdę wierzył w komunizm, czy po prostu chciał zapewnić sobie spokój. A może pisał te wiersze dla pieniędzy?*

– Nie rozumiem powodów, dla których to robił, ale pieniądze w ogóle nie wchodziły w grę. Przypuszczam, że wszyscy, którzy zaangażowali się wtedy w życie polityczne, trochę wierzyli. Przynajmniej ci, którzy przeżyli okupację w Polsce, w Generalnej Guberni. Niektórzy naprawdę potraktowali przyjscie Rosjan jak wyzwolenie.

– *Ojciec rozmawiał z Panią o polityce?*

– Nie, naśmiewał się tylko trochę ze swojej siostry, że reakcjonistka, bo ciotka Halina była bardzo krytyczna wobec panującego w PRL ustroju.

– *Pracował w domu czy wyjeżdżał z Warszawy, żeby pisać?*

– Najpierw pisał w domu. Wstawał wcześniej rano, zjadał śniadanie i siadał do pracy, ale kiedy zamieszkała z nimi rodzina Janki, coraz częściej wyjeżdżał do Obór.

– *Był chyba, jak na ówczesne czasy, bogatym człowiekiem. Milionowe nakłady jego wierszy robią wrażenie.*

– Podobno był bogaty, zarabiał dużo, ale też bardzo dużo pieniędzy wydawał. Pomagał ludziom i utrzymywał całą rodzinę swojej trzeciej żony, ale lubił też się zabawić, więc wydawał sporo na bankiety, pożyczzał, stawiał.

– *Wie Pani, dlaczego po wojnie zrezygnował z adwokatury i poświęcił się pisaniu?*

– Myślę, że jeśli chciał naprawdę pisać, byłoby to bardzo trudne do pogodzenia z praktyką adwokacką. Bo to tak, jakbym ja, będąc malarką, chciała być jednocześnie główną księgową.

– *Kiedy zaczęły się ukazywać powieści Joanne K. Rowling o Harrym Potterze, pojawiły się głosy, że to plagiat z Akademii Pana Kleksa. Że akademia to Hogwart, Kleks to profesor Dumbledore, golarz Filip – Voldemort, a Adaś Niezgódka to pierwowzór Harry'ego.*

– Owszem, są tam elementy podobne i takie, które się wręcz powtarzają, ale nie ma sposobu, by dowieść, że to plagiat. Walka o to nie ma sensu. W baśniach często powtarzają się pewne postaci i schematy.

– *Ojciec chwalił się, że Akademią Pana Kleksa zainteresowało się Hollywood?*

– Nigdy mi o tym nie wspominał.

– *Był chyba dość skryty.*

– Był dyskretny, poza tym całą prawdę o człowieku zna tylko on sam. W książce Sándora Máraia *Pokój na Itace* syn Odyseusza mówi: – Cóż ja mogę o nim wiedzieć, przecież byłem tylko jego synem. Żona mówi: – Czyja mogę naprawdę coś o nim wiedzieć, byłem tylko jego żoną. A ja byłem tylko córką Jana Brzechwy.

Krystyna Brzechwa jest absolwentką Wydziału Malarstwa ASP w Warszawie (w pracowni prof. Eugeniusza Eibischa). Debiutowała na Wystawie Młodej Plastyki w warszawskim Arsenale w 1955 r. Miała kilkadziesiąt wystaw indywidualnych w kraju i na świecie (m.in. w Londynie, Sztokholmie, Nowym Jorku).

# Daty Jana Brzechwy

## 1898

- przychodzi na świat 15 sierpnia w Żmerynce na Podolu jako Jan Wiktor Lesman.

## 1915

- debiutuje jako poeta w ukazującym się w Petersburgu tygodniku „Sztandar”.

## 1918

- przyjeżdża do Warszawy, bierze udział w rozbrajaniu Niemców i podejmuje współpracę z działającymi w mieście kabaretami, która będzie trwać przez całą II RP,
- przystępuje do rodzącego się Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych,
- rozpoczyna studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, ale w grudniu wstępuje do Legii Akademickiej i kilka tygodni później wyrusza na front.

## 1919–1920

- bierze udział w wojnie polsko-bolszewickiej, m.in. w kampanii lwowskiej.

## 1920

- wraca na studia, które kończy w roku 1924.

## 1921

- uczestniczy w Wielkim Koncercie Futurystycznym w Filharmonii Warszawskiej, w którym wystąpił także Bruno Jasiński.

## 1925

- ukazuje się pierwszy tomik wierszy Brzechwy – *Oblicza zmyślane*.

## 1926

- kończy aplikację i podejmuje praktykę adwokacką; specjalizuje się w prawie autorskim,
- w warszawskim kościele Zbawiciela żeni się z kuzynką Marią Sunderland.

## 1928

- zostaje radcą prawnym w ZAiKS-ie,
- w sierpniu przychodzi na świat jedyna córka poety, Krystyna; małżeństwo Brzechwy z jej matką praktycznie już wtedy nie istnieje.

## 1929

- żeni się po raz drugi, z Karoliną Meyer (primo voto Lentową), córką bogatego warszawskiego przedsiębiorcy.

## 1931

- zostaje kierownikiem literackim teatryku rewiowego *Wesołe Oko*.

## 1935–1937

- reprezentuje przed sądem Zenona Przesmyckiego (pseud. Miriam) w sprawie przeciwko Tadeuszowi Piniemu, wydawcy i historykowi literatury, o prawa do spuścizny Cypriana Norwida.

## 1936–1937

- reprezentuje w sądzie redakcję tygodnika dla dzieci „*Płomyk*” i Związek Nauczycielstwa Polskiego w sprawie przeciwko „*Ilustrowanemu Kuryerowi Codziennemu*” o oszczerstwo.

## 1937

- „*pod choinkę*” (ale z datą wydania 1938) ukazuje się pierwsza książeczka Brzechwy z bajkami dla dzieci – *Tańcowała igła z nitką*.

## 1938

- publikuje tom panegirycznych wierszy poświęconych Józefowi Piłsudskiemu – *Imię wielkości* (część wierszy ukazała się wcześniej w tomie Brzechwy *Piołun i obłok*),
- ukazuje się drugi tom bajek (postdatowany na rok 1939) – *Kaczka dziwaczka*; obydwie książki z wierszami dla dzieci ilustruje Franciszka Themerson.

## 1940

- ukrywa się przed Niemcami w majątku Heleny Oskierko-Haller w Mianocicach pod Krakowem, tam spotyka go słynny Oskar Schindler,
- w Warszawie poznaje Janinę z Magajewskich Serocką, mężatkę, w której się zakochuje.

## 1941

- podejmuje pracę jako ogrodnik na terenie toru wyścigów konnych na Służewcu.

## 1942–1944

- pisze kolejne bajki i wiersze dla dzieci, które kupują podziemni wydawcy na „po wojnie”.

## 1944

- zaczyna pisać *Akademii Pana Kleksa*,
- w czasie powstania warszawskiego współpracuje z gazetą „*Barykada Powiśla*”,
- po upadku powstania trafia do obozu w Piasecznie,
- po zwolnieniu z obozu jedzie do Lublina.

## 1945

- przyjeżdża do Łodzi, gdzie zostaje radcą prawnym wydawnictwa *Czytelnik*; takie same funkcje pełni w Związku Literatów Polskich i ZAiKS-ie.



## 1946

- bierze ślub z Janiną Serocką; przy okazji wykorzystuje powojenny rozgardiasz w dokumentach i „odmładza się”; odtąd podaje jako rok urodzenia – 1900,
- w ciągu pierwszych dwóch lat po wojnie ukazuje się dwadzieścia ksiązek Brzechwy z wierszami dla dzieci.

## 1947

- ukazuje się tom satyr *Palcem w bucie*, zawierający m.in. wiersz *Marianowi Hemarowi – odpowiedź*,
- Brzechwa rezygnuje z wykonywania zawodu adwokata,
- wstępuje do Polskiej Partii Socjalistycznej, która rok później łączy się z PPR, tworząc Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą,
- zaczyna chorować na serce.

## 1948

- wraca z żoną do Warszawy. Zamieszkują przy ulicy Mochneckiego.

## 1951

- ukazują się najbardziej polityczne tomiki wierszy Brzechwy: *Pokój zwycięży* (wspólnie z Januszem Minkiewiczem) oraz *Strofy o planie sześcioletnim*,
- rozpoczyna współpracę z Chórem Eryana, założonym przez Jana Ernsta.

## 1952

- publikuje kolejne tomiki, które będą mu wypominane po latach: *Cięte bańki*, *Gawęda o dawnych latach*, *o różnych kandydatach*, *o posłach i mandatach*, *o rzekach i mostach*, *o cudach i starostach* oraz *Stonka i Bronka*.

## 1954

- podejmuje współpracę z kabaretem Stańczyk, który przestaje istnieć po pierwszym programie.

## 1955

- tłumaczy na język polski powieść Ilii Erenburga *Odwilż*,
- ukazuje się tom *Wiersze wybrane*, pierwszy po wojnie wybór poezji zawierający także liryki Brzechwy.

## 1956

- w marcu w „Życiu Warszawy” publikuje odwilżowy artykuł – *Ludzie łakną prawdy*.

## 1957

- zostaje wybrany na przewodniczącego zarządu ZAiKS-u; po raz kolejny zostaje prezesem stowarzyszenia w roku 1959,

- zaczyna publikować w „Przekroju” cykl „Wesołe obserwatorium gastronomiczne Jana Brzechwy”,
- przeprowadza się z żoną do kamienicy przy ul. Opoczyńskiej 5, gdzie mieszka do śmierci.

## 1958

- ukazuje się autobiograficzna powieść Brzechwy *Gdy owoc dojrzewa...*

## 1959

- publikuje w tygodniku „Świat” felieton *Cyrk pcheł*, w którym atakuje nowoczesną poezję,
- na zamówienie TVP wraca do pisania satyrycznych szopek noworocznych; powstają trzy (na lata 1960, 1961 i 1963), pierwszą tworzy z Antonim Marianowiczem, przy następnych dołącza Janusz Minkiewicz.

## 1960

- rozpoczyna publikowanie w „Przeglądzie Kulturalnym” cyklu felietonów „Z piątku na niedzielę”, które po kilku miesiącach przenosi do „Expressu Wieczornego”.

## 1961

- ukazują się *Podróże Pana Kleksa*, kontynuacja *Akademii...*; kolejny tom, zatytułowany *Tryumf Pana Kleksa*, ukaże się w roku 1965.

## 1962

- pisze scenariusz filmu według powieści Kornela Makuszyńskiego *O dwóch takich, co ukradli księżyc*.

## 1963

- w Teatrze Narodowym w Warszawie odbywa się premiera sztuki Brzechwy *Niezwykła przygoda Pana Kleksa* w reżyserii Kazimierza Dejmka, z muzyką Stefana Kisielewskiego i scenografią Jana Marcina Szancera.

## 1964

- podpisuje kontrlist przeciwko Listowi 34, w którym grupa pisarzy i uczonych zaprotestowała przeciwko zaostrzeniu cenzury i ograniczeniom przydziału papieru na druk prasy i książek,
- otrzymuje order Sztandaru Pracy, drugie co do ważności odznaczenie PRL.

## 1965

- otrzymuje nagrodę literacką ministra kultury i sztuki,
- kandyduje w wyborach do Rady Miejskiej Warszawy i zostaje radnym.

## 1966

- umiera 2 lipca w Warszawie,
- zostaje pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, na grobowcu nadal widnieje nieprawdziwy rok urodzenia – 1900.

**1968**

- ukazują się *Opowiadania drastyczne* i zbiór *Liryka mego życia* zawierający wiele wierszy wcześniej niepublikowanych.

# ŹRÓDŁA

## KSIĄŻKI I CZASOPISMA, KTÓRE CYTOWAŁEM, Z KTÓRYCH KORZYSTAŁEM, KTÓRE WARTO PRZECZYTAĆ

- Erwin Axer, *Z pamięci*, Warszawa 2006.
- Akademia Pana Brzechwy. Wspomnienia o Janie Brzechwie*, pod redakcją Antoniego Marianowicza, Warszawa 1984.
- Anna Bikont, Joanna Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006.
- Kazimierz Brandys, *Miesiące. 1982–1984*, Paryż 1984.
- Jan Brzechwa, *Brzechwa dla dorosłych*, Warszawa 1999.
- Jan Brzechwa, *Gawęda o dawnych latach, o różnych kandydatach, o posłach i mandatach, o rzekach i mostach, o cudach i starostach*, Warszawa 1952.
- Jan Brzechwa, *Gdy owoc dojrzewa*, Warszawa 1958.
- Jan Brzechwa, *Miejsce dla kpiarza*, Warszawa 1967.
- Jan Brzechwa, *Opowiadania drastyczne*, Warszawa 1968.
- Jan Brzechwa, *Palcem w bucie*, Warszawa 1947.
- Jan Brzechwa, *Pan Kleks. Akademia. Podróże. Tryumf*, Warszawa 1968.
- Jan Brzechwa, *Strofy o planie sześcioletnim*, Warszawa 1951.
- Jan Brzechwa, *Wagary. Szopka szkolna*, Warszawa 1953.
- Jan Brzechwa, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1955.
- Jan Brzechwa, Janusz Minkiewicz, *Pokój zwycięży*, Warszawa 1951.
- Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, 1.1-5, Warszawa 1988.
- Dom Pod Królami. W 75-lecie ZAiKS-u*, Warszawa 1993.
- Dymek z papierosa, czyli wspomnienia o scenach, scenkach i nadsceńkach*, pod redakcją Kazimierza Rudzkiego (Jan Brzechwa, *Na marginesie*), Warszawa 1959.
- Gwoździe do Trumana*, Warszawa 1952.
- Marian Hemar, *Siedem lat chudych*, Nowy Jork 1955.
- Zbigniew Herbert, Jerzy Turowicz, *Korespondencja. Z autografów odczytał, opracował, przypisami i posłowiem opatrzył Tomasz Fiałkowski* (niepublikowana recenzja Z. Herberta, *Alicja i plan*), Kraków 2005.
- Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu*, Warszawa 1965.
- Tadeusz Konwicki, *Kilka dni wojny, o której nie wiadomo, czy była*, Lublin 2001.
- Tadeusz Konwicki, *W pośpiechu*, rozmawia z Przemysławem Kanieckim, Wołowiec 2011.
- Anna Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, Warszawa 2008.
- Józef Kuropieska, *Nieprzewidziane przygody*, Kraków 1988.
- Jan Lechoń, *Dziennik*, 1.1-3, Warszawa 1992.
- Eryk Lipiński, *Pamiętniki*, Warszawa 1990.
- Piotr Łopuszański, *Leśmian*, Wrocław 2000.
- Antoni Marianowicz, *Pchli targ po remoncie*, Warszawa 2001.
- Antoni Marianowicz, *Polska, Żydzi i cykliści. Dziennik roku przestępnego*, Warszawa 1999.
- Antoni Marianowicz, *Wyciąg na szklaną górę. Dziennik roku przestępnego 2000*, Poznań 2002.
- Janusz Minkiewicz, Jan Brzechwa, *Szopka polityczna 1945 / 1946*, Łódź 1945.
- Olgięrd Missuna, *Warszawski pitaval literacki*, Warszawa 1960.

- Wacław Mrozowski, *Cyganeria*, Lublin 1963.
- Zofia Nałkowska, *Dzienniki 1939–1944*, Warszawa 1996.
- Zofia Nałkowska, *Dzienniki 1945–1954*, cz. 1–3, Warszawa 2000–2001.
- Nie bój Brzechwy. Studia i szkice kleksologiczne*, redakcja Jan Malicki i Joanna Papuzińska, Katowice 2010.
- Jerzy Robert Nowak, *Spór o kolaboranta Brzechwę*, Warszawa 2001.
- Leon Okręt, *Między życiem a sądem*, Warszawa 1938.
- Pan Kleks na ekranie. Przewodnik po filmach Akademia Pana Kleksa i Podróże Pana Kleksa*, Warszawa 1988.
- 50 lat Czytelnika*, Warszawa 1994.
- Jerzy Putrament, *Literaci*, Warszawa 1986.
- Jarosław Marek Rymkiewicz, *Leśmian. Encyklopedia*, Warszawa 2001.
- Satyra prawdę mówi...*, opracowali Zbigniew Mitzner i Leon Pasternak, Warszawa 1963.
- Joanna Siedlecka, *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2008.
- Irena Skowronkówna, *Antologia polskiej literatury dziecięcej*, Warszawa 1946.
- Halina Skrobiszewska, *Brzechwa*, Warszawa 1965.
- Małgorzata Szczepkiewicz, *Recepcja twórczości Jana Brzechwy w krytyce i badaniach literackich w latach 1926–2003*, praca doktorska obroniona w roku 2006 na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego.
- Anna Szóstak, *Od modernizmu do lingwizmu. O przemianach w twórczości Jana Brzechwy*, Kraków 2003.
- Stefan Szpringer, *Na szerokiej drodze*, Łódź 1974.
- Irena Szymańska, *Miałam dar zachwytu*, Warszawa 2001.
- To ja – dąb. Wspomnienia i eseje o Władysławie Broniewskim (Jan Brzechwa, Broniewski)*, Warszawa 1978.
- Aleksander Wat, *Mój wiek*, Warszawa 1990.
- Tadeusz Wittlin, *Pieśniarka Warszawy. Hanka Ordonówna i jej świat*, Łomianki 2006.
- Kazimierz Wroczyński, *Pół wieku wspomnień teatralnych*, Warszawa 1957.
- Wspomnienia o Antonim Słonimskim*, Warszawa 1966.
- Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie (Jan Brzechwa, Niebieski wycieruch)*, Lublin 1966.
- Wspomnienia o Julianie Tuwimie (Jan Brzechwa, Okruchy wspomnień)*, Warszawa 1963.
- Jerzy Zaruba, *Z pamiętników bywalca*, Warszawa 1968.
- Tadeusz Żeromski, *ZAiKS lat międzywojennych (1918–1939)*, Warszawa 2009.

#### WAŻNIEJSZE PUBLIKACJE PRASOWE

- Karolina Beylin, *Jan Brzechwa*, „Express Wieczorny” 1965, nr 135.
- Bez przyjaciół byłabym gorsza. Monika Zakrzewska rozmawia ze Stefanią Grodzieńską*, „Wysokie Obcasy” 1999, nr 20.
- Anna Bikont, *Jak Borejsza budował imperium Czytelnika*, „Gazeta Wyborcza” 1994, nr 257 (dodatek „Magazyn”).
- Marian Brandys, *Jan Brzechwa 1900–1966*, „Świat” 1966, nr 29.
- Marian Brandys, *Dojrzały owoc*, „Nowa Kultura” 1958, nr 13.
- Tadeusz Breza, *W teatrach krakowskich*, „Odrodzenie” 1945, nr 55.
- Janina Broniewska, *Kaczka dziwaczka, czyli jeszcze jedna „przedrzeźniaczka”*, „Wiadomości Literackie” 1939, nr 13.

- Jan Brzechwa, *Dwa spotkania*, „Przyjaźń” 1958, nr 7.
- Jan Brzechwa, *Ludzie łakną prawdy*, „Życie Warszawy” 1956, nr 72.
- Jan Brzechwa, *O poezji dla dzieci*, „Twórczość” 1955, nr 4.
- Jan Brzechwa, *Pisarze wobec dziesięciolecia*, „Nowa Kultura” 1954, nr 23.
- Jan Brzechwa, *Warszawa-Sztokholm-Paryż*, „Tydzień” 1946, nr 8–12.
- Tadeusz Dworak, *Dziejba innego Lesmana*, „Prosto z mostu” 1939, nr 4.
- Jan Gondowicz, *Okno poety*, „Gazeta Wyborcza” 1995, nr 213 (dodatek „Gazeta Stołeczna”).
- Wanda Grodzieńska, *Współczesna literatura dla dzieci*, „Kuźnica” 1949, nr 51 / 52.
- Stefan Kisielewski (Kisiel), *Brzechwa niezbyt ostra, czyli diatryba przeciw pierożkom*, „Tygodnik Powszechny” 1959, nr 3.
- Krystyna Kuliczowska, *Czarodziej słowa*, „Życie Literackie” 1966, nr 32.
- Krystyna Kuliczowska, *Jan Brzechwa*, „Tygodnik Kulturalny” 1965, nr 31.
- Krystyna Kuliczowska, *O wierszach Tuwima i Brzechwy*, „Życie Szkoły” 1949, nr 3.
- Jerzy Kwiatkowski, *Debiut Jana Brzechwy*, „Życie Literackie” 1958, nr 16.
- Włodzimierz Maciąg, *Debiut powieściowy Jana Brzechwy*, „Twórczość” 1958, nr 5.
- Materiały z I Ogólnopolskiego Zjazdu poświęconego literaturze dziecięcej*, „Ruch Pedagogiczny” 1946 / 1947, nr 4 i 1947 / 1948, nr 1.
- Materiały z VIII plenum KCPZPR*, „Nowe Drogi” 1956, nr 10.
- Ryszard Matuszewski, *Jan Brzechwa*, „Więź” 1966, nr 10.
- Stanisław Sławomir Nicieja, *Polemika Hemara z Brzechwą*, „Dekada Literacka” 1992, nr 2.
- Jerzy Robert Nowak, *Wybielanie prokomunistycznych intelektualistów-poputczików*, „Niedziela” 2000, nr 18.
- Jerzy Robert Nowak, *Hieny tropią antysemityzm*, „Niedziela” 2000, nr 22.
- Jerzy Robert Nowak, *Hemar contra Brzechwa*, „Niedziela” 2000, nr 31.
- Wacław Sadkowski, *U poetów satyryków*, „Życie Literackie” 1953, nr 8.
- Joanna Szczęsna i Anna Bikont, *W co się bawić, w co się bawić*, „Gazeta Wyborcza” 1999, nr 60 (dodatek „Magazyn”).
- Tadeusz Szyma, *Dwie władze*, „Tygodnik Powszechny” 1986, nr 31.
- Jan Śpiewak, *O wierszach Jana Brzechwy*, „Nowa Kultura” 1955, nr 28.
- Jacek Trznadel, *Korespondencja z rodziną Bolesława Leśmiana*, „Arcana” 1998, nr 2.
- Kazimierz Wyka [kjjw], *Kiepurka*, „Odrodzenie” 1948, nr 2.
- Karol Zawodziński, *Najśpiwniejszy poeta*, „Przegląd Współczesny” 1936, nr 174.
- Wanda Żółkiewska, *Książki Brzechwy*, „Kuźnica” 1946, nr 51.
- Wanda Żuromska [Żur], *Książki dla dzieci na gwiazdkę*, „Dziś i jutro” 1948, nr 51.

## ARCHIWA

Archiwum rodzinne Krystyny Brzechwy  
Instytut Pamięci Narodowej  
Muzeum Literatury w Warszawie  
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich  
Stowarzyszenie Autorów ZAiKS